

Miasteczko Deep Haven

**SUSAN MAY
WARREN**

Długo i szczęśliwie

Przekład

Anna Pochłódka-Wątarek


Replika

Mojemu mężowi, Andrew.

Dzięki Tobie żyję „długo i szczęśliwie”.

Jezusowi Chrystusowi, autorowi marzeń.

Dziękuję, że wyciągnąłeś z nieba ramiona, by mnie objąć.



Pisanie książki *Długo i szczęśliwie* jeszcze raz mi pokazało, że Bóg odpowiada na wszystkie marzenia. Czuję się wdzięczna i szczęśliwa, że otacza mnie wierna rzesza aniołów, które pomogły mi na każdym etapie tej przygody.

Wyrazy najgłębszej wdzięczności i uznania kieruję do:

Ellen Tarver, Sue Fuller i Tanki, które poświęciły całą sobotę, by mi pomóc układać historię o kobiecie, która chciała otworzyć księgarnię. Dziękuję za Wasz niezłomny entuzjazm oraz to, że mnie wysłuchałyście.

Christine Lynxwiler, która fachowo komentowała każdy rozdział. Twoje wnikliwe uwagi sprawiły, że ta historia nabrała harmonii.

Andrei Boeshaar, wiernej przyjaciółki, która kazała mi nie ustawać w marzeniach. Twoja przyjaźń to błogosławieństwo.

Yvonne Howard, która przeczytała tę książkę tyle razy, że mogłaby ją recytować z pamięci. Co ja bym bez Ciebie poczęła? Dziękuję za niezliczone uściski, za dobre i trafne słowa oraz za to, że służysz Panu z takim oddaniem oraz ofiarnością. Kochamy Cię, ciociu Vonnie!

Dee Henderson i Susan Downs, dwóch pisarek, które podziwiam, a które podtrzymywały mnie na duchu i podsycaly moja nadzieję. Dziękuję za Waszą przyjaźń i słowa zachęty.

Joyce Hart, mojej niez mordowanej agentki, która stanowi żywy dowód na to, iż Bóg wie, czego komu trzeba, i zna nasze serca. Dziękuję za mądre słowa i ciężką pracę.

Anne Goldsmith za wsparcie i słowa zachęty. Twoje sugestie wzmocniły nie tylko tę opowieść, lecz także mnie jako pisarkę. Zawsze będę Twoją dłużniczką.

Lorie Popp - mam szczęście, że jesteś moją redaktorką. Jaka to radość pracować z kimś tak utalentowanym. Nadałaś tej historii blasku!

Curta i Mary Ann Lund, którzy pomogli mi się zakochać w North Shore⁽¹⁾. Dziękuję za każde lato, jakie tam spędziliśmy, i za to, że niestrudzenie drukowaliście ten tekst raz po razie. Boża miłość do mnie pojawiła się razem z Wami.

Wreszcie dziękuję i Tobie, Drewsky, za to, że przeczytałaś kłiwą książkę i podzieliłaś się swoją męską opinią. Jesteś żywym dowodem na to, że Bóg spełnia marzenia. W życiu nie napisałabym ani słowa, gdybyś mnie nie posłał do mojego pokoju.

W każdym czasie Jemu ufaj, narodzi!

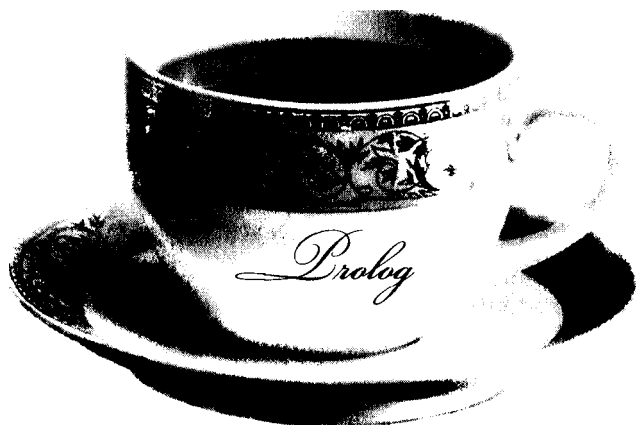
Przed Nim serca wasze wylejcie:

Bóg jest dla nas ucieczką!⁽²⁾

Ks. Psalmów, 62 (61), 9

¹ North Shore to fragment wybrzeża Jeziora Górnego, rozciągający się od Duluth w Minnesocie po Thunder Bay na północy i Sault Ste. Marie na wschodzie, już na terenie Kanady. Pasma wybrzeża słynie z urody: skalistych plaż, pięknej tajgi i malowniczych pejzaży [przyp. tłum.].

² Wszystkie cytaty z Biblii za: *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. W przekładzie z języków oryginalnych*, wyd. czwarte, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań - Warszawa 1989.



Ledwie uratował koszulę.

- W życiu, przenigdy nie podpiszę kolejnej książki - głos Reese'a Clarka rezonował jak wystrzał w pięciopiętrowym parkingu Mall of America. Mężczyzna zsunął swój kowbojski kapelusz i przeciągnął ręką przez niesforne, sięgające do ramion brązowe włosy. Skrzywił się, czując, ile potu zebrał dłonią.

Podpisywanie książki zmieniło się w istne pandemonium, dokładnie tak, jak się spodziewał. Po dwóch godzinach uporządkowanych kolejek, podczas których kobiety dyszały mu w twarz i rozczulały się nad nim, jakby był nastoletnią gwiazdą filmową, spokój wyparował. Zwyczajne, porządne kobiety zaczęły się przepychać i sprzeczać.

Wspiął się na krzesło, pomachał do zgromadzonych z tyłu i zapewnił tłum, że podpisze każdy egzemplarz *Syberyjskiej uciekinierki*. Ale one i tak walczyły o miejsce w długaśnej kolejce, która zakręcała za Macy's, snuła się w dół West Market, a kończyła się pewnie przecnicę dalej, na przeciwległym rogu Nordstrom. Pomimo licznych ochroniarzy w księgarni oraz dwóch barchystych mundurowych z galerii handlowej, którzy warczeli rozkazy, tłum eksplodował. Hałas i zamieszanie ożywiły przykre wspomnienia, aż Reese musiał szukać ucieczki w betonowym labiryncie parkingu.

- Reese, wracaj tutaj! - Jacqueline Saint pomaszerowała do niego z potwornym stukotem obcasów odbijającym się echem od cementowej podłogi. - Jeśli chcesz sprzedawać książki, to zetrzesz z twarzy ten grymas i pomaszerujesz z powrotem do środka.

Skrzywił się, patrząc na swoją specjalistkę od PR-u.

- Odwal się, Jacqueline. Widziałas, jak się tam zachowywały. - Zadrzał ostentacyjnie. - Mam dość. Więcej tego nie zrobię. Jeszcze jedna fanatyczna wielbicielka i już po mnie. - Reese nabrał głęboko tchu. Żołądek podszedł mu do gardła od woni oleju silnikowego, betonu i zakurzonych sufitów. - Potrzebuję powietrza.

Jacqueline wbiła wypielęgowane, rubinowe paznokcie w jego ramię.

- Musisz się rozluźnić, Reese. To nie Chicago. Nikt się nie czai w męskiej toalecie. Zadbalam o to, by ochrona trzymała się ciebie jak rzep psiego ogona. Nic ci nie będzie.

Zesztywniał.

- Może po prostu mam lepszą pamięć niż ty.

Usłyszał, jak Jacqueline cmoka z dezaprobatą; ten nawyk jak mało który szargał nerwy Reese'a.

- Cena sławy - powiedziała bez śladu delikatności. Pisarz próbował nie dać się sprowokować. Jacqueline była obecnie jego najbliższą przyjaciółką - a ta myśl ubodła go jak cios nożem.

- Słuchaj, już prawie skończyłeś - pocieszała nieszczerze.

- Jeszcze tydzień w telewizji śniadaniowej, a potem będziesz mógł zniknąć i pielęgnować ten twój ukochany wizerunek „tajemniczego człowieka z gór”. - Twardszym tonem dodała: - Póki co, kotku, podpisujesz książki.

Reese wyrwał się z jej uścisku.

- Daj mi... chociaż pięć minut.

Jacqueline uniosła cienką brew i zmierzyła go spojrzeniem chłodnych szarych oczu jak drapieźnik szacujący zwierzyneę. Spojrzała na swój złoty zegarek i kiwnęła głową rzeczowo.

- Pięć minut. Odliczam od teraz.

Reese zacisnął zęby i odsunął się. Jacqueline może i była najlepszym PR-owcem, jakim dysponował jego wydawca, ale po trzech miesiącach spędzonych w jej towarzystwie Reese miał ochotę stracić ją z tych szpilek z jaszczurczej skóry.

Wypuścił gorący, urywany oddech. Jeszcze tydzień. Potem dziewięć spokojnych miesięcy do wydania kolejnej książki. Już wkrótce pojedzie w góry - żegnaj cywilizacja. Nie żeby świerzbilo go akurat na myśl o plecaku na ramionach albo spranym, polarowym śpiworze, ale wielobarwne górskie niebo, groźba burzy, a nawet komary wielkie jak pięść jawiły się przyjaźniej niż zatłoczona księgarnia w galerii handlowej. Przyjaźniej i bezpieczniej. Wolałby już spotkać się z niedźwiedziem grizzly o dowolnej porze dnia i nocy niż z zadurzoną fanką. Dość się napatrzył z bliska na kobiety w amoku, by wiedzieć, co naprawdę jest straszne.

Ale trasa promująca najnowszy utwór spełniała swoją funkcję - dostarczała funduszy na poznawanie kolejnych miejsc na planecie. Jego książki sprzedawały się w milionowych nakładach. Dlaczego - sam tego wciąż nie rozumiał. Pisał je, bo chciały być napisane, ale kobiety ich łaknęły, kupowały w twardych okładkach, prosto spod maszyn drukarskich. Jacqueline tłumaczyła, że to dlatego, iż jego bohater nigdy nie znajduje kobiety, której szuka, a wszystkie jego czytelniczki fantazjują o tym, że to właśnie one go usidlą.

Reese przechadzał się między lexusem a umorusanym niebieskim chevette. Oparł się o poręcz i wyjrzał na autostradę - krętą płataninę hałasu i spalin. Za światem betonu czerwonopomarańczowe jesienne listowie migotało na drzewach rosnących wzdłuż rzeki Missisipi. Zbłąkany podmuch wiatru przywiał w jego stronę nutę schnących liści i rześką zapowiedź jesieni. Wzywały go, a on nigdy nie czuł się bardziej uwiązany. Tak, kochał pisać,

podróżować... Tylko to naruszenie prywatności doprowadzało go do granic wytrzymałości. Teraz planował ucieczkę. Poniżej ulica rozbrzmiewała hałasem. Reese wpuścił głowę w ramiona.

Za nim rozległo się rżenie silnika samochodu. To nie lexus. Reese obrócił się szybko - zamierzał czmychnąć między dwoma pojazdami. Dotarł do drzwi kierowcy. Otworzyły się z impetem, uderzyły go w kolana i ubrudziły szyte na miarę spodnie od garnituru. Kiedy kierowca wystrzelił z chevette, Reese uskoczył z grymasem i otrzepał spodnie.

- Uważaj! - warknął. Ktoś nabrał powietrza z urazą i Reese od razu pożałował tonu, jakiego użył. Zazwyczaj nie bywał nieuprzejmy.

- Sam uważaj. Moje auto, w odróżnieniu od ciebie, nie może się ruszyć! - Zapalczywa riposta nie pasowała do filigranowej blondynki, która przed nim stała. Sięgała mu ledwie do ramion, była ubrana w czarną spódnicę i biały kaszmirowy sweter. Nie wyglądała na osobę, która prowadziłaby taki złom - albo tak zaciekle stawiała czoło problemom. Reese zdziwiony zamrugał.

Położyła ręce na biodrach zaczepnie i spytała z ogniem w oczach:

- Co ty w ogóle robisz koło mojego samochodu?

Uniósł brwi.

- Cóż, na pewno nie zamierzałem go ukraść.

Rozdziawiła usta na moment, po czym chrząknęła ostentacyjnie i pokręciła głową. Szybkim ruchem sięgnęła pod siedzenie kierowcy i otworzyła maskę. Kiedy się cofnęła i zatrzasnęła drzwi, huk odbił się echem od niskiego sufitu.

Wpatrywała się w Reese a w milczeniu, wreszcie powiedziała:

- Przesuniesz się czy ci płacą za blokowanie ruchu?

- Przepraszam - wymamrotał, unosząc dłonie w pojednawczym geście, i cofnął się do poręczy.

Szerokim łukiem omijając brud na samochodzie, kobieta ledwie musnęła Reese'a, gdy przechodziła obok. Wsunęła dwa palce pod maskę i uniosła ją. Jej oczy przybrały łagodniejszy wyraz.

- Przepraszam - wymamrotała. - Mam parszywy dzień. Najpierw zatrzasnęłam w domu klucze, potem podarłam spódnice, kiedy wychodziłam przez okno, a na koniec komputer w Macy's zeżarł mój plan spłat. A teraz stary Noe nie chce odpalić.

Reese zagryzł usta, żeby stłumić niespodziewany uśmiech.

- Noe?

- Nawet nie pytaj. - Założyła kosmyk złotych włosów za ucho.

Wciąż mocując się z uśmiechem, Reese wsadził ręce do kieszeni i oparł się o betonową ścianę. Zaintrygowała go ta kobieta w eleganckim wdzianku, gdy tak kręciła kablami, poprawiała nakrętkę wlewu oleju i macała wtyki od akumulatora. Co ciekawe, kiedy się do niego odwróciła, palce miała tylko lekko przybrudzone smarem.

Chwilę przygryzała delikatną wargę. Spojrzała smętnie za niego, jak gdyby odpowiedź leżała w odległych brązowych wzgórzach. Nagle wbiła w Reese'a niepewne spojrzenie.

- Wiesz coś o samochodach?

Reese potarł podbródek. Nie miał ochoty się brudzić. Zwłaszcza że w perspektywie miał powrót do tłumu radośnie pokrzykujących kobiet w księgarni...

- No, trochę wiem. - Podeszedł do samochodu i pochylił się nad komorą silnika. Kobieta stanęła obok niego i wpatrzyła się w ciemną otchłań.

- Co widzisz? - Włosy opadły jej na twarz, więc zarzuciła je na plecy. Reese zerknął na nią i znowu powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem. Kobieta pomazała sobie policzek olejem jak futbolista. Faktycznie miała zły dzień.

Zaciskając usta, Reese przyjrzał się czarnej dziurze jej samochodu. Zardzewiałe druty łączyły się z zetłętymi kablami, a skorodowany

akumulator pokrywała lepka maź. Po chwili, kiedy to odór oleju przeniknął go niczym mgłą, Reese poprawił kable od świec zapłonowych.

- Spróbuj - powiedział, łącząc dłonie.

- Serio? To wszystko? - Rozchyliła usta ze zdumienia, gdy po kiwał głową twierdząco.

- Nie ruszysz, jeśli masz poluzowane kable zapłonowe.

Jej zielone oczy rozbłyły nagle radością, a on pierwszy raz spostrzegł, że oczy te są w kolorze pięknych szmaragdów z czarodziejskimi złotymi plamkami. Przykuły jego uwagę, aż wypuścił powietrze i odwrócił wzrok.

- Spróbuj - powtórzył chrapliwie, szukając czegoś, w co mógłby wytrzeć wysmarowane palce.

- W porządeczku! - Kobieta rzuciła się do drzwi kierowcy.

Reese pogrzebał w tylnej kieszeni i znalazł chusteczkę. Czyli już po jego odświeżonym wyglądzie. Stał smar z palców.

Silnik odpalił z rykiem, uruchamiając jednocześnie migawki wspomnień Reese'a ze szkoły średniej. Nie sposób zapomnieć szumu chevroleta, zwłaszcza słodkiej melodii jego corvette, wypozerowanej i przechowywanej na klockach w miejscu, które starał się zapomnieć.

Blondynka z nieśmiałym uśmiechem wyszła z auta.

- Wygląda na to, że mnie uratowałeś. - Jej twarz rozjaśnił szczerzy uśmiech. - Bardzo dziękuję. - Wyciągnęła rękę nad otwartymi drzwiami. - Mona Reynolds.

- Clark. - Reese uściśnął jej dłoń. Jej oczy lśniły, a jakie śliczne miała piegi, rozsiane na wyrazistych kościach policzkowych, gdy się tak uśmiechała...

- Pewnie powinnam postawić ci kawę, co?

Wręczył jej chusteczkę.

- Nie trzeba. Po prostu się nawinałem, we właściwym miejscu o właściwym czasie. - Skrzywiła się z konsternacją na widok chusteczki. Wskazał na jej twarz.

- Masz tam trochę barw wojennych.

Zmarszczyła nos i wsiadła do samochodu, poprawiając lusterko wsteczne.

Reese tymczasem pozbiierał myśli. Nagle kawa wydała się przyjemną perspektywą. Uciec z ładną, szczerą kobietą, która się nim nie emocjonuje - może to właśnie powiew świeżego powietrza, którego potrzebował.

Odwróciła się. Jej policzek był zaczerwieniony tam, gdzie wcześniej była plama oleju.

- Dzięki. - Oddała mu chusteczkę.

- Jeśli chodzi o tę kawę... - zaczął.

- Och, bardzo bym chciała ci postawić kawę. Daj mi wizytówkę, to do ciebie zadzwonię.

Jego nadzieje opadły.

- Uhm, nie mam przy sobie.

- Aha. - Wydawała się zbита z tropu, wydeła usta intrygująco.

- To może podasz mi swój numer telefonu albo adres mailowy?

Reese zdjął kapelusz i przesunął ręką wzdłuż ronda. Pod szorstkim naporem rzeczywistości jego wizja cichego spotkania przy kawie w przebraniu przejeźdnego biznesmena imieniem Clark rozplynęła się. To się robiło nazbyt skomplikowane, zwłaszcza że w środku czekał tłum fanek. Wystarczyłoby, żeby wpadli na kogoś z mediów i sprawy przybrałyby nieciekawą obrót. Pokręcił głową.

- Właściwie to jestem tu tylko przejazdem.

Wydawała się przybita, aż niemal zmienił zdanie. Po chwili milczenia westchnęła:

- Cóż, jeszcze raz dziękuję. Byłeś dziś moim bohaterem.

Uśmiechnął się, słysząc to. Wczuwając się w rolę, wcisnął kapelusz na głowę i pociągnął lekko za rondo jak szarmancki kowboj.

Zamknęła drzwi od samochodu, pomachała, wycofując, a potem zniknęła w oparach spalin.

Reese skrzywił się, czując przykrą woń. Rozczarowanie ścisnęło mu serce. Przez krótką chwilę myślał, że Mona mogłaby się okazać kimś więcej niż fanką. Nigdy nie znajdzie kobiety, która zobaczy w nim kogoś więcej niż tylko Reese'a Clarka. Było dojmująco jasne, że relacje z kobietami nie są mu pisane.

- Reese!

Jacqueline też nie była mu pisana. Reese wrócił z powrotem na estakadę i do swoich spotkań z czytelnikami.



Parking przed Applebee był dosyć zatłoczony jak na porę przedobiednią. Potwornie spóźniona, Mona znalazła miejsce z tyłu i pospieszyła do wejścia.

Zatrzymała się przy pulpicie hostessy i wyciągając szyję, spostrzegła, jak Liza Beaumont macha do niej szaleńczo znad wysokiego stolika w środkowej części sali.

- Przepraszam, moje towarzystwo już tu jest - powiedziała poirytowanej hostessie i pognała do Lizy, nim współlokatorka zrobiłaby scenę i zaczęła na nią pokrzykiwać.

- No, no, popatrzcie, jak wyrosła!

Mona stanęła jak wryta, krzywiąc się lekko, gdy Edith Draper wstała od stolika Lizy. Starsza pani podeszła do Mony, wyciągając szerokie, zadbane dłonie w stronę jej twarzy. Najlepsza przyjaciółka jej matki sądziła, że Mona ma wciąż dwanaście lat.

- Dzień dobry, pani Draper - powiedziała Mona słabo.

- Żałuję, że twoja mama nie widzi, jak wielki robisz krok. Pomyśl tylko - własny biznes. Jestem z ciebie taka dumna, jakbyś była moim własnym dzieckiem! - W oczach Edith błyszczały łzy. Mona dała się uściskać.

- Dziękuję, pani Draper.

Starsza pani odsunęła się nieco i pokiwała palcem przed oczyma Mony.

- O nie. Teraz jestem Edith. Będę twoją sąsiadką.

Mona uśmiechnęła się ciepło. Nie mogła się oprzeć entuzjazmowi Edith.

- Dobrze... Edith.

- Zamówiłam ci kawę - oznajmiła Liza, gdy Mona wślizgnęła się na wysoki stołek i zaczęła obcasy o dolną poręcz.

- Wydajesz się zmachana, złotko. - Edith położyła pomarszczoną dłoń na ramieniu Mony.

- Mam okropny dzień - odparła Mona. - Nie chcę o tym mówić. - Obrzuciła wzrokiem restaurację, po czym spojrzała na Edith. - Gdzie Chuck?

Starsza pani zamachała ręką i wzruszyła ramionami.

- Wiesz, jacy są mężczyźni, muszą wszędzie skorzystać z łazienki.

Mona uśmiechnęła się półgębkiem i wypatrzyła, jak Chuck Parson wychodzi z męskiej toalety. Podciągnął czarne dzinsy na okrągłutki brzuszek i wyglądał, jakby miał wyskoczyć ze skóry. Biedaczyna. Wyraźnie czuł się nieswojo.

- Mona! - zawołał z drugiego końca sali. Mona zauważyła, jak kelnerka patrzy na niego krzywo.

Zsunąwszy się ze stołka, Mona wyszła mu naprzeciw i stanęła dwa kroki od stolika. Uścisnęła ją serdecznie.

- Ślicznie wyglądasz.

Westchnęła. Zamydliła oczy im wszystkim. W środku aż skrecała się ze stresu i kolana się pod nią ugiwały. Jeśli to się rzeczywiście wydarzy, będzie tylko o krok od spełnienia marzeń. Ciągle sama siebie szczypała, sądząc, że zaraz się przebudzi ze snu. Bóg tak łaskawie zesłał ten cud. Zamierzała mocno pochwycić tę szansę i nie wypuszczać jej z rąk. Teraz tylko zachować spokój i koncentrację. Niebo jej sprzyjało, a Bóg oczekiwał od niej

wszelkich starań prowadzących do ziszczenia marzeń. Nie wolno lekceważyć Pańskiej łaski. Poza tym Bóg pomaga zaradnym.

Wyplątała się z uścisku Chucka i oboje usiedli przy stole. Podeszła do nich kelnerka z tacą pełną zimnych napojów i kawy. Mona nie traciła czasu na czytanie menu.

- Poproszę chińską sałatkę z kurczaka i suchego tosta.

Liza także zamówiła to, co zwykle - cheeseburgera z podwójnym bekonem i karbowane frytki. Mona pokręciła głową. To niesprawiedliwe. Liza miała nogi po samą szyję. Dziewczyna nie miała pojęcia, co to znaczy tylko popatrzeć na ciastko i od razu odczuć je w obwodzie ud. Mona precyzyjnie nadzorowała każdy kęs. Nie stać jej było na nowe ubrania. Ale ona i Liza mieszkały razem niemal dziesięć lat i Mona nauczyła się żyć z tą zawiścią.

- Przyniosłem plan i parę zdjęć. - Chuck wyciągnął winylową aktówkę rodem z lat siedemdziesiątych. - Nie zniechęcaj się. Dom ma potencjał, tylko trzeba umieć to dostrzec. - Rozdał zdjęcia wokół stołu jak karty do gry. - Werandę trzeba będzie trochę podeprzeć tu i ówdzie, ale fundamenty są solidne. Nad garażem jest przytulne mieszkanko, jest też przybudówka, tak jak chciałaś

- przerwał i spojrzał na Monę wyczekująco.

Podniosła fotografię. Dom był idealny. Dwupiętrowy, wiktoriański budynek stanowił odpowiedź na jej modły oraz spełnienie najśmielszych marzeń.

- Biorę.

Edith ścisnęła ją za ramię.

- Jesteś pewna, złotko?

Mona pokiwała głową i spojrzała na Lizę. Przyjaciółka uśmiechała się opętańczo, a jej czarne oczy lśniły. Mona potrafiła odczytać te sygnały.

- Tak. Wiem, że właśnie na coś takiego czekałam.

Edith rozsiadła się na krześle z uśmiechem zadowolenia.

mu się strzyżenie. - Z trzaskiem położyła książkę na stole, tyłem do góry. - Reese Clark!

Z okładki spoglądał uderzająco przystojny, uśmiechnięty mężczyzna w zielono-niebieskiej flanelowej koszuli w kratę i kowbojskim kapeluszu. Brązowe, kręcone włosy opadały mu na ramiona, a błękitne oczy kryły jakąś tajemnicę. Reese Clark, ulubiony pisarz Mony. „Pisarze nie powinni być tacy atrakcyjni” - pomyślała, mrużąc oczy. Nie miała pamięci do twarzy, ale ta akurat wyglądała znajomo.

Nagle się jej przypomniało i aż krzyknęła z wrażenia.

- Co się stało? - Edith pobladła i dotknęła dłonią szyi. Mona ścisnęła grzbiet nosa i zamknęła oczy.

- Jestem kompletną kretynką.

Liza pochyliła się do przodu.

- Dlaczego? Poza tym, że właśnie pomazałaś sobie nos na czarno?

Mona spojrzała na swoje palce i się skrzywiła.

- Samochód mi się zepsuł w centrum handlowym. To Reese Clark mi go naprawił.

Z powodzeniem zmieściłaby się w każdym z trzech otwartych ze zdziwienia ust.

- I nie poprosiłaś o autograf? - Edith spojrzała na nią, jakby Mona strasznie nagrzeszyła. Mona wzruszyła ramionami.

- Nie poznałam go.

Liza stłumiła wybuch śmiechu.

- Ty to byś własnego psa nie poznała, choćby do ciebie podszedł i cię ugryzł.

Mona zrobiła do Lizy brzydką minę. Liza miała jednak świętą rację. Mimo że Mona po uszy durzyła się w stałym bohaterze pisarza, Jonahu, Reese Clark mógłby złożyć na jej ustach pocałunek rodem z bajki, a Mona by się nie zorientowała, że to on. Jęknęła.

- Zaprosiłam go nawet na kawę. Myślał pewnie, że jestem jakąś namolną fanką robiącą do niego maślane oczy. - W świetle wcześniejszej opowieści Edith nie było nic dziwnego w tym, że uciekł od niej z prędkością światła.

- No cóż - wymamrotała Mona. - Pewne rzeczy po prostu nie są nam pisane.



Osiem miesięcy później

Mona pochyliła się nad kierownicą chevette i docisnęła pedał gazu, gdy samochód wspinał się po stromej linii brzo-owej. Auto niemal przefrunęło nad szczytem wzgórza górującego nad Deep Haven, ale Mona nie przejmowała się zbytnio faktem, że może się nadziać na kontrolę radarową. Radośnie wbijała gaz w podłogę, bo niczym czerwony dywan rozciągało się przed nią miasteczko - miejsce, gdzie marzenia i plany snute latami staną się rzeczywistością. Wróciła po dziesięciu długich latach. Wreszcie znajdzie spokój. „Dzięki, Boże”.

Mona nacisnęła hamulec, kiedy wjechała w strefę ograniczenia prędkości, i ledwie wyminęła jasnowłosą babcię, która machała rękami na porannym intensywnym spacerze. Starsza kobieta spojrzała krzywo na szarżującego kierowcę. Mona uśmiechnęła się przepraszająco.

Jadąc po Main Street, uznała, że w ciągu lat Deep Haven niewiele się zmieniło. Latarnia morska na urwistym przylądku domagała się malowania, kobieta zauważyła też wiele nowych sklepów z upominkami. Zasadniczo jednak przekrój demograficzny wydawał się niezmienny - turyści i emeryci. Zjechała z Main,

trzymając się trasy wzdłuż linii brzegowej, i skierowała się do Najlepszych Pączków Świata. Pierwsze chwile po powrocie do tego skrawka nieba na ziemi spędzi, siedząc na głazie, przytrzymując kawę kolanami i wypychając słodziutkiego pączka do ust. To był jej nastoletni smakołyk i Mona nie była jeszcze gotowa, by z niego zrezygnować.

Zaparkowała przed sklepem z tanimi drobiazgami i potruchała do Najlepszych Pączków. Wepchnęła się do zatłoczonej cukierni, stanęła w kolejce, a piętnaście minut później wyszła z przepysznym pączkiem owiniętym w zatłuszczonej serwetkę.

Mona poszła prosto ku poszarpanemu skalnemu nawisowi nad brzegiem Jeziora Górnego. Przysiadła na kamieniu i nabrała tchu głęboko, zatracając się w rześkim, pachnącym igliwem powietrzu znad jeziora. W Deep Haven naprawdę można było zaznać spokoju. Wystarczyło, by poczuła świeży aromat lasu i usłyszała szum fal na plaży, a wspomnienie ojca wróciło jak żywe. Wreszcie mogły się ziścić sny, na które czekała już dziesięć lat. I wreszcie nic nie stało na przeszkodzie.

Mona liczyła na to, że ma smykałkę do interesów. Choć Deep Haven było ledwie punktem na mapie Minnesoty, stanowiło zarazem jedyne miejsce, gdzie mieszkańcy Minneapolis albo St. Paul mogli wygospodarować parę dni prywatności i spokoju, by odпочząć od miejskiego stresu. Jadąc te pięć godzin na północ trasą I-35, turyści ustawiali w samochodach tempomaty i zaczynali wypoczywać już w fotelu kierowcy, ciesząc oczy pięknym krajobrazem. Jakby niesione rześką bryzą znad Jeziora Górnego, auta same trafiały do maleńkiego miasteczka ukrytego wśród brzoź i klonów, sosen czerwonych i jodeł balsamicznych.

W Deep Haven mieszkało właściwie bardzo niewiele osób. Miasto funkcjonowało jak wielkie, zamiejskie centrum handlowe, gdzie wszyscy się spotykali, by łyknąć kawy, przegryźć pączka,

wymienić plotki i ponarzekać na okropieństwa życia w mieście. Parę domów było rozsianych po wzgórzu, ale Deep Haven zniósło zezwolenia na stawianie prywatnych budynków wzdłuż linii brzegu, chyba że zgodę na budowę wyrazi miejscowa komisja planistyczna w osobie Edith Draper.

Mona wzięła łyżeczek kawy - czarnej, bez cukru - i podziękowała dobremu Bogu, że dał jej matce rozum, dzięki czemu zaprzyjaźniła się z Edith trzydzieści lat wcześniej. Mona zerknęła na zegarek. Za pół godziny agencja nieruchomości Chucka zostanie otwarta, a Mona odbierze klucze do swojej przyszłości. Wszystko się układało zgodnie z planem: Edith wyraziła urzędową zgodę na mieszkanie nad sklepem, Mona wpłaciła oszczędności życia w charakterze zaliczki, a jej współlokatorka Liza Beaumont zgodziła się zostać partnerką w interesach.

Kobieta patrzyła, jak światło poranka rozlewa się po wodzie i nadaje jezioru lśniący kolor indygo. Fale Jeziora Górnego obmywały brzeg ledwie kawałek od jej stóp. Jakże jej ojciec byłby zachwycony. Siedziałby przy jej boku, popijał kawę - dwie śmietanki, bez cukru - i niedojedzonym pączkiem czekoladowym wskazywał, jak mewy nurkują wśród fal. „Mona - powiedziałaby - można tutaj znaleźć własny kawałek nieba, tylko trzeba mieć oczy otwarte”.

„Mam otwarte oczy, tato”. Dzielną i bezczelną mewę wylądowała tuż przy Monie i przyczłapała bliżej, kiwając białą głową i wbijając paciorkowate oczy w pączka. Mona rzuciła ciastko w stronę ptaka, który złapał je w locie. Kobieta otrzepała z cukru palce i poszła w stronę ulicy.



- Gotowa? - Chuck siedział za biurkiem w swojej flanelowej koszuli w kratę oraz sztruksowej kurtce. Wydawał się znacznie

bardziej rozluźniony niż te osiem miesięcy temu. Słońce świeciło przez boczne okna, muskając jego błyszczącą głowę. Chuck miał łagodne oczy człowieka, który całe życie służył ludziom. Krzesło na kółkach zaskrzypiało, gdy się w nim rozparł.

- Tak myślę. - Mona uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, dłonią do góry.

- Nie tak szybko. - Chuck wstał i pomasaował łysiejącą głowę pulchną dłonią. - Wiem, że się cieszysz, i szczerze powiem, że z tą księgarnią to był dobry pomysł. Zdaję sobie również sprawę, ile to dla ciebie znaczy, ale chcę się upewnić, że wiesz, w co się pakujesz.

Mona opuściła dłoń.

- A w co się pakuję, Chuck?

Spojrzał jej w oczy po ojcowsku.

- Dom jest w kiepskim stanie, gorszym, niż sądziłem. Czeka cię mnóstwo pracy, jeśli chcesz zdążyć przed rozpoczęciem sezonu.

Mona wytężyła mięśnie.

- Mam w sobie norweską krew!

Chuck uśmiechnął się półgębkiem.

- To fakt. Dobrze. Jeśli będzie ci potrzebna pomoc, dzwoń. - Szarpnięciem otworzył szufladę swojego metalowego biurka i pogrzebał w niej, aż znalazł długi, srebrny klucz. Podał go Monie.

Księgarnia i Kawiarnia na Progu Nieba. Mona wiedziała, że tak się będzie nazywać jej własny biznes od dnia, gdy usiadła na plaży z ojcem. Zaczytany w jakiś bestseller, podniósł oczy na lunę rozlewającą się po horyzoncie i powiedział:

- To miejsce to próg nieba.

Nie wiadomo, w jaki sposób to sformułowanie wplotło się w serce Mony i dało jej siłę podczas pogrzebu ojca oraz ostatnich dziesięciu lat.



Mona stała na szerokich schodach piętrowego, dziewiętnastowiecznego domu z drżącym sercem. Wiedziała, że to miejsce jest idealne.

Oczyrna wyobraźni dokładnie wszystko widziała: na rozległej werandzie będą stać okrągłe stoliki nakryte koronkowymi obrusami, trzepoczącymi lekko na wietrze znad jeziora. Przy nich usiądzie garstka zadowolonych turystów, którzy będą raczyć się świeżo zaparzoną kawą podaną w ręcznie robionych kubkach Lizy, zajadać smakowite muffinki i czytać klasykę literatury, jaką odkryją w sklepie Mony. Dźwięki Chopina czy Brahmsa, delikatne jak szept, dobiegać będą z domu i frunąć wzdłuż ulicy, a całe Deep Haven będzie jej wdzięczne, że stworzyła u ich bram skrawek nieba.

Mona wbiegła po schodach, nucąc pod nosem. Nucenie przeszło w ostry wrzask, kiedy jej stopa zapadła się w najwyższy stopień, wskutek czego Mona się przewróciła. Po chwili usłyszała odgłos zamykanych drzwi od samochodu, a potem śmiech. Skrzywiła się.

- To dopiero miejsce! - Liza Beaumont złapała Monę pod pachami i pomogła jej wstać. - Cieszę się, że zdążyłam na wprowadzanie.

Mona zmarszczyła nos.

- To tylko jeden stopień, Lizo. Da się naprawić.

Liza wsparła dłonie na biodrach, uniosła brwi i pokiwała głową. Przynajmniej trzymała te rubinowe usta na kłódkę.

Mona otrzepała się i podeszła do wejścia. Klucz przekręcił się w zamku. Gdy otworzyła drzwi, nad ich głowami wpadł do środka snop światła i oświetlił zakurzony korytarz. Mona zadrżała na widok wielkiej pajęczyny, która rozciągała się od poręczy schodów aż po sufit. Liza wepchnęła współlokatorkę do środka, pogwizdując z aprobatą.

Wewnątrz dom wyglądał nieco czystiej. Parkiet na podłodze zapowiadał jedwabisty, bursztynowy połysk po wypolerowaniu, a w jadalni wisiał wspaniały zyrandol, który rozpraszał światło słońca, tworząc na ścianach tęczę. Z hallu prowadziły na górę szerokie schody. W dole korytarza dwuskrzydłowe kryształowe drzwi chroniły wejście do całkiem nowoczesnej kuchni. Przynajmniej Chuck tak uważał. Wsadzwszy głowę do pomieszczenia, Mona uznała, że mężczyzna był w tym przypadku bardzo wspaniałomyślny. Chociaż może za jego czasów limonkowe kredensy i cytrynowożółte blaty kuchenne były nowoczesne...

- Nasze pokoje są na górze? - spytała Liza.

Mona obróciła się na pięcie, uśmiech na twarzy współlokatorki rozniecił nieco jej opadający entuzjazm. Pokiwała głową potakująco i wstrzymała oddech, kiedy Liza wbiegała po schodach, przeskakując co drugi stopień. Na szczęście nic się nie złamało.

Mona zawędrowała do saloniku na piętrze. Wyobrażała sobie bukiety kwiatów na dębowym kominku oraz poduszkę do siedzenia na niskim parapecie. O tam, w niszy w saloniku, zorganizuje barek kawowy, gdzie bywalcy będą mogli rozłożyć się z kubkiem mokki z pianką i przerzucać cytatami z ulubionych książek. W drugiej części domu, w salonie z tymi dwoma oknami, które wyglądają jak wrota światła, Mona rozłoży ceramikę Lizy. Charakterystyczna, śmiała kolorystyka jej wyrobów przyciągnie klientów jak misie do miodu.

Monę przepełniało poczucie wdzięczności. Trzeba się tu będzie trochę narobić, ale ten dom był jedyną nieruchomością na wybrzeżu, jaka pojawiła się w tym roku na rynku i Monie się poszczęściło, że go zdobyła. A już niedługo, dzięki pomocy Edith przy dokumentach dotyczących planu zagospodarowania przestrzennego, dom nad jeziorem przeistoczy się w prawdziwy biznes. *Jej biznes.*

- Mona, chodź tu! - Liza przechyliła się przez poręcz schodów.
- Mamy własne łazienki!
- Wreszcie! - odpowiedziała Mona ze śmiechem. Wspięła się po schodach, odnotowując w pamięci, gdzie skrzypiało. Zastała Lizę rozłożoną na kudłatym, pomarańczowym dywanie w głównej sypialni.

- Co ty robisz? - Mona oparła się o ramę drzwi balkonowych i założyła ręce na piersi.

- Marzę o meblach - westchnęła Liza. Współlokatorka Morny wyglądała, jak przystało na księżniczkę z Indii Francuskich; rozsypujące się czarne włosy, złote, migoczące w słońcu koła w uszach i kurtka ze sztucznej skóry w kolorze fuksji przypominająca lśniące królewskie szaty. Mona pokręciła głową żartobliwie i uśmiechnęła się.

W drugim pokoju na piętrze były dwa okna mansardowe, wychodzące na pochyły dach werandy. Każde z nich miało siedzenie we wnęce.

- To mój pokój - stwierdziła Mona z zachwytem. Liza zajrzała do środka.

- Jesteś pewna? Ten drugi jest większy.

- Tak, ale ten drugi jest połączony z łazienką - to się przyda, jak będziesz musiała zmywać z siebie całą tę glinę. - Mona zmarszczyła nos z niesmakiem. Liza zmrużyła oczy, udając podejrzliwość.

- Po prostu nie chcesz sprzątać tego gigantycznego nacieku, który znalazłam pod umywalką.

Wieczorem, kiedy brzozy rzucały cienie na pozbawione mebli sypialnie, Mona i Liza kuliły się w śpiworach i katalogowały straty w ich nowym domu.

- Dwie szyby w oknach rozbite, zlew w kuchni przecieka, na suficie w jadalni jest ten wielki naciek, a podłoga pod lodówką

przegniła - wymieniła Mona. Liza opuściła głowę na złożone ręce i ciągnęła głosem stłumionym przez fałdy miękkiego nakrycia:

- Zepsuty stopień w schodach przy wejściu, trzy przegniłe deski na werandzie, dwa bezużyteczne gniazdko w salonie. Zauważyłaś, że drzwi od mojej łazienki się nie domykają?

W odpowiedzi Mona tylko jęknęła.

- Ale - Liza uniosła głowę jak pajacyk wyskakujący z pudełka - większość tych problemów to kosmetyka, a to dobrze. A z resztą sobie poradzimy. - Opadła na plecy. - Mam nadzieję, że umiesz obsłużyć młotek, bo ja zamierzam malować!

Mona wyszczerzyła zęby w uśmiechu w kierunku pajęczyny na suficie i starała się nie myśleć, że pająk mrugnął do niej porozumiewawczo w odpowiedzi. Sześć tygodni do otwarcia. Sześć tygodni, by przerobić, pomalować, umeblować i poskładać jej marzenie do kupy.

Ale będzie dobrze. Żeby zmienić dom w Próg Nieba, trzeba będzie tylko trochę posprzątać.



Dwa dni później Mona miała ochotę oskarżyć Chucka, że sprzedał jej dziewiętnastowieczny budynek pochodzący z miejsca zdecydowanie na południe od nieba. Dwie żaluzje odpadły, kolejny stopień pękł, kiedy wnoszono przemysłowy piec, a wokół nacieku w jadalni popękał tynk. Liza, gdy to zauważyła, wyleciała z pokoju z krzykiem, jak kurka z bajki o końcu świata:

- Niebo się wali!

Chwilę później cały ten fragment sufitu nie wytrzymał i na podłogę posypał się przegniły tynk.

Jakby tego było mało, Mona stworzyła w kuchni mini-gejzer, kiedy zdjęła nakrętkę z kurka, próbując naprawić ciekący kran. Udało się zapobiec powodzi kitem, ale wyglądało to w najlepszym wypadku prowizorycznie.

Wówczas Liza wbiła ostatni gwóźdź do trumny.

- Dostałaś mandat za złe parkowanie, nieszczęsna koleżanko. - Rzuciła Monie druczek. Poszybował w stronę stóp kobiety, a ona wdeptała go w podłogę z desek.

Tego wieczoru, gdy słońce ześlizgiwało się za lśniące platyną jezioro, Mona siedziała na werandzie i piła swoją pierwszą porządną kawę. Obok, w pogniecionej torebce z cukierni, leżał przemoczony, zimny, niedojedzony pączek. Kiepska kolacja. Liza przyniosła wcześniej do domu mrożoną pizzę, a teraz leżała zawinięta w śpiwór jak mumia. Być może jutro dojadą meble i będą mogły spać we własnych pokojach, a nie na dywanie w kolorze dyni.

Mona popijała kawę powoli, rozważając konieczne naprawy oraz czas pozostały do otwarcia. Jak fala Jeziora Górnego napłynęło zniechęcenie. „Panie, tak bardzo chciałam zbudować idealne miejsce. Takie, gdzie ludzie mogliby się cieszyć prostymi przyjemnościami”. Zaciśnęła powieki i przełknęła gulę wzbierającą w ściśniętym gardle. „Ja tylko chcę zrobić coś dobrego i trwałego”. Próg Nieba wydawał się takim świetnym pomysłem - niemal namaszczonym przez Pana. Ten cel pozwalał jej wytrwać i przeć do przodu w niejednej bezmyślnej pracy. Warto było nawet przewracać hamburgery podczas studiów, póki w perspektywie było jej Niebo. A teraz jedyna, podarowana przez Boga szansa wymyka się jej z rąk. „Proszę, Panie, pomóż jeszcze trochę”.

Mona odstawiła kubek koło pomiętej torebki z ciastkiem i przykryła twarz rękoma.



Joe Michaels pogładził wgniecioną maskę forda pickupa. Laker był w dobrym stanie, poza paroma skorodowanymi punktami w nadkolach, a czarna, winylowa deska rozdzielcza lśniła jak kawałek onyksu.

- Dobra bryka - rzucił sprzedawca w niedopasowanej tweedowej marynarce i z kucykiem. Wyglądał i pachniał, jakby spędził kilkadziesiąt lat pod maską hot roda, a do tego palił coś podłego. Joe się skrzywił.

- Królowa piękności to nie jest, ale silnik wydaje się czysty i szumi jak złoto. Ile?

- Trzy koła.

- Za tego rzęcha?

Sprzedawca się wycofał, unosząc dłoń, jakby chciał odepchnąć ten komentarz.

- Dobra, dobra. Dwa i pół.

Joe wpatrzył się w ziemię i kopnął kamyk zakurzonym butem. Nie chodziło o pieniądze, chciał się tylko trochę potargować.

- A może dwa?

Sprzedawca zareagował, jakby go ktoś postrzelił.

- Dobijasz mnie, stary - zrobił znaczącą pauzę. Joe wiedział, że sprzedawca miał nadzieję, iż się wycofa, ale Joe nie ustępował. Były inne komisy samochodowe, a on nie potrzebował niczego konkretnego. Miał jedynie ochotę zmienić tempo. - No dobra - sapnął w końcu sprzedawca. - Chyba muszę go już opchnąć. Wejdz do środka, podpiszemy papiery.

Joe stłumił uśmiech. Uwielbiał wygrywać.

Przypieczętowali interes w zrujnowanej przyczepie. Joe wyjął nowiutkie studolarówki z wytartego portfela i położył je teatralnie na wypłowiałym biurku. Sprzedawca wręczył mu kluczyki.

- Nie dociskaj gazu, łatwo przyśpiesza.

Joe podszedł do półciężarówki. Słońce odbijało się od wypolerowanej, zielonej maski i cały wóz lśnił jak świąteczne światełka. Mężczyzna wrzucił swoją wojskową torbę na pakę i wsiadł do kabiny kierowcy. Lubił ręczną zmianę biegów, zwłaszcza w tych starszych modelach aut, gdzie skrzynia jęczała i charczała, kiedy zmieniało się bieg. Takie samochody wydawały się nostalgiczne

i Joe wolał je od dzisiejszych skomputeryzowanych SUVów. Prostota ma swoje zalety. Tego silnika żaden komputer nie zamuli. Normalny gaźnik, który w razie potrzeby rozkręci się i naprawi na poboczu.

Joe pokiwał sprzedawcy i z rykiem wyjechał z komisju. Dokąd teraz? Na północ. Do Deep Haven. Pora odwiedzić Gabe'a.

Od ponad dziesięciu lat uchylał się od odpowiedzialności. Uglaskiwał brata listami, prezentami, a od czasu do czasu telefonem. Wiedział jednak, że nie może zwlekać już ani dnia dłużej. Po piętnastu latach unikania zapadłej dziury Bóg zmuszał go do powrotu. Kiedy Joe w poprzednim tygodniu odwiedził porośniętą trawą grób matki, w pamięci rozbrzmiały mu ostatnie słowa, jakie do niego wypowiedziała: „Opiekuj się Gabem”. Próbował oponować, zrationalizować wstyd. W końcu dotrzymał słowa. Ale wymówki smakowały gorzko, a poczucie winy, ta toporna siła napędowa, przypieczętowało jego los.

Był to winien matce - odwiedzić, jeśli nawet nie kochać, jej drugiego syna, dla którego poświęciła tak wiele. W końcu z rodziny Gabe'owi został tylko Joe. Bóg mu o tym przypominał, aż wreszcie Joe uległ. Teraz chciał wpaść, przywitać się, sprawdzić, czy dziećmiakami dobrze się zajmują, i zwiewać z miasteczka, aż się będzie kurzyło. A z pomocą Boską może też uda mu się rozwikłać mętlik, który stworzył, szwendając się bez celu przez ostatnie osiem miesięcy. Po wędrówce wzdłuż zachodniego wybrzeża i przez północną Kanadę nie miał się czym wykazać. Szefostwo nie musiało o tym wiedzieć - przynajmniej na razie. Niewiele trzeba, by namierzyli go w Deep Haven niewłaściwi ludzie, ale był o krok przed nimi i miał jeszcze wiele tygodni, nim będzie trzeba wywiązać się z obietnic.

Może, jeśli będzie trzymał oczy otwarte, krótki postój w sennym turystycznym miasteczku pozwoli mu wypełnić zobowiązania.

Albo przynajmniej będzie mógł wyczarować coś, co będzie można rzucić na pożarcie wilkom, które rządzą jego życiem.

Joe uchylił okno, jadąc na północ drogą I-35. Mignął drogowskaz: pięćdziesiąt kilometrów do Duluth. Nigdy nie zapomni pierwszej wyprawy na północ - wtedy pierwszy raz zobaczył Jezioro Górne. Miał jedenaście lat i był na zorganizowanym przez lokalny kościół biwaku na terenach kajakowych Boundary Waters. Rzeńskie powietrze znad jeziora upoiło go, kiedy pierwszy raz je poczuł. Mieszanka zapachu sosen z wonią czystej wody i obfitego poszycia oszołomiła go tak bardzo, że na zawsze zmieniła bieg jego życia.

Eau Claire w stanie Wisconsin nagle wydawało się za ciasne. Joe roznosił jego granice. Matka zapewne to wyczuła, bo gdy tylko skończył osiemnaście lat, bez słowa protestu pozwoliła mu odejść.

Pierwsze lato spędził sam, wędrując szlakiem Boundary Waters. Łowił palie, jadł dzikie jagody, a miłość do przyrody zalała jego duszę. Tego lata poznał Boga jako swego najlepszego przyjaciela, Zbawcę, Stwórcę, Pana. W ciągu piętnastu lat schodził pół świata, nosząc ze sobą te letnie miesiące.

Kiedy Joe wjechał na wzgórze górujące nad Duluth, poczuł głęboki zapach sosen i ujrzał ogromne Jezioro Górne, rozciągające się jak bezkresny błękitny koc, serce zaczęło bić szybciej w jego piersi. Przez chwilę myślał, że może powrót nad North Shore ponownie zmieni jego życie, pozwoli mu wydobyć się z bezcelowej rutyny, w której ugrzązł na tak długo. Coś się musi zmienić i to szybko, bo inaczej dni jego wolności będą policzone.

Joe meandrował pickupem przez Duluth, aż zatrzymał się na lunch w przystani. Rzucił reszkę swojego chili doga mewom, które dreptały po trawiastym pagórku przed muzeum. Patrzył, jak pełnomorski roporodomasowiec prześlizguje się pod olbrzymim mostem podnoszonym, kierując się na Jezioro Górne i jeszcze

dalej. Pomachał do grupy marynarzy pracujących na pokładzie. Kilku odmachalo. Było mu ich żal. Sam aż za dobrze znał samotne życie podczas długich miesięcy na morzu.

Koło południa Joe znowu był w drodze. Przez półotwarte okna w aucie ostry wiatr muskał jego krótkie, brązowe włosy. Mężczyzna położył rękę wzdłuż oparcia i zaczął gwizdać starą melodię, starając się nie zwracać uwagi na ucisk w piersi, który narastał, w miarę jak zbliżał się do Deep Haven. Czy Gabe go w ogóle pozna? Joe nie dziwiłby się młodszemu bratu, gdyby ten spojrział tylko na Joego, po czym wyrzucił go na zbity pysk. Coroczne kartki, prezenty, a od czasu do czasu telefon nie mogły wypełnić przestrzeni, jaka powstała po śmierci matki.

Gabe nigdy jednak nie wydawał się urażony. Wszystkie jego starannie napisane listy wyrażały gotowość powitania Joego z otwartymi ramionami u Gabe'a w domu. Gabe przynajmniej miał dom, do którego mógł zapraszać. Joe domu nie miał, odkąd piętnaście lat wstecz spakował manatki i opuścił małe ranczo matki przy Linner Lane.

Zatopiony w rozmyślaniach o przeszłości, Joe niemal potracił psa. Mignęła mu na drodze brązowa smuga, a że jechał sto kilometrów na godzinę, zdążył tylko wcisnąć hamulce i skrócić gwałtownie kierownicą. Na szczęście ruch był niewielki na tym słonecznym odcinku drogi. Joe skierował półciężarówkę do rowu i zakrył twarz rękoma. Serce miał w gardle i chwilę trwało, zanim wróciło na swoje miejsce.

Nagle zalała go fala przerażenia. Uderzył tego psa? Wskoczył z kabiny.

- Hej, pchlarzu!

Ani śladu kundla. Droga za nim zawijała się wokół odległych poszarpanych klifów jak czarna wstążka. Obrzucił wzrokiem drugą stronę drogi. I tu nic. Joe włożył do ust dwa palce i zagwizdał.

Nic brązowego się nie pokazało, nic nie skomlało w rowie. Wezbrała w nim ulga. Pies musiał pobiec do domu.

Joe wszedł z powrotem do kabiny i wrzucił właśnie bieg, kiedy coś uderzyło o drzwi od strony pasażera. Zobaczył, jak dwie zaślócone łapy smarują jego i tak nie za czyste okno, a z uśmiechniętej psiej gęby zwisał na bok różowy jęczor.

- Cześć, mały - Joe przywitał psa, otwierając mu drzwi. Wielki, ciemnobrązowy labrador retriever z opadającym uchem wdrapał się do środka i wpatrzył w Joego orzechowymi oczami o ciężkich powiekach. Pies mocno dyszał i się ślinił.

- Brudzisz auto - powiedział mężczyzna z udawanym grymasem. Ostrożnie wyciągnął rękę. Pies się mu przyglądał, zamknął pysk i zaczął węszyć. Joe widocznie przeszedł test, bo kundel położył mordę na jego dłoni. Drugą ręką Joe energicznie podrapał psa w delikatne miejsce za uchem. Labrador jęknął radośnie.

- Nie jesteś przybłądą - orzekł Joe. - Jesteś czymś kumplem. Co ty tu porabiasz?

W lśniących, smutnych oczach psa czaił się głód.

- Zostań. - Joe wysiadł z kabiny. Zrobił tubę z dłoni i krzyknął w kierunku lasu:

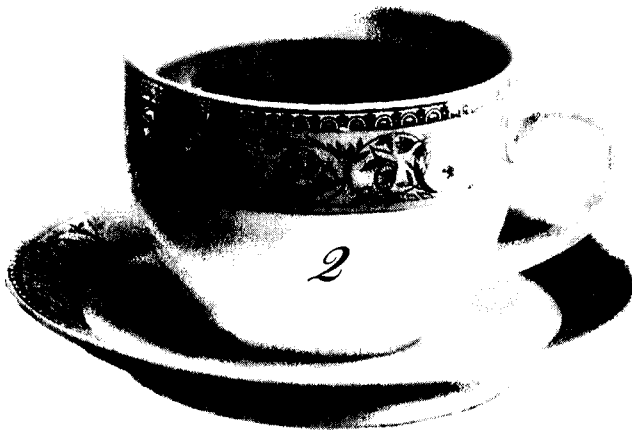
- Ktoś tu zgubił psa? - Wiatr pochłonał jego słowa i tylko drzewa zaszumiały w odpowiedzi. Joe przecesał ręką krótkie włosy. Nie mógł tak zostawić zwierzaka w lesie. Wsiadł do auta z powrotem.

- Do Deep Haven już niedaleko. Zobaczmy, czy ktoś cię tam pozna.

Pies rozsiadł się na siedzeniu i złożył wielką głowę na brudnych łapach. Westchnął głęboko.

- Czujesz się zagubiony, kolego? - Joe ruszył i rozpędził półciężarówkę do stowy, kładąc dłoń na zmierzwionym futrze psa.

- To tak jak my wszyscy.



Wykluczone! - ostry ton Mony stał z twarzy Lizy radosny uśmiech i nawet Chuck się skrzywił, jakby Mona zakłęła. Po chwili kobieta ciągnęła łagodniejszym głosem: - Przepraszam. Po prostu nie chcę, żeby ktoś się tu kręcił i wtrącał w nasze sprawy.

- Majster nie będzie się wtrącał - powiedział Chuck uspokajająco. - Potrzebujecie pomocy. W życiu nie zdążycie ze wszystkimi naprawami przed Dniem Pamięci, a ja chciałbym pomóc, ale mnie to przerasta. Musicie kogoś wynająć.

Mona podeszła do okna w mansardzie. Słońce zdobiło krzew jaśminu na podwórzu plamkami jasnego światła, a wiosenny wiatr przenikał przez pęknięte okno, mieszając się z gryzącą wonią schnącego lakieru na dębowej poręczy schodów. Może mieli rację. Razem z Lizą potrzebowały więcej rąk do pracy, by wyremontować dom w niecałe sześć tygodni. Dlaczego nie zrezygnowała z pracy wcześniej i nie przeprowadziła się tu w styczniu?

Z powodu pieniędzy. Odpowiedź paliła ją w sercu. Bo potrzebowała każdego centa, by postawić Próg na nogi. Mona opuściła głowę.

- OK.

- Co takiego? - w głosie Lizy słychać było lekko kpiący ton

Mona spojrzała na Lizę przez ramię z udawanym grymasem.

- Najmiemy fachowca. Ale tylko przejściowo i musi być tani.
- Możemy zaproponować mu zakwaterowanie. Mamy to mieszkanie nad garażem.

Mona odwróciła się, pocierając podbródek wierzchem dłoni.

- Dobry pomysł.

Kawalerka miała oryginalne, okrągłe okno wychodzące na podjazd i aneks kuchenny, w którym akurat mieściły się zlew, piec, blat i lodówka. Mieszkanko było też wyposażone w rozkładaną sofę oraz stół. To będzie znakomite lokum dla studenta albo niani. Albo dla złotej rączki.

Liza rozpromieniła się triumfalnie i wyciągnęła rękę do Chucka. On schwycił i uściśnął jej dłoń, a Mona zorientowała się, że to był spisek.

- Zmówiliście się - zawarczała. Chuck delikatnie dotknął jej ramienia szeroką dłonią.

- Musieliśmy, żeby wygrać. - Uśmiechnął się i zmrużył oczy. Mona nie mogła się dłużej na nich gniewać. Zamiast tego przewróciła oczami.

- Nie martw się, Mone. W ogłoszeniu napiszemy - „Za opinie dziękujemy” - odcięła się Liza.



Joe zwiesił głowę nad nierównym motelowym łóżkiem, zapatrzył się w miętowozielony dywan i przyznał, że jest tchórzem.

Jęczęc do wtóru powtórek serialu *Mayberry R.F.D.* w telewizji, opadł z powrotem na staromodne, pomarańczowe poduszki z makramy, założył dłonie za głowę i spojrzał na zakurzony sufit.

Spędził w miasteczku dwa potwornie długie dni, ciskając kamienie do zimnego jeziora, a jeszcze nie zebrał się na odwagę, by zapukać do drzwi brata. Kto by pomyślał, że tak ciężko będzie spojrzeć w oczy własnemu krewniakowi? Może gdyby miał pracę

czy coś, co sprawiłoby, że ta wizyta nie wydawała się taka... desperacka. Coś takiego, co zajęłoby mu czas, kiedy wałęsał się bez celu, zbierając się w sobie, żeby stawić czoła porzuconemu członkowi rodziny.

Nie, nie porzuconemu. Nigdy by go nie porzucił.

W każdym razie Joe nie miał się dokąd udać. Skończyły mu się pomysły i perspektywy. W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy myśl ta uderzyła go niczym obuchem wiele razy. Nie miał dokąd pójść, ale nie miał też niczego, co mógłby nazwać domem. Nawet w tym zapomnianym zakątku świata zostanie tylko na chwilę, a ostateczny termin wisiał nad nim jak ostrze gilotyny każdego dnia.

Joe wypuścił powoli powietrze, obrócił się na bok i wsparł głowę na dłoni. Przyglądał się czekoladowobrązowemu labradorowi leżącemu na przeciwnym łóżku. Przemycił psisko do środka, bo uznał za swój obywatelski obowiązek, by pchlarza nakarmić i dać mu się porządnie wyspać. Poza tym te żałośnie wyglądające oczy poruszyły jego serce.

Pies okazał się grzecznym gościem. Wiedział, że ma spać do późna i się nie wychylać. Po kąpieli w motelowej wannie prezentował się całkiem nieźle, a jego brązowa sierść lśniła. Joe z uznaniem patrzył na smukłe, silne ciało psa, mimo że po bokach wyraźnie odznaczały się żebra. Zwierzę było zagłodzone, ale nie było bite. Prawdopodobnie się zgubiło.

Po przyjeździe do miasteczka Joe zrobił psu zdjęcie i w paru miejscowych lokalach rozwiesił plakaty z informacją: Znalezione psa. Niestety, nikt się nie zgłosił po jego zabłąkanego kolegę. Z drugiej strony, nie byłoby tak źle, gdyby właściciel się nie znalazł. Milczące, wierne towarzystwo labradora w sąsiednim łóżku sprawiało Joemu przyjemność.

- Powiniennem cię jakoś nazywać, co nie? - Joe zręcznie zeskończył z łóżka i usiadł na psie okrakiem. Zwierzę zastrzygło uszami.

Joe podrapał go intensywnie po długim grzbiecie, a psisko zaczęło sapać z radości i obróciło się. Joe podrapał go więc po brzuchu.

- Lepiej znajdę nam jakieś zajęcie, póki nie wymyślę, co zrobić z tym Gabem. - Joe usiadł z powrotem na łóżku z rękami na kolanach i krzywiąc się nieco, rozejrzał się po pokoju motelowym, żywcem wyjętym z lat siedemdziesiątych. Wygodniej by mu było w namiocie, ale kemping w północnej Minnesocie do młodszego brata go nie zbliży. Nie. Joe musi znaleźć w miasteczku jakąś fu-chę, żeby czymś zająć czas, kiedy będzie się zastanawiać, jak być lepszym bratem. Żadna tam stała robota, ale jakieś zajęcie, które pozwoli mu się skupić na czymś innym niż wspomnienia. Może to zajęcie zaprzątnie jego myśli na tyle, że zrodzi nowe pomysły, odpowiedzi - i plan awaryjny. I może dzięki temu znajdzie miejsce do spania, które nie będzie wonieć jak trzydniowe stęchłe pranie. Oby.

Joe jeszcze raz podrapał psa, po czym wstał, by wyłączyć telewizor. Najpierw poczuł rozdarcie, nim je usłyszał: zęby schwyły kieszeń jego džinsów. Miał nadzieję, że te zęby schwyły go dla zabawy. Pies opuścił łeb, jakby czuł się zmieszany. W siekaczach utknął mu kawałek dżinsu.

- Nie znudziły ci się jeszcze zapasy, co? - Joe pogłaskał psa.

- Właśnie dorobiłeś się imienia, Rip⁽⁴⁾.

Joe wyplątał materiał z ostrych zębów psa i popatrzył na niego z udawanym gniewem.

- Nie dostaniesz więcej spodni na śniadanie. Tylko zarcie dla psów. Trzy lata i dwie góry mnie kosztowało, żeby te spodnie były w takim kolorze i takie miękkie, jak lubię. A teraz będę musiał znaleźć krawcową. - Wyciągnął szyję, by spojrzeć za siebie, i się skrzywił. - Chociaż może ta przeróbka doda dżinsom charakteru.

- Znowu zrobił do psa gniewną minę, a Rip podreptał do drzwi

⁴ Rip - drzeć (ang.) [przyp. tłum.].

i spuścił oczy. Joe ze śmiechem zdjął spodnie, pogrzebał w torbie i znalazł drugą parę dżinsów, równie znoszoną.

- Pora na śniadanie - oznajmił, zakładając dżinsową kurtkę. Kawalek stąd wypatrzył przyzwoicie wyglądającą cukiernię. Rip zamiótł ogonem po podłodze.

Joe uchylił drzwi i zmrużył oczy, by ochronić je przed jaskrawym słońcem, które odbijało się od jego auta i oświetlało pusty, żwirowy, obrzeżony trawą parking. Z pobliskich drzew wiatr niósł woń sosen i Joe zaczerpnął głęboko powietrza. Zapach lasu stawał go rano na nogi niemal równie skutecznie jak świeża kawa. Trzeba przyznać, że mógł trafić gorzej niż do Deep Haven, aby zmierzyć się ze swoją przeszłością... albo przyszłością.

Joe pomaszerował do pickupa, otworzył drzwi i zagwizdał. Rip pognał ku niemu i wskoczył do kabiny. Joe zamknął drzwi.

- Siedz tu - rozkazał i się uśmiechnął. Trudno było zachować surowy ton, patrząc w takie cukierkowe ślepie. Skierował się do recepcji motelu. Powitał go chudy recepcjonista z siwiejącymi blond włosami.

- Zostaje pan?

Joe rzucił na ladę zwitek banknotów.

- Nie wiem jeszcze. Ale proszę mi zarezerwować pokój.

- Pewnie.

- To dzisiejsza gazeta? - Joe wskazał na stos „Superior Timesa” wystający poza drucianą półkę.

-No.

Joe pogrzebał w kieszeni i wyłowił trzy ćwierćdolarówki.

-Tyle?

Recepcjonista zmierzył wzrokiem drobne.

-No.

Joe wziął egzemplarz gazety. Najważniejszy nagłówek w ciekim dzienniku brzmiał: *Mewy uszkodziły latarnię odchodami*. Joe zaśmiał się cicho, złożył gazetę i wsadził ją pod pachę.

- Widzę, że ma pan tam starego forda. Piękny okaz. Długo pan go ma?

Joe uniósł brwi. Od samego przyjazdu nie usłyszał z ust recepcjonisty dłuższego zdania.

- Nie. Jakiś tydzień.

- Sam takiego miałem parę lat temu. Nic lepiej nie jeździ niż ford. Nie stanie nawet w środku zimy, nie nawala. Pierwszego kupiłem jeszcze w sześćdziesiątym ósmym, prosto z fabryki. Silnik grał jak złoto przez dwadzieścia pięć lat. Czulem się, jakbym pochował przyjaciela, gdy w końcu się zepsuł... - Recepcjonista polerował dębową ladę i pucując lśniący, ciemny punkt, zawiesił głos. Po chwili mamrotał już dalej, zatopiony we wspomnieniach.

Joe przestąpił z nogi na nogę, powstał chwilę niezręcznie, a potem się wymknął. Nie był pewien, czy postąpił niegrzecznie, czy też prawidłowo odczytał sygnał, że ma się zmyć. Recepcjonista nie podniósł wzroku, kiedy drzwi się zamykały.

Joe spokojnie podszedł do półciężarówki i wypuścił Ripa. Pies polizał go, jakby nie było go parę ładnych dni. Idąc spacerkiem do cukierni, Joe przeglądał gazetę. Może jednak znajdzie coś godnego uwagi w tym zapomnianym miasteczku.



Widok zabytkowego stołu z drewna orzechowego zaparł Monie dech w piersi. Odkąd ujrzała ten mebel, wiedziała, że jeśli tylko zedrze z niego farbę, będzie lśnił jak heban. Była wdzięczna losowi, że odkryła go na miejscowej aukcji jako jedna z pierwszych.

Pochylała się właśnie nad stołem, pot zbierał jej się na czole, stękała i próbowała wryć się w czarną, lepką plamę, kiedy on się pojawił.

- Znam taki specjalny odplamiacz, który zupełnie to rozpuści. - Nieznajomy przeciągał głoski w niezwykle irytujący sposób. Mona spojrzała na niego chłodno.

- Naniósł pan błota do mojej jadalni.

Mężczyzna przyjrzał się swoim butom z wyraźnym zaskoczeniem.

Mona wyprostowała się i odgarnęła włosy ramieniem. Nie dotykając rękoma boków, zmrużyła oczy, by lepiej zobaczyć rozmówcę. Obrzucił buty wzrokiem i widocznie uznał, że wyglądają przyzwoicie, bo stał dalej, całe metr osiemdziesiąt chłopca, i szczerzył się do niej jak cudem odnaleziony brat.

- Przepraszam, ale kim pan jest? - zapytała Mona.

Rudawy, lekki zarost kontrastował interesująco z krótkimi, brązowymi włosami. Mężczyzna był ubrany w dżinsową kurtkę i niebieską bluzę - tata Mony nosił taką na jesień - oraz przetarte, znoszone lewisy.

- Jestem pani nowym majstrem.

Mona uniosła brew pytająco.

- Tak pan sądzi? - Energicznie zdjęła gumowe rękawiczki.

- Zobaczymy. - Pokiwała do niego palcem. - Proszę za mną. Przystanek pierwszy: Zapora Hoovera, czyli zatkany gejzer w kuchennym zlewie.

- Nie ma problemu. - Wzruszył ramionami. Mona zmrużyła oczy. Pokazała mu przegniłą podłogę pod lodówką. Potarł podbródek, odchylił lodówkę i ponownie wzruszył ramionami.

- No. Zrobi się.

Irytacja Mony narastała, kiedy pokazywała mu każdy złamany zawias, rozszczępioną okiennicę, przepalone gniazdko i splekaną ścianę. Każdy gigantyczny problem zbywał wzruszeniem ramion i skinieniem głowy, a jej robiło się coraz bardziej głupio, że w ogóle poprosiła o pomoc.

Ekspedycja zakończyła się na czarnej dziurze w suficie jadalni. Mężczyzna przyjrzał się jej, wbił ręce w kieszeni dżinsów i zakotłosał się w takt niesłyszalnej muzyki.

- Mam nadzieję, żeście wszyscy odskoczyli, jak to spadło.

Mona poczuła, jak w karku nieprzyjemnie napina się jej się mięsień.

- Umie pan to naprawić?

Odwrócił się i zaczął się jej przyglądać. Jego niebieskie oczy przejrzały ją na wylot. Mimo woli zauważyła, że lśnią humorem, a łagodny uśmiech mężczyzny sprawiał, że chciało się go lubić. Potem uśmiech znikł, a mężczyzna zapewnił Monę ze szczerością, która przemówiła jej do serca:

- Umiem to naprawić, psze pani.

Mona przyjrzała się potencjalnemu majstrowi. Wydawał się chętny do pracy, choć może nieco wymiętoszony i zdecydowanie nazbyt zadufany. Czy to darmozjad, który liczy na to, że pomieszka sobie w zamian za pomalowanie jakiejś ściany, nie płacąc czynszu? Mona przygryzła wargę. Z drugiej strony, jego zapal do pracy wydawał się autentyczny. A nikt inny się nie zgłosił... Może Edith popyta o niego na mieście, dowie się, co to za jeden. A tymczasem on może się zabrać za gejzer w kuchni. Wyciągnęła do niego rękę.

- Mona Reynolds.

- Joe Michaels. - Podał jej ciepłą, stwardniałą od pracy dłoń. To nieco podniosło jej wiarę w jego umiejętności.

- Bardzo mi miło. Nie płacę wiele, a praca jest doraźna. Potrzebujemy po prostu pomocy, żeby stanąć na nogi.

- Po to tu jestem. - Jego ciepły uśmiech przeniknął ją aż do szpiku kości.

- Ale dostanie pan pokój - ciągnęła, z trudem odrywając od niego wzrok i ignorując mrowienie wzdłuż kręgosłupa. - Jest ładny. Nieduży, ale czysty.

- Świetnie.

Może się sprawdzi. Nie będzie się narzucał, robi, co mu każą, odejdzie po skończeniu roboty. Bez komplikacji. Bez naruszenia jej prywatności. Dokładnie taka pomoc, o jaką prosiła Boga.

- Pochodzi pan z tych okolic? - Mona zauważyła, jak mężczyzna się w nią wpatruje, jakby nie mógł oderwać wzroku, i nagle uświadomiła sobie swój niedbały wygląd. Musiała się przepięknie prezentować: rozczochrane włosy, zabójcza bluza od dresu i dzin-sy pochłapane farbą.

Joe pokręcił przecząco głową, nie odwracając oczu od jej twarzy.

- Jestem tu tylko przejazdem.

Wspaniale. Jeszcze bardziej się jej spodobał.

- Czyli nie zostanie pan na długo.

-Nie.

Nagle tknęły ją wątpliwości.

- Nie jest pan... uhm... - Zachichotała nerwowo, czując się jak idiotka. - Nie ukrywa się pan czasem przed prawem, prawda?

Dosłownie się zaczerwienił. Monę obleciał strach i musiała nad sobą zapanować, żeby się nie wzdrygnąć. Jasne, gość wprost marzy o tym, aby wyznać, że w poprzednim mieście zamordował trzy kobiety. Wyduсила z siebie jeszcze jeden okropny chichot...

Kiedy się uśmiechnął, głos zamarł jej w gardle.

- Nie, Mono. Jestem niegroźny, słowo.

Wytarła spocone dłonie w dzin-sy.

- Oczywiście. Przepraszam.

Uniósł rękę.

- Nie trzeba, rozumiem. Nigdy za wiele ostrożności, nawet w Deep Haven.

„Ależ nie, Deep Haven to moje jedyne prawdziwe schronienie na ziemi”.

- Myślę, że się pan nada - powiedziała Mona na głos.

- Dobrze. - Obszedł pokój dookoła. - Co tu pani buduje?

- Księgarnię. Przynajmniej w tej połowie domu. W drugiej połowie będzie sklep z ceramiką.

Uroiła to sobie, czy też z twarzy nagle odpłynęła mu krew?

- Księgarnię? - Sprawiał wrażenie, jakby czytanie było powszechnie znaną metodą tortur. Sam pewnie od liceum nie przeczytał nic poza instrukcją obsługi pojazdu.

- Całe życie o tym marzyłam. - Dlaczego mu o tym powiedziała? Teraz zamiast zdziwienia na jego twarzy widniała konsternacja. - Pokażę panu mieszkanie, dobrze?

- Jasne. - Pokiwał głową, a Mona zauważyła, że przełknął ślinę. Najwyraźniej odczuł ulgę, że nie musi komentować jej wynurzeń.

Wyszła za nim na podjazd, gdzie stała pordzewiała, zielona półciężarówka. Na pace miał wypchaną torbę... i psa. Na Mony oko - labradora. Czekoladowobrązowe oczy przyjrzały się Monie krótko, po czym zwierzę ją pocałowało - prosto w twarz, śliniąc się okropnie.

- Hej, Rip! Wstrzymaj się na pierwszej randce, kolego! - Joe złapał psa za postrzępioną obroź i odciągnął go od Mony. Skrzywiła się, wycierając twarz w już i tak brudną bluzę.

- W ogłoszeniu nie zastrzeżono, żeby ze zwierzętami się nie zgłaszać, więc pomyślałem, że będzie mógł zostać. - Joe uniósł brwi z nadzieją.

Mona wyciągnęła rękę i ostrożnie pogłaskała Ripa za uchem. Pies zaskomlał i wtulił się w jej dłoń.

- Lubi panią - Joe powiedział śpiewnie, a Mona nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Dobrze - zgodziła się.

Nowy majster z łatwością zarzucił sobie torbę na ramię i poszedł za Moną na podwórze, a potem po schodach do mieszkania nad garażem. Mona spędziła pół dnia na sprzątaniu, włącznie z myciem okiem. Kiedy otworzyła drzwi, powitał ich ostry zapach amoniaku. Joe zagwizdał cicho.

- Klasa.

Mona przewróciła oczami. Joe położył torbę na podłodze i usiadł na niej.

- Wygląda na to, że będę musiał zainwestować w tapczan.

Mona założyła pasmo włosów za ucho.

- Przykro mi. My tu po sąsiedzku też nie mamy zbyt wiele.

Joe się uśmiechnął.

- Nie ma sprawy. Rip i ja wyśpimy się wszędzie. - Złapał psa i zaczął się z nim mocować, a potem przytrzymał go i podrapał po brzuchu.

„Wyobrażam sobie”.

- Zobaczmy, co dla pana zorganizujemy, panie Michaels. - Mona odwróciła się do drzwi.

- Mów mi Joe, Mono. - Coś w jego głosie, może melodyjny sposób, w jaki wypowiedział jej imię, kazało jej się zatrzymać. Odwróciła się, marszcząc brwi.

Joe bawił się z psem, a ona już wyraźnie uleciała mu z pamięci. Nawet na nią nie zerknął, kiedy wychodziła z pokoju.

- Poszła już, Rip? - wyskrzecztał Joe.

Czuł się jak idiota, kiedy tak odpowiadał na jej pytania monosylabami, ale na więcej nie było go stać po tym, jak wbiła w niego te zaskoczone, sarnie oczy. Tak bardzo skupiła się na swoim stole, że nie usłyszała, jak pukał, ani nie wyczuła, jak ją obserwuje przy szorowaniu. Była rozbijająco piękna w spranych dżinsach i bluzie Uniwersytetu Minnesoty, a jej jęki godne sportowca oraz ogromna determinacja złapały go za serce. Z trudem powstrzymał impuls, który kazał mu poprawić złoty kosmyk włosów spadający jej na twarz. Ale to jej oczy - głębokie, świetliste, szmaragdowe

- wprawiły jego tętno w galop.

Wypuścił powietrze. „Dosyc”. Puścił Ripa i podszedł do małego okrągłego okienka wychodzącego na podjazd. Trawa była gęsta jak las, z werandy oblażiła farba, a dach wyglądał na równie

szczelny jak sito. We wnętrzu domu konieczne naprawy miały koszarne rozmiary. Czuł się przytłoczony, ale jednocześnie wyzwanie łechtało jego męskie serce. Na twarzy Mony wyczytał desperację, która go poruszyła. Mona go potrzebowała - chociaż intuicja mu podpowiadała, że kobieta prędzej umrze, niż się do tego przyzna.

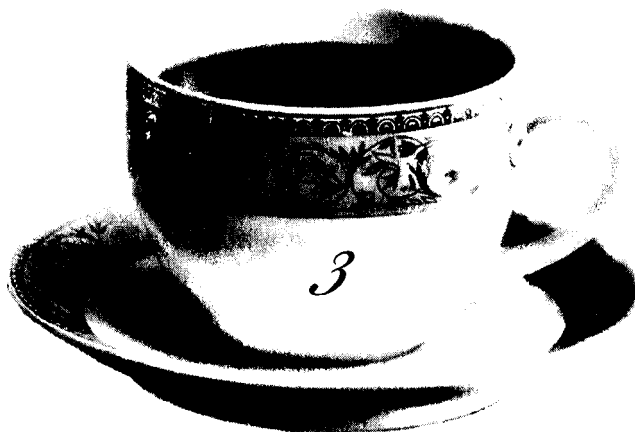
Joe przejechał ręką po krótko ściętych włosach. „Skup się”. Przyjechał tu ze względu na Gabe'a. Tak naprawdę nie chciał się angażować w nieskończony łańcuch projektów. Nie miał też w życiu miejsca dla kobiety. Aby zapewnić Gabe'owi życie, jakiego ten potrzebował, Joe musiał zachować wolność. Gdyby próbował zapuścić gdzieś korzenie, sam by się prosił o kłopoty nie tylko dla siebie, lecz także dla Gabe'a. A gdyby otworzył swoje serce przed jakąś kobietą, sprowokowałyby to same problemy, może nawet doprowadziło do rozpadu tego wszystkiego, co przez lata z wysiłkiem budował. W najlepszym wypadku narażałby się na cierpienie, którego próbował uniknąć przez większość życia.

„Boże, w co mnie tym razem wpakowałeś?” Kiedy się modlił nad ogłoszeniami o pracy, to jedno rzuciło mu się w oczy, jakby podświetlał je niebiański neon. Spodziewał się jednak, że drzwi otworzy mu jakaś babcia, a nie kobieta, która jednym nieśmiałym uśmiechem podwyższy mu ciśnienie.

Zacisnął zęby. Musi pamiętać, że to tylko tymczasowa praca. Nowa szefowa jasno dała do zrozumienia, że Joe ma sześć tygodni na wykonanie robót, a potem ma się zmywać. Jak dobrze pójdzie, wyjedzie dużo wcześniej. A jeśli trochę poobserwuje otoczenie, zdobędzie to, czego potrzebuje, żeby nie posypała się cała jego przyszłość. W międzyczasie zachowa bezpieczną odległość od szefowej i jej magicznych zielonych oczu.

Joe odwrócił się od okna. Nie mógł się zdecydować, czy zabrać się za rozpakowywanie, czy wrzucić torbę do auta i wiać. Tylko jedno wiedział na pewno: będzie musiał stąpać bardzo ostrożnie,

bo inaczej jego naprędce sklecony plan runie mu na głowę jak
spękany sufit w jadalni Mony.



Liza w podskokach wpadła do domu, kiedy Mona kończyła właśnie zdrapywać drugą warstwę odplamiacza. Zadowolony wyraz twarzy przyjaciółki kazał Monie mieć się na baczności - kiedy tuż za Lizą wmaszerował do środka przystojny nieznajomy.

- Mona, poznaj Briana Whitneya. Jest kierownikiem działu planowania przestrzennego w urzędzie miasta.

Mona była ciekawa, czego jeszcze Liza się dowiedziała o tym mężczyźnie. Miał faliste hebanowe włosy, uderzające zielone oczy i umięśnione ciało, tylko częściowo zamaskowane przez grafitowy garnitur. Mona skrzywiła się, bo w swoich podartych lewisach i poplamionej bluzie poczuła się jak obszarpana uczennica. Niesforny kosmyk włosów spadł jej na twarz. Próbowwała go zdmuchnąć.

- Miło cię poznać, Mono - powiedział Brian słodkim głosem i podał jej rękę. Mona zerwała rękawiczki. Brian miał wilgotne dłonie, ale uściśnął jej rękę mocno.

- Chodźmy na zewnątrz. - Pokiwała głową w stronę drzwi wejściowych, bo chciała uciec z jadalni, gdzie od oparów i przytłaczającej obecności mężczyzny zaczynała boleć ją głowa.

- Liza mówi, że masz problemy z parkowaniem - odezwał się Brian, kiedy wyszli na werandę. Chłodny wiatr uspokoił Monę,

ale niósł ze sobą wyrazisty zapach wody kolońskiej Briana. Kobieta zebrała swoje nieposłuszne włosy i związała je gumką recepturką, przez co jeszcze bardziej poczuła się jak łajza.

- No, dostałam mandat.

Brian patrzył na Lizę, która pracowicie owijała długie hebanowe włosy wokół palców. Mona rozpoznała w jego oczach zainteresowanie długonogą współlokatorką.

- Zobaczmy, czy uda się przeznaczyć ten teren na parking - powiedział Brian, odwracając wzrok na Monę.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, a on odwzajemnił się idealnym uśmiechem białych zębów, pasującym do całej jego perfekcji. Widząc kątem oka entuzjastyczny uśmiech Lizy, Mona zacisnęła zęby. Ona znalazła Joego, obszarpanego włóczykija. Liza wyszukała Briana - miejscowy klejnot.

- Macie ochotę coś przekąsić? - zapytał Brian. - Znam świetny lokal na nabrzeżu, gdzie serwują świeżutkie palie, które wprost rozplywają się w ustach.

Mona nagle sobie przypomniała, jak wiele czasu minęło od jej ostatniego posiłku.

- Dobra myśl.

- Poczekam, aż się przebierzesz.

Mona zerknęła na swój niechlujny ubiór i odeszła jej chętna na jedzenie.

- Nie, jedźcie jednak z Lizą sami. Ja muszę skończyć mój stół.

Brian uniósł brwi, jakby zaskoczony tym, że ktoś mu odmawia.

- Jesteś pewna?

Mona pokiwała głową, ale serce się jej ścisnęło, gdy patrzyła, jak tych dwoje odjeżdża elegancką, czarną hondą coupé Briana. Ten samochód jakoś nie pasował do Deep Haven. Ale cóż, Liza też nie pasowała do Deep Haven. Dobrali się.

Mona wróciła do pracy nad stołem i starła ostatnie fragmenty lakieru. Orzechowe drewno lśniło. Gdy się pomaluje stół

bezbarwnym lakierem, będą się na nim idealnie prezentować muffinki.

Usłyszała kroki, trzask drzwi półciężarówka i ryk starego silnika. Jej nowy fachowiec odjechał właśnie z hałasem. Wygląda na to, że wszyscy poza nią mają życie towarzyskie. Mona polerowała stół wściekle.

Kiedy Liza wróciła, stół błyszczał od wciąż lepkiego lakieru. Mona wzięła prysznic, zjadła kanapkę z masłem orzechowym, która ciążyła jej na żołądku, i leżała teraz w łóżku, poddając się łagodnym falom znużenia. Trzask drzwi samochodu i zaraźliwy śmiech Lizy ją rozbudziły. Włączyła światło i wymacała swoją książkę. Z werandy dobiegał zmysłowy tenor Briana.

Słyszac, jak honda odjeżdża, wbiła oczy w książkę i starała się skupić na tekście. Czytała pierwsze zdanie trzeci raz, gdy Liza zajrzała do jej pokoju.

- Szkoda, że nie pojechałaś. Ryba była przepyszna, a wiesz, że nie znoszę ryb. - Liza weszła do pokoju nieproszona. Mosiężne łóżko zaskrzypiało, gdy przyjaciółka na nim usiadła.

Mona odłożyła książkę na okryte kołdrą kolana, położyła na okładce splecione dłonie i wpatrzyła się w Lizę.

- Jesteś zła - skonstatowała Liza.

- Nie jestem zła. Nie chciałam jechać.

Liza rzuciła Monie spojrzenie pełne powątpiewania.

- Chciałaś. Wiem. To dlaczego nie pojechałaś?

„Bo nie mam czasu uganiać się za idealnym uśmiechem, który potem przejmie kontrolę nad moim życiem i prędzej czy później mi powie, że ja nie jestem idealna dla niego. Poza tym wpatrywał się w tylko jedną kobietę na tej werandzie”.

- Byłam zmęczona.

Liza uniosła wyskubane brwi.

- Ale stół skończyłaś. Wygląda cudnie.

Mona zdobyła się na słaby uśmiech. Liza dotknęła jej dłoni.

- Następnym razem wybierz się z nami.
- Od otwarcia dzieli nas sześć tygodni. Nie mam czasu.

Liza pochyliła się i przyjrzała Monie uważnie.

- Boisz się po prostu, że Brian zalezie ci za skórę i ci się spodoba. Jedyna osoba, która ostatnio zalazła jej za skórę, to pan Ależ. Jestem Z Siebie Zadowolony Michaels, nowy majster, a Brian to ją bardziej drażnił. Mona przygryzła dolną wargę, rozważając słowa Lizy, po czym uśmiechnęła się i zapytała:

- Dobrze się bawiłaś?

Liza z impetem położyła nogi na łóżku.

- Wspaniale. Ale to nie jest ktoś dla mnie.

- Co to ma znaczyć: „wspaniale, ale to nie jest ktoś dla mnie”?

Zwariowałaś.

Liza wzruszyła ramionami.

- Jest bardzo miły i zabawny. Ale zero iskrzenia, żadnych ciarek.

Mona przewróciła oczami.

- Jeśli pragniesz ciarek, spraw sobie taki masażer do szyi, jaki widziałyśmy w sklepie.

Liza wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Wiem tyle, że dzięki temu iskrzeniu małżeństwo mojej mamy trwało trzydzieści lat. Bardzo wczesnie mi powiedziała, że mam się nie zadowalać jakimś tam pospolitym szmerem.

- Ja się zadowolę nerwowym dreszczem.

Śmiały się obie, aż łóżko zaskrzypiało w proteście.

- Dobra, panno wybredna, powiedz, kim jest mężczyzna twoich marzeń. Jeśli nie Brian Whitney, to kto? - zapytała Liza.

Mona spoważniała.

- Nie istnieje taki mężczyzna. Przynajmniej nie istnieje naprawdę.

Liza spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Dobra, lista jest długa i szczegółowa, ale w skrócie wygląda to tak. Musi być cierpliwy, pracowity, skłonny do poświęceń, oczywiście

chrześcijanin, dobry i musi się umieć otworzyć. Musi być inteligentny, dużo czytać, kochać kawę, a jego ulubiona pizza musi być z wędzoną szynką, pieczarkami i zieloną papryką. - Ciągnęła poważniejszym tonem: - Przede wszystkim musi być gotowy związać się z tym miejscem i osiedlić się tu na stałe. - Uniosła dłonie do góry. - Widzisz, mężczyzna moich marzeń nie istnieje.

- Nie wiedziałam, że czekasz na Jonaha.

- Jonaha?

- Jasne, Jonaha Reese'a Clarka, tego od *Syberyjskiej uciekinierki*.

- Liza wyciągnęła rękę i poklepała okładkę książki Mony. Mona spojrzała na Lizę z zażenowaniem. - Poza dodatkami do pizzy twój wymarzony to wypisz-wymaluj Jonah.

- A gotowość związania się z miejscem? - Mona pokiwała palcem. - Jonah rzadko kiedy spędza w jednym miejscu cały miesiąc.

Liza odmachnęła palcem w odpowiedzi.

- Zostałby, gdyby znalazł odpowiednią dziewczynę.

Mona zmarszczyła nos. Liza polizała palec i zaznaczyła w powietrzu wymyśloną kreskę.

- Czyli punkt dla mnie. Nie mów mi, że nie znam mojej najlepszej przyjaciółki. - Pochyliła się w stronę Mony. - Przynajmniej będę miała ogólną orientację, o co się modlić.

Mona rzuciła jej udawane mordercze spojrzenie.

- Nie spinaj się tak. Nikogo nie szukam.

Liza pokiwała głową. W jej ciemnych oczach zabłyśły psotne ogniki.

- Jasne.



Mona siedziała na parapecie i patrzyła, jak księżyc przemienia jezioro w srebrzysty strumień. Westchnęła i przycisnęła kolana do piersi. Jak zacięta płyta wciąż rozbrzmiewała jej w głowie wcześniejsza rozmowa z Lizą. Niestety przyjaciółka miała rację: Mona

była wybredna i przestraszona. Dlatego od lat unikała jakichkolwiek bliższych relacji damsko-męskich.

Przykra prawda wyglądała tak, że mimo iskrzenia żaden mężczyzna nie mógł konkurować z jej marzeniami. Księgarnia i Kawiarnia na Progu Nieba ucieleśniała wszystkie jej pragnienia. Bóg uratował jej życie, wybaczył grzechy i dał Próg. To znacznie więcej, niż zasługiwała. „Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga [...]”. Bóg dobrze wiedział, co się kryje w jej sercu, kiedy święty Paweł napisał te słowa w Liście do Efezjan. Tak, do końca życia będzie wdzięczna za łaskę Pańską. Nie chciała mężczyzny - miała ręce pełne roboty, pilnując, aby jej plany nie spaliły na panewce.

Nie żeby od czasu do czasu w desperacką, gwiazdzistą noc nie pragnęła męża, który by ją przytulił, ale miłość była zbyt intymna, odsłaniała zbyt wiele. Mężczyzna, który by analizował jej serce i lekceważył marzenia był jej zupełnie niepotrzebny. Tylko Bóg znał jej najgłębsze pragnienia, a już to było przerażające.

Nie, Mona nikogo nie potrzebowała - ani wymiętoszonego i przemądrzałego majstra, a już na pewno nie doskonałego pana Whitneya.

Podreptała do łóżka, podniosła *Syberyjską uciekinierkę* i odłożyła ją na szafkę nocną. Bez wątplenia powinna się cieszyć tym wszystkim, co Bóg jej dał - księgarnią i wymarzoną mężczyzną ze snów. Jonahem.



- Na dole jest jakiś facet! - Głos Lizy ledwie o parę sekund wyprzedził ją samą. Mona zakryła głowę poduszką i jęknęła. Zapomniała powiedzieć współlokatorce o nowym majstrze.

Liza z impetem otworzyła drzwi do pokoju, ciężko dysząc po sprincie po schodach.

- Znalazłam jakiegoś faceta na podwórzu - wysapała. Mona wyrzwała spod poduszki. Twarz Lizy rozjaśniał figlarny uśmiech. Podbiegła do łóżka, kucnęła, wsparła podbródek na materacu i spojrzała Monie w oczy. - Przystojny jest.

Mona rzuciła w nią poduszką i wygramoliła się z łóżka, sięgając po szlafrok.

- To nasz nowy fachowiec. - Narzuciła szlafrok, zawiązała pasek i popatrzyła na Lizę surowo. - Nie przywiązuj się, długo tu nie zabawi.

Liza wydeła usta teatralnie.

- Może podawałby kawę?

- Nie licz na to. Tylko tego mi trzeba - trzeciego współnika. Mam dość problemów z tobą i tym twoim błotem.

Liza odrzuciła poduszkę.

- To się nazywa ceramika.

- Wszystko jedno. Wykopywałam takie skorupy kiedyś na placach budowy w naszej okolicy. I robiłam także świetne naczynia. Tylko moje nie sprzedawały się po trzydzieści dolców za sztukę.

- Trzeba mieć to coś. - Liza pomachała rękoma, a Mona przewróciła oczami.

- Idź zabawiać naszego nowego majstra. Na imię mu Joe. Ja zejść za chwilę.

- Z przyjemnością. - Liza tanecznym krokiem wyszła z pokoju.

Mona usiadła na łóżku i bezmyślnie zawiązała pasmo włosów na supeł. „Proszę, Panie, niech się okaże pracowitą osobą. Pomóż mi wyremontować to miejsce...”

Ryk silnika rozproszył resztę jej modlitwy. Mona skoczyła na równe nogi i podbiegła do okna. Słońce weszło już na horyzoncie, a dom zanurzony był w ospałym cieniu rozciągającym się na ciemnozielonym trawniku. Serce Mony zabiło radośnie, gdy zobaczyła, że jej nowy pan złota rączka sunie kosiarką po świeżej, wysokiej do łydek trawie. Miał na sobie wypłowiałą czerwoną bluzę oraz

granatową czapeczkę baseballową założoną tyłem do przodu. Pochylał się lekko i popychał kosiarkę, by przedarła się przez gąszcz. Mona poczuła, jak w niej, w środku rozlewa się ciepło. Nie zdążyła nawet pomyśleć, jak dom ma wyglądać z zewnątrz. Może jednak nowy majster okaże się pomocny w realizacji marzeń.

Gdy Mona weszła do kuchni, Liza siedziała przy żółtym blacie z kubkiem kawy w rękach.

- Pomóż mi wygrzebać rzeczy z szopy. Wczoraj znalazłam tam parę prawdziwych skarbów.

Mona zamruczała niewyraźnie w odpowiedzi. Pochyliła się nad blatem, schwyciła pomięty kawałek torebki z cukierni i zaczęła pisać opętańczo.

- Co ty robisz? - zapytała Liza.
- Piszę listę rzeczy do zrobienia.
- Toż to powieść.

Mona podniosła wzrok i uśmiechnęła się przebiegle.

- Kosi trawę. Ja nawet nie wiedziałam, że mamy kosiarkę.
- Była w szopie. Podobnie jak cała masa innych pożytecznych przedmiotów, takich jak sekretarzyk z roletą i wiklinowe krzesło.

Mona znowu zamruczała, tym razem z zainteresowaniem.

- OK, zaraz wyjdę. - Pochyliła się nad listą.

Gdy Mona wyszła na zewnątrz, dzień powitał ją złotymi promieniami słońca przebijającymi się przez pierzaste chmury oraz zapachem świeżo skoszonej trawy. Wiosenny wietrzyk szumiał w krzewie bzu kolo garażu i poruszał jodłami, które rzucały cień na szopę. Mona spijała uczucie spokoju.

Powietrze rozdarł trzask.

Mona podbiegła w stronę szopy, z której niepewnym krokiem wychodziła Liza, pokryta sadzą.

- Znalazłam stary piec na drewno - wymruczała. Mona przygryzła usta, by pohamować śmiech. Nie podziałało. Chwyciła się za brzuch.

- Kominiarz! - zawyła. Liza popatrzyła na nią krzywo. A potem objęła koleżankę.

- Odejdź ty ode mnie! - wyszczała Mona. Liza wyszczerzyła w usmiechu białe zęby, które kontrastowały mocno z jej umazaną sadzą twarzą.

- Ja tylko dzielę się radością.

Mona przyjrzała się swojej uprzednio czystej różowej flaneli i skrzywiła się lekko.

- No dobra, mądralińska, zabieramy się do roboty.

W szopie pachniało popiołem, kurzem i suchą ściętą trawą. Mona zmarszczyła nos z niesmakiem.

- Myślałam, że tu posprzątali.

- Skąd. Ale mamy szczęście. Popatrz na to. - Liza uniosła wystrzępiony koc, pod którym kryło się bardzo stare, poobijane knajpiane pianino. Oczy Mony rozbliły.

- Przepiękne!

- I nasze!

- Tak, ale jak je wniesiemy do domu?

Liza zrobiła drwiącą minę.

- Potrzebne nam mięśnie.

- Ktoś mnie wzywał?

Mona obróciła się na pięcie. Joe Michaels trzymał się górnej framugi drzwi, pochylał się lekko do przodu i szczyrzył zęby jak kot z Cheshire. Kropelki potu na skórze podkreślały jego non-szalancki, męski wygląd. Włosy sterczały mu wokół czapeczki, niebieskie oczy lśniły łobuzersko. Mona poczuła, jak coś w niej się łamie. Opanowała się z wysiłkiem.

- Cóż, panie złota rączka, twoja brutalna siła nie wystarczy, żeby władować to do domu.

- Może Brian by pomógł? - zaproponowała Liza. - Poproszę go wieczorem, kiedy tu przyjdzie.

Monie opadła szczęka.

- Wydawało mi się, że mówiłaś...

Uciszył ją przenikliwy wzrok Lizy.

- Niektórych rzeczy nie robię dla siebie.

Mona poczuła przyływ irytacji. Liza zaprosiła go dla niej!
Odwrociła się plecami.

- Chyba panie nie pozwolą, żeby ta cała tężyzna się marnowała.

- Joe stanął między nimi. - Dajcie mi coś ponieść.

Mona sama nie wiedziała, czy podziękować mu za zaprowadzenie pokoju, czy zadusić go za to, że się wtrąca. Miała ochotę nawrzucać najlepszej przyjaciółce, ile wlezie. Nagle jej uwagę zwróciło zakurzone, drewniane pudło leżące na stosie cegieł i jej frustracja nieco opadła.

- Co to? - Wspięła się po zardzewiałych taczkach. Joe dołączył do niej w kącie.

- Wygląda na stary gramofon.

- Poważnie? - Mona sięgnęła, chcąc go podnieść. Joe pochylił się obok niej i schwycił pudło.

- Daj mi zapracować na swoje utrzymanie.

Na twarzy Mony pojawił się grymas.

- Sama to zaniosę. Myślę, że jeśli uniosę kajak, to poradzę sobie i z tym.

Oczy Joego pociemniały, a jego uśmiech nieco przygasł.

- Przepraszam, nie chciałem zakłócać manifestu feministycznego. Proszę. - Umieścił pudło w jej wyciągniętych rękach.

Ważyło więcej, niż sądziła. Stłumiła stęknęcie i wytaszczyła gramofon z szopy. Ostrożnie położyła go na trawie i ignorując stojącego za nią Joego, zaczęła majstrować przy zardzewiałym zamknięciu. Gdy udało jej się otworzyć pudło, widok zbił ją z nóg. Pomimo uszkodzeń na wierzchu gramofon marki RCA w zestawie ze zmieniarką był w idealnym stanie.

- Co za skarb - westchnęła.

- Myślę, że można tu znaleźć wiele skarbów, jeśli będziemy dalej szukać - powiedział Joe cicho.

Mona popatrzyła w jego niebieskie oczy i zobaczyła, że mówi szczerze. Jej gniew się rozplątał. On tylko starał się pomóc, a ona mu na to nie pozwalała. Uśmiechnął się. Ten uśmiech zadziałał na nią jak przyjazny uścisk. Potem słońce wysunęło się zza chmury, a cień Joego się wydłużył i ją objął. Dziwne, jak naturalnie się z tym czuła.

- Przepraszam, że się rozzłościłam.

Wzruszył ramionami.

- Niepotrzebnie się narzucałem. Najęłaś mnie, żebym pomógł, a nie rządził. - Jego zrelaksowana postura i łobuzerski uśmiech na atrakcyjnej twarzy wyrażały przebaczenie. Odwzajemniła uśmiech i poczuła, jak w jej sercu zakorzenia się przyjaźń. Może miał rację. Wszędzie dookoła było pełno skarbów - wystarczy tylko, by miała oczy szeroko otwarte.



Joe siedział na parapecie okrągłego okienka z notatnikiem na kolanach i patrzył, jak Mona kopie grządkę na kwiatki wzdłuż głównej ścieżki. Ostro nad tym pracowała cały dzień. Za nią niskie, czerwone słońce zamieniało Jezioro Górne w taflę płynnej miedzi. Joe czuł znużenie w kościach. Marzenie Mony wymagało od niego maksymalnego wyłożenia umiejętności i sił, chociaż łątał dachy, naprawiał hydraulikę i budował domy na całym świecie.

Joe przecesał dłonią sterzące włosy i zamknął dziennik. Notowanie codziennych poczynań przynosiło mu pociechę, jak gdyby przelewanie na papier nadawało jego refleksjom i podróżom jakiś porządek. Pewien cel. Czasem nawet zapiski podsuwały rozwiązania problemów, które go nękały. Ale dziś nie znalazł ukojenia w zapisie gmatwaniny myśli.

Rip rozwalił się w snopie światła na drewnianej podłodze, dysząc wolno.

- Zmęczyleś się tym gonieniem wiewiórek, co?

Pies zastrzygł uszami, ale nie otworzył oczu.

Joe rzucił dziennik na lodówkę, po czym opadł na pomarańczowo-czarną sofę, którą wypatrzył wcześniej w miejscowym

Goodwill⁵). Nieco się zdziwił, że w tak małym miasteczku trafił na taki sklep, ale niewiele myśląc, wybrał najmniej nierówną kanapę, zapłacił dwadzieścia dolców i zawiózł do domu pickupem. Roześmiał się, wspominając przerażoną minę Mony, gdy taszczył sofę do domu.

Monę ciężko będzie do siebie przekonać. Poznawał po tym, jak maskuje swoje uczucia, jak je ukrywa, kiedy się jej wymuskną. Nie była ufna i polegała tylko na sobie. Miała swoją historię, która odbijała się w jej udręczonych oczach, ilekroć patrzyła na dom. Coś jej wyraźnie ciążyło. Na dnie jej oczu czaił się ból i Joe wiedział, że Mona przeżyła długi, trudny okres.

Tak, to na pewno Boska ręka pokierowała go do tego zrujnowanego domu. Miejsce zaspokajało jego potrzeby. Mógł zachować dobrą formę, spłacić trochę tego, co był dłużny oraz szczerze powiedzieć bratu, że ma w mieście pracę. A może na dodatek będzie w stanie pomóc Monie i jej współlokatorce. Joe zaśmiał się cicho, gdy przypomniał sobie, jak między paniami posypały się iskry. Było jasne, że łączyła je głęboka przyjaźń, ale mina Mony świadczyła o tym, że nadepnął jej dziś na odcisk.

Chcąc nie chcąc, podziwiał Monę, że wciela swoje marzenia w życie, nawet jeśli jej buńczuczna niezależność rozpalala wszystkie jego opiekuńcze instynkty - ale to trzeba będzie ugasić. Przypominała mu kobietę, którą spotkał nie tak dawno temu - kogoś, kto swoim charakterkiem rozpalil iskrę w jego męskim sercu. Będzie musiał uważać, żeby nie dać się bardziej oczarować jej rozkosznej energii. Zostanie tylko tak długo, by odbudować relację z Gabem i uszczknąć trochę z koniecznych napraw. A potem powędruje dalej.

⁵ Organizacja non-profit posiadająca m.in. sieć sklepów z używanymi rzeczami [przyp. red. pol.].

Gabe. Nie mógł od tego uciec. Pora na spotkanie z bratem. Teraz, jak miał już zajęcie, mógł uczciwie powiedzieć, że wpadł tylko z wizytą. Bez zobowiązań, bez ciśnienia, żeby zostać na noc, na weekend, na miesiąc, na zawsze. Krótka, bezbolesna braterska wizyta. Będzie to miał z głowy, a wtedy Bóg może odpuści mu z tymi wyrzutami sumienia.

- Gotów? - mężczyzna zapytał śpiące psisko. Rip jęknął przez sen.

- Wiem, co czujesz. - Joe poszedł pod prysznic, pełen obaw co do najbliższych godzin.



Od głównej drogi oddzialały Ogród mniej więcej trzy kilometry. Joe kierował się mapą, którą Gabe przesłał mu parę lat temu, kiedy placówka zmieniła nazwę. Gdy Joe i ich niedomagająca matka byli tu pierwszy raz, nazywało się to po prostu Rezydencja. Nazwa Ogród bardziej mu się podobała - jak gdyby uprawiali tu coś wyjątkowego.

Widząc rzeźbiony znak, skręcił w polną drogę i jechał za wonią sosen, dobywającą się spośród wysokich świerków i brzoź. Wśród rzadszych drzew wypatrzył nowy budynek z bali. Jasne, odarte z kory kłody lśniły. Całość wyglądała prowincjonalnie, ale na podstawie zdjęć w broszurze Joe domyślił się, że w istocie jest inaczej. Luksusowa, kosztowna placówka miała długą kolejkę chętnych. Musiał pociągnąć za wiele sznurków, żeby przyjeżdżać tu Gabe'a.

Joe przejechał przez drewnianą bramę. Do górnej poprzeczki przyczepiona była elegancko rzeźbiona, drewniana tabliczka z napisem „Ogród”. Rip zaszczekał, chwiejąc się na kanapie. Joe położył dłoń na plecach psa.

- Uspokój się, kolego - mówił też do siebie.

Oczywiście się go nie spodziewali. Nie zadzwonił wcześniej, nigdy osobiście nie rozmawiał z nowym kierownictwem. Tylko płacił comiesięczną należność. Zwolnił, zbliżając się do głównej chaty. Zaparkował na okrągłym podjeździe koło długiej werandy. Grupa mieszkańców, która zebrała się zapewne, by odsapnąć po kolacji, wbiła w niego oczy.

- Zostań - rozkazał Ripowi, który już się za nim gramolił. Joe zmarszczył czoło, widząc świeży odcisk łapy na spodniach. Szybko otworzył drzwi, wyślizgnął się na zewnątrz, obrócił na pięcie i zatrzasnął drzwi auta Ripowi przed nosem, zanim pies zdążył zaprotestować.

Joe czuł na sobie spojrzenia mieszkańców, ale nikt się nie odzywał - słychać było tylko świst wiatru wśród drzew. Tłumiąc chęć ucieczki z powrotem do kabiny półciężarówki, Joe otrzepał spodnie, poprawił tweedową marynarkę i ubrał twarz w wymuszony uśmiech. Wyminął pickupa i skierował się na szerokie schody na środku werandy. Żaden z kilkunastu widzów nie przywitał go ani słowem.

Mężczyzna wszedł po schodach z dudnieniem i zatrzymał się na werandzie.

- Szukam Gabriela Michaela - odezwał się nieswoim głosem.

- Gabe jest w środku, zmywa naczynia. - Szczupła kobieta w średnim wieku wyszła zza moskitiery w drzwiach. Zza niej wyjrzał mężczyzna z rzadkimi, siwymi włosami i migdałowymi oczyma.

Joe spojrzał w jej niewzruszone, surowe oczy.

- Jestem jego bratem.

Jej twarz przybrała łagodniejszy, zaskoczony wyraz. Uśmiechnęła się, a w jej piwnych oczach odbiło się ciepło.

- Miło cię poznać, Joe. Nazywam się Ruby Miller. Jestem dyrektorką. - Ucisnął jej rękę, ciekaw, skąd wiedziała, jak on ma na imię. - Nie wiedzieliśmy, że się do nas wybierasz.

Przeczesał dłonią włosy, po czym pomasaował kark.

- Ja też nie wiedziałem. Tak się złożyło.

Zacisnęła usta.

- Między kolejnymi podróżami?

Ciekawskie uszy przysłuchiwały się ich rozmowie. Zerknął nerwowo na nadciągający tłumek.

- Tak i nie.

Jej brwi poszybowały w górę z zaskoczenia, a Joe zaczął się zastanawiać, ile ona wie.

- Gdzie ostatnio byłeś, Joe?

Joe odwrócił się i zobaczył właścicielkę głosu - młodą kobietę po trzydziestce. Brązowe włosy układały się w pukle wokół pełnych policzków i uśmiechniętych oczu.

- Uhm, tu i tam. Widziałem górę Hood w Oregonie.

- Mam jej plakat - odezwał się za nim inny głos.

- Gabe czyta nam wszystkie twoje listy - oznajmiła pulchna dziewczyna z prostymi blond włosami.

- A w pokoju ma pełno twoich zdjęć - dodał młody mężczyzna z zarostem.

Joe czuł się osaczony. Znali jego świat, jego życie. A on o nich nie wiedział nic. W ustach mu zaschło.

- Chodź, Joe - głos Ruby rozdzielił ferajnę skutecznie jak kij pasterski. - Zaprowadzę cię do Gabe'a.

Joe wszedł za Ruby do środka, za sobą słysząc całą grupę. Wyraźnie nie mieli zbyt wielu gości.

Joe i dyrektorka przeszli przez duży salon. Granat i zieleń zdobiły wypchane sofy, a zasłony panelowe wisiały na oczyszczonych z kory, pomalowanych szelakiem gałęziach drzew - najnowszy krzyk mody w designie inspirowanym drewnem. Zapach nasyczonego żywicą drewna skojarzył mu się z Moną i stołem, który szorowała. Poczuł ukłucie w sercu. W innych okolicznościach takie miejsce mogłoby być mu domem.

Zastał Gabe'a w kuchni ze ścierką w dłoni, wycierającego brytfannę. Brat gawędził z młodą, rudowłosą kobietą, która miała ręce po łokcie zanurzone w mydlinach.

- Gabe? - Ruby weszła do kuchni na palcach. - Masz gościa.

Gabe się odwrócił, a Joemu zrobiło się słabo z zaskoczenia.

Jego młodszy brat wyrósł na mężczyznę - miał zarost, szerokie bary i był opalony. Wydawał się dorosły i atrakcyjnie wyglądał w zielonej połówce i spodniach. Joe popatrzył na niego przez zmrużone powieki, wstrząśnięty działaniem czasu i odległości. Gabe wpatrywał się w niego bez wyrazu. A potem, jak słońce zza chmury, jego twarz rozpromieniła się radością.

- To ty, Joe? - mówił powoli i z trudem, ale jego migdałowe oczy wymownie wyrażały szczęście. Stopy Joego same chciały go stamtąd unieść, ale wbił je twardo w podłogę, ukrył emocje i się uśmiechnął.

- Tak. We własnej osobie.

W dwóch szybkich krokach Gabe stanął przy bracie i objął go. Przycisnął twarz do piersi Joego. Mężczyzna poczuł, jak spływa z niego strach, i również objął brata. Im dłużej Gabe go ścisnął, tym mocniej Joe się wstydził. Uświadomił sobie, iż był głupcem, że tak długo nie przyjeżdżał.

- Jak leci, kolego? - Głos mu się załamał. Gabe odchylił się nieco. Ze szczęścia jego błękitne oczy lśniły jak klejnoty.

- Świetnie!

Ruby poklepała Gabe'a po plecach.

- Może pokażesz mi swój pokój, Gabe? Daniel skończy wycierać naczynia.

Gabe wręczył ścierkę siwowłosemu widzowi za plecami Ruby i szarpnął Joego za marynarkę.

- Chodź.

Joe zerknął na Ruby, która uśmiechała się szeroko. Musiał mieć błagalny wyraz twarzy, bo jej oczy przybrały matczyzny wyraz.

- Idź, Joe. Wszystko w porządku.

Uniósł brwi i poszedł za bratem.

Pokój Gabe'a był duży, znajdował się na piętrze i wychodził na tył posiadłości. Gładkie sosnowe ściany były usiane plakatami ze wszystkich zakątków kuli ziemskiej, dzięki czemu prywatna przestrzeń Gabe'a sprawiała światowe wrażenie. Joe wszedł do pokoju za młodszym bratem, deptając dywan tak gruby, że mógłby się w nim zakopać na cały rok i nikt by go nie znalazł.

- Sam to urządziłeś? - zapytał. Gabe stanął na środku pomieszczenia z szeroko rozłożonymi ramionami.

- No. Uwielbiam czerwony kolor.

Joe zaśmiał się, wbijając stopę w dywan truskawkowego koloru.

- Śmiały wybór.

Gabe się roześmiał ciepło.

Joe wsadził ręce do kieszeni i rozejrzał się po pokoju. Wzdłuż jednej ze ścian stało pojedyncze łóżko, nakryte wiśniowym kocem z indiańskim wzorem. Rozpoznał narzutę - posłał ją Gabe'owi, gdy pracował na agroturystycznym ranchu w Teksasie. W przeciwnym kącie przycupnął fotel kryty sztuczną skórą, z obłężającymi podłokietnikami. Joe poczuł skurcz w sercu.

- To należało do mamy.

Gabe rozsiadł się w fotelu.

- Zostawiła mi go.

Joe pamiętał, jak porządkował jej rzeczy i zastanawiał się, gdzie się podział fotel. Pewnie go tu przywiozła podczas ostatniej wizyty. Cieszył się, że dała go Gabe'owi.

Joe zbliżył się do biurka i regału z książkami. Chmara oprawionych fotografii była rozstawiona na półce na głębokość łokci. Joe uśmiechał się z ponad połowy z nich. Na zapelnionym regale z książkami wypatrzył również wiele bestsellerów i stos komiksów o Supermanie. Wziął jeden z nich do ręki.

- Wciąż się kochasz w Lois Lane?

- Przecież Superman musi być w niej zakochany - odparł Gabe, prężąc mięśnie.

Joe się roześmiał. Choć wyglądał inaczej, Gabe niewiele się zmienił. A jednak, rozglądając się po pokoju, Joe zrozumiał, że się myli. To nie ten sam brat, którego zostawił w Eau Claire jakieś piętnaście lat temu, ani nawet nie ten, którego urządził w starym internacie, jaki znajdował się tu kiedyś. Tamten Gabe płakał, ich matka szlochała, a Joe czuł się jak okrutny lekarz, który zamyka własnego brata w zakładzie. Poczucie winy, które tropiło go jak niestrudzony wilk, zaatakowało mocno, gdy podpisywał papiery Gabe'a, i od tamtej pory nie odpuszczało, mimo że starał się otrząsnąć.

Joe miał do siebie żal, że nie pomógł matce dźwigać brzemienia. Wiedział jednak, że gdyby został, zniszczyłoby go to. Musiał odejść. Ostatecznie matka chyba rozumiała. Sugerowała nawet, że jej starszy syn postąpił właściwie. Ale Gabe był inny. Czy wybaczy kiedyś Joemu, że przy nim nie wytrzymał w najcięższych czasach?

Z odpowiedzią na to pytanie trzeba będzie poczekać. Joe nie był jeszcze gotowy się z tym zmierzyć. Chciał pokonywać po jednej przeszkodzie naraz. Cieszył się, że dotarł tak daleko, ale też że mógł wrócić do Mony i sobie wszystko poukładać w głowie. Joe zwinął komiks w rulon.

- Mogę to pożyczyć?

Gabe się uśmiechnął, a jego skośne oczy zajaśniały.

- Jak będziesz oddawał, to przynieś mi nowy.

Joe wyszczerzył zęby w uśmiechu. O nie, to inny Gabe. Bardziej pewny siebie. Skłonny do zabawy, może nawet zdolny przebaczyć.

- Nie ma sprawy.

- Długo będziesz w mieście? - Uśmiech Gabe'a trochę przygasł.

- Zobaczmy. - Mówiąc to, nie patrzył młodszemu bratu w oczy.

- Gdzie mieszkasz?

Joe zapatrzył się za niego, przez okno. Nie potrzebował, żeby Gabe albo Ruby wysłedzili go i doprowadzili do niezręcznej konfrontacji z jego nową szefową. Im mniej Mona się dowie o jego młodszym braciszku ukrytym w lesie, tym lepiej będzie dla wszystkich zainteresowanych.

- Czy to grządka truskawek?

Gabe skoczył na równe nogi.

- Tak. To nasz biznes. Sprzedajemy truskawki.

Joe znowu się uśmiechnął i pokręcił głową ze zdumieniem. Ruby była z takiego samego kruszcu jak Mona - ambitna.

- Może zostaną tak długo, żeby ich skosztować - powiedział, zerkając na Gabe'a spod oka. Gabe rozświetlił się jak choinka na Boże Narodzenie. Joe nie mógł powstrzymać uśmiechu w obliczu upajającego entuzjazmu brata.

- Chodź poznać innych - powiedział śpiesznie Gabe. - Dużo o tobie słyszeli.

Joe pacnął komiksem w kolano.

- Tego się obawiam - wymamrotał, wychodząc za bratem z pokoju.



Mona zlizła czekoladową strużkę, która ściekała po brzegu rożka z jej porcji lodów, po czym odpowiedziała na kolejne pytanie Briana Whitneya.

- Czyli potem studiowałaś na Uniwersytecie Minnesoty? - Brian wpatrywał się w nią zielonymi, palącymi oczyma z intensywną koncentracją, aż czuła się nieswojo, ale wydawał się szczerze zainteresowany jej życiem. Starła się rozluźnić.

- Skończyłam studia po pięciu latach jako magister anglistyki.

- Zlizła kolejną strużkę roztopionych lodów. - Zawsze chciałam uczyć, może pisać. Wtedy zrozumiałam, że tak naprawdę kocham czytać i dzielić się miłością do literatury. Wymieniłam więc prawo do nauczania na bajeranekę, lepiej płatną pracę asystentki w kancelarii prawnej, oszczędzałam każdy zarobiony grosz i bum! Minęło dziesięć lat, a ja remontuję studnię bez dna przy drodze 65.

- Zostało pięć tygodni. Myślisz, że zdążycie z otwarciem?

Mona poddała się w walce ze ściekającymi lodami i wyrzuciła rożek do kosza.

- Mam nadzieję. Najęłam fachowca, który chyba wie, co robi. Naprostował dzisiaj rynny, a jutro podniesie werandę i otynkuje słupki przed domem. - Oczyma wyobraźni zobaczyła łobuzerski uśmiech Joego. Oraz to, jak wyglądał, kiedy wsparł się na

framudze drzwi do szopy - potargany, ale nieprawdopodobnie przystojny, a uśmiech na jego twarzy rozplątywał węzeł w jej sercu, dzięki jakiejś męskiej magii.

- Pożyteczny facet.

Słyszała w pamięci głos Joego, łagodny, ale taki męski, kiedy mężczyzna sugerował, że w Deep Haven można natrafić na ukryty skarb. Myśląc o tym, nawet teraz uśmiechnęła się delikatnie. Pokiwała głową potakująco.

- Masz tu rodzinę?

Brian nagle skupił się na swoim rożku.

- Nie. Miałem, ale wszyscy przenieśli się na południe. Tylko ja zostałem i doglądam rodzinnego domostwa.

Mona obserwowała, jak Brian obraca rożek w długich palcach. Eleganckich palcach. Nienawykłych do pracy fizycznej. Obraz grubo ciosanych dłoni Joego mignął jej przed oczami i zamrugowała, żeby skoncentrować się na mężczyźnie, o którym powinna myśleć.

- Czegoś takiego warto doglądać.

Brian przyjrzał się jej z osobliwym wyrazem twarzy.

- Owszem, warto - powtórzył, ale brzmiało to nieszczerze.

Mona splótła dłonie i oparła łokcie na stole.

- Gdzie chodziłeś na studia?

Brian pokręcił głową.

- Nie chodziłem. Od razu zacząłem pracę - jeździłem ciężarówkami dla miasta. Awansowałem do kadry kierowniczej.

Mona uniosła brwi z myślą o eleganckiej czarnej hondzie.

- Dobrze ci się wiedzie.

- Co, jak na chłopaka z małego miasteczka? - Jego agresywna riposta ją zaskoczyła.

- Nnnie - zająknęła się. - Chodziło mi tylko o to, że tutaj pewnie nie najlepiej płacą. Musisz być bardzo gospodarny. Zapewne dlatego pracujesz dla miasta. - Z trudem wydusiła słowa przez zaschnięte nagle wargi.

- No tak. Cóż, mam swoje sposoby. I - uśmiechnął się szeroko, jakby chciał przywrócić przyjazne stosunki - jestem bardzo gospodarny.

- Słyszałeś coś może o moim pozwoleniu na parking? - zapytała Mona, składając papierową serwetkę na maleńkie kwadraty.

- Już niedługo. Przetwarzam dokumenty.

- To znaczy, że nie możesz po prostu strzelić palcami i tego załatwić? Myślałam, że wszyscy miejscy urzędnicy mają władzę absolutną - Mona powiedziała żartobliwie.

Brian pochylił się ku niej. Owiał ją zapach jego wody kolońskiej i poczuła jego oddech na twarzy.

- Bo mamy.

Prawdopodobnie chciał być pociągający, ale Mona poczuła, jak ją ściska w żołądku, i wzdrygnęła się.

- O, dobrze wiedzieć - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

Brian rozsiadł się z promiennym wyrazem twarzy.

- Szkoda, że Liza nie mogła z nami pójść.

Mona zgadzała się z nim całkowicie.

Brian wyciągnął rękę wzdłuż oparcia. Mona wyglądała przez okno Smakołyczków. Fale gładziły brzeg i wzywały ją. Nagle poczuła, że potrzebuje rozgwieżdżonego nieba.

- Możemy już iść?

Pytanie wyraźnie go zaskoczyło. Pociemniał na twarzy.

- Jasne.

Wyszli na chodnik. Od jeziora dął przenikliwy wiatr. Mona dostała gęsiej skórki. Była ubrana w bawełniany sweter i lekką wiatrówkę, ale zimno przeniknęło przez warstwy odzieży. Nie rozmawiali. Chyba go obraziła, bo Brian był spięty i szedł szybkim krokiem. Mona słyszała tylko, jak jego wysokie tenisówki szurają po chodniku.

Obiecała sobie, że gdy wróci do domu, zamorduje Lizę. Mona powiedziała współlokatorce, że nie interesuje jej Brian Whitney,

a teraz wiedziała już dlaczego. Był zbyt bajerancki, zbyt gładki. Nie w jej typie. Kolejny raz w starciu z rzeczywistością mężczyzna z jej marzeń okazał się wytworem wyobraźni. Mężczyzna doskonały nie istnieje, a ona głupia była, że dała się namówić Brianowi na wyjście na lody. A jeszcze głupsza, że uwierzyła Lizie w ten numer z bólem głowy. Mona zazgrzytała zębami i z impetem pokonała ostatni fragment drogi do domu.

Brian dotknął jej ramienia i zatrzymał ją pół metra od ścieżki do jej drzwi. Jego ciemne oczy wyrażały troskę.

- Zrobiłem coś nie tak? - Mona wbiła wzrok w chodnik. Ton jego głosu sprawił, że się zawstydziała.

- Nie. Po prostu jestem zmęczona.

Poczuła dłoń Briana pod brodą. Uniósł jej twarz.

- Może zaczniemy od nowa? Przewiniemy taśmę, nagramy ten wieczór jeszcze raz? Bardzo bym chciał oprowadzić cię po Deep Haven.

Mona spojrzała na niego przez zmrużone oczy. Uśmiechał się. Jego twarz pokrywał jednodniowy zarost. Miał szerokie bary i było mu do twarzy w spodniach na miarę i swetrze w serek. Może za ostro go oceniła. Nie powinna porównywać takiego mężczyzny jak Brian z włóczęgą Joem. Joe był jak interesująca fanaberia. Brian to zaangażowanie i przyszłość. Musi pamiętać o tej różnicy. Mona pokiwała głową i uśmiechnęła się przepraszająco.

Oczy Briana stanęły w ogniu.

- Świetnie. Wpadnę za parę dni. Muszę coś załatwić w Duluth. Kiedy wrócę, zabiorę cię na elegancką randkę. Tym razem nie będzie lizania ani siorbiana.

Mona uśmiechnęła się wymuszenie. Z właściwym towarzystwem lubiła wpaść do Smakołycków.

- Dzięki za lody. - Odwróciła się. Szybkim ruchem Brian złapał ją za rękę i pocałował w dłoń.

- Nie, to ja dziękuję - odparł, uśmiechając się szeroko na widok jej zdumionej miny.

Mona nie mogła dojść do siebie, desperacko starając się zapamiętać nad wzbierającą konsternacją.



Joe odsunął się od ciemnego okna. Co Brian knuje? Facet przyszedł umówić się na lody tego dnia i nie spodobał się Joemu. I to już w chwili, gdy Joe uściśnął spoconą dłoń miejskiego urzędnika. Kiedy mężczyzna dostrzegł błysk w oku Briana - jak u tygrysa w czasie łowów - zagrały wszystkie jego instynkty obronne. A potem Joe wrócił do domu z Ogrodu i dowiedział się, że Mona jest sama z tym drapieżnikiem. Splótł palce i założył je na kark, walcząc z irytacją. Powtórzył sobie, że to nie jego sprawa. On tu nie mieszka - Brian za to owszem. Mona może ułożyć sobie przyszłość z Brianem Whitneyem, z Joem Michaelsem nie.

Joe podszedł do szafy, gdzie wcześniej wsadził wszystkie wymięte ubrania z torby, te najważniejsze wieszając na trzech samotnych wieszakach. Wydobył parę czarnych spodni treningowych, buty do biegania i czerwoną bluzę z napisem Wisconsin. Musiał pobiegać, a plaża była idealnym miejscem, by wyładować emocje narosłe przez cały dzień.

Wilgotne nocne powietrze, pachnące jeziorem i kwitnącymi brzoźami, orzeźwiało go i koilo jego duszę. Słuchając śpiewu fal i harmonijnego skrzeczenia mew, stwierdził, że to nic dziwnego, iż turyści uważają Deep Haven za doskonałą odskocznię. Sam by chciał pozbyć się problemów i rozkoszować się bezpiecznym schronieniem, jakie daje Deep Haven. Ale nie mógł sobie pozwolić na wakacje od wyborów, jakich dokonał, a które obecnie nadawały kształt jego życiu. Stawka była zbyt wysoka.

Joe porozciągał się trochę przy tylnych schodach, po czym ruszył żwawym tempem wzdłuż chodnika. Światła odległych

domów nieregularnie rozpraszały ciemność. Gdzieś w dali zaszczełkwał pies, na co Rip szczełkwał w odpowiedzi. Jednak labrador posłusznie został przy swoim panu. Joe rozejrzał się, czy nic nie jedzie, po czym zбочzył w kierunku skalistej plaży, przebiegając przez jezdnię i po niewielkim trawiastym zбочu. Wymijał fale, które rozbijały się o poszarpany brzeg, i biegł na tyle wolno, że nawet się nie spocił. Ale Rip uwielbiał wbiegać w rozpryski wody, co dało Joemu szansę na spojrzenie w niebo i chwalenie majestatu Wszechmogącego.

„Dlaczego tu jestem, Panie?” Odpowiedź wydawała się jasna: żeby pojednać się z Gabem. Ale Bóg często tworzył mozaikę różnych życiowych ścieżek i celów. Tak jak wtedy, gdy posłał Joego na Alaskę, gdzie łowił łososie. Praca trwała krótko i była męczarnią, często niebezpieczną. Ale Joe zobaczył, jak inny marynarz znajduje zbawienie, uratował też jednego faceta, który prawie został zmyty z pokładu. Ostatecznie przygoda na Alasce otworzyła przed nim niezliczone drzwi i dała zarobić jęgo szefostwu.

Bóg kierował każdym ruchem Joego i był obecny w każdym miejscu, w którym mężczyzna przebywał. Za pośrednictwem ostatniej prośby matki Bóg posłał go do Deep Haven. Joe wiedział z absolutną pewnością, że Bóg ma dla niego większe plany na czas pobytu w tym miejscu. Może nawet większe niż wydobycie z tarapatów, choć Wszechmogący niejedną raz na tym polu interweniował.

Może Joe miał za zadanie pomóc Monie. W ciągu ostatniej doby wiele razy przeszło mu to przez myśl. Trafiła w czuły punkt w jęgo sercu, gdy samodzielnie taszczyła gramofon, zaciskając zęby i postękując. Grzecznie stłumił śmiech, kiedy pomazała sobie twarz sadzą, ale kiedy mocowała się z sekretarzykiem, nie mógł się opanować. Była taka zdezorientowana, zarumieniona od tłumionej frustracji, gdy sekretarzyk opierał się jęgi staraniom.

Powiedzieć, że była nieustępliwa, to mało. Może faktycznie stworzy tu księgarnię. Na pewno miała wielkie marzenia.

Boski plan z pewnością obejmował Gabe'a. Na myśl o młodszym bracie Joe poczuł przypływ ciepła. Uśmiech pełen akceptacji, żywiołowy uścisk i ta ochoczość, z jaką Gabe odsłonił swoje życie i przyjaciół, stały w sprzeczności wobec tego, czego się spodziewał. Na dźwięk słowa „placówka” na nowo przeżywał dawny koszmar. Sam nigdy nie był w stanie użyć tego wyrazu, tak jakby wypowiedzieć go oznaczało, że Joe przyznaje ojcu rację. Że ojciec miał prawo porzucić rodzinę. Ze syn - albo brat - z zespołem Downa to przekleństwo. Joe nigdy się z tym nie zgodzi - zwłaszcza po dzisiejszym dniu.

Usiadł na plaży i zaczął się modlić na głos:

- Panie, żałuję, że tak długo ignorowałem Gabe'a. Jest moim bratem i powinienem na niego uważać. - Przeszyła go wizja roześmianej twarzy Gabe'a. Opuścił głowę i zanurzył obie ręce we włosach. - Jaki ze mnie głupiec.

- Co za głupiec? - Mona podeszła do niego. - Myślisz, że za dużo na siebie wzięłeś i zastanawiasz się, czy by nie nawiać? - Gdy usiadła, owiał go jej zapach poruszający w nim czułą strunę tak bardzo, że tylko zamrugał oczami. - Przepraszam - powiedziała zmartwiona. - Przeszkadzam ci?

Pokręcił szybko głową. Serce galopowało mu w piersi.

- Cześć - wychrypiął w końcu. - Co cię tu sprowadza?

- Gwiazdy - oznajmiła Mona rozmarzonym głosem. Usiadła koło niego na skałach. - Co ty tu robisz?

Joe zerknął na nią kątem oka. Popatrzył na jej słodki uśmiech, rozwiane blond włosy, wyraziste kości policzkowe i te oczy, w których migotało światło księżyca. Wydawała się taka spokojna, aż mocniej czuł gwałtowne bicie własnego serca. Odpowiedział z wysiłkiem:

- Właściwie to się modlę.

- Poważnie? Jesteś chrześcijaninem?
- No. Miałem naście lat, gdy znalazłem Pana pewnej nocy na samotnym biwaku. Wpatrywałem się w gwiazdy i nagle oszołomiła mnie świadomość, że On stworzył każdą z nich, a zarazem wszystkie włosy na mojej głowie są policzone, jak mówi Ewangelia wg św. Mateusza w rozdziale 10. Co jeszcze niesamowite, Jezus, wcielony Bóg, opuścił te wspaniałe niebiosy, zstąpił na ziemię i zapłacił za moje grzechy, żebym ja mógł poznać tego niesłychanego Boga. Od tamtej pory łatwiej mi się modlić, gdy patrzę na niebo, na ten Jego cudowny kosmos.
- Rozumiem doskonale. - Mona objęła ramionami kolana.
- North Shore ma w sobie jakiś majestat. Jak na dłoni widzę tu Boskie dzieło. Rytm fal u moich stóp, mewy fruujące nad falami, zapach jodeł i brzoź. Bóg stworzył to wszystko, byśmy się tym cieszyli. Usiąść pod gwiazdami w otoczeniu Boskiego stworzenia
- to zawsze daje mi spokój.
Jej słowa jakby rozpały w nim światło. Sam by tego lepiej nie powiedział.
- Więc Joe, kim ty jesteś? Wiem, że umiesz naprawiać rynny i świetnie sobie radzisz z kosiarką, ale co tu robisz? Masz w mieście rodzinę?
- Joe wznosił oczy ku niebu, wbił je w Wielką i Małą Niedźwiedzicę i myślał sobie, czemu tu nagle powiało chłodem.
- W sumie to nie. - Stłumił wyrzut sumienia; nie miał zamiaru wciągać w to młodszego brata, wystawić siebie i jego na mnóstwo nieuchronnych pytań i solidną dozę litości. Nie tego chciał od pięknej kobiety, która przerzucała kamyki, siedząc u jego boku. Poza tym pewne sprawy są bardzo osobiste.
- Jesteś majstrem z zawodu? - Schowała dłonie w mankiety bluzy i splótła je, jak gdyby marzła. Chciał ją objąć, ale przed oczyma stanął mu obraz Briana, gdy ten całował ją w rękę, co podziało na Joego jak zimny prysznic.

- Param się tym i owym. Zobaczyłem twoje ogłoszenie i pomyślałem, że mogę pomóc. - Była to zasadniczo prawda. Jednocześnie wyraził się na tyle mgliście, że powinno to zaspokoić ciekawość. Tylko tego mu brakowało, żeby jego historia okazała się zbyt interesująca i Mona zaczęła grzebać w jego sprawach. W najgorszym przypadku poprosiłaby policję, żeby poszukali o nim informacji, i w krótkim czasie życie jego i Gabe'a przybrałoby zły obrót.

- Hm... Czyli chyba mam szczęście.

Joe schylił się i wyszukał idealny kamień do puszczenia kaczek. Cisnął go do wody i naliczył pięć odbić.

- Nie wierzę w szczęście ani w przypadek - powiedział cicho.

Mona skłoniła głowę i położyła policzek na kolanie.

- Ja chyba też nie. Ale przeciwieństwo trudno czasem zaakceptować.

Fale suwały po brzegu rytmicznie. Mewa przydreptała bliżej, wpatrując się w nich oczami drobnymi jak paciorki.

- Przeciwieństwo? - zapytał Joe, zerkając w jej stronę.

- Że to Bóg jest przyczyną wszystkiego, że wszystko przechodzi przez Jego ręce.

Joe spostrzegł błysk bólu w jej zielonych oczach. To nie był zdawkowy komentarz.

- Tajemnica wolnej woli kontra predestynacja. Zamotasz się w tym, Mona. Bóg albo rządzi, albo nie. Możemy dowolnie długo deliberować o źródłach zła, ale ostatecznie wszystko spoczywa w Bogu. Nie chodzi o to, kto jest czegoś przyczyną, ale o to, czy rezultaty widzi się własnymi, czy Jego oczyma. Czy się ufa, że On ma to w swoich rękach.

Mona wsparła podbródek na kolanach i zapatrzyła się w ciemne jezioro.

- List do Rzymian 8,28: „Wiemy też, że Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra, z tymi, którzy są

powołani według [Jego] zamiaru”. Widzisz, znam te słowa na pamięć i wiem, że Bóg rzeczywiście bierze zło i zamienia je w dobro. Ale zapominasz, że Bóg także pociąga nas do odpowiedzialności za nasze czyny. A jeśli to On jest sprawcą wszystkiego, sprawiedliwość wymaga, by nas nie pociągał do odpowiedzialności.

Joe się uśmiechnął. Piękna, a do tego ma łeb do teologii. To dopiero.

- Odpowiadamy, bo jesteśmy grzeszni. Smutna prawda jest taka, że Adam wybrał grzech i my postępujemy tak samo. Ale na szczęście Bóg oferuje nam alternatywę - Chrystusa. Odpowiedzialność i przebaczenie naraz. Musimy się tylko na to zgodzić. To całkiem łatwe.

- Albo najtrudniejsza rzecz na świecie - wymamrotała Mona.

Jej słowa wisiały między nimi. Joe rzucił do wody kolejny kamień, czując pogłębiające się wyrzuty sumienia. Ona uchyliła przed nim rąbka zasłony, za którą skrywa się jej ból, a on zamiast odpowiedzieć rozważnie, zbył ją. „To całkiem łatwe”. Wiedział przecież, że jest inaczej, chciał więc cofnąć swoje pochopnie wypowiedziane słowa i spróbować raz jeszcze. Cisza między nimi gęstniała. Obok niech przebiegł Rip, strasząc mewy.

Mona westchnęła i wstała, a Joemu lekko ścisnęło się serce.

- Dobranoc, Joe. - Powlokła się w stronę drogi, zostawiając za sobą przenikliwy chłód.

Joe czuł się, jakby w jakiś sposób dźwigał to nieznanne brzemie, które Mona zaniósła ze sobą na plażę. Zalało go pragnienie ulżenia jej cierpieniu i wycisnęło łzy z oczu. Podniósł wzrok ku migoczącym gwiazdom. „Panie, proszę daj mi jeszcze jedną szansę, bym okazał się dla niej pomocny”.



Możesz zrobić w kącie nowe gniazdko? - spytała Liza.

Joe spojrział w kierunku wskazywanym przez Lizę i podrapał się między łopatkami rączką śrubokrętu.

- No, myślę, że tak, ale kable będą musiały być na wierzchu, bo inaczej musiałbym skuć tynk.

- Nie trzeba, chcę tylko mieć lampkę na biurko. W tym kącie jest strasznie ponuro. Nie mogę pojąć, dlaczego w tym pokoju jest tylko jedno gniazdko.

- Bo ten dom zbudowano przed nastaniem elektryczności?

Liza zamachnęła się na niego poplamioną farbami szmatą.

- Pewnie masz rację. - Dodała ze śmiechem: - Ale musisz przyznać, że charakter to on ma.

- Jeśli przegniły dach i obwisła weranda to charakter, to jak najbardziej.

Liza spojrzała na niego krzywo.

- Myśl pozytywnie. Zamknij oczy i wyobraź sobie, czym to miejsce może być. To nie tylko stary dom - to spełnienie marzeń.

- Jak to?

Liza przygryzła wargę i zmierzyła go spojrzeniem ciemnych oczu.

- Jeśli umiesz dochować tajemnicy, coś ci opowiem.

- Nie pisnę ani słowa. - Widząc jej przejętą minę, powstrzymał uśmiech i uniosł w górę trzy palce jak harcerzyk. Liza studiowała go przez chwilę badawczym wzrokiem, po czym uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Mona od lat oszczędzała na zakup tego domu. To jej największe na świecie marzenie. Musi się spełnić. Jeśli się nie uda, sama nie wiem, co z nią będzie.

- Dlaczego? - Joe zmarszczył czoło. Liza pokręciła głową.

- Sam musisz ją o to spytać, Joe. Dość powiedzieć, że marzy o tym od dawna.

Joe podszedł do okna, rozważając jej słowa. Trawnik przed domem lśnił w słońcu szmaragdową zielenią. Po przeciwnej stronie drogi fale jeziora lizwały brzeg w łagodnym rytmie. Mewy dreptały po skałach, a błękitne niebo znaczyły drobne obłoki. Determinacja rozpaliała go niczym wewnętrzny pożar. Musiała się też odmalować na jego twarzy, bo kiedy się odwrócił, Liza wbiła w niego zaskoczony wzrok.

- No to musimy się postarać, żeby jej marzenia się ziściły, co nie?

Liza pokiwała głową.

Trzasnęły drzwi samochodu. Joe wyrzwał na zewnątrz i zobaczył, jak Mona otwiera bagażnik malutkiego chevette. Widział to auto wczoraj na ulicy, ale nie skojarzył, do kogo należy. Kiedy teraz przyglądał się, jak Mona coś z niego wyciąga, odżyło w nim wspomnienie tak silne, że nabrał gwałtownie powietrza.

- Co się stało?

Odwrócił się do Lizy z wymuszonym uśmiechem.

- Nic takiego. To tylko Mona.

Liza uniosła jedną cienką brew i uśmiechnęła się znacząco. Nie zwracając na nią uwagi, Joe wsunął śrubokręt do tylnej kieszeni i wyszedł na zewnątrz.

Mona wy taszczyła z samochodu pieńek drewna, a teraz turlała go w stronę ścieżki. Zaciskała zęby, a jasne włosy opadały jej na twarz.

- Pomóc ci? - zawołał Joe.

Mona spojrzała na niego, podtrzymując pniak obiema rękami.

- Nie trzeba, radzę sobie.

- OK. - Joe wsadził ręce do kieszeni i kiwając się na werandzie, patrzył, jak Mona zмага się z pieńkiem. Musiał się ugryźć w język, żeby nie powtórzyć propozycji pomocy. Mona postawiła pieńek na ziemi, usiadła na nim i się zgarbiła, opierając ramiona na kolanach. Dyszała z wysiłku, a jej czoło pokrywały kropelki potu. Pniak faktycznie wyglądał na ciężki. Miał prawie pół metra średnicy i jakieś sześćdziesiąt centymetrów wysokości. Na oko Joego był to niezły kawał dębu.

- Skąd to wzięłaś?

Mona zerknęła na niego kątem oka, aż Joego przeszył dreszcz. Dlaczego jej zielony jak jodły sweter tak pięknie podkreślał blask jej oczu? Joe wydmuchnął powietrze.

- Z tartaku Hollanda. Zamierzam zrobić z niego stolik. Co o tym myślisz? - Wstała i zaprezentowała mu pieńek, jakby była hostessą w teleturnieju telewizyjnym. - Oszlifuje się trochę, polakieruje i będzie ślicznie.

- Przyznaję, że masz wizję, Mono.

Rozpromieniła się w uśmiechu.

- Lubię być oryginalna. Zamówiłam miękką kanapę w granato-wo-zieloną kratkę do jadalni. Chcę stworzyć miejsce, gdzie goście będą mogli przycupnąć na chwilkę, rozluźnić się, zrelaksować i zatopić w książce.

- Mogliby też kupić tę książkę.

Zaśmiała się.

- Owszem, albo filizankę cappucino. - Wskazała gestem pieńek. - Pomyślałam sobie, że taki pieńek nada bardziej przytulny, rustykalny charakter.

- Jakby wnieść dzikość do środka.

- No. - Mona kucnęła, objęła pieńek ramiona i spróbowała wstać.

- Chyba nie mówisz poważnie? - Joe przeskoczył wszystkie pięć stopni werandy i wylądował tuż przy niej. - Pozwól, że ci pomogę.

- Odwal się - Mona zawarczała przez zaciśnięte zęby. Joe zrobił krok wstecz.

- Uspokój się, Mona. Po prostu nie chcę, żebyś cały następny miesiąc chodziła do kręgarza na zabiegi. Pomogę ci.

- Nie! - Mona upuściła pniak i skoczyła na równe nogi, cała czerwona. - Nie chcę, żebyś mi pomagał. Poradzę sobie.

Joe zmierzył pieńek wzrokiem. Co najmniej dwadzieścia pięć kilo.

- Mona. Nie wygłupiaj się. To przecież ciężkie.

Mona otrzepała ręce, zrzucając trociny i pył. Westchnęła.

- Przepraszam, Joe. Niepotrzebnie na ciebie naskoczyłam. - Ciągnęła łagodniejszym tonem: - Nie chcę się przyzwyczaić do twojej pomocy. Muszę umieć radzić sobie samodzielnie.

- Nie proponuję ci małżeństwa. Chcę ci tylko pomóc dźwigać pieńek.

Mona się wzdrygnęła.

- Możesz się nie zgadzać, ale jeśli zacznę na tobie polegać, zaczyniesz myśleć, że jesteś niezastąpiony.

Joe zmrużył oczy, patrząc na nią.

- A co w tym złego?

Mona zacisnęła wargi, jakby jakaś odpowiedź cisnęła jej się na usta. Joe nagle bardzo chciał usłyszeć tę odpowiedź. Mona westchnęła, kucnęła i ponownie objęła pieńek. Joe się jej przypatrywał, kręcąc głową. Rozhuśtała pniak, aż udało się jej go podnieść, po czym zaczęła się z nim wspinać po schodach. Nogi pod nią drżały. Joe szedł na palcach tuż za nią, gotów ją złapać w razie potrzeby. Dotarła na trzeci stopień, jęknęła i wreszcie

rzuciła pieńek na werandę. Klaszcząc dłońmi, wbiegła na podest, obróciła się na pięcie i uśmiechnęła się.

- Widzisz?

Joe nigdy wcześniej nie musiał zmagać się z pragnieniem, by objąć i unieruchomić kogoś, kto tańczył właśnie taniec zwycięstwa. Ale kiedy Mona stała przed nim z rękoma na biodrach i trocinami na bluzie, uśmiechała się szeroko, a włosy opadały jej na twarz, właśnie coś takiego chodziło mu po głowie. Może była to ulga, może frustracja, a może podziw, ale Joe nagle znalazł się pod ostrzałem gorących impulsów.

- Urodziłaś się taka uparta? - zapytał ostro. Wszedł do domu, mijając zaskoczoną Monę.



Mona nuciła pod nosem, szlifując swój dębowy pieńek papierem ściernym. Słyszała, jak wciśnięty pod kuchenny zlew Joe atakuje ciekący kurek. Liza wspomniała, że chce pomalować wnętrze swojej nowej stodoły, gdzie będzie uprawiać garncarstwo. Mona zdmuchnęła kurz, roznosząc go w pachnącym drewnem powietrzu, i spojrzała na pniak z uznaniem. Słoje drewna układały się ciemnymi, grubymi pasmami. Alton Holland odłożył już dla niej drugi pniak - miał kawałek korzenia, który wystawał u dołu jak grube palce. Pniaki będą piękne. Mona poczuła przypływ nadziei. Co takiego Joe powiedział? „Masz wizję”. Być może. Ale przede wszystkim miała marzenia.

Mona wstała i przeciągnęła się, patrząc na dwa pomieszczenia, gdzie znajdują się jej księgarnia i kawiarnia. Trzeba było jeszcze połatać sufit, wyszlifować i polakierować podłogi, pomalować parapety i wytapetować ściany. Ale miała jeszcze cztery i pół tygodnia, więc było to wykonalne. Nareszcie nic nie stało jej na przeszkodzie. Słońce późnego popołudnia stworzyło

pomarańczową ścieżkę na drewnianej podłodze. W niemal dotykalnych promieniach światła tańczył kurz. Mona zaczerpnęła powietrza, czując, jak spokój ogarnia ją niczym przyjemny zapach.

- Arrrrrrgh! - spokój chwili rozbił krzyk Joego z kuchni.

- Co się stało? - Mona pognęła do kuchni. Widok, który ją powitał, rozproszył resztki rozkosznych myśli skutecznie jak bomba wodorowa. Po jej cytrynowożółtych blatach rozbiegła się gruba i gęsta jak dywan warstwa karaluchów, uciekających przed butem Joego. Mona stała jak wryta, patrząc, jak karaluchy wypełzają z otchłani jej domu i wyobrażając sobie, jak jeden z potworków spaceruje po kubku z kawą. Albo jeszcze gorzej - może jakiś wtuli się w czyjś kołnierzyk, a ona będzie mogła poczęstować cały sanepid muffinkami, kiedy przyjdą ją zamknąć.

- Skąd... skąd one się wzięły? - wyjąkała.

Joe rzucił jej współczujące spojrzenie i pokazał palcem wielką dziurę pod zlewem. Po podłodze koło otwartych półek wały się kawałki przegniłej ścianki gipsowej.

- Masz niewielki problem z hydrauliką.

Monie ścisnęło się serce. Złapała mocno za blat, przykucnęła i zajrzała w czarną dziurę pod rurami.

- Jak bardzo jest źle?

Odczucie, że coś przebiega jej po ręce, odwróciło jej uwagę od odpowiedzi. Mona skoczyła na równe nogi i akurat zdążyła wypatrzeć zdezorientowanego karalucha, który zmierzał w kierunku jej mankietu. Całkowicie ulegając kobiecym instynktom, Mona wybiegła na środek pomieszczenia z krzykiem i machaniem rąk. Wtedy spostrzegła Joego, który uśmiechał się tak szeroko, że prawie rozsadziło mu policzki. Spojrzała na niego krzywo. Światnie, tylko tego potrzebowała po triumfalnym pokazie z udziałem pieńka. Teraz to dopiero Joe będzie snuł fantazje o panienkach w opresji. Mona zrobiła głęboki, uspokajający wdech, zdjęła but

i zaczęła walić ohydne owady z uczuciem dziwnej satysfakcji, ilekroć udało się je zgnieść.

Drzwi siatkowe otworzyły się z jękiem i stanęła w nich Liza.

- Co to za hałasy?

Nie musieli odpowiadać. Liza wrzasnęła i przebiegła przez kuchnię, aż się kurzyło. Jej buty zadudniły na schodach. Mona spostrzegła lekko rozbawioną minę Joego i rozpląszczyła kolejnego robaka z satysfakcjonującym trzaskiem. Nagle ku jej zdumieniu Joe się pochylił, zdjął but, złapał go mocno prawą ręką i zaczął parować i dźgać, walcząc z karaluchami jak szermierz. Mona uniosła lekko brew. Czy on myśli, że to śmieszne?

Aby jeszcze pogorszyć sytuację, jego umorusany pies Rip wpadł do kuchni przez uchyloną moskitierę, wnosząc na sobie cały las, i zaczął szaleć. Ze zjeżoną sierścią szczekał i warczał na intruzów. Mona jęknęła. Jeszcze ci dwaj pajace na dobitkę najechali jej kuchnię. Aż dziw, że całe sąsiedztwo się tu nie zeszło.

Liza wpadła do kuchni, uzbrojona w puszkę Raidu oraz książkę telefoniczną.

- Dzwonię po dezynsekcję - zadeklarowała, jakby był to pomysł rewolucyjny.

Mona uciekła do jadalni, usiadła przy stole z orzecha i zapatrzyła się w dziurę w suficie. Tylko tego kuchni trzeba: karalusza rodzina mafijna ze wszystkimi dalszymi krewnymi włącznie. Gdy zaczęła podliczać koszty dezynsekcji, rozpacz ścisnęła jej gardło.

Wtedy Joe wymaszerował z kuchni, trzymając puszkę Raidu jak rewolwer.

- Jeszcze ja dopadnę te szkodniki - powiedział z południowym akcentem. Zawiązał sobie na twarzy niebieską bandanę jak bandyta, a w oczach migotał mu tłumiony uśmiech. Był taki pełen nadziei, tak chętny do pomocy, że nie mogła na to nic poradzić

- roześmiała się.



Joe leżał na sofie z rękami założonymi za głowę. Patrzył, jak cienie brzoź przy podjeździe ścigają się po suficie, i cieszył serce, wspominając wybuch śmiechu Mony. Był niespodziewany, zdobyty z trudem i przerósł wszelkie oczekiwania Joego. Jej śmiech i ciepły, zgodny uśmiech zasiały w jego sercu nieznaną wcześniej głęboką tęsknotę. Teraz Joe leżał, pielęgnując dorodne pędy czułości pod adresem nowej szefowej.

Choć Mona zareagowała na jego ofertę pomocy wręcz wrogo, pragnienie ukryte w jej gwiazdzistych oczach wzywało go. Bała się. Wyczuwał to w tym, jak zakopywała się po uszy w projektach i skupiała na celach niczym snajper. Wyglądało to na determinację, ale mogła to też być ucieczka.

Czy Mona od czegoś ucieka? Wczoraj na plaży niemal się do tego przyznała. „Najtrudniej na świecie zaakceptować przebaczenie”. Co za potworne, niewybaczalne brzemię niesie?

Joe westchnął i pogłaskał Ripa, który spał na podłodze obok sofy. „Panie, jak jej mogę pomóc?”

„Tchnij życie w jej księgarnię”.

Pragnienie to było tak silne, że Joe wiedział, iż to jest odpowiedź. Jeśli będzie to od niego zależeć, marzenia Mony się spełnią. Miał tylko nadzieję, że nie przypląci ich tym, czego potrzebuje, by uwolnić się od kłopotów.



OK, Mona, ty odpowiadasz za lewarek. Pilnuj, żeby się nie przesuwał, a jeśli zacznie się ruszać, krzycz.

Mona pokiwała głową i schwyciła rączkę lewarka obiema dłońmi ubranymi w robocze rękawiczki.

- Tak dobrze?

- No - odpowiedział Joe, nie patrząc na nią.

Mona przyglądała się, jak ze stosu na ścieżce Joe bierze dwa pustaki. Dziś rano zachowywał się jakoś inaczej. Po wczorajszej okropnej imprezie z karaluchami wydawał się poważniejszy, nawet zdeterminowany. Nie potrafił wprawdzie pohamować swojego ciętego języka ani chwilowych napadów szaleństwa, jednak trzeba mu było przyznać - był bardzo pracowity. Wypatrzyła go na podwórku późną nocą, jak malował warsztat Lizy w świetle lampy. Obserwowała go przez chwilę, stojąc w oknie sypialni, i uśmiechnęła się, gdy mocował się z Ripem o szmatę. Psiak nie był taki zły. No i miał najsmutniejsze oczy, jakie widziała w życiu. A wczoraj, kiedy usiadła sobie w cichym kącie na werandzie, żeby przemyśleć swoje frustracje, Rip przycupnął przy niej i wsparł mordę na jej stopie, jakby ją rozumiał i chciał pocieszyć.

Dziś rano podejrzała, jak jej majster odjeżdża w chmurze spalin. Kiedy wrócił, miał na pace pustaki, farbę zewnętrzną i materiały

do naprawy dachu. Skrzywiła się na widok ceny farby, ale z drugiej strony wyższa cena oznacza pewnie, że nieprędko będzie musiała odświeżać malowanie.

- Jeśli dasz mi paragon, dodam te koszty do twojej wypłaty - powiedziała, przyskoczywszy do niego z rozłożonymi ramionami, żeby pomóc nosić materiały. Spojrzał się na nią tak, że się cała skurczyła.

- Nie trzeba. To prezent.

W Monie furia wezbrała niczym powódź.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Nie ustaliliśmy już tego?

- No. - Objuczył ją workiem cementu. - Połóż przy werandzie.

- Mona rozdziawiła usta ze zdziwienia, ale Joe nawet na nią nie popatrzył, tylko podszedł do klapy półciężarówki. Otworzył ją i wytaszczył dwa pustaki. - Pospiesz się. Przed nami ważny dzień.

Mona zamknęła buzię, przydźwigała cement przez podjazd i zrzuciła worek przed werandą. Joe biegiem rozładowywał półciężarówkę - z pomocą Mony, która milczała ze zdumienia. „No dobra, Panie, prosilam, żeby był pracowity, ale to już za wiele!” Niemniej w miarę upływu poranka przekonała się do jego zapału.

- OK, Mona - odezwał się Joe, skupiając jej uwagę z powrotem na bieżącym zadaniu. - Wsunę tu te pustaki. Wtedy ty leciutko opuścisz lewarek i zobaczymy, jak się to układa.

Na gładkiej i oczyszczonej powierzchni ułożył pustaki jeden na drugim. Kiedy skinął głową, Mona nacisnęła rączkę lewarka. Weranda wydała z siebie jęk, pustaki otarły się o siebie, a opadający bok ganku się wyrównał.

Joe uśmiechnął się promiennie i triumfalnie.

- Teraz podnieśmy lewarek, żeby móc to zabetonować.

Wstał i schwycił rączkę tuż obok dłoni Mony. Był bardzo blisko - i pachniał niepokojąco męsko: potem, flanelą i szczapami drewna.

- Trzymam - wyszeptał.

Mona uniosła wzrok i zatopiła się w magnetyzujących, niebieskich oczach Joego. Oczarowały ją i jakby zakłęły. Poczula dziwne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Odskoczyła, ale on wciąż na nią patrzył, przenikał ją wzrokiem, odzierał z twardych warstw ochronnych, aż wydało jej się, że spogląda w głąb jej duszy. Zmarszczyła czoło i się odwróciła. Usłyszała, jak mężczyzna stęka, unosząc werandę.

Co w nim jest takiego wyjątkowego? Mona zagryzła wargę. Zachowywał się, jakby ten dom należał do niego, jakby przemawiał jej marzenia.

- Możesz znowu potrzymać lewarek?

Obróciła się i złapała za narzędzie. Zauważyła, że Joe odsunął dłonie, jak tylko chwyciła za rączkę. Joe podszedł do wiadra i zaczął mieszać zaprawę.

Mona drżała w swojej flanelowej koszuli. Jednak Joemu chłodne powietrze zdawało się nie przeszkadzać. Zdjął niebieską bluzę i został w szarym wojskowym T-shircie, który rozciągał się na jego szerokich barach i grubych ramionach. Joe był silny, sprawny i nosił się jak ktoś nawykły do pracy fizycznej. Po chwili wyprostował się, złapał wiadro i obrócił się twarzą do Mony.

Błękitne oczy migotały granatem, odbijając ciemnoniebieską bandanę, którą zawiązał sobie na głowie. Ich blask opłynął ciało Mony jak podmuch wiatru. Zaszło jej w ustach, gdy zdała sobie sprawę, że Joe ma oczy jak jej ojciec. Głębokie, spostrzegawcze, zamyślane. Niekiedy roześmiane. Mona z trudem zapanowała nad sobą.

Tępo wpatrywała się w mężczyznę, gdy nakładał kielnię zaprawę na pustaki. Skończywszy, ułożył je z powrotem na miejscu.

- Dobra, opuszczamy.

Mona opuściła lewarek. Pustaki się utrzymały.

- To teraz muffinki nie będą się staczać z talerzy - powiedziała z wymuszoną beztrząską. Joe wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Biedny Rip. Liczył na nie.

Mona roześmiała się i przewróciła oczami, ale nie mogła nie zauważyć, co wynika z jego żartu: że być może zostanie. A jeszcze gorzej, że po raz pierwszy ta myśl była dziwnie przyjemna.



Joe ścisnął kierownicę, czuł ciepłą głowę Ripa na kolanach i patrzył, jak las go obejmuje. Bogate podszycie wzdłuż bitej drogi do Ogrodu nie przepuszczało słońca, ale kremowe brzozy lśniły bielą niczym kości.

Wiatr śpiewał wśród drzew, a powietrze w kabinie pachniało żywicą. Joe wiedział, że dobrze zrobił, słuchając Mony i biorąc sobie wolne. Chwilę zmagął się z tym impulsem, kiedy już stał koło pickupa i patrzył, jak Mona atakuje świeżo wyprostowaną werandę białą farbą. To było trudne zadanie, ale Mona wydawała się zadowolona i nuciła sobie pod nosem. Ten widok ukoił poczucie winy w jego sercu. Wreszcie uległ palącemu pragnieniu, by zobaczyć się z Gabem.

Chatka Ogrodu wydawała się opuszczona. Kilka stojących na werandzie wiklinowych bujanych foteli było pustych i nieruchomych. Gdy Joe wysiadał z półciężarówki, Rip wyskoczył koło niego i z radosnym szczekaniem rzucił się w pościg za przestraszonymi wiewiórkami.

- Jest tu kto? - zawołał Joe, gdyż nie chciał wchodzić do chatki niezapowiedziany.

Moskitiera w drzwiach zaskrzypiała. Wyszła zza nich uśmiechnięta Ruby w workowatych dżinsach i flanelowej koszuli w kwiaty z podwiniętymi rękawami. Trzymała w dłoni rejestr, a za uchem miała ołówek.

- Cześć Joe. Gabe miał nadzieję, że wpadniesz.

- Cześć Ruby. Jest tu gdzieś?

- Jasne. Jest z innymi za domem. Obejdz chatkę.

Przedzierając się za budynek, Joe kierował się głosami; ktoś wydawał polecenia, inni śpiewali. Choć wszystko to brzmiało jak grupa zapracowanych ludzi, widok, który go powitał, zaskoczył Joego. Mieszkańcy Ogrodu obrabiali ziemię wokół setek zielonych sadzonek. Niektórzy pracowali motykami, inni kłęczeli. Gabe stał na taczkach i dziarskim tonem wydawał rozkazy jak sierżant w wojsku. Zdumienie wbiło Joego w ziemię.

- Ściółkę ulóżcie tam z tyłu! - Gabe wskazał rydlem część ogrodu. Wyglądał dziwnie podobnie do Joego; miał na sobie stare wojskowe spodnie, szarą bluzę i czerwoną czapkę Bullsów. Joe dostał ją od kolegi z Chicago i zrobiło mu się miło, gdy zobaczył ją na głowie Gabe'a.

- Hej, Gabe, uprawiacie sobie ogródek? - Joe wsadził ręce do kieszeni i podszedł powoli do brata. W oczach Gabe'a odmalowała się radość.

- Joe! Gdzie byłeś?

Joe wzruszył ramionami.

- Mam w mieście pracę, pomagam remontować dom.

- Pracę? - Gabe zeskoczył z taczek. - Po co? Przecież masz już pracę.

Aby uniknąć odpowiedzi na to pytanie oraz niezliczone kolejne, Joe wskazał nieskończone grządki sadzonek.

- Wow, to wszystko truskawki?

Gabe uśmiechnął się szeroko. Jego owalne oczy błyszczały.

- No. Świeże truskawki z Ogrodu są słynne. Nie pamiętasz? - Zmarszczył czoło. - Pisałem ci o tym.

Joe poczuł się jak szuja. Kiedy Gabe w listach wspominał, że lubi uprawiać truskawki, Joe sądził, że brat wyolbrzymia sukces niesiony wyobraźnią. Teraz jednak z rozdziawioną gębą Joe patrzył na szacunkowo jakieś osiemdziesiąt pięć arów truskawkowego pola.

- To niesamowite.

Gabe wypiął pierś i pokręcił czapeczką.

- Wygraliśmy też nagrodę.

- Jestem pod wrażeniem. Nie miałem pojęcia.

- Chodź, pokażę ci, co robimy. - Gabe złapał go za ramię i oprowadził po polu. - Te rośliny mają mniej więcej pięć lat. Wykopiemy je w tym roku, ale będą miały wasy. Posadzimy je tam, na tej grządce, gdzie kopiał Daniel i Melissa.

Joe zmrzążył oczy i dojrzał dwie osoby spulchniające glebę na południowym krańcu pola. Gabe wciągnął go między grządki żyznej, czarnej ziemi, po czym przeszli kawałek po drewnianych deskach.

- Te posadziliśmy we wrześniu. W tym roku dużo nie urodzą, ale w następnym sezonie owoce z nich będą najlepsze. - Gabe wskazał duże pole pokryte drucianą siatką. - To specjalne owoce, które próbujemy wyhodować. Chcemy, żeby Ogród miał własną odmianę. - Mówił wolniej, kiedy starał się wytłumaczyć ich plany, ale oczy błyszczały mu radośnie.

Joe zapomniał języka w gębie. W życiu by nie przypuszczał, że Gabe będzie uczestniczył w takim projekcie. Brat był pełen niespodzianek, to na pewno. Z drugiej strony większość ludzi ukrywa coś w ciemnym kącie. Coś, co mogłoby naruszyć albo nawet zniszczyć to, co inni o nich myśleli.

Taka Mona na przykład. W oczach tej złoźnicy czają się sekrety. Joe zobaczył je oraz jej strach wczoraj, kiedy odskoczyła od niego jak oparzona, kiedy podnosili werandę. Co ją przestraszyło? Sam poczuł lęk, gdy stali tuż obok siebie, a po jego wnętrzu rozlało się ciepło. Pachniała tak... kobieco. Jakimś liliowym mydłem, świeżo, czysto i delikatnie.

Później, gdy światło księżyca muskało bruzdy w drewnianej podłodze jego pokoju, zastanawiał się nad swoją reakcją. Nigdy wcześniej kobieta nie skradła tak szybko jego serca. Nigdy wcześniej na to nie pozwolił. Co wygładziło wszystkie szorstkie

powierzchnie jego duszy? Paląca tęsknota Mony? Czy może jej determinacja - to, jak z oślim uporem zagłębiała się w swoje projekty? Zdecydowanie było w Monie coś takiego, co kazało mu rozważyć konsekwencje otwarcia się, przekroczenia niewidzialnej granicy i wpuszczenia jej do swojego życia.

I co dobrego z tego będzie? Same sekrety. Jego tajemnice zniszczą choćby załazek tkliwych uczuć. Wystarczy sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby Mona dowiedziała się o Ogrodzie i bracie, którego Joe ukrył przed światem. Jeden raz rzuciłaby okiem na Gabe'a i natychmiast zaczęłaby się zastanawiać, co za przyszłość Joe może jej zaoferować. Rzuciłaby okiem drugi raz - i obróciła się na pięcie, by wymaszerować z jego życia, trzaskając drzwiami jego serca na odchodnym z równie miażdżącymi konsekwencjami, jak to kiedyś uczynił jego ojciec. Joe nie chciał nawet myśleć, jak inne jego sekrety mogłyby wpłynąć na zaplanowane w najmniejszym szczególe życie Mony.

Nie, lepiej, żeby tajemnice Joego i Mony nie ujrzały światła dziennego. Należy zostawić je tam, gdzie nie będą mogły się ujawnić i narazić czyjejś przyszłości na szwank. A on niech lepiej zachowa czujność i ograniczy liczbę tych ciepłych chwil do minimum, jeśli w ogóle chce mieć jakąś przyszłość.

- Hej, chcesz lemoniady? - zapytał nagle Gabe.

- Jasne - odparł Joe, który nagle sobie uświadomił, że wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w ogród, pocąc się na słońcu.

Gabe pomachał do pozostałych.

- Zróbmy sobie przerwę!

Joe patrzył, jak dwadzieścia osób zostawia motyki, grabie oraz rydle i biegnie do domu.

- Niezłą masz tu grupę - zauważył. - Wszyscy pomagają w ogrodzie?

- Oczywiście. Jesteśmy rodziną. Wszyscy pracują.

Joe położył dłoń na ramieniu Gabe'a.

- Ale ty nie musisz pracować. Wszystko jest zapłacone.

Gabe rzucił mu zdziwione spojrzenie.

- Oczywiście, że muszę pracować. Wszyscy muszą coś robić.
To moja praca.

Joe się odwrócił.

- Nie rozumiem tego.

Gabe pobiegł do domu, Joe poczłapał za nim. Musi rozmówić się z Ruby i dowiedzieć się, co się dzieje. Jego comiesięczne płatności pokrywały koszty utrzymania Gabe'a z nawiązką. Więc jeśli jest tak, jak mówi Gabe, gdzie się podziały pieniądze z nagradzanych truskawek? Czy to tylko mrzonka wymyślona przez Ruby, żeby mieszkańcom się nie nudziło? Tak czy owak, kobieta wyraźnie manipuluje naiwnymi podopiecznymi. Joe trzasnął drzwiami siatkowymi gniewnie i wmaszerował do kuchni.

Gabe mył ręce przy zlewie. Ruby siedziała przy stole ze szklanką zimnej lemoniady. Zerknęła na Joego i jej uśmiech znikł.

- Co się stało, Joe?

- Możemy porozmawiać na osobności? - starał się nie warczeć, ale oburzony grymas na twarzy Ruby dał mu do zrozumienia, że się nie udało.

- Pewnie - powiedziała, wstając. Przeszła do biura, pozostawiając za sobą grupę oniemiałych ze zdziwienia robotników. Joe poszedł za nią, czując na plecach ich wzrok.

Ruby zamknęła za nim drzwi i skrzyżowała ręce na piersi.

- O co chodzi?

Joe podszedł sztywno do okna i pomasaował sobie kark dłonią. Przełknął ślinę i starał się mówić cicho:

- Płacę solidne pieniądze na utrzymanie Gabe'a. Oczekuję, że będzie wiódł wygodne i beztrudne życie. - Odwrócił się. - Możesz mi wyjaśnić, dlaczego grzebie w ziemi? Wygląda na to, że myślisz, iż musi na siebie zarobić. Ale oboje wiemy, że to nieprawda.

Ruby przeszła go spojrzeniem.

- Usiądź, Joe. - Wskazała wypchaną dżinsową sofę. Joe prze-myślał jej prośbę, po czym ustąpił. Ruby siedziała naprzeciw niego za lśniącym dębowym biurkiem. Ręce złożyła na schludnym wy-kazie i wyglądała wypisz, wymaluj jak surowa matka. Joe zebrał się w sobie.

- Nie wiesz zbyt dużo o zespole Downa, prawda? - zapytała.

Oskarżenie ubodło go mocno i zacisnął zęby. Jej wzrok nie-malże sprawiał mu ból.

- Pozwól, że ci pomogę. Twojego brata i innych ludzi, którzy tu mieszkają, różni od ciebie tylko jeden chromosom. Myślą, czują, chcą doświadczać wartości i miłości rodziny. Może nie są tacy lotni jak większość ludzi i często zrozumienie pewnych rzeczy przychodzi im z trudem. Ale chcą się czuć częścią Bożego świata jak każdy.

Joe odwrócił wzrok, bo nie mógł patrzeć w jej nieustępliwe oczy. Na szczęście Ruby ciągnęła już łagodniejszym tonem:

- Gabe nie pracuje, dlatego że musi zarobić pieniądze. Pracuje dla własnego dobra. To jego dom. On i inni to rodzina. Polegają na sobie nawzajem i chcą razem zbudować swoje życie. Częścią tego życia jest stworzenie i prowadzenie interesu. Za zarobione pieniądze jeżdżą na wycieczki, ulepszają chatkę, pomagają nawet innym ośrodkom, które nie mają tyle szczęścia, co my. Dzięki temu ogrodowi mogą na sobie polegać. Kierują nim na zmianę. W tym roku Gabe jest kierownikiem.

Joe spuścił głowę, stosownie zbesztany.

- Przepraszam. Nie miałem pojęcia.

Ruby wstała i usiadła obok niego na sofie. Była niczym matka i gniew Joego się rozplątał.

- Joe, Gabe jest bardzo dumny z ciebie i z tego, co osiągnąłeś. Ciągłe o tobie opowiada. Dużo o tobie wiemy.

Mięsień drgnął mu w brodzie, gdy usłyszał jej słowa. Gdyby Ruby wpadła przypadkiem na Monę i podzieliła się z nią swoją

wiedzą, jego krótki postój w Deep Haven, rozpaczliwy plan ewakuacyjny i szansa, by pomóc Monie spełnić jej sny, rozpadłyby się w drobny mak.

- Za to ty nie wiesz zbyt wiele o Gabie - Ruby mówiła dalej.

- Nie wiem, czemu akurat teraz postanowiłeś przyjechać. Ale sądzę, że powinieneś spędzić tu trochę czasu i lepiej poznać swojego brata. Może cię wiele nauczyć, jeśli będziesz na to otwarty.

- Powiniennem odwiedzać go częściej - wymamrotał.

- Tak, powinieneś - zgodziła się. Prawda wypowiedziana na głos go zabolęła. - Ale teraz jesteś tutaj i to się liczy. Poza tym wydaje mi się, że Gabe rozumiał twoją długą nieobecność i to, dlaczego zjeździłeś cały świat, a tutaj nie zajrzałeś.

Joe zmarszczył czoło.

- Jak to?

Ruby wzruszyła ramionami.

- Wasza matka musiała mu wytłumaczyć.

- No tak. - To miało sens.

- Albo ona, albo wasz ojciec.

Joe aż się zachwiał. Czuł się, jakby ktoś go rąbnął.

- Mój ojciec?

Ruby wstała, najwyraźniej nieświadoma, że właśnie zrzuciła na niego istną bombę.

- Tak, zagląda tu kilka razy w roku, regularnie pisze. Nawet dzwoni.

- Mój ojciec? - Joe czuł się oszołomiony i zrobiło mu się słabo.

- Nie odzywał się do mnie, odkąd opuścił naszą rodzinę - kiedy Gabe miał trzy lata.

Ta wiadomość zaskoczyła Ruby. Jej twarz wyrażała konsternację.

- Wayne Michaels odwiedza Gabe'a od prawie czterech lat.

„Cztery lata. Mniej więcej tyle czasu minęło od śmierci mamy”. Joem targał gniew, który pozbawił go zdrowego rozsądku. Mężczyzna skoczył na równe nogi, ciężko dysząc. Musiał mieć

przerażający wyraz twarzy, bo Ruby pobladła, nabrała gwałtownie powietrza i przyłożyła dłoń do gardła.

Joe z impetem otworzył drzwi jej biura i wypadł z domu. Ledwie słyszał głos Gabe'a przez furę, która kotłowała się w jego duszy. Wskoczył do półciężarówki, odpalił silnik z rykiem i odjechał z Ogródu tak szybko, jak się dało.



Mona słyszała, jak samochód zwalnia i podjeżdża do krawężnika, ale nie pozwoliła sobie podnieść wzroku, tylko skupiła się na kopaniu dziury w ziemi. Była wdzięczna, że nikt nie słyszy, jak jej nieposłuszne serce kołacze w klatce piersiowej. Joego nie było przez cztery godziny, a jej buntowniczym emocjom wydawało się, że jego nieobecność trwała pół wieku. Zazgrzytała zębami i uparcie zignorowała szuranie butów na chodniku. Tylko tego jej potrzebowało, żeby pan Włóczykij Michaels widział jej czerwone policzki.

- Masz ochotę iść na pizzę?

Na dźwięk tego głosu puls Mony poszybował w dół. Odchyliła się na piętach, zmiotła pasmo włosów z twarzy i wyprodukowała uśmiech. Dobrze ubrany, elegancki Brian Whitney maszerował po trawniku z szerokim uśmiechem. Starła się nie porównywać go ze wspomnieniem wymiętego i umorusanego Joego. Gość nie ma krzywego uśmiechu - wielkie mi rzeczy. Brian przynajmniej nie wonieje ciężką pracą i nie ma trzydniowego zarostu. Ten apetyczny obraz też odpędziła.

-Wróciłeś! - wykrzyknęła z nadzieją, że Brian nie zauważył wymuszonego entuzjazmu. Wstała, by się przywitać. Wzruszył ramionami.

- To była tylko krótka podróż w interesach.

- Komisja planowania przestrzennego z Deep Haven ma coś do roboty w Duluth?

Jego uśmiech znikł.

- Zbieranie informacji.

Znad jeziora doleciała bryza. Mona dostała gęziej skórki.

- Liza jest za domem - powiedziała, by zapełnić ciszę.

Brian pokiwał głową i przyjrzał się ogrodowi.

- Co sadsisz?

- Piwonie, dalie, mieczyki. A tam będzie rząd nagietków. - Wskazała poletko zrytej ziemi koło płotu.

- Mam nadzieję, że w cztery tygodnie zdążą zakwitnąć - zauważył sucho.

- Zakwitną. - Mona zmarszczyła czoło.

- Jasne. Wiem, że mówiłem, że zabiorę cię w jakieś bardziej eleganckie miejsce, ale pomyślałem, że moglibyśmy wpaść na kolację do Pizzerii Pierre'a. Wymyślna kolacja będzie w przyszłym tygodniu.

Mona ściągnęła robocze rękawice.

- Pizza brzmi dobrze. - Spojrzała na niego surowo. - Ale płacimy pół na pół.

- Dobra, zobaczymy.

Mona pokazała na niego palcem.

- Pół na pół. Idę po Lizę. - Pobiegła za dom.

Z szopy Lizy dobiegało nucenie. Mona oparła się o framugę i patrzyła, jak przyjaciółka układa niewypaloną ceramikę na swoich nowych półkach. Lada dzień z warsztatu Lizy w Minneapolis miała przyjechać dostawa wykończonych, pomalowanych i wypalonych naczyń. Mona jednak wiedziała, że Lizę aż świerzbi, by zabrać się za kawałek gliny. Był to dla niej nie tylko zawód, lecz także sposób na rozładowanie stresu.

- Przyjechał Brian Whitney. Chce, żebyśmy poszły z nim na pizzę.

Liza odwróciła się z figlarnym błyskiem w oku.

- Jesteś pewna, że chce zaprosić nas obie? - Związała sobie włosy jaskraworóżową frotką, miała na sobie czarne legginsy oraz wysadzaną kryształkami bluzę z frędzlami.

- Jestem pewna - Mona zmarszczyła nos - ale nie pojedziemy nigdzie, jeśli się nie przebierzesz w coś mniej... krzykliwego.

Liza przybrała przesadnie urażoną pozę.

- Jak to, nie podobają ci się moje nowe kółka? - Przechyliła głowę, by zaprezentować Monie ucho. Mona popatrzyła na kolczyki, po czym przygryzła usta, by powstrzymać śmiech. Tylko Liza mogła dobrze się prezentować w kołach, z których zwisał tęczowy pstrąg.

- Staram się dostosować do otoczenia.

- Ubierając się w ryby? - głos Mony drżał z uciechy.

Liza się rozpromieniła.

- Słuchaj, uratuję cię przed wieczorem sam na sam z Brianem Whitneyem, ale tylko pod warunkiem, że mogę iść w moim pstrągu.

Mona się zdziwiła.

- Jak to „uratujesz mnie”? Skąd wiesz, że nie chcę mieć Briana tylko dla siebie?

Liza wypchnęła ją z szopy, po czym zaryglowała drzwi.

- Bo wiem, że wolałabyś kogo innego.

Mona ze zdumienia niemal wywróciła się.

-Co?

Liza obróciła się, wzięła Monę pod rękę i poprowadziła ją do domu.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Dużo bardziej wolałabyś remontować werandę albo tłuc karaluchy z miejscowym majstrem.

Mona zdrętwiała.

- Nieprawda. Joe to tylko włóczęga, intruz w moim życiu. Im szybciej wyremontuje dom i stąd wywędruje, tym lepiej.

- Nie umiesz poznać mężczyzny swoich snów, kotku.

- Mężczyzna moich snów to z pewnością nie jest przemądrzały pan złota rączka. Mężczyzna moich snów ma aspiracje i marzenia. Jest inteligentny, troskliwy i czytany. Widziałas, żeby Joe miał książkę w ręku?

Liza pokręciła głową z błyskiem w oku.

- Nie byłam w jego mieszkaniu.

- Ja też nie!

- Może ma w torbie całą masę książek.

Mona przewróciła oczami.

- „Mężczyzna moich snów musi być cierpliwy, pracowity, myśleć o innych, zanim pomyśli o sobie, i musi być chrześcijaninem”

- zacytowała Liza, unosząc podbródek.

- I umieć się otworzyć! - Mona pomachała w powietrzu brudnym palcem. - Joe woli żartować, niż zachować powagę i porozmawiać o swoich prawdziwych uczuciach. Nic tylko się śmieje i wygłupia, jest duszą towarzystwa, ale strzeże spraw osobistych jak ukrytego skarbu. Sto razy bardziej wolałabym Briana „Jestem Najwspanialszym Owocem Deep Haven” Whitneya niż pana Zamkniętego w Sobie Michaela. Brian przynajmniej opowiedział mi o swoim życiu. Joe nie powie mi nawet, skąd pochodzi.

Lizie drgnęła brew.

- Wiedziałam - powiedziała z zadowoleniem.

Mona weszła za nią do domu, podczas gdy para buchała jej uszami. Spostrzegła, jak Brian na zewnątrz przygląda się jej kwiatom. Przez ramię przerzucił płaszcz od garnituru, wyregulowane brwi zmarszczył w wyrazie skupienia. Wydawał się wyrafinowany i stateczny - mężczyzna w sam raz jak na jej listę wymagań. Ale kiedy Brian kucnął, by przyjrzeć się nowym filarom z pustaków, przed oczyma nagle stanął jej Joe; krótkie płowe włosy, szary

T-shirt rozciągnięty na potężnych ramionach i umięśnionej klatce, migotliwe błękitne oczy, w jakiś sposób zdolne zdzierać grube warstwy ochronne z jej serca.

Mona wbiegła po schodach, żałując, że Liza ma zawsze rację.



Joe splótł palce na karku i zwiesił głowę, kucając na plaży. Wszystkie mięśnie miał napięte przez własną głupotę - nie odpoczął odpowiednio po biegu. Nie biegał jednak dla kondycji. Po plaży ścigały go wspomnienia, a Joe zawzięcie starał się wymknąć bólowi, który wydawał się dziś równie żywy jak piętnaście lat temu. Nowina Ruby rozdarła jego blizny, a teraz otwarta, świeża rana pulsowała.

Całe popołudnie jeździł wzdłuż linii brzegowej Jeziora Górnego, szukając pocieszenia w surowym pięknie, które tak dobrze działało na jego duszę w minionych latach. W końcu skapitulował i wrócił do Progu w nadziei, że pogrąży się w pracy fizycznej.

Przyjechał akurat, kiedy Mona wsiadała do czarnej jak noc hondy Briana Whitneya. Starał się nie zwracać uwagi na ukłucie bólu, gdy odjeżdżali.

Pierś unosiła mu się w nierównym oddechu. Pot spływał po plecach strumieniami. Gniew szalał w jego duszy, jakby był osobną istotą. Wayne Michaels - słaby i niewytrwały dezertier oraz niszczyciel - wrócił do życia Gabe'a. A Joe akurat myślał, iż pogrzebał wspomnienia tak głęboko, że nigdy nie wydostaną się na powierzchnię.

Joe wbił pięści w oczy. Przeszłość odżyła; każde gniewne, krzywdzące słowo ojca odbijało się echem od fal, które rozbijały się o brzeg. W spienionych kroplach zimnej wody ponownie czuł swoje lzy, a krzyki mew były głosem jego złamanego serca. Przede wszystkim zaś w przenikliwym wietrze czuł ścisk poczucia winy. Zadrżał, chowając głowę między podciągniętymi kolanami.

Nigdy nie zapomni ryku silnika mustanga, kiedy ojciec odjeżdżał, ani wyrazu twarzy matki, wijącej się we łzach w kuchni z grymasem bólu na twarzy. Po odejściu ojca była taka delikatna, wiecznie zmęczona długimi zmianami w pracy w szpitalu. Joe tymczasem opiekował się Gabe'em.

Gabe. Wymarzony młodszy braciszek. Paradoks jednoczesnej miłości i nienawiści do młodszego brata namieszał Joemu w głowie. Nie wiedział, wobec kogo ma być lojalny. Po odejściu ojca czuł się uwiązany do Gabe'a, zmuszony wszędzie targać ze sobą nienormalnego młodszego brata i bronić go przed atakami. W wieku osiemnastu lat Joe wyzwolił się z tych więzów i odszedł. Tak samo jak ojciec. Ale myślał, że jest lepszy od tego, który z nich zupełnie zrezygnował. Joe przynajmniej łożył na utrzymanie, oglądał się za siebie, od czasu do czasu zaglądał do Gabe'a.

Dlaczego ojciec wrócił do Gabe'a? Nie miał prawa się wtrącać po tylu latach. Nie zasługiwał na drugą szansę.

Joe jęknął. A co, jeśli Wayne Michaels wniknął w życie Gabe'a, żeby mieć dostęp do Joego? Żeby dobrać się do rodzinnej sakiewki i przekonać się, czy by się nie dało położyć na czymś łapy? Na myśl o tym Joemu zrobiło się niedobrze. Długie lata zacierania po sobie śladów może zniweczyć jeden dobrze wymierzony telefon.

Nie, Wayne Michaels pisuje do Gabe'a a od czterech lat. Gdyby chciał namącić w życiu Joego, już dawno by to zrobił.

Mimo to gorące pragnienie ucieczki zalało Joego i niemalże wprawiło jego stopy w ruch. Musiał stąd wyjechać. Patrzył w szybko ciemniejące niebo i ze swojego miejsca na skałach nie widział innego wyjścia. Kilka gwiazd mrugało słabo.

Z żalu boleśnie ścisnęło go w gardle. Skoro wyjeżdża, będzie musiał porzucić Monę. Nie chciał nawet myśleć o tym, co to znaczy w kontekście jego przyszłości. Ostatnia szansa na ocalenie wyślizguje mu się z rąk.

Od obydwu perspektyw ścisnęło mu się serce.

- Joe? - Mona pojawiła się nagle jak widmo. Joe zamrugał oczami w zaskoczeniu. Uśmiechnęła się i położyła mu dłoń na ramieniu delikatnie. - Nic ci nie jest? Wyglądasz blade.

Joemu zabrakło słów. Pokręcił głową. Mona zmarszczyła brwi, a w jej zielonych oczach odmalowała się troska.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Jej głos był tak czuły, że Joe prawie się rozplakał. Pokręcił głową jeszcze raz.

Przyglądała mu się chwilę, po czym i tak usiadła przy nim. Zaczęła przebierać w kamieniach.

- Zostawiłam ci kawałek pizzy.

Przełknął ślinę, odchrząknął i zmusił się do uprzejmości mimo agonii.

- Jakiej?

- Z szynką, zieloną papryką i pieczarkami.

- Dzięki. To moja ulubiona.

Mona spojrzała na niego dziwnie.

- Brian jej nie znosi. On i Liza zjedli pizzę z pepperoni. - Jeszcze chwilę grzebała w kamykach, po czym zapatrzyła się w niebo. Wiatr szumiał wśród drzew i brzmiał z oddali jak wodospad.

Joe nie próbował zapełnić ciszy. Zamiast tego szukał odpowiednich słów, by powiedzieć Monie, że musi wyjechać.

- Powiedziałam im, że chcę się przejść - odezwała się w końcu.

- Wiesz, zew gwiazd. - Zerknęła na niego, a Joe zobaczył tańczące w jej oczach iskierki. Odwrócił wzrok i popatrzył drętwo na jezioro. Słońce rozpałiło na horyzoncie szkarłatny płomień i pomalowało Jezioro Górne płomienną czerwiecią.

Zamknął oczy, zmagając się z ukłuciami bólu. „Boże, dlaczego? Dlaczego życie jest takie trudne?” Właśnie teraz, kiedy chciał zostać, kiedy otworzył serce dla Mony i jej marzeń, kiedy znalazł nadzieję w rozpacz - instynkt samozachowawczy kazał mu uciekać.

Ale czy kiedykolwiek było inaczej? Joe Michaels, założyciel stowarzyszenia „ratuj siebie”. Ekspert w dziedzinie uniku, posiadacz patentu na „pakuj się i wuj”. Dlaczego raz w życiu nie mógł zebrać się na śmiałość i stanąć twardo w miejscu?

Najkrótsza odpowiedź? Gabe. Wszystko sprowadzało się do brata. Nawet teraz to z powodu Gabe'a przeszłość zjawiała się jak upiór. Joe poczuł wzbierające łzy i przycisnął powieki kciukiem i palcem wskazującym, by je powstrzymać.

- Próg powoli staje na nogi - zauważyła Mona, nieświadoma, jakie emocjonalne potyczki toczą się tuż obok niej. ~ Dzisiaj posadziłam kwiaty. Jutro pomaluję parapety. Ernie z kręgielni powiedział, że mogę sobie wziąć jego stary bar. On instaluje nowy. Pomyślałam, że to będzie świetne miejsce do serwowania kawy.

- Gdy słowa Mony płynęły, jej obecność dziwnie uspokajała Joego. Stopniowo się rozluźniał, skupiając się na jej planach. Paląca potrzeba ucieczki opadła.

- W poniedziałek przychodzi człowiek do szlifowania podłogi. Odświeżę parkiet, a potem dam ze dwie warstwy lakieru. Dzisiaj przyszły też moje tapety. Położę je w przyszłym tygodniu.

Kipiała pomysłami i łatwo było się nimi zapalić. Jej łagodny głos, włosy rozwiane na wietrze, subtelna woń bzu ukoiły jego serce w sposób, który wydawał się naturalny i bezpieczny. Siedziała nieco przed nim, więc Joe mógł obrzucić wzrokiem jej elegancki profil. Uśmiechała się od czasu do czasu, gdy marzenia ją cieszyły, i zerkąła na Joego przez ramię. Raz spojrzął jej prosto w oczy i poczuł, jak jej siła i dobroć otulają go jak koc. Serce na nowo wezbrało, doznając jej bezinteresownej przyjaźni. Była damą, dla której chciał tutaj zostać. Być może jej marzenia były tak wielkie, że obojgu uda się za nimi schronić.

Mona przerwała monolog, by rzucić kamień do wody. Odbił się dwa razy, po czym zanurzył się w spokojnej toni.

Joe w milczeniu pogrzebał w ziemi palcem wskazującym i wyciągnął płaski kamyk, po czym pobił jej kaczkę o dwa odbicia.

Odwróciła się i zmarszczyła czoło, patrząc na niego z błyskiem w oku.

- Podskakujesz mistrzyni puszczenia kaczek.

Uśmiechnął się nieznacznie. Znalazł kolejny kamyk, skoczył na nogi i puścił go po tafli jeziora. Usłyszał stukot spadających kamieni, gdy Mona również wstała. Liczył na głos, mówiąc coraz głośniej:

- ...Siedem, osiem, dziewięć... dziesięć!

Zrobiła żartobliwie groźną minę. Przykucnęła w poszukiwaniu płaskiego kamienia.

- Daruj sobie, Mona. Jestem mistrzem.

- Nigdy. Wrzuciłam do tego jeziora więcej kamieni, niż ty w życiu widziałeś.

- Ha! - Joe kucnął przy niej. Kamienie lśniły kolorami: opalowo, rubinowo, szaro i bursztynowo. Znalazł idealnie okrągły, gładki kamyk w kolorze platyny, który Bóg stworzył specjalnie po to, by puszczać nim kaczki. Joe podrzucał go, czekając na rzut Mony.

Mona stanęła na równe nogi, obrzuciła go drapieżnym spojrzeniem, zgięła się nisko i cisnęła kamień. Jej odliczanie przerwało okrzyki mew.

- ...czternaście... piętnaście! - Uniosła ręce triumfalnie. - Spróbuj pobić ten wynik!

Joe się uśmiechnął na widok rozkosznego wyrazu satysfakcji na twarzy Mony.

- Tylko popatrz - droczył się z nią. Wyrzucił kamień z taką siłą, że trzasnęło mu w nadgarstku. Osłonił oczy rękoma i patrzył, jak kamyk przecina wodę. - Dziesięć, jedenaście, dwanaście... - Kamyk wciąż poruszał się dziarsko, ale statek warkoczący w oddali wzbudził fale na wodzie. Joe zobaczył, jak tworzy się olbrzymi bałwan, który lada moment pożre jego kamień.

Mona podjęła liczenie:

- ...trzyście... czternaście! Już po sprawie, a Mona Reynolds zgarnia mistrzostwo! - Zakręciła się zwycięsko.

Joe skrzyżował ręce i walczył z narastającym pragnieniem, by wziąć ją w ramiona i zatańczyć do jej melodii. Twarz rozjaśniała jej radość, a oczy lśniły, rozpalając w nim ciepły blask. Wyrzucił ręce w górę.

- Dobra, przyznaję, zostałem pokonany. Ale pod jednym warunkiem.

Mona zatrzymała się i wsparła dłonie na biodrach.

- Żadnych warunków, wygrałam uczciwie.

- Moja kaczka jak nic odbiła się dwadzieścia razy, gdyby nie przeszkody.

- Taki los. Puszczanie kaczek to również umiejętność wybrania odpowiedniego momentu. Trzeba wiedzieć, kiedy się wstrzymać, a kiedy rzucać.

- Musisz dać mi szansę na rewanż.

- Jak? - Mona zadarła podbródek z płonącym wzrokiem.

- Będziemy się ścigać przez Devil's Kettle.

Mona się zachnęła:

- Chyba żartujesz.

- Nie. Znam dobre miejsce nad Devil's Kettle, gdzie da się przejść, jeśli umie się zachować stabilność i równowagę.

- Na drugie imię mam „równowaga” - odparowała Mona, unosząc złocistą brew.

- Jasne, a ja „stabilność”.

Słowa zawisły w powietrzu, jakby uderzyły równocześnie ich oboje. Jej rozpaczliwie brakowało równowagi, bo obsesyjnie snuła swoje jedno marzenie. On wałęsał się jak włóczęga, z miasta do miasta, unikając kłopotów, prowadząc życie zupełnie niestabilne. Jej uśmiech znikł, a światło w oczach przygasło.

- Przepraszam - wymamrotał.

Mona oplotła się ramionami.

- Masz rację. Być może moja idea mnie opanowała. Ale tak musi być. Bóg mi ofiarował tę jedną szansę i muszę dać z siebie wszystko. Nikt inny się nie przyłączy i nie będzie walczył o moje marzenie. - Odwróciła się, gotowa iść do domu. Joe złapał ją za łokieć. - Joe, słuchaj, możliwe, że obudzę się jutro rano, a ciebie nie będzie. Wiem...

- Nie odejdę, Mona. Póki nie przestanę ci być potrzebny. - Własne słowa walnęły go obuchem, bo eksplodowały z miejsca, którego nie udało mu się jeszcze okiełznać. Ale jaki dała mu wybór? Czuł się zupełnie bezsilny, patrząc w jej udręczone zielone oczy. Sięgały one w głąb do miejsca, o którego istnieniu nawet wcześniej nie wiedział, i wymuszały obietnice, których zapewne nie uda mu się spełnić. Powtórzył, jakby chcąc przekonać samego siebie: - Nie odejdę.

Odwróciła się z impetem, a na jej twarzy zobaczył dokładnie to, czego potrzebował: nadzieję, determinację i coś jeszcze, coś nieuchwytnego. Potem wbiła w niego wzrok pełen desperacji, torujący sobie drogę prosto do serca Joego.

- Nie zmuszaj mnie, bym zaczęła na tobie polegać, Joe. Nie zniosę, jeśli ktoś kolejny raz złamie mi serce. - Odwróciła się i zbiegła z plaży.

Joe patrzył, jak się oddala. Miał nadzieję, że obietnica, którą złożył, nie zatrzyma go w mieście na tyle długo, by Wayne Michaels albo ktokolwiek inny, kto czai się na obrzeżach jego życia, zdmuchnął piękny domek z kart, który Joe zbudował.



Joe rozłożył ramiona, a Rip rzucił się na niego z impetem. Przewróciwszy mężczyznę na ziemię, labrador zacałował go jak cudem odzyskaną miłość. Joe się roześmiał, odepchnął Ripa i podniósł się z ziemi. Gabe uśmiechał się, jakby teraz była jego kolej. Joe wyciągnął ręce i uściśnął brata.

- Jeszcze raz dziękuję, że zaopiekowałeś się Ripem, Gabe.

Ruby stała za podopiecznym niewzruszona i ze skrzyżowanymi ramionami.

- Następnym razem nie uciekaj tak szybko. Może się okazać, że twoje problemy łatwiej rozwiązać, zostając na miejscu.

Joe zignorował docinek. Ewidentnie jeszcze nie zdała sobie sprawy, że to właśnie jego tak zwane uciekanie pozwala im uniknąć kłopotów. Uśmiechnął się wymuszenie.

- Dzięki, że się wszystkim zajęłaś.

Przyjęła jego dwuznaczną wdzięczność, kiwając lekko głową. Nie zaskarbił sobie wczoraj niczyjej sympatii, kiedy tak gwałtownie wybiegł, ale dziś cały ranek kopał grządki truskawek, a potem pogadał sobie z Gabem w cztery oczy, więc Ruby nieco zmiękła. Unikał wprawdzie tematu ojca, ale udało mu się szczerze przeprosić Gabe'a, który przebaczył mu z uśmiechem i serdecznym uściskiem. Ta bezinteresowna reakcja nappełniła Joego wstydem.

Ruby odezwała się cieplejszym tonem:

- Wracaj szybko, Joe.

Kiedy wyjeżdżali z Ogrodu, Rip wydał z siebie powolny skowyt. Joe pogłaskał psa.

- Wreszcie znalazłeś dom, Rip?

Twierdzące szczeknięcie otwarło w duszy Joego ropiejącą ranę.



Mona podlewała właśnie kwiaty, kiedy Joe zajechał przed dom. Skrzywiła się i zamachała dłonią przed nosem, jak gdyby spaliny z jego półciężarówki psuły powietrze. Joe uśmiechnął się szeroko i podszedł do niej, wymachując kluczykami.

- Jedziemy! - zawołał. Mona zmarszczyła czoło.

- Dokąd?

- Do Devil's Kettle, pamiętasz?

- Myślałam, że żartujesz. Nie, mam za dużo pracy. Muszę pomalować parapety, a ty ciągle jeszcze musisz załatać dziurę w moim suficie. - Odwróciła się i skierowała strumień węża ogrodowego na sadzonkę topoli.

Joe pokonał podjazd dwoma wielkimi susami, objął ją jedną ręką, a drugą złapał węża.

- Nic się nie dzieje. A ty tchórzysz.

Idealnie pasowała do niego w tym niezobowiązującym uścisku. Nagła chęć wtulenia twarzy w jej włosy i poczucia aromatu jej gładkiej skóry sprawiła, że serce zabiło Joemu szybciej. Wziął głęboki, uspokajający wdech i zadowolili się iskierkami w jej zielonych oczach.

- Nie tchórzę. Mam dużo roboty.

- Dobra - powiedział filuternie - to przyznaj, że wygrywam walkowerem.

Z przyjemnością by się schował na cały rok w jej rozdziawionej ze złości buzi.

Skapitulowała i podniosła rękę, przekazując mu węża.

- OK, mądrało, pojedę do Devil's Kettle, jeśli skończysz za mnie podlewać i obiecasz, że jutro po południu naprawisz sufit.

Sklonił się nisko.

- Wedle życzenia, moja pani.

Mona przewróciła oczami, ale widział, że tłumi uśmiech. Pognęła do domu.

- Daj mi się przebrać.

Jego zdaniem jej sprane dzinsy i bluza Uniwersytetu w Minnesocie wyglądały całkiem nieźle.

Zniknęła we wnętrzu domu, a Joe skoncentrował się na sadzonce. Mona przyzwyciężyła się spała z tym sadzeniem - oczywiście sama. Pewnego dnia topola zacięni podwórze, a pod drzewem będzie można postawić stół i krzesła ogrodowe. Albo mógłby Monie zbudować parę drewnianych foteli oraz stół piknikowy.

Rzeczywistość poraziła go jak zimny powiew. Nie spędzi tu tyle czasu, by być częścią jej przyszłości. Ale jeśli Gabe wciąż będzie mieszkać w Ogrodzie, może Joe przyjedzie z wizytą. Na myśl o tym zaczął nucić.

Melodię przeciął trzask zamykanych drzwi od samochodu. Joe obrócił się i piosenka zamarła. Brian kroczył w stronę domu z głupawym uśmiechem na twarzy, ubrany jak motocyklista w czarną skórzaną kurtkę i równie czarne dzinsy. Joemu przemknęło przez myśl, czy ma na sobie do kompletu czarny T-shirt. Brian zauważył Joego i jego uśmiech przygasł.

- Cześć Joe.

- Brian - odparł Joe.

Brian wszedł za bramę i podszedł niespiesznie do sadzonki.

- Ładny klon.

- To topola.

- No tak. - Brian wsadził ręce do kieszeni. - Widziałeś Monę?

Joe się zjeżył.

- Mona jedzie ze mną do Devil's Kettle.
- Serio? Dawno tam nie byłem. Może się z wami zabiorę.

Joe zmrużył oczy podejrzliwie. Miał właśnie przywalić parę powodów, dla których Brian nie był odpowiednio ubrany na wspinaczkę przez dziki las, gdy nagle z podwórza dobiegły krzyki. Rozległ się rozdzierający trzask, a potem ciche szczekanie Ripa nałożyło się na gniewne pokrzykiwanie Lizy.

- Wygląda na to, że masz kłopoty - zauważył Brian cierpko.

Joe powstrzymał impuls skierowania węża ogrodowego na niego.

- Lepiej sprawdź, co się dzieje.

Joe niechętnie rzucił węża na korzenie.

- Możesz zakręcić wodę?

Brian pokiwał głową z błyskiem humoru w oczach. Joe za-grzytał zębami i pognał na podwórze.

Liza trzymała Ripa za sierść na karku. Jej oczy płonęły, a Joemu wydało się, że z jej uszu bucha autentyczny dym.

- Ten twój kundel zniszczył właśnie wyniki całodniowej pracy! Trzymaj go z daleka od mojej szopy!

Joe skrzywił się i sięgnął po Ripa.

- Przepraszam, Lizo. Uwięzę go.

Oczy jej rozbłyły.

- Jeśli jeszcze kiedyś złapię go w mojej szopie, to coś z niego ulepię!

Joe pokiwał głową i zaciągnął Ripa do drzwi od strony werandy. Pogroził psu, warcząc cicho, po czym wszedł do środka poszukać sznura. Znalazł sznur na stosie gruzu i śmieci przy tylnych schodach, przywiązał go psu do obroży, zrobił ciasny węzeł, a drugi koniec przymocował do poręczy.

- Rano kupię ci smycz - uspokoił zwierzę. - Do tamtej pory siedź tu. - Rip położył się na ziemi i schował pysk pod przednią łapą. Joe podrapał go za uchem.

- A teraz chodź tu i pomóż mi posprzątać! - rozkazała Liza.

Joe poczłapał do szopy. Liza zamiotła już betonową podłogę, gdzie twarde, krągłe skorupy ceramiki leżały jak czekoladowe wstążki. Podała mu worek na śmieci.

- Trzymaj - poleciła, zmiatając rozbite naczynia na łopatkę i wrzucając je do worka.

- Jak to się stało?

Rzuciła mu miążdzące spojrzenie.

- Poukładałam sobie miski na tych koziołkach do piłowania, a Rip wparował tutaj i potrącił półkę.

Joe zerknął na koziołki.

- Zrobię ci prawdziwą półkę, Lizo.

Liza przerwała sprzątanie i przyglądała mu się krótką chwilę, wsparłszy łopatkę na biodrze.

- OK, kolego, ty mi zrób półkę, a ja wybaczę twojemu kundlowi.

Joe uśmiechnął się szeroko.

- Zrobi się.

- I - dodała - powiem ci, co zrobić, żeby Monie zmięknęło serce.

Joe prawie upuścił worek.

- Co takiego?

Szczery śmiech rozpromienił twarz Lizy.

- Wy dwoje jesteście siebie warci!

Joe związał rogi worka i przerzucił go sobie przez ramię, po czym zwiął.



Mona stała w oknie i patrzyła, jak Joe taszczy śmieci z szopy Lizy. Wciąż nie mogła dojść do siebie po jego krótkim uścisku

- jeśli w ogóle można to było tak nazwać. Było w nim coś, co ją przyciągało, sprawiało, że puls przyspieszał, a kolana się pod nią ugiwały.

Usiadła na łóżku i ukryła twarz w rękach. Nie mogła sobie pozwolić na to, by stracić z oczu cel. Miała nieprzekraczalny termin i mnóstwo pracy do wykonania. Nie miała czasu na tańce godowe - zwłaszcza z mężczyzną, którego dni z nią były policzone.

Wyrzucając jego obraz z umysłu, zagrzebała się w szafie i wydobyla parę czystych lewisów, biały T-shirt oraz wiatrówkę. Pod łóżkiem znalazła buty trekkingowe oraz parę brudnych skarpetek. Po powrocie do domu będzie musiała zejść do piwnicy i zrobić pranie. Modliła się, by pralka, którą zostawił poprzedni właściciel, była sprawna. Jeśli nie, to może Joe będzie umiał ją naprawić.

„Tchórzysz”. Wzdrygnęła się, słysząc w pamięci echo jego głosu. Jego błękitne oczy szkodziły jej zdrowemu rozsądkowi. Co ona wyprawia - bierze wolne, że wspinać się do Devil's Kettle?

W minionych latach bywała na szlaku do Devil's Kettle z ojcem. Pewnego razu wrzucili do wodospadu kłodę i patrzyli, jak pędzi w dół, by wreszcie spaść do Devil's Kettle - wirującej masy skały i granitu w kształcie dzbanka. Kłoda nie wypłynęła na powierzchnię - według miejscowej legendy Devil's Kettle połyka wszystko, co się tam znajdzie. Wspomnienie wywołało dreszcz. Może ta wyprawa to nie jest najmądrzejszy pomysł.

Wyrzała przez okno na lazurowe niebo, kłębiące się, białe obłoki i doszła do wniosku, że jej lęki są nonsensowne. Piesza wędrówka dobrze jej robi. Śpiewająca między sosnami bryza zawsze miała na nią uspokajający wpływ, a trochę dystansu od obsesyjnego myślenia o domu zdecydowanie jej się przyda. W końcu ma dość czasu, by ukończyć wszystkie naprawy. Dzień w lesie, gdzie będzie mogła przypomnieć sobie o Boskiej kreatywności, jawił się jako przyjemny balsam na jej przepracowane, zamartwiające się serce.

Ale dzień sam na sam z Joem? Na myśl o tym poczuła nerwowe drżenie wzdłuż kręgosłupa. Jego uśmiech urzekał, a głośny

śmiech upajał. Zbyt wiele czasu w jego towarzystwie może ją od niego uzależnić i ją rozproszyć.

Mona zawiązała buty, po czym sfrunęła po schodach.

- Liza! - zawołała z półpiętra. Przebiegła truchtem kuchnię i wypadła na zewnątrz tylnymi drzwiami. Rip skoczył ku niej z takim zapałem, że prawie urwał sobie głowę. Mona uskoczyła w tył, po czym zbliżyła się do psa i przykucnęła przy nim.

- Co ci się stało? - Przyjrzała się sznurowi wokół jego szyi.

- Stoi w kącie. - Joe z brzękiem zamknął metalowy kosz na śmieci i podszedł do niej. - Zniszczył Lizie trochę garnków.

- Otóż to! Teraz będę musiała cały dzień robić je od nowa. - Liza z impetem szła w stronę domu, utkwivszy ciemne oczy w Ripie.

- Ale Joe się zgodził zbudować mi półkę do suszenia, więc nie jest zupełnie źle. - Mrugnęła do Joego z psotnym wyrazem twarzy.

Mona zerknęła na mężczyznę. Czy on się czerwieni? Dziwne uczucie ścisnęło jej serce. Zazdrość? Rozproszyła je, kręcąc głową, i wstała.

- Przykro mi, Lizo. Nie dziś. Joe i ja wybieramy się na wycieczkę, a ty jedziesz z nami! - Uśmiechnęła się do przyjaciółki z nadzieją i dodała: - Proszę?

Mona zwróciła uwagę na minę Joego. Nie wydawał się zadowolony.

- Liza też potrzebuję odpoczynku, Joe.

Złapał się za kark.

- Pewnie, że potrzebuje. - Uśmiechnął się wymuszenie. - Chodź z nami, Lizo - powiedział głosem wyzbytym z entuzjazmu.

Liza przyjrzała się im dwojgu, mrużąc oczy.

- Nie wydaje mi się...

- Chodźmy! - przerwał jej gładki tenor. Mona obróciła się i zobaczyła, jak Brian Whitney idzie w ich kierunku. Jego doskonały, śnieżnobiały uśmiech kontrastował mocno z czarnym, skórzanym wdziakiem.

Mona zauważyła radość, jaka rozbłysła na twarzy Lizy, przyszedł jej więc do głowy pewien pomysł.

- Brian, wybierasz się z nami? - zapytała słodko.

Brian wsadził ręce do kieszeni.

- Chętnie. Dawno nie byłem przy Devil's Kettle, a w takim urodziwym towarzystwie to nigdy.

Mona przewróciła oczami, a Liza uśmiechnęła się promiennie. Joe odchrząknął.

- Czy ja też się zaliczam do tego „urodziwego” towarzystwa? - Uśmiechał się filuternie, ale Mona wykryła w jego wzroku ślad irytacji. Zwróciła się do Briana:

- Jesteś zdecydowanie zaproszony. Chodźmy. - Popatrzyła na przyjaciółkę. - Liza?

Liza pokiwała głową z uśmiechem, który zdradzał jej uczucia.

- Przebiorę się. - W podskokach pognała do domu.

Mona pogłaskała Ripa po łbie. Jego ogon z hałasem obijał się o ścianę domu.

- Zabieramy ze sobą tego łobuza?

Joe nie popatrzył jej w oczy, ale przykucnął koło psa.

- Potrzebuję jak najwięcej przyjaciół - wymamrotał, odwiązując sznur.



Promienie słońca delikatnie przenikały przez gęste listowie. Mona zachwycała się pieśnią sosnowo-brzozowego lasu - szepcetem łagodnego wietrzyka, który muskał drzewa, stukaniem dzięcioła i szczebiotem strzyżyka gniazdującego w wysokich topolach. Zapach żywicy i mchu przepływał przez nią jak oczyszczający oddech.

Mona często przystawała na ścieżce tylko po to, by wciągnąć do płuc aromat lasu. W oddali rozbrzmiewał ryk wodospadu - przyzywał i obiecywał zapierający dech w piersiach widok

wspaniałego Bożego stworzenia. Jakieś dziesięć kroków przed nią Joe przemykał przez las w milczeniu. Być może również rozkoszował się spokojem.

Brian i Liza zostali nieco z tyłu, pogrążeni w rozmowie. Joe spuścił Ripa, którego szczekanie dawno temu zaginęło w listowiu. Mona pokonała ostatnie strome podejście z większą zadyszką, niż by sobie życzyła. Gdy dotarła na szczyt, szlak się przed nią rozszerzył, a poniżej, jakieś piętnaście metrów przed nią, ryczał dziki i potężny wodospad Devil's Kettle.

Mona oparła się na grubo ciosanej barierce i wyjrzała za nią. Były tu inne wspaniałe miejsca widokowe, zarówno nad wodospadem, jak i z mostu, który mijali, idąc w górę, ale z tego punktu rozpościerał się widok na ujście Devil's Kettle, gdzie wyżłobiony granit pochłaniał wodę i wszystko, co się w niej znalazło. Mona zadrzała, przeżywając na nowo uczucia z dzieciństwa.

- Robi wrażenie, co nie? - Joe wsparł się na słupku. Skrzyżowane ramiona miały jego flanelową koszulę w zielono-granatową kratę. Mona odwróciła się i pokiwała głową. Policzki pokrywał mu lekki rdzawy zarost, który otaczał ciepły uśmiech, a w oczach błyszczała radość. W dziczy zdecydowanie był w swoim żywiole.

Uśmiech Joego przygasł. Z oczami wbitymi w ziemię grzebał w ziemi czubkiem zdartego buta.

- Mona, tak sobie myślę... może dziś to nie najlepszy moment, żeby ścigać się przez rzekę. Poziom wody wydaje się wyższy niż zwykle i to pewnie niebezpieczne.

- Co? - Mona położyła ręce na biodrach z udawanym oburzeniem. - Zamierzam ci udowodnić, że kobiety nie tylko puszczaają kaczki lepiej niż mężczyźni, ale potrafią też chodzić po wodzie!

Joe uśmiechnął się łobuzersko, tak że jej żołądek zrobił salto.

- No tak - powiedział. - Zawsze możesz zmienić zdanie. Zgodzę się na rewanż.

- Nic z tego - odparła Mona. - Prędzej popłynę, niż dam ci wygrać.

Uniósł brwi, a oczy rozblęły mu, jakby ten pomysł mu odpowiadał. Mona zrobiła do niego brzydką minę. Nie bawiła się z facetem tak dobrze, odkąd... Och, gwoli prawdy - nigdy.

- Kto idzie popływać? - Pojawiła się Liza, która zaraz się pochylała i złapała za kolana, ciężko dysząc.

- Nikt - odpowiedział Joe, wbijając wzrok w oczy Mony. Przesłali się przekomarzać i zapanował między nimi poważniejszy nastrój.

Mona odwróciła się do Devil's Kettle. Przez chwilę zastanawiała się, czy wodospad rzeczywiście połyka ludzi, a jeśli tak, to dokąd ci ludzie trafiają.



- To nic wyjątkowego! Myślałam, że chcesz, żebym zrobiła coś niebezpiecznego. - Mona zamaskowała uśmiech, a w oczach Joego dojrzała ślad irytacji.

Spojrzała jeszcze raz na kamienie w dnio rzeki, aby ocenić ich solidność. Znajdowali się wysoko ponad Devil's Kettle - prawie kilometr. Kamienie wyznaczały przejście w takim miejscu rzeki, gdzie woda sięgała do kolan. Jakies osiem metrów od miejsca, w którym przycupnęła Mona, wąski wodospad z sykiem opadał mniej więcej pięć metrów do ulokowanej poniżej niecki. U stóp wodospadu rzeka nabierała tempa i z rosnącą prędkością pędziła po głazach i ustępach, by wlać się w Devil's Kettle. Na myśl o tym Mona zacisnęła zęby, ale nie miała zamiaru dać Joemu wygrać. Jego frustracja była na to zbyt rozbrajająca.

Mona wstała.

- No to jak to rozegramy?

Joe podrapał się po brodzie.

- Nie wiem. Wciąż nie jestem przekonany, czy to bezpieczne.

- Teraz to ty tchórzysz.

Joe się odwrócił i zaczął się jej przyglądać. Na jego zmartwiony wyraz twarzy odpowiedziała ponurą miną. Wzruszył ramionami.

- OK. Wygrałaś. Będziemy się ścigać przez rzekę. Ale trzymam cię za słowo - bez pływania. - Uśmiechnął się, ale oczy nadal miał zmartwione.

- Bez pływania, słowo. - Mona uniosła trzy palce.

- OK. Powoli liczymy do dwudziestu. Zanim skończy się odliczanie, musisz przejść na drugi brzeg rzeki i wrócić.

- Bułka z masłem! - Mona odwróciła się, zacierając ręce.

- Poczekaj. Ja pobiegnę pierwszy, żeby sprawdzić kamienie. Minęło trochę czasu, odkąd to robiłem. - Mona zrobiła krok wstecz i zmrużyła oczy. - Proszę cię? - Wzruszyła ramionami i wyciągnęła ręce.

- Proszę bardzo.

Joe zgarbił się i zmierzył trasę wzrokiem. Liza z szerokim uśmiechem na twarzy usiadła na skale. Silny podmuch wiatru niemal zwał Joemu czapkę z głowy - mężczyzna zaczął się wiercić, żeby ją przytrzymać. Mona się roześmiała.

- Tańczysz, Joe?

Rzucił jej groźne spojrzenie, ale zaraz zdradził się uśmiechem. Potem się obrócił i skoczył na pierwszy kamień. Wylądował na wielkim, krągłym głazie i złapał za krawędź, żeby nie spaść.

- Woda jest zimna! - zawołała Mona.

Wstał, chwiejąc się, i przebiegł po rzędzie małych kamieni, ledwie muskając powierzchnię wody. Wyglądał jak baletnica, gdy tak tańczył na paluszkach nad wodą, i Mona musiała zacisnąć dłoń na ustach, żeby powstrzymać wybuch śmiechu. Zupełnie przy tym zapomniała o liczeniu. Na koniec Joe zrobił ogromny sus na długi, płaski kamień. Wylądował pewnie i podskoczył trochę koło krawędzi kamienia.

- OK, panie mądraliński, to teraz wracaj! - zawołała Mona.

- Nie zapomnij liczyć!

- Jeden! - Mona zawyla przez rzekę. Liczyła bardzo szybko, tłumiać radosny chichot.

Joe dotarł do powrotu, zanim doliczyła do dziesięciu.

- Teraz twoja kolej - powiedział do Mony, opierając ręce na kolanach. Oczy błyszczały mu wyzywająco. Ten widok rozpałił w sercu Mony determinację, by wygrać, a szkoda mówić, jak zadziałał na jej tętno.

- Nie! - przerwał im głos Briana. - Teraz ja.

Zanim Mona zdążyła zaprotestować, Brian wskoczył na pierwszy głaz. Jego lśniące czarne buty nie nadawały się do chodzenia po śliskich kamieniach. Mona skrzywiła się, widząc, jak zanurza stopę w wodzie. Przemieszczał się po kamieniach niezdarnie, a zanim dotarł na drugi brzeg, spodnie miał mokre do ud. Niezrażony, wszedł na płaski kamień i pomachał do nich jak gwiazda filmowa. Mona zwróciła uwagę, że Liza odmachala jak fanka w ekstazie.

- Poczekam tu, aż Mona przejdzie! - zawołał Brian. - Przyślijcie ją.

Twarz Joego znowu przybrała zmartwiony wyraz.

- Daj spokój, Joe. Wychowywałam się tutaj. Nie utopię się.

- No to dawaj, Kaczuszeko - powiedział z wymuszoną lekkością i założył czapkę.

Mona stanęła na brzegu, rozhuśtała się i wskoczyła na okrągły głaz. Był wyższy, niż się jej wcześniej wydawało, i musiała wbić palce w boki skały, walcząc z chwilowym przerażeniem. Udało jej się jednak wspiąć na wierzch i przyjrzała się pozostałym kamieniom. Żaden z nich nie wydawał się wystarczająco solidny, by długo ją utrzymać. Woda muskała dwa z nich i moczyła ich krańce ostre niczym maleńkie czarne ostrza.

Mona usłyszała, jak Joe krzyczy:

- Trzy!

Przełknęła ślinę i skoczyła.

Rzeka liznęła ją po stopach, kiedy Mona biegła na drugi brzeg, ale kobieta nie ustawała, a brzeg zbliżał się szybko. Jeszcze dwa głązy i ostatni sus. Odbiła się od powierzchni i rzuciła w powietrze, celując w długi, płaski kamień.

Już miała lądować, kiedy ciemny, rozmazany kształt mignął jej przed oczami ze świstem. Wzdrygnęła się, straciła kamień z oczu, upadła na twardą krawędź i wylądowała w wodzie. Lodowate objęcia rzeki pociągnęły ją w dół. Głowę zalała jej woda.

Milion igieł kłuło jej skórę. W szoku zrobiła wdech i zaczęła się dławić. Gwałtownie uderzyła biodrem o skałę. Napała na nią gorączkowo i jej głowa wynurzyła się z wody.

- Pomocy!

Prąd ją schwycił. Runęła w dół rzeki, tocząc bój o to, by spływać stopami do przodu. Rzeka odpowiadała na ataki. Wykręcała ją bezlitośnie. Na dźwięk swego imienia rozejrzała się za brzegiem. Spostrzegła, jak Joe gna po kamieniach. Błady i rozgorączkowany, machał do niej rękami. Zacisnęła zęby, obróciła się na drugą stronę i próbowała płynąć. Zimno odarło ją z sił.

Rękami dotknęła dna. Kamień wydarł kawałek ciała z jej pomarszczonych palców. Kiedy instynktownie zrobiła wdech z bólu, łyknęła więcej wody. Potem poczuła, jak wodospad łapie ją mocno i ciągnie w kierunku ujścia. Syczał jej w uszach.

Zanim spadła, zobaczyła jeszcze przerażoną twarz Joego.



Kiedy Joe zobaczył, jak Mona wpada do wody, ogarnęło go przerażenie. Spojrzał gniewnie na Briana, który wciąż stał z wyciągniętą ręką. Widział, jak gość wystawia rękę, by złapać Monę, nie trafia i potraça kobietę. To wszystko wina Briana.

Ale gdy Joe gnał w dół rzeki, wrzeszcząc do Mony, by złapała gałąź, skałę, cokolwiek, wiedział, że tak naprawdę to jego wina. Mona miotała się w lodowatym uścisku Devil's Kettle, bo on ją podpuścił, by zagrałi w tę grę. Tętno mu szalało, a przerażenie dodawało mu skrzydeł, gdy biegł po skalistym brzegu.

- Nogi na dół!

Liza biegła za nim z krzykiem.

Potykał się, pędząc po linii brzegowej, i modlił się, by udało mu się dotrzeć do Mony, zanim zmiecie ją wodospad. Mona wymachiwała rękoma w wodzie, walcząc zażarcie, ale rzeka rzucała nią, jak chciała. Na widok jej spanikowanej twarzy serce chłostała mu jego własna głupota. „O Boże, proszę, pomóż jej!”

Wykrzyczał jej imię jeszcze raz, po czym Mona runęła do wodospadu. Więcej już nie myślał, zareagował instynktownie. Popędził do szczytu wodospadu i skoczył do niecki parę metrów poniżej Mony. Wyplłynął prosto w nurt rzeki. Po jej bladej, przerażonej

twarży poznał, że połknęła groźną ilość wody. Wypatrzyła go i zawołała do niego słabo.

- Płyn! - Joe rzucił się w jej stronę, sunąc w szybkim nurcie. Zmniejszył odległość między nimi, ale pokonywali dystans do Devil's Kettle w błyskawicznym tempie. Fale uderzyły Moną o skałę. Jej twarz wykrzywił ból.

- Mona, walcz! - Dotknął jej kurtki. Jednak rzeka mu ją wyrwała.

W przyplwywie energii Mona płynęła w stronę brzegu, sięgając rękoma ku nisko wiszącym drzewkom i zaroślom. Nie udało jej się niczego złapać, ale te próby ją spowolniły.

Joe go rzuciło za nią, ale zdołał złapać korzeń wystający z wody. Nurt rzeki chaotycznie miotał jego stopami. Joe wsparł je na solidnym podwodnym głazie.

Chwilę później Mona z impetem wbiła się w jego klatkę piersiową. Objął ją w talii ramieniem jak ze stali i przycisnął jej zimne ciało do siebie. Rzeka z nim walczyła, próbowała wyszarpać Monę z jego rąk, ale Joe się uparcie nie poddawał i trzymał korzeń jak imadło.

- Mona, obróć się i złap korzeń. - Choć ewidentnie wyczerpana, Mona jęknęła i sięgnęła ręką. Joe cały czas przytrzymał ją ramieniem, a nogami zapierał się przeciwko wściekłemu prądowi.

- Teraz się podciągnij i wyjdź na brzeg.

Wytężyła wszystkie siły, by wyrwać się z nurtu. Joe starał się pomóc, jak tylko umiał, unosząc ją do góry. Jej ciałem wstrząsnął atak kaszlu. Mężczyzna skrzywił się, czując, jak Mona drży, ale jej determinacja go zadziwiła. Schwyciła korzeń, machając nogami bezładnie.

- No dawaj, uda ci się. - Czuł, jak skóra zdrętwiała mu od lodowatego dotyku rzeki. Mona miała sine usta. Poślizgnęła się na błotnistym, niestabilnym brzegu i krzyknęła w panice. Joe pomógł jej zachować równowagę i złapał ją, gdy się potknęła.

- Jestem tutaj, Mona - powiedział jej do ucha. - Nigdzie się nie wybieram.

Usłyszał, jak z jękiem Mona ponownie próbuje się wydostać. Ręka za ręką, wspięła się na omszały, pokryty korzeniami brzeg.

Wreszcie opadła znużona wśród trawy. Joe wdrapał się za nią. Zęby jej szczękały i okropnie się trzęsła. Joe objął ją i przytulił do siebie.

- Stała ci się krzywda? - Bał się odpowiedzi.

Pokręciła głową. Joe zamknął oczy. Ulga rozlała się w nim zażartym dreszczem. „Dziękuję Ci, Panie”. Ujście Devil’s Kettle zobaczył niespełna pięćdziesiąt metrów od nich.

Mona wsparła głowę na jego piersi. Usłyszał, że ma czkawkę, poczuł, jak drży. Potem zaczęła płakać. Serce się mu rozdarło. Objął ją, wtulając twarz w jej mokre włosy.



Mona przywarła do Joego, zaciskając w pięści jego przemoczoną koszulę, a strach wypływał z niej wraz ze szlochem. Gdy rzeka niosła ją w dół, horror, jakim jest czuć, że życie wymyka się spod kontroli i traci się nadzieję, wrócił do Mony z pełną siłą. Zanurzyła się we własnym mrocznym wodospadzie - nie Devil’s Kettle, ale równie przerażającym, i nie miała najmniejszej ochoty na powtórkę tego doświadczenia.

Kiedy łkanie zelżało, uświadomiła sobie, że Joe ją obejmuje - czule, spokojnie i bez komentarza. Zdrowy męski zapach łączył się z wonią rzeki z jego mokrych ubrań. Joe oparł policzek na głowie Mony, a kiedy kobieta się rozluźniła, poczuła, jak serce wali mu w piersi. Oddychał ciężko.

Rzykował życiem, by ją ocalić.

Mona czuła się bezpiecznie zamknięta w jego uścisku. Ogarnął ją spokój. Było to uczucie inne niż to mrowienie, które wywołał

wcześniejszy uścisk. Ten niósł pociechę i ochraniał. Zamiast z nim walczyć, poddała się mu na chwilę z wdzięcznością.

- Mona! - przerażony głos Lizy przeszył powietrze. Z przeciwnego brzegu rzeki Mona usłyszała trzask łamanych gałęzi.

Odchyliła się trochę i podniosła wzrok na Joego. Spojrzała mu prosto w te przenikliwe błękitne oczy. Zaszło jej w ustach, gdy odczytała emocje wypisane na jego twarzy.

- Sz-szukają nas - wyjąkała.

Joe skinął głową, ale nie puścił Mony. Przygryzając usta, kobieta zaczęła się wiercić. Wstała, lecz świat wokół zawirował. Pomachała ręką po omacku, by złapać gałąź, ale nie trafiła. Runęła do przodu.

Silne ramię Joego objęło ją w talii. Przyciągnął ją z powrotem do siebie.

- Nic ci nie jest?

Unikała jego badawczego spojrzenia.

- Nic, tylko trochę kręci mi się w głowie.

Ponownie usłyszała swoje imię, a potem na drugim brzegu wypatrzyła Lizę i niewyraźną sylwetkę Briana. Przedzierali się przez las. Pomachała do nich, wsparta na muskularnym ramieniu Joego.

- Tu jesteście!

Ulgę Lizy było widać nawet przez rzekę. Tuż za Lizą z lasu wyszedł Brian ze zmartwioną miną. Pokiwał do niej. Liza zrobiła z dłoni tubę.

- Spotkamy się przy moście!

Mona w odpowiedzi uniosła kciuk. Spotkają się przy moście pod Devil's Kettle.

- No to przedzieramy się na przelaj - odezwała się do Joego, wyzwalając się z jego uścisku. Miał bardzo dziwną minę, ale pokiwał głową. Kiedy wyruszyli w dół rzeki, poczuła delikatny dotyk jego dłoni na łokciu.

- Nic nie mów - wymamrotała Mona kwadrans później, kiedy przechodziła nad powaloną brzozą. Założyła ręce na piersi, tłumiąc gwałtowny dreszcz. Miała gęsią skórę, a na dodatek chłodny, północny wiatr smagał las ze świstem. Zimne dżinsy ocierały jej skórę, a grube pasma włosów kleiły się do głowy. „Muszę wyglądać przeuroczo”.

- Czego nie mówić? - zapytał Joe poważnym tonem i z ponurą miną. Puścił wreszcie jej rękę, ale szedł na tyle blisko, by złapać Monę, gdyby świat znów zawirował w jej głowie. Nie odezwała się ani słowem, gdy mijali Devil's Kettle. Jej własny lęk oraz dobitna świadomość, co mogło się wydarzyć, odebrały jej głos z wdzięczności.

- Nie mów, że wygrałeś.

Joe zatrzymał się i obrócił ją twarzą do siebie.

- Nawet bym o tym nie śnił. - Jego ciężki wzrok wyrażał poczucie winy. - To wszystko przeze mnie. Bardzo cię przepraszam.

Mona zamrugła oczami z zaskoczenia. Zadarła podbródek.

- Skądże. Wyraźnie pamiętam, jak starasz się mnie odwieść od przekraczania rzeki.

- Powinienem był nalegać.

- Jak gdybyś był w stanie mnie powstrzymać! Mam własny rozum i przypominam sobie, jak wieki temu osiągam pełnoletność. Potrafię podejmować własne decyzje. Myślę, że wiem, z czym umiem sobie poradzić, a z czym nie.

Oczy Joego zabłyśły.

- To całkiem jasne.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie wiem, co robię?

- Myślę po prostu, że władowałaś się sytuację, która cię przerażała. A ja to widziałem, więc powinienem był cię powstrzymać.

Mona westchnęła:

- Daj spokój, Joe. Nie potrzebuję, żebyś mnie niańczył. Jestem już dużą dziewczynką...

- ... I polegasz tylko na sobie, wiem! - Uniósł ręce gwałtownie na znak kapitulacji i odwrócił się do niej plecami.

Szok odebrał jej mowę. Wpatrywała się w niego, obserwując, jak Joe zaciska dłonie na karku i głęboko oddycha. Gdy patrzyła, jak mężczyzna zмага się z gniewem, jej własny gdzieś się rozplynął. Odezwała się głosem rozmyślnie łagodnym:

- Przepraszam, Joe. Wiem, że mam tendencję robić wszystko sama. - Potarła dłońmi ramiona. - Ale przyznaję, ocaliłeś mnie.

- Uśmiechnęła się smętnie.

Joe spojrział na nią przez ramię.

- Bóg cię ocalił. Ja tylko nie protestowałem.

Przygryzła wargę, ważąc jego słowa. Bóg rzeczywiście ją ocalił. Znowu. Na myśl o tym jej oczy wezbrały łzami. Kolejny raz Wszchemogący ratuje ją niezasłużenie. Wyduсила z siebie:

- Nie mogę uwierzyć, że wskoczyłeś do wodospadu.

Odwrócił się z niechętnym uśmiechem.

- Tylko tak mogłem za tobą zdążyć. Nie wiedziałem, że naprawdę masz ochotę dziś popływać.

Mona się roześmiała. Łatwo było znaleźć ukojenie w jego figlarnej minie. Nagle jego przyjaźń jawiła się jako ciepłe i bezpieczne schronienie dla jej steranych emocji. Zapragnęła włączyć się do zabawy.

- Pewnie nie chcesz się ścigać do mostu? - zaproponowała szelmowsko. Joe pokręcił głową.

- Dość mam na dzisiaj ścigania.

Niedaleko stukał dzięcioł, a gęste listowie szemrało, poruszone wiatrem. Kiedy Joe chwycił Monę za rękę i prowadził ją przez las, na całym ciele czuła mrowienie. Uznała, że to rzeński wiatr znad rzeki.



Kiedy Mona i Joe wreszcie wyłonili się z lasu, Liza wychylała się z mostu i zamyślonym wzrokiem studiowała przeciwny brzeg rzeki. Podbiegła do Mony i objęła ją z okrzykiem ulgi i łzami. Joe puścił dłoń Mony, dojmująco czując brak jej ciepła. Przeczesał dłonią mokre włosy. Cywilizacja jeszcze nigdy nie wydawała się taka atrakcyjna.

Brian podszedł zza Lizy i przeszył Joego wzrokiem.

- Dobrze, że ją złapałeś - powiedział ostrym tonem.

Joe ugryzł się w język, by nie rzucać oskarżeń. Jeśli zaatakuje gościa przy Monie i Lizie, nic dobrego z tego nie będzie. Ale musiał się opędać od wizji, w których owija zadufany uśmiezek Briana wokół jego głowy. Joe starał się unikać bójek od czasów szkolnych, kiedy to nabrał wprawy, broniąc Gabe'a. Wypuścił powoli powietrze i się odwrócił.

- Muszę zdjąć te mokre ciuchy - jęknęła Mona.

- No nie wiem. Do twarzy ci w roli przemoczonego szczeniaczka - przekomarzała się Liza wesołym tonem, rozpraszając widmo tragedii, do której o mało co nie doszło.

Joe odwrócił się gwałtownie.

- Gdzie Rip?

Liza spojrzała na niego bez słowa. Brian wzruszył ramionami.

Joe wszedł na środek mostu, zrobił z dłoni tubę i zawołał Ripa. Rzeka odpowiedziała rykiem. Zagwizdał, ponownie zawołał. Nie odpowiedziało mu żadne szczeknięcie. Wspaniale. Zostawił psa w lesie. To dopiero właściciel z niego. Oskarżenie rozbrzmiało głośno - Joe zawsze kogoś porzuca.

Mona podeszła do niego.

- Znajdzie się, Joe. Nie przestawaj wołać. - Zauważyła pewnie jego rozpacz, bo odwróciła się w górę rzeki i zawołała Ripa. Joemu ogrzało to serce. Czyli w głębi duszy lubi jego psa.

Wołali Ripa całą drogę wzdłuż szlaku, ale nadzieja Joego gasła z każdym krokiem. Na parkingu przy szlaku do Devil's Kettle czarna honda Briana prażyła się w słońcu popołudnia. Joe nie mógł się oprzeć wrażeniu, że obok niej jego pickup wygląda jak wrak Hesperusa⁽⁶⁾. Nie wiedzieć czemu, skrzywił się na to zestawienie. Aż do tej pory był dumny z zielonego rzęcha.

Idąc powoli do samochodu, zastanawiał się, czy Mona pojedzie z nim. W tę stronę jechała z Lizą i Brianem. Wyrafinowany łajdak w czarnych ciuszkach nie pozwolił psu jechać jego autem, więc Joe pojechał za nimi półciężarówką. Perspektywa długiej, milczącej jazdy do domu, podczas której będzie mógł poroztrzasać błędy całego dnia, nie napawała go radością.

Podszedł do kabiny, zatrzymał się i już miał ostatni raz wołać Ripa, kiedy jego uwagę zwróciła plama brązowego futra na pace. Na widok pogrążonego we śnie Ripa zalała go fala radości. Joe podrapał go za uchem i labrador zerwał się na równe nogi, po czym obsypał pana mokrymi psimi całusami.

- Znalazł się! - wykrzyknęła Mona.

Joe był wdzięczny za wyraz ulgi w jej oczach.

- Chyba się zmęczył.

- W tym lesie jest za dużo wiewiórek.

Joe pokiwał głową i sięgnął do klamki.

- Mogę jechać z tobą?

„A ptaki latają?”

- Jasne.

Kiedy Mona wsiadała do pickupa, Joe kątem oka złapał znaczący uśmiezek Lizy. Postanowił nie zwracać na to uwagi.

Trasa do domu dłużyła mu się. Ciepło w kabinie wzmagало jego wyczerpanie, a powieki opadały sennie. Rzeka wyssała siłę z jego ciała.

Mona leżała bezwładnie oparta o drzwi, z zamkniętymi oczami. Wyglądała pięknie, choć była znużona. Złote kosmyki włosów schły wokół jej twarzy. Wiatrówka przykleiła się do jej ramion i klatki piersiowej, na pewno też Monie było niewygodnie w przemoczonych dżinsach. Ale na ustach miała delikatny uśmiech, który stał w sprzeczności z jej ogólnym żalnym stanem. Coś drgnęło w sercu Joego. Wycieczka nie była całkowitą stratą czasu. Na pamiątkę zdobył ten uśmiech i rozkoszne wspomnienie Mony wtulonej w jego pierś, gdy dawała upust strachowi. Chciał ją taką właśnie zachować na zawsze - postanowił, że tak właśnie zrobi, niezależnie od tego, dokąd rzuci go los.

Kiedy wjeżdżali do Deep Haven, słońce stopniowo opadało na niebie w postaci karmazynowej kuli nakrapianej pomarańczowo. Oświetlało chmury nad Jeziorem Górnym na złoto i czerwono, przez co wyglądały, jakby miały aureolę. Rozpierane energią jezioro miało się o poszarpany brzeg potężnymi białymi falami, a mewy pokryły daleką latarnię morską jak biało-szary koc. Inna zgraja chciwych mew piszczała i walczyła ze sobą o kąski - ktoś rzucił na brzeg opakowanie ścinków mięsa.

Joe jechał powoli wzdłuż Main Street. Przy stacji benzynowej i sklepiku U Mamy i Taty kolejka ciągnęła się na kilometr; półciężarówki obciążone trawlerami i sprzętem biwakowym, kierujące się ku jeziorom na północy, napełniały zapasowe kanistry. Jeśli sądzić po klientach taszczących wypchane torby prowiantu, puszek z gazem i żywej przynęty, w sklepie będzie dzisiaj pełna kasa. Joe uświadomił sobie z zaskoczeniem, że rozpoczął się sezon wędkowania. Może powinien zapytać Gabe'a, czy nie miałby ochoty złowić z nim sandacza. Ciekawe, czy brat umie wędkować. Jeśli nie, mógłby go nauczyć, jak przystało na starszego brata, jakim powinien być.

Najlepsze Pączki były już zamknięte. Jednak jasnożółte światło sklepiku rozpraszało nadciągający zmierzch, oświetlając drogę

paru ostatnim wędkarzom. Joe zastanawiał się, jak by to było mieszkać w tym sennym turystycznym miasteczku zimą, poza wakacyjnym sezonem. Wyobraził sobie, jak siedzą z Moną w Progu i grzeją stopy przy opalanym drewnem piecyku, a na pieńkach, które polakierowała, stoją kubki kawy. Wizja ta przeniknęła go, a Joe poczuł lęk przed tym, jak bardzo przypadła mu go gustu.

Obok niego Mona poruszyła się, przetarła oczy i wyprostowała na siedzeniu.

- Już prawie jesteśmy w domu - powiedział. „W domu”. Nie miał domu od ponad piętnastu lat, a teraz Próg to jego dom? Owładnęła nim panika. Co on sobie myśli? Poza Deep Haven ma życie i świat, którego pragnie doświadczać. Jego dom nie ma granic i jak dotąd właśnie to mu odpowiadało. Nie szuka przecież miejsca, by się osiedlić. Ma swój plecak, a teraz również Ripa. Innego domu i rodziny nie potrzebuje.

Joe zazgrzytał zębami i wjechał na podjazd przez Progiem.

- Jesteśmy u ciebie.

Godzinę później Joe był już po gorącym prysznicu i w suchym ubraniu - podartych przez Ripa dżinsach, wełnianych skarpetkach i bluzie Texas A&M. Wszystkie inne ubrania miał brudne. Będzie musiał poszukać jutro pralni.

Uzbrojony w gorący kubek kawy bezkofeinowej oraz kanapkę z szynką, położył talerz na wyplatany taborecie i usiadł na sofie. Wiedział, że powinien właśnie opracowywać pomysły zainspirowane tym, co dzisiaj widział. Była to szansa, by znów przypodobać się pracodawcom, drobiażdżki, które mogą rozwinąć się w prawdziwe skarby. Ale coś go powstrzymywało - to, jak Mona do niego przyłgnęła i powierzyła mu swój ból, jakby Joe był już częścią jej życia i świata.

Może to nie był właściwy czas, właściwe miejsce. Może zaryzykuje powrót z pustymi rękoma, a jeśli zapłaci swoją cenę, być może wtedy Mona nie będzie musiała tego robić. Może nigdy nie

będzie musiał odpowiadać na wścibskie pytania ani roztrząsać swojej motywacji. Może pozostawi po sobie tylko wspomnienie człowieka, który uratował Monę z Devil's Kettle i pomógł jej poskładać marzenia.

Podobała mu się myśl, że mógłby być bohaterem, a nie tylko odgrywać rolę bohatera. Pogrzebał w plecaku i wydobyl pogiętą książkę. Czytał *The Last of the Breed* Louisa L'Amoura co najmniej kilkanaście razy, ale nigdy nie miał dość przygód pilota zagubionego w syberyjskiej dziczy.

Joe był właśnie gdzieś w Górach Jabłonowych, kiedy głośne pukanie sprowadziło go gwałtownie na ziemię.

- Proszę - powiedział, jednocześnie zaznaczając kciukiem miejsce w czytany tekście.

Mona otworzyła drzwi i wsparła się na klamce.

- Robię pranie. Jeśli chcesz, możesz sobie wrzucić rzeczy po mnie.

- W samą porę. Już myślałem, że pójde jutro do kościoła w samych kalesonach.

Mona oparła bark o framugę i skrzyżowała ramiona.

- Idziesz do kościoła?

Joe pokiwał głową.

- Gdzie?

No to wpadka. Zupełnie bezmyślnie wpadł w sidła. Ruby zaprosiła go na nabożeństwo do Ogrodu.

- Taki kościół na północ stąd.

- Przy szlaku Gunflint?

Joe ważył odpowiedź. Aby dostać się do Ogrodu, trzeba było zjechać ze starego, na w pół utwardzonego szlaku, który rozciągał się na północ od Deep Haven aż do brzegów granicznych jezior Minnesoty.

- Tak, to trochę w bok od Gunflint.

- Acha, czyli kaplica przy Gunflint - powiedziała. - Byliśmy tam parę razy na nabożeństwie. Kapliczka jest śliczna i pastor bardzo miły - przerwała. - Przynajmniej ten pastor, który służył tam dziesięć lat temu. Podobało mi się, jak odprawiał nabożeństwo w mokasynach.

Joe uniósł brwi. Taki kościół mógłby mu się spodobać. Niewiele czasu poświęcał na oficjalny kult, bo wolał spędzać niedziele z Pismem Świętym na łonie natury - przysłuchiwał się, jak ptaki chwalą Pana, a serce Joego im wtórowało. Ale ludzkie głosy podniesione w modlitwie budziły w nim radość i niekiedy Joe tęsknił za jednością zinstytucjonalizowanej religii.

- Cóż - kontynuowała Mona - ja chodzę do Kościoła Łaski, tu niedaleko. Możemy pójść razem, jeśli chcesz.

Joe zagiął kartkę w książce, zamknął ją i pożył na kolanach.

- Dzięki, może innym razem.

Mona zmarszczyła czoło.

- Czytasz?

Widząc jej minę, Joe uśmiechnął się półgębkiem.

- To się mężczyznom zdarza. Nie mów nikomu. Nie chciałbym, żeby nasza tajemnica wyszła na jaw - że tak naprawdę zaszliliśmy tu na skali ewolucyjnej trochę dalej niż naczelne.

Mona zachichotała, a jej śmiech go rozweselił, zwłaszcza po dzisiejszych wstrząsających wydarzeniach.

- Co czytasz?

Joe naprężył mięśnie.

- Męską książkę. - Uniósł ją do góry, a Mona zrobiła kwaśną minę. - Co, nie lubisz Louisa L'Amoura?

Wzruszyła ramionami.

- Cóż, powiedzmy, że moim zdaniem mężczyzna nie musi nosić rewolweru, żeby być bohaterem.

- A co ty czytujesz?

- Powieści przygodowe, romanse, kryminały. Kocham czytać.

- Kto jest twoim ulubionym pisarzem?

- Reese Clark.

Nazwisko zaparło mu dech w piersi.

- Lubisz go?

Mona poruszyła brwiami znacząco.

- Kocham się w Jonahu, jego głównym bohaterze.

- Dlaczego?

- Bo to prawdziwy mężczyzna. - Odwróciła się, zamknęła drzwi i zostawiła go sam na sam z jego dziwnie drżącym sercem.



Mona nucila pod nosem, wyjmowała brudne ubrania z szafy i rzucała je do kosza na pranie. Wcześniej musiała wyjąć z niego stos starych książek i przy okazji, chcąc nie chcąc, otworzyła parę i przeczytała kilka ulubionych rozdziałów. W ten sposób segregowanie prania zajęło ponad godzinę.

Książki Reese'a Clarka poukładała w stosik koło łóżka, bo zamierzała niebawem ponownie je przeczytać. To, co powiedziała Joemu, dzwoniło jej w uszach: „Jonah to prawdziwy mężczyzna”. Nie żeby Joe sam nie miał paru cech tego absolutnie „prawdziwego mężczyzny”. Potrafił być czuły, co było widać, kiedy mocował się z Ripem, oraz opiekuńczy, przez co wskoczył za nią do lodowatej wody.

Ale Jonah był bardziej bezpieczny. Jonah zawsze i bez wątplenia postępował honorowo. Zawsze pozwalał bohaterce wygrać, nigdy nie stał jej na przeszkodzie - zawsze u jej boku. Nigdy nie pozwolił swojej ukochanej cierpieć, nigdy jej nie zdradzał i nigdy, przenigdy by jej nie opuścił. W książkach Reese'a Clarka to zawsze kobiety odchodziły.

Biedny Jonah. Zaczęło się podczas jego pierwszej przygody, kiedy to pracował na agroturystycznym ranczu i lawirował między bydlęciem a paskudnym głównym poganiaczem. Zakochał się

we właścicielce rancza, a Mona zalewała się łzami, gdy ukochana Jonaha zmarła w jego ramionach.

W następnej książce Clarka wyruszyła z Jonahem na południe do Meksyku, gdzie bohater uratował rodzinę z powodzi i powstrzymał szajkę przemytników narkotyków, która chciała zniszczyć wioskę. Na końcu meksykańska ukochana Jonaha wybrała innego mężczyznę, a Mona znowuż cierpiała razem z ulubionym bohaterem.

W *Otchłani Alaski*, którą kupiła w twardej oprawie, Jonah popłynął statkiem na północ i najął się do załogi kutra odlawiającego łososie. Przetrwawszy burzę silną jak huragan, ulubieniec zdobył górę McKinley i uratował Inuitkę przed hipotermią. Kiedy jednak kobieta go opuściła i wróciła do swojej wioski na kole podbiegunowym, w cichości serca Mona cieszyła się.

W *berlińskim przejściu* Mona jednym tchem pożarła historię Jonaha dziejącą się w Niemczech, gdzie obserwował, jak upada Mur Berliński i pomógł kobiecie z Niemiec Wschodnich odszukać rodzinę i miłość życia na Zachodzie. Ta bohaterka także zostawiła Jonaha samego ze złamanym sercem.

Zanim Jonah zaczął poganiać refinery w *Uciekinierce z Syberii*, Mona nie ukrywała już swojej radości, że żadna kobieta nie podbiła jego serca. To oznaczało, że będzie więcej książek o Jonahu - więcej przygód w różnych zakątkach świata, więcej szans, by znaleźć wybrankę, tę właściwą.

Mona już wiele miesięcy temu zamówiła *Kanadyjską katastrofę* i szykowała dla niej centralne miejsce na wystawie w swojej księgarni. Książka miała trafić na półki za miesiąc.

Kobieta westchnęła, wsparła kosz na pranie na biodrze i zesłała po schodach. Oskarżenie Lizy było nieprzyjemnie bliskie prawdy - Jonah był Mony wymarzoną mężczyzną. Oczami wyobraźni widziała tego wyśnionego: krótkie włosy, cudownie błękitne oczy, ciepły uśmiech.

Mona stanęła w kuchni jak wryta. Właśnie opisała Joego! Serce łomotało jej w piersi i z wysiłkiem odpędziła tę myśl. Joe to nieodpowiedzialny włóczykij bez żadnych ambicji. Co z tego, że się zachowuje, jakby jej marzenia były dla niego ważne? Doprowadzał ją do kresu wytrzymałości swoimi wygłupami i zadufanym uśmiechem. Joe w ogóle nie przypominał Jonaha. Może i jest mężczyzną z krwi i kości, ale tylko Jonahowi Mona mogła bezpiecznie powierzyć swoje serce.

Zamknęła oczy i zaczęła się modlić, próbując przegnać wizję Joego sprzed oczu. „Boże, wiem, że dałeś nam na razie Joego, ale proszę, pomóż mi nie dopatrywać się w nim czegoś, czego nie ma. Pomóż mi wznieść oczy w górę i spojrzeć na Twoje plany dotyczące mojego życia. Nie pozwól, by uwiązały mnie błahe tęsknoty serca”.

Otworzyła oczy i zaczerpnęła tchu głęboko, czując, jak ogarnia ją spokój.

Przegniłe drzwi od piwnicy zaskrzypiały, gdy je otworzyła. Wilgotne, pełne kurzu powietrze zakręciło jej w nosie. Nieswojo się czuła w tych domowych katakumbach. Namacała na ścianie pstryczek i włączyła światło. Przybrudzona żarówka oświetliła schody słabym, pomarańczowym blaskiem. Mona zmrużyła oczy i zaczęła ostrożnie schodzić. W niewyraźnym świetle podłoga wydawała się jakby błotnista, nie do końca stabilna. Marszcząc czoło, Mona zeszła po schodach.

Konsternacja powoli przekształciła się w przerażenie.

Podłoga jej domu to faktycznie było samo błoto.

Piwnicę wypełniał staw z wodą do kostek.

Po zalanej podłodze pływały odłamki betonu, gnijące drewno, glina i śmieci. Mona stała dwa kroki od dna, trzymając się kurczowo lichej poręczy, żeby się nie przewrócić, i patrzyła, jak fale zalewają jej stopy. Skąd płynie ta woda? Czy dom stoi na bagnie? Z miejsca, w którym stała, przyjrzała się uważnie mrocznej

piwnicy, próbując znaleźć przeciek. Ciemnoszare pasmo na przeciwległej betonowej ścianie wyglądało podejrzanie. Skupiła na nim wzrok i wypatrzyła spływający tam cienki wodospad.

Mona pofrunęła po schodach w górę. Rzuciwszy kosz do kuchni, wypadła na zewnątrz, włączyła światło na podwórzu i obiegnęła dom.

Od tego widoku niemal ugięły się pod nią kolana. Pod jej krzewem bzu wąż ogrodowy cały czas lał wodę, podczas gdy ona wpadała do rzeki Kettle.

Przemoczony trawnik migotał w świetle księżyca, a fundamenty domu były nasączone wodą. Mona brodziła po chlupiącej trawie do kurka. Jęk rur ustał, gdy zakręciła wodę, ale furia płynęła w niej wściekłym strumieniem. Joe! Był zupełnie nieodpowiedzialny, a teraz przez jego głupotę będzie miała gigantyczny rachunek za wodę, a kto wie, ile zapłaci za remonty!

Niesiona gniewem pobiegła, lecz po chwili potknęła się i upadła. Podniosła się zaraz i dalej pognęła do mieszkanek nad garażem. Nie zawracała sobie głowy pukaniem - i tak Joe nie był tu u siebie. Leżał sobie spokojnie na sofie, relaksując się z książką w rękę, podczas gdy jej życie tonęło w bałaganie.

Wyraz jej twarzy musiał dobitnie zdradzać jej emocje, bo Joe usiadł i pobladł.

-Co?

Cała się trzęsła i z gniewu nie mogła nawet znaleźć słów. Pokazała na niego palcem.

- Ty! Nie zakręciłeś wody! Mam kompletnie zalaną piwnicę!

Joe skoczył na równe nogi.

- Co? Nieprawda!

- Nie wypieraj się. Kiedy pozwoliłam ci podlać drzewko, nie wiedziałam, że chcesz mnie utopić! - Machnęła gwałtownie rękami. - Co ja teraz zrobię? Fundamenty są prawdopodobnie zupełnie zniszczone, w piwnicy mam grzęzawisko, a do otwarcia

cztery tygodnie. Nie ma mowy, żeby udało mi się to naprawić. - Zamknęła oczy, starając się uspokoić bicie serca i głos.

- Mona, uspokój się. Będzie dobrze. Pomogę ci to naprawić. Będę pracować całą dobę... Nawet za to zapłacę.

Mona otworzyła oczy i wbiła w niego nienawistny wzrok.

- Nie chcę twojej pomocy. Nie chcę twoich pieniędzy. Zwalniam cię! Pakuj manatki, swojego nędznego psa i zabieraj się stąd jeszcze dziś!

Obróciła się z impetem, złapała klamkę i trzasnęła za sobą drzwiami. Cały budynek się zatrzęsł. Doszła na sam dół. Tam usiadła na twardym drewnie, schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać.



Joe przeczesał dłonią włosy, odtwarzając w myślach przebieg dnia, żeby jakoś zrozumieć oskarżenie Mony. Nie zakręcił wody...? Zamknął oczy i westchnął nierówno. Podlewał topole. Przyjechał Brian, a Rip rozbił naczynia Lizy...

Zacisnął zęby. Brian! Joe podał węża Brianowi i więcej go nie dotykał. Ten padalec go nie zakręcił, tylko zostawił pod bzem. Joe uniósł się gniewem. Zaczął drżeć i zacisnął pięści. Miał ochotę odszukać sprawcę i wytrzeć podłogę jego frymuśną skórzaną kurteczką, kiedy ten wciąż miałby ją na sobie. „Panie, pomóż mi się uspokoić”. Joe rozluźnił pięści i wypuścił powietrze z płuc. Atakowanie Briana na nic się nie zda. Tylko pokazałoby to Monie, że zamiast wziąć odpowiedzialność za swoje czyny, Joe woli rzucać oskarżenia.

Począł do sofy i opadł na nią ciężko, czując falę udręki. Wylała go z pracy. Mona chciała, żeby odszedł. Ale bez jego pomocy na pewno nie poskłada Progu z powrotem do kupy. Tak samo jak ślepa na oczywiste zagrożenia, rzuciła się na drugi brzeg rzeki, tak też teraz zwolni go, nie mając nikogo innego do pomocy. Nawet

jeśli znajdzie innego majstra, pewnie będzie tracić czas, łącząc za nim wszędzie i rozkazując mu. Może nawet pójdzie z nim na plażę i zmierzy się z nim w konkursie rzucania kaczek.

Ta myśl go zapiekła. Skoczył na równe nogi. Nie, musi z nią porozmawiać. Dla jej własnego dobra musi zostać.

Pomaszerował do drzwi i otworzył je szarpnięciem. Napędzała go determinacja. Na półpiętrze jednak stanął jak wryty, a jego łomoczące wcześniej serce na chwilę przestało bić. Mona siedziała na dole i wyglądała jak siedem nieszczęść. Płakała głośno, dając upust swojemu cierpieniu. Joe stłumił jęk i zszedł na dół na palcach.

Bez słowa usiadł przy niej. Owinęła głowę ramionami i drżała na całym ciele. Próbowała pohamować szloch, ale kolejne wybuchy rozpaczki wstrząsały jej filigranową sylwetką. Joe nieśmiało objął ją ramieniem. Po chwili wsparła głowę na jego piersi. Wydawała się taka załamana, aż łzy stanęły mu w oczach. Chciał ukoić jej ból, poskromić łęki i tulić, by znowu się uśmiechnęła. Oparł policzek na jej włosach. Oczy mu płonęły.

Kiedy poczuł, że Mona przestaje dygotać, uniósł jej podbródek i popatrzył w zaczerwienione, podpuchnięte oczy. Poglądził jej policzek kciukiem, rozmazując przy tym łzy.

- Nie odejdę, Mono. Tak mi przykro, że to się stało, ale nie odejdę i nie zostawię cię samej z tymi ogromnymi naprawami, które mogą kosztować cię twoje marzenie. Będę nawet pracował za darmo. Nie obchodzi mnie, co ty na to. Zostaję.

Dojrzał w jej oczach słaby sprzeciw. Położył palec na jej ustach, by ją uciszyć. Zwiesiła głowę.

- Przepraszam, Joe. Nie powinnam była tak się unieść.

- Przebaczam ci. - Wplótł palce w jej włosy.

Broda jej zadrżała, a w oczach rozblęły świeże łzy.

- Nie wiem, co robić.

- Ja też nie wiem. Ale możemy się pomodlić i prosić Boga o pomoc. Wiem, że On może uratować ciebie i Próg.

Ku jego głębokiemu zaskoczeniu Mona pokręciła głową.

- Nie. To by było za wiele. Może Bóg nie chce, żebym otworzyła Próg. Pewnie wykorzystuje te wszystkie naprawy, nawet tę katastrofę, żeby mi dać znać, że mam się poddać.

Joe ściągnął brwi.

- Dlaczego Bóg by to robił?

Nie popatrzyła mu w oczy.

- Bo nie zasługuję na Jego pomoc. Nie zasługuję na to, by to marzenie się spełniło.

Joe jeszcze raz delikatnie schwycił jej podbródek tak, żeby Mona popatrzyła na niego. W jej udreńczonych oczach czaił się znany mu już ból.

- Chyba tak nie sądzisz?

Wzruszyła ramiona. Po jej policzkach pociekły łzy.

- Mona, Bóg nie sabotuje naszych planów. Nie ofiaruje nam celów w życiu tylko po to, żeby potem nie pozwolić ich osiągnąć. Nie bez powodu powierza nam marzenie i chce nam pomóc je spełnić.

- Nie rozumiesz. W ogóle nie zasługuję na Boską dobroć. W ogóle bym się Mu nie dziwiła, gdyby mi to wszystko odebrał.

Wyzute z nadziei słowa sprawiły Joemu ból. Poglądził jej twarz i wbił w nią przejęty wzrok.

- Słuchaj, natura Boga jest pełna miłosierdzia - bo nie daje nam tego, na co zasługujemy - i łaski, bo daje nam to, na co nie zasługujemy. Mówisz, że nie zasługujesz na Bożą pomoc, ale same te słowa dowodzą, że On nie próbuje zniszczyć twoich marzeń. Poproś Boga o pomoc. Skoro sądzisz, że na nią nie zasługujesz, być może właśnie o to chodzi Bogu: chce cię uradować i pokazać, jak bardzo cię kocha.

Zmarszczyła brwi i przygryzła usta. Joe omiół wzrokiem jej twarz i znalazł na niej wyłącznie zwątpienie.

- Mona, słyszałaś kiedyś ten werset: „Raduj się w Panu, a On spełni pragnienia twego serca”? Kiedy się Nim radujemy, On pragnie wypełnić nasze życia swoją miłością, spełnić nasze najgłębsze tęsknoty.

Jej oczy wypełniły się łzami, a Joe dostrzegł w nich rozpacz, jakby starała się pojąć jego słowa. „Panie, co przeszkadza Monie w przyjęciu Twojej miłości, Twojej łaski do jej życia?”

Mona raptownie zmieniła się na twarzy. Obiema rękami starła łzy i spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

- Czyli zostajesz?

Sposób, w jaki to powiedziała - z oczami wyrażającymi nadzieję, głosem zmienionym przez zaufanie - złapał go za serce. Nagle wszystkie jego powody do wyjazdu - lub pozostania - przyćmiła jedna myśl: traci głowę dla tej kobiety szybko i nieodwołalnie.

- Zostaję - potwierdził łagodnie. Uśmiechnęła się i nie mógł się powstrzymać. Wyglądała tak pięknie i krucho, patrzyła na niego z taką bezbronnością, jakby pragnęła uwierzyć w jego słowa... to nim wstrząsnęło. Wziął jej twarz w dłonie i delikatnie ją pocałował. Jej miękkie usta smakowały słono, a Mona zadrżała, gdy jej dotknął. Zareagowała dokładnie tak, jak sobie wymarzył - czule i ulegle. Chciał przedłużyć pocałunek, objąć ją, ale samokontrola kazała mu się wycofać. Wpatrywał się w jej twarz.

- Pod warunkiem że nie jestem już zwolniony.

Na jej pięknej twarzy odmalował się szok. Otworzyła oczy szerzej i pokręciła głową.

- To dobrze - wyszeptał - bo Ripowi i mnie nie uśmiechało się spanie w samochodzie.

- Mona? - z domu dobiegł głos Lizy. Mona wysunęła się z ramion Joego i pospiesznie wstała.

- Tutaj! - odrzyknęła. Zrobiła długi, drżący wydech, który wymownie wyrażał stan ich obojga.

Co on właśnie zrobił? Patrzył na Monę, jak wygładza włosy i poprawia bluzę, nie patrząc mu w oczy. Zaszło mu w ustach.

Właśnie ją pocałował.

Był to zdecydowanie najśłodszy pocałunek jego życia. I sprawił dużo za dużą przyjemność komuś, kto nie ma w Deep Haven przyszłości.

Liza z łoskotem weszła do środka.

- Tu jesteście. Co porabiacie? - Zahamowała i przyjrzała się im ze zdziwieniem. - Nie remontujecie domu, to widzę.

Joe uśmiechnął się do Mony tkliwie.

- Nie, naprawiamy co innego.

Ciszę, która zapadła, podkreślał wiatr śpiewający wśród drzew i dźwięk fal zalewających brzeg. Liza przyjrzała się ich dwójce badawczo, po czym z podejrzanym uśmiechem weszła do domu. Mona potarła ramiona i popatrzyła na Joego. Widział, że czuje się zagubiona, więc uśmiechnął się do niej krzepiąco w nadziei, że to uspokoi galopujące serca ich obojga.

- Dobranoc, Mono.

- Do... dobranoc, Joe. Do jutra - wyjąkała. Po czym uciekła do domu.

Joe został chwilę na schodach. Wspominał nadzieję w jej oczach, wciąż czuł dotyk jej ust i walczył z niemałym przyływem paniki. Niepotrzebnie ją całował. Przebywanie w pobliżu Mony niszczyło jego zdrowy rozsądek i spychało w przestrzeń nadziei. Mona mu ufała. Na myśl o tym poczuł falę ciepła.

Ukrył twarz w dłoniach. „Panie, ale mam kłopoty To może naprawdę zabość”. Serce go zapiekło, gdy zobaczył w pamięci jej załzawione, niesamowicie zielone oczy, wpatrzone w niego, gdy spijała z jego ust słowa pokrzepienia. Tak, Joe zdecydowanie jest tu po to, by pomóc Monie, ale pod warunkiem, że będzie pamiętać,

co jest najlepsze dla wszystkich zainteresowanych: daleko posunięta dyskrecja w sprawach prywatnych. Jeśli utrzyma Monę i Gabe'a w osobnych światach, a sam nie będzie się wychylał, być może uda mu się zapomnieć, że wisi nad nim termin. Mógłby się rzucić w marzenia Mony - nie na zawsze, lecz na tyle długo, by sobie przypomnieć, jak to jest mieć dom i plany godne wysiłku.

Joe patrzył, jak w pokoju Mony zapala się światło. Zostanie, by dokończyć robotę, ale będzie mu potrzebna pomoc.

„I proszę, proszę, Panie, niech marzenia Mony się spełnią”.



Mona walnęła pięścią w poduszkę w nadziei, że posłanie będzie dzięki temu bardziej wygodne. Ale kiedy opadła na nią z powrotem, wiedziała, że szanse na sen są równie marne jak trzy godziny wcześniej. Światło księżyca wlewało się przez okno i kładło pasmami na drewnianej podłodze. Wiatr szarpał drzewa, a gałęzie dygotały za oknem nieskoordynowanie. Po dźwięku fal atakujących brzeg Mona domyśliła się, że nadciąga front burzowy. A może burza, którą wyczuwała, szalała tylko w jej sercu.

Pozwoliła Joemu się pocałować. Była taka smutna, zwalona z nóg przez horror w piwnicy. To jeszcze nie znaczyło, że ma wypłakiwać się na ramieniu miejscowego majstra. Pewnie się na niej poznał - widział rozpaczliwie samotną kobietę, dla której marzenie było najważniejsze na świecie. Pewnie pocałował ją z litości.

Tylko że... ten pocałunek był taki delikatny, niemożliwie tkliwy. Palce Joego muskały jej twarz, a Monę przeszedł dreszcz. Nie robiło to wrażenia pocałunku z litości - przypominało raczej emocje na twarzy mężczyzny, kiedy wyciągał ją z Devils Kettle. Nie mogła nazwać tych uczuć - nie, jeśli nie chciała stracić celu z oczu. Uczuć, które wzbierały w jej własnym sercu. Będzie trzeba je wyrugować i to szybko. Ten wypadek tego dowodził. Joe zaskoczył

ją swoim urokiem, w słabszej chwili mu zaufała i przestała bacznie obserwować każdy jego ruch.

A teraz nie dość, że jej dom pływa w bagnie, to jeszcze jej serce może zostać zmiążdżone. Powinna pamiętać, że Joe to wędrowiec. Za cztery tygodnie, jeśli nie wcześniej, wyjeżdża, a gdy Mona nie zachowa ostrożności, to jej serce pojedzie z nim.

Ścisnęło ją w gardle. Czy chce zniszczyć wszystko, na co tak ciężko pracowała? Usiadła i położyła stopy na ziemi, żeby zimna podłoga rozproszyła łagodny obraz błękitnych, lśniących troską oczu Joego.

Joe Michaels był na pewno pociągający. Nie mogła zaprzeczyć, że lubi jego towarzystwo, filuterny śmiech, oczy głębokie jak ocean. I była głęboko wdzięczna za jego ciężką pracę. Nie mogła jednak ulec jego urokowi. W postaci marzenia o Progu Bóg ofiarował jej tak wiele. Po prostu nie mogła prosić jeszcze o miłość.

„Pragnienia serca”. Joe nie miał pojęcia, jakie to skojarzenia wywoływało. Zadrżała. Nie chciała odsłaniać serca ani marzeń, nawet na użytek własnej introspekcji. Pragnienia - na przykład sukces księgarni. Pragnienia - męczyzna, który by dzielił z Moną dom i marzenie. Albo najdzikszy sen - żeby Jonah zstąpił z kart książek Reese'a Clarka prosto w jej objęcia? Zaśmiała się melancholijnie. Niektórych pragnień nawet Bóg nie spełni.

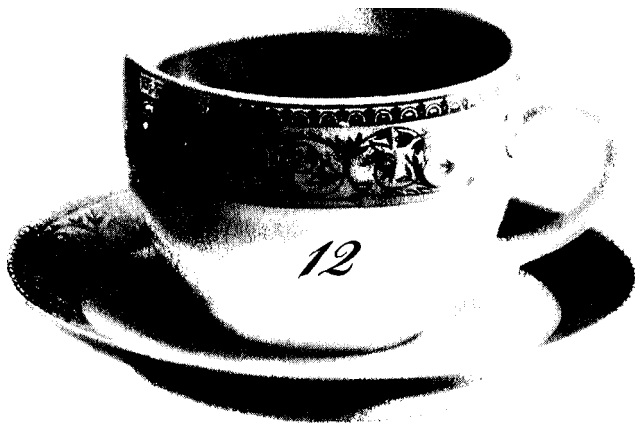
Mimo wszystko słowa Joego trafiły w czuły punkt. Nie dlatego, że nie miał racji, lecz dlatego, że te słowa nigdy, przenigdy nie będą jej dotyczyć. Dlaczego Wszechmogący miałby spełnić chociaż jedno, a co dopiero trzy marzenia kobiety, która zabiła kogoś, kogo kochała?

Przebaczenie wystarczy. Zawsze będzie wystarczać. A swoje pragnienia zamknie na cztery spusty tam, gdzie nikogo nie skrzywdzą.

Ścisnęło ją w gardle. Podreptała do siedzenia na parapecie, zwinęła się w kłębek i schowała twarz na kolanach. „Och Panie,

przepraszam, że do tego dopuściłam - powinnam była lepiej pilnować Joego. Proszę wybaczyć mi. Dałeś mi ten dom, wiem, że to dar od Ciebie. Proszę daj mi jeszcze jedną szansę, by stworzyć Próg. Obiecuję, że będę się trzymać od Joego z daleka, jeśli tylko pomożesz mi dojść z tym domem do ładu. Nie pozwól temu wszystkiemu przepaść, proszę”.

Zimne łzy spływały jej po twarzy, a włosy przylepiły się do mokrych policzków. Burzowe fale waliły o brzeg. Mona kołysała się tam i z powrotem, na nowo przeżywając lata zgryzoty. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek wyzwoli się z więzów smutku.



Joe zastał Monę siedzącą po turecku na korytarzu w pomiejscowej kościelnej sukience. Na kolanach miała telefon, a na twarzy najbardziej żalosalną minę, jaką w życiu widział. Przykucnął przy niej.

- Co się stało?

Mona przygryzła drżącą wargę i pokręciła głową.

Joemu ścisnęło się serce. Tego ranka wyglądała strasznie - zaczerwienione i spuchnięte oczy, blada twarz. A kiedy powitał ją uśmiechem, odpowiedziała grymasem. Ewidentnie miała ciężką noc. Przybrał łagodny ton.

- Proszę, powiedz mi.

Mona odparła słabym głosem:

- Ludzie z ubezpieczenia mogą przyjść dopiero w przyszłym tygodniu. Dlaczego musiałam znaleźć firmę, która najbliższe biuro ma w Minneapolis? - Zakryła twarz dłońmi.

Joe zacisnął usta. Nie był pewien, czy wyjawić, co robił rano. Przeciągłe dudnienie dobiegające z podjazdu zdecydowało za niego. Mona uniosła głowę gwałtownie.

- Co to?

Joe położył jej dłoń na ramieniu uspokajająco.

- Oczyszczalnia. Wyczyszczą piwnicę.

- Co? - Mona walnęła telefonem o podłogę i wstała. - Nie dzwoniłam do nich.

Joe wstał i zebrał się w sobie.

- Ja do nich dzwoniłem.

Obrzuciła go spojrzeniem, od którego się skrzywił.

- Nie stać mnie na to, Joe, zwłaszcza na stawkę weekendową. Muszę poczekać na przedstawiciela ubezpieczalni, zanim wydam chociaż 10 centów więcej na ten dom. - Odeszła sztywno w stronę drzwi.

Szedł za nią i nie podnosił głosu.

- Ja za to płacę.

Obróciła się na pięcie i gdyby miała futro i kły, Joe pomyślałby, że oto właśnie mierzy się z niedźwiedziem grizzly.

- Wykluczone. Już teraz jestem ci dłużna więcej, niż jestem w stanie oddać. Pracujesz za grosze i nie potrzebuję twojej dobroczynności.

Joe wbił dłonie w kieszenie i przyjrzał się swoim zabłoconym butom. Jak sprawić, żeby zrozumiała?

- No cóż, może to wszystko moja wina. Może faktycznie nie zakreśliłem węzła. - Uśmiechnął się przepaszająco. - Mogę przynajmniej zapłacić za naprawę.

Wciąż patrzyła na niego krzywo, ale jej furia straciła nieco rozpędu. Widział, jak rozważa jego słowa, a w oczach błyszczy nieznaną emocją. Ulga? Wdzięczność? Gniew? Joe wołał nie wiedzieć. Zbliżył się do niej o krok.

- Proszę pozwól mi pomóc, Mono. Nie chcę patrzeć, jak walą się twoje marzenia.

Pobladła, a w jej oczach pojawiła się desperacja tak wielka, że przysłoniła wszelkie inne uczucia. Joe chciał ją wtedy przytulić - jak wczorajszej nocy na werandzie i jak w swoich snach. Chciał wygładzić jej włosy i zaferować pokrzepienie. W owej chwili nie dbał o to, że może przy tym obnażyć swoje uczucia. Czuł

ucisk w piersi, tak bardzo pragnął, by wyciągnęła do niego rękę, powierzyła mu swoje nadzieje. Gdzie się podziało to zaufanie, które wczoraj w nocy na schodach zaczęło pączkować? W tych udręczonych oczach nie było po nim ani śladu. Nie mogła po prostu pozwolić Joemu pomagać, choć troszkę, żeby od razu nie było odbierane to jak przestępstwo federalne?

Jej następne słowa rozbiły te myśli jak zimna pięść:

- To pożyczka. Oddam ci, choćbym do końca życia miała zmywać gary w jakimś tłustym barze dla kierowców ciężarówek.

Po czym pospieszyła na zewnątrz, zwiększając dystans między nimi.



Wąż beczkowozu wił się przez hall po drewnianej podłodze, której na szczęście Mona jeszcze nie zdążyła wyszlifować, przez kuchnię i po tylnych schodach w dół. Kobieta nasłuchiwała, jak pompy zasysają wodę i skrzywiła się z niechęcią na widok szerokich pasów, jakie koła ciężarówki rozjeżdżyły w jej trawniku.

Beczkwóz z miejskiej oczyszczalni w przedsiębiorstwie na Main Street przyciągnął wielu gapiów. Mona spędziła większość popołudnia, odpowiadając na bezmyślne pytania i poznając sąsiadów. Wyglądało na to, że wszyscy chcą wiedzieć, dlaczego stary wiktoriański dom cieknie.

Edith Draper obserwowała scenę jak generał. Stała na werandzie ze skrzyżowanymi ramionami. Miała na sobie nylonowe rajstopy, elastyczne spodnie i wygodne buty. Nie spuszczała oka z długiej, plastikowej rury przebiegającej przez werandę. Mona stała obok, wdzięczna za jej wierne towarzystwo.

Edith wymamrotała coś pod nosem. Silnik ciężarówki pochłoniął jej słowa.

- Co mówiłaś?

Edith podniosła głos i pochyliła się w stronę Mony:

- Mówiłam, że nic dziwnego, że Brian nie chciał dużo dać za ten dom. Musiał wiedzieć o przecieku w fundamentach.

Mona spojrzała na Edith.

- To nie był przeciek. Joe nie zakręcił wody. Ale wróćmy do Briana i płacenia - o czym ty mówisz?

Edith poprawiła ściągacz różowego swetra z akrylu.

- Brian Whitney. To był dom jego babki. Kiedy zmarła, w testamentie kazała go sprzedać i podzielić pieniądze równo między członków rodziny. Brian złożył ofertę na zakup całego domu, ale twoja była wyższa, więc przegrał. Ale jestem pewna, że otrzymał część przychodów.

Monie zrobiło się niedobrze. Dlaczego Brian o niczym nie wspomniał? Za każdym razem, kiedy przestępował próg jej domu, musiał się ugiąć pod naporem wspomnień. Litość przeszła jej serce. Biedny człowiek, stracił dom po babce tylko dlatego, że nie mógł przebić jej oferty. Nic dziwnego, że zawsze wydawał się przy niej nerwowy, zawsze się starał zaimponować jej pięknym autem i eleganckimi ubraniami, jakby próbował zachować godność. Przynajmniej próbował się z nią zaprzyjaźnić.

Jej wzrok przeniósł się na Joego. Patrzyła, jak rozmawia z konserwatorem. Ręce trzymał w tylnych kieszeniach i huśtał się na nogach. Zrobił dla niej coś dobrego, a ona potraktowała go równie ciepło jak jeżozwierz. Gdyby tylko nie miał oczu, które sięgały prosto w jej duszę ani nie mówił słów, które trafiały prosto w serce, gdzie mogły zgniatać, kaleczyć i ranić.

Po dzisiejszym poranku pragnęła powierzyć mu swoje marzenia. Ale jak można polegać na kimś, kogo cały majątek składa się z obszarpanej torby i żalosego kundla? Ilekroć wracał ze swoich tajemniczych wypraw, wyglądał, jakby nie mógł usiedzieć na miejscu. Często się zastanawiała, czy ryk silnika jego rżęcha nie będzie ostatnim, co od niego usłyszy.

Brian może i miał tyle uroku co okoniopstrąg⁷⁾, ale zostanie na miejscu i to pomimo swego bólu. To przyjacieli, na którego Mona mogła liczyć. Z kolei Joe to w jej życiu supernowa - na moment ją oślepi, po czym się wypali i zgaśnie.



Powietrze pachniało wilgocią, a na mrocznym horyzoncie wśród czarnych chmur wzbierało coś złowieszczonego. Wzburzone wody jeziora piętrzyły się białymi czubami, a gniewne fale miały pianę daleko na brzeg. Chciwy wiatr szarpał czapeczkę Joego. Joe zdjął ją i rzucił na bluzę, która leżała na chodniku. Ustawił łopatę, nabrał na nią kolejny kawałek trawnika zgniecionego przez ciężarówkę i obrócił. Pręgi na trawie, które pojawiły się tam, gdzie przez cały dzień stał beczkowóz, wydawały się nieodwracalne. Ale jeśli dziś je wykopie, a nadciągająca burza orzeźwi ziemię, gleba będzie żyzna i gotowa na nową darń. Joe chciał, żeby w dniu otwarcia trawa Mony tworzyła piękny, gładki dywan.

Usłyszał trzask otwieranych drzwi frontowych i zerknął w stronę domu. Liza stała na werandzie z kubkiem kawy. Joe uśmiechnął się i pomachał do niej.

- Chwileczkę. Zaraz przyjdę. - Musiał przyznać, że ekscentryczny humor i spontaniczny uśmiech Lizy złagodziły wiele przykrych, trudnych momentów w ciągu dnia. Joe był wdzięczny za jej kojącą obecność.

Z nieznanых powodów Mona cały dzień się przed nim kryła. Kiedy w końcu rozmawiali, jej uwagi były zwięzłe i szorstkie, a Joe nie mógł pojąć, gdzie się podziała cudowna, figlarna Mona. Czy był ślepy i żył we śnie cały ubiegły tydzień? Nawet nie wspomniała o ich pocałunku, unikała go, jakby był trędotawy, i jasno

⁷ Okoniopstrąg, bass wielkogębowy — drapieżna ryba słodkowodna [przyp. red. pol.].

dała do zrozumienia, że nie zamierza się do niego na tyle zbliżyć, by mógł ją znowu objąć.

Cóż, nie mógł mieć do niej żalu. Zresztą pewnie tak będzie lepiej - dla nich obojga. Ciężkie brzemie żalu obciążało mu pierś. Bolało go, że Mona myślała, iż to on zalał jej piwnicę. Ale miło z jej strony, że pozwoliła mu jeszcze zostać, nawet jeśli to on zapłacił za oczyszczalnię. Wiedział, że go spłaci, choćby miała sprzedać ostatnią koszulę albo swojego zardzewiałego chevette imieniem Noe. Dlaczego tak go nazwała? I dlaczego kobieta niemal trzydziestoletnia jeździ gratem, którego kupiła pewnie w liceum? Joe nie mógł uwierzyć, że ten rupieć jeszcze działa, chociaż w tych nielicznych przypadkach, kiedy Joe słyszał, jak Mona nim jedzie, rozpoznawał przedśmiertny kaszel i fatalne postukiwanie samochodu, który zmierza na złom.

Wyrzeczenie. Chevette mówił to bardzo wyraźnie. Mona wyrzekała się wszystkiego, żeby tylko jej marzenie się ziściło. Usłyszał w pamięci echo słów Lizy: „Jeśli się nie uda, nie wiem, co zrobi”. Dlaczego ta księgarnia jest dla niej taka ważna? Co ją motywuje?

Joe przerzucił ostatnią kępę trawy, poszatkował i wygładził. Rano to wygrabi. Zarzucił łopatę na ramię, podniósł czapkę, wsadził ją na głowę, złapał bluzę i poszedł na werandę.

Liza siedziała na najwyższym stopniu z kawą w rękach. Z kubka unosiła się smużka pary. Joemu zaburczało w brzuchu, gdy poczuł apetyczną woń. Słyszac to, Liza się uśmiechnęła.

- Kawa chyba tego potwora nie uciszy.

Joe odwzajemnił uśmiech i przysiadł obok niej. Podała mu ciepły kubek. Napój ukoił jego sterane ciało.

- Dzięki, Lizo.

Wzruszyła ramionami.

- Właściwie - tylko nie mów Monie, że ci powiedziałam - to ona zrobiła kawę i zaproponowała, żebym ci zaniosiła.

- Poważnie? Myślałem, że jestem w hierarchii niżej niż padalec. Cały dzień trzęsę się od jej chłodnych spojrzeń.

Liza wzięła w palce kosmyk długich czarnych włosów i przyglądała mu się uważnie.

- Wiem, że potrafi być zimna, kiedy jest sfrustrowana i cierpi. Daj jej szansę stanąć na nogi. Będzie cieplejsza.

Joe zrobił kolejny łyk kawy.

- Mam nadzieję. Nie dam rady burzom na dwóch frontach. - Wskazał gestem jezioro i nadciągające chmury burzowe.

Liza zamruczała zgodnie.

- Możesz mi coś powiedzieć, Lizo?

- Może.

- Dlaczego Mona nazywa swój samochód Noe?

- Skąd o tym wiesz?

Joe zapałzył się w jezioro.

- Pewnie o tym wspomniała.

Liza owinęła włosy wokół palców.

- To długa historia, ale dość powiedzieć, że wjechała samochodem do stawu.

-Co?

Liza uśmiechnęła się szeroko.

- OK, opowiem ci, ale musisz obiecać, że nawet pod groźbą tortur nie wyjawisz, skąd się dowiedziałeś.

Joe skrzyżował palce i podniósł je do góry.

- Dobra. - Liza przerzuciła włosy przez ramię, odchyliła się do tyłu i oparła na wyciągniętych rękach. - Wydaje mi się, że była na drugim roku studiów. Spotykała się z takim gościem, z którym moim zdaniem były same kłopoty. Na imię miał Terrance. Same mięśnie, zero mózgu, Mona do dziś nie jest pewna, co w nim widziała. Tak czy owak, on miał zepsuty samochód i zadzwonił do niej pewnego wieczoru, kiedy strasznie lało, żeby odebrała go z pracy. Ojciec ją ostrzegwał, żeby nie jechała, ale się uparła i go

nie posłuchała. Mona opowiada, że skręciła w lewo, tam gdzie normalnie była droga i nagle okazało się, że dryfuje niczym w arce Noego w stronę krawężnika. Wyszła przez okno, zepchnęła auto na wyższy teren i poszła do biura Terrence'a. Jej ojciec musiał ratować ich oboje. Następnego dnia było pełne słońce i samochód spiekło jak rybę na brzegu. Mówiła, że nie dało się jeździć z zamkniętymi oknami przez trzy miesiące. - Liza zachichotała z uciechą w oczach.

Joe pokręcił głową z uśmiechem.

- Nic dziwnego, że jej auto jest całe skorodowane. Dlaczego nie kupiła nowego? Ten grat musi mieć ponad dziesięć lat.

Liza pokręciła głową.

- Nie jestem pewna. Tata kupił jej Noego, może po prostu nie umie się z nim rozstać. Poza tym wiesz, zawsze się stara oszczędzać.

Joe upił kawy.

- Jej ojciec wydaje się mądrym człowiekiem. Chciałbym go poznać.

Z nabrzeża dobiegały krzyki mew w kakofonii z atakującymi falami. Zadrzał.

- To niemożliwe - powiedziała Liza cicho. - Zginął dziesięć lat temu.



Po wczorajszej nawałnicy na drodze do Ogrodu leżały połamane gałęzie i pełno opadłych liści. Joe wymijał pickupem bezdenne kałuże, starając się nie katapultować zdenerwowanego Ripa z przedniego siedzenia. Przez otwarte okno napływał sosnowy oddech lasu, a kiedy wiatr poruszył drzewami, krople pokrywały przednią szybę.

Joego piekły oczy, a pod ciężarem zmęczenia uginały mu się barki, choć nie dlatego, że pracował już całą dniówkę. Próbując

rozwikłać tajemnicę kryjącą się w udręczonych oczach Mony, całą niekończącą się noc przewracał się z boku na bok. Czy to ma coś wspólnego ze śmiercią jej ojca? Wiadomość, że nie żyje, prawie doprowadziła go do płaczu. Joe wiedział, co to znaczy stracić ojca.

Równie niepokojący był nagły chłód płynący od Mony. Zaintrygowała go psotnym uśmiechem, pozwoliła się popluskąć w toni zielonych oczu, po czym skazała na odrzucenie. Czuł się tak poturbowany i odarty ze skóry jak stojące nieopodal brzozy.

Całą noc nasłuchiwał, jak burza wali w okna i patrzył, jak cienie maltretowanych drzew chwieją się na suficie. W którymś momencie wichury zrozumiał, dlaczego zawsze unikał komplikacji z płcią piękną. Nie miał siły, by znieść nieuchronne rany i kontuzje, jakie się odnosi, gdy ktoś się zakrada do serca. Miłość wymagała bezbronności i dzielenia sekretów.

Prędzej czy później oznaczałoby to ujawnienie Gabe'a.

To dopiero zachęci kobiety, by rzuciła mu się w ramiona.

Jeśli Joe odziedziczył jakieś aberracje chromosomowe, takie, które wywołały u Gabe'a zespół Downa, prawdopodobieństwo, że sam będzie miał takie dziecko, było realne. Czy związek przetrwa próbę, jaką jest niepełnosprawne dziecko? Związek jego rodziców nie przetrwał. Nawet gdyby było to możliwe, to akurat w marzeniu Mony nie było miejsca na dziecko, zwłaszcza na takie wymagające szczególnej opieki. Nie, wpuszczenie Mony do serca to zasadniczy błąd. Wspomnienie jest słodkich ust tylko przekreśliło nóż w ranie. Dziękował Bogu, że Mona jasno dała do zrozumienia, że Joe za cztery tygodnie będzie szukał nowej pracy. Będzie Mony unikał jak wirusa grypy, a potem przetnie więzi i nigdy się już nie obejrzy na Próg Nieba.

Joe podjechał do Ogrodu powoli. Koła samochodu niemrawo obracały się w błocie koło werandy.

Ruby siedziała na bujaku i czytała książkę, którą miała na kolanach. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się ciepło, co podniosło

Joego na duchu. Potruchtła po schodach, gdy Joe wysiadał z kabiny. Rip witał ją całe dwie sekundy, po czym pognął do lasu w poszukiwaniu kolegów do zabawy.

- Brakowało nam ciebie wczoraj.
- No. Miałem problem i nie mogłem przyjechać.
- Robisz interesy w Deep Haven?
- Tak jakby. - Spojrzał za nią. - Jest tu gdzieś Gabe?

Ruby popatrzyła na niego przez zmrużone powieki, po czym pokiwała głową.

- Jest u siebie w pokoju.

Joe pokonał schodki werandy po dwa stopnie naraz. Wchodząc do domu, czuł na sobie wzrok Ruby. Wiedziała za dużo, co nie było dla niego dobre.

Gabe leżał na łóżku i przesuwiał palcem wzdłuż starannie wykaligrafowanych słów listu. Czytając, poruszał ustami. Joe chwilę się mu przyglądał, po czym przywitał się, stojąc w drzwiach.

Gabe podniósł wzrok. Twarz rozpromieniła mu radość.

- Joe! - Mężczyzna nie mógł się przyzwyczaić, jak dzień stawał się jaśniejszy od uśmiechu Gabe'a.

- Co czytasz? - Joe zaczepił kciuki o szlufki spodni. Po twarzy Gabe'a przemknął cień. Usiadł i położył nogi na ziemi, trzymając list w obu rękach. Duże, śmiało stawiane litery wyglądały znajomo i Joego przeszył ból.

- List. - Gabe wbił wzrok w dywan.

Joemu załamał się głos, gdy wydusił przez zaciśnięte gardło:

- Od kogo?
- Od taty.
- Naprawdę? - Zrobiło mu się słabo, kiedy rzeczywistość walnęła go jak obuchem. Ruby miała rację. Tata pisywał do Gabe'a. Joego wiele kosztowało, by nie wyrwać listu i nie podrzeć go na kawałki.

Gabe wyciągnął rękę z listem.

- Chcesz przeczytać?

Starszy brat odsunął się, wciąż nie mogąc dojść do siebie.

- Nie. Dziękuję.

- Czemu nie? To od taty. Tęskni za tobą.

Joe odwrócił się od wstrętnego listu i wyrzwał przez okno. Dlaczego ojciec musiał teraz wrócić? Tak długo go nie było, że rany zdążyły się zablźnić. Joe zamknął oczy, walcząc z nagłymi emocjami.

Nie chciał uciekać. Choć Mona odnosiła się teraz do niego chłodno, tętniło w nim pragnienie pozostania. Mógł porzucić nawet niedokończony interes, który miał stale z tyłu głowy, i rzucić się w to jedno ostatnie przedsięwzięcie. Poza tym gdyby teraz podwinął ogon i wymaszerował z pokoju Gabe'a, czy nie porwałby każdej pięknej nici, jaką wplótł w swoją więź z bratem? Może Ruby miała rację. Rozwiąże ten problem lepiej, jeśli zostanie na miejscu. Ojciec uciekł. Joe nie ucieknie.

- Pokaż mi ten list.

Ręce mu się trzęsły, choć powtarzał sobie, że zachowa spokój. Nawet po upływie osiemnastu lat słyszał baryton ojca, gdy czytał jego słowa:

Drogi Gabrielu,

Dziękuję za zdjęcia truskawek. Widzę, że dołożyliście wiele nowych grządek. Myślisz, że w tym roku wygracie kolejną nagrodę?

Tutaj jest ciepło. Byłem wczoraj nad jeziorem Calhoun i patrzyłem na żaglówki. Wyglądają jak labędzie na wodzie. Pamiętasz flamingi, które widzieliśmy w zoo w zeszłym roku? Widziałem żaglówkę z żaglem dokładnie tego koloru.

*Mojej nowej firmie bardzo dobrze się wiedzie.
Specjalizujemy się teraz w renowacjach i mamy coraz
lepszą reputację. Chociaż jestem zajęty, planuję urlop
latem. Przyjadę Cię zobaczyć. Może pójdziemy na ryby,
jak ostatnio.*

*Masz jakieś wieści od Joego? Gdzie on teraz jest?
Pisał do Ciebie z Kanady? Mam nadzieję, że u niego
wszystko dobrze, tęsknię za nim. Za Tobą też tęsknię.*

Uściski,

Tata

Joe zamknął oczy i odepchnął falę bólu. „Tęskni za mną?” Jasne. „Tęskni za mną jak za wszawicą”. Serce mu pulsowało. „Jak śmie o mnie pytać? Ani razu o mnie nie pomyślał, odkąd zatrzasnął za sobą drzwi”. Joe widział siebie, piętnastoletniego chłopaka, jak stoi w kuchennych drzwiach i samą siłą woli próbuje zmusić ojca, żeby się odwrócił, po prostu pożegnał. Ale ojciec odszedł, nie oglądając się za siebie. Uparcie próbując nie płakać, Joe patrzył, jak ukochany ford mustang ojca odjeżdża w odległe miejsca przy wtórze idealnie nastrojonego silnika.

Joe poczuł wówczas, jak coś w nim się rozdziera. Osiemnaście lat zszywał to rozdarcie. Uciekał, zanim ponownie miał się zmierzyć z takim bólem.

Ojciec zdradził ich wszystkich, a teraz pisze listy do Gabe'a. Joego ogarnęła gorycz. Walczył z impulsem, by zmiąć list. Zamiast tego oddał go Gabe'owi, który złożył kartkę i wsunął ją do prostej białej koperty. Ciężka cisza wbiła się między nich klinem.

Gabe miał zaczerwienione oczy. Joe wyczytał z jego twarzy pytanie, zanim brat zdążył je zadać.

- Czemu nie lubisz taty?

Joe odparł napiętym głosem:

- A jak myślisz?

- Bo nas zostawił - odpowiedział Gabe łagodnie. - Zostawił mamę i ciebie.

- Ciebie też.

- Wiem. - Gabe wykręcił splecione dłonie. - Ale jest mu przykro.

Joe skrzyżował ręce na piersi.

- To nie ma znaczenia. Opuścił nas - mówił ściśniętym głosem.

- Zostawił nas. Złamał mamie serce. To jego wina, że zmarła. Tak ciężko pracowała i to prawdopodobnie wrzody wywołały raka żołądka.

- Mama tak nie mówiła - odparł Gabe. - Mówiła, że tata był inny. Że się zmienił. Tata jest teraz chrześcijaninem.

Joe zmarszczył czoło.

- Nie wierzę. Powiedział tak pewnie, żeby się wkraść z powrotem w nasze życie. - „W moje życie”. - Poza tym skąd mama wiedziała? - Ścisnęło go w żołądku.

- Przyjechali tu tuż przed tym, jak mama umarła. Wtedy go poznałem. Powiedziała mi.

Joe skrzywił się i nabrał tchu boleśnie.

- Wrócił? Czemu mama nigdy mi nie powiedziała?

- Nie zdążyła. Szybko zachorowała. Kiedy wróciłeś do domu, tata bał się z tobą rozmawiać. - Głos Gabe'a, z wysiłkiem układający słowa, zdradzał jego lęk wysokim tonem.

- Byli razem, kiedy zmarła, a ona mi nie powiedziała?

Gabe pokiwał głową.

Joe go zapiekły oczy. Zaciśnął zęby, by zapanować nad bólem, który chciał na nowo rozerwać go na strzępy. Dlaczego to przed nim ukryła? Zdawał sobie sprawę, że dla Gabe'a sprawa jest prosta. Taty nie było, a teraz wrócił. Ale Joe pragnął dokładniejszych odpowiedzi. Dlaczego tata odszedł? I dlaczego mama zataiła przed

nim prawdę? Ścisnął głowę rękami, odczuwając jej odejście jak świeży cios. Nawet kiedy umarła, trudno mu było zaakceptować prawdę. Przyleciał, spędził dzień z Gabe'em i uciekł, zanim słońce zdążyło zajść. Tysiąc razy strofował się za własną bezduszność, ale zrobił to, by przeżyć. Gdyby wtedy został, rozpadłby się na kawałki. I kto by je zbierał?

- Mama powiedziała, że mu przebacza, Joe. I chciała, żebyś ty też mu przebaczył.

Furia zwarzyła samokontrolę Joego.

- Nie! Jak mógłbym? Pozwolił, by zaharowała się na śmierć, i zostawił ciebie.

- Ciebie też zostawił. - Ruby stała w drzwiach z rękami w kieszeniach. Joe spojrzał na nią krzywo.

- To prywatna rozmowa.

- Taka prywatna, że słyszę was z drugiego końca korytarza.

Joe zacisnął zęby i wzniosł oczy na sufit.

- Nie rozumiesz, Ruby. Za krótko tu jesteś. Nie znasz całej historii.

- Poznałam waszego ojca. Wiem, że głęboko żałuje tego, co zrobił. Wiem, że stara się wynagrodzić to Gabe'owi. Tobie też chciałby to wynagrodzić.

- Nie będzie miał okazji.

Ruby uniosła brwi.

- Dlaczego? Wybierasz się dokądś? Porzucisz Gabe'a tak samo jak ojciec porzucił ciebie?

Joe próbował zadusić ją wzrokiem, ale Ruby ani drgnęła.

- Nie masz prawa.

- Mówię, co widzę, Joe. Widzę, jak uciekasz po całym świecie, bo się boisz odwrócić i stawić czoła przeszłości.

- Nie boję się. I nie uciekam. Ktoś musi zarobić na pokój i utrzymanie Gabe'a. Nasz bezwartościowy ojciec tego nie robi.

Ruby skinęła palcem w jego stronę.

- Chodź ze mną.

Joe zerknął na Gabe'a, który patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Dlaczego brat musiał tego słuchać? Nie dość się już nacierpiał? Joe nabrał powietrza z dygotem i poszedł sztywno w dół korytarza.

Ruby była u siebie w biurze i przeglądała dokumenty. Podala je Joemu. Spojrzał na nią z irytacją i obrzucił wzrokiem papiery. Było to miesięczne podsumowanie usług w Ogrodzie. Całkowita kwota wydawała się znacznie wyższa niż jego comiesięczny automatyczny przelew.

- Nie zastanawiałeś się, czemu opłaty od czterech lat nie wzrosły? Rozejrzyj się. Przeprowadzono tu całkowity remont. A ty nie zapłaciłeś ani złamanego centa więcej. Dlaczego? Bo twój ojciec pokrywa różnicę.

Joe zamknął oczy. Zawrzała w nim frustracja. Dlaczego ojciec wtrąca się w obowiązki Joego? Dlaczego ojciec nie zostawi jego i Gabe'a w spokoju? Otworzył oczy i oddał dokumenty Ruby. Musiał mieć doprawdy żalowaną minę, bo jej gniew ustąpił miejsca litości.

- Joe, nie sądzisz, że pora przebaczyć i znowu być rodziną? Dla dobra Gabe'a i twojego własnego. W ostatnich latach dobrze ci się układa i wiem, że starasz się pomóc bratu, pokazać mu, że go kochasz. Ale on potrzebuje ciebie, nie twoich listów. Proszę, zastanów się na tym, by zostać.

- Nie mogę - wychrypiał. - Mam brata, który polega na tym, co robię. A jeśli tu zostanę, komuś może stać się krzywda. Oboje o tym wiemy. - Wyrazem twarzy prowokował ją, by się z nim nie zgodziła.

Zegar na ścianie tykał, gruby dywan pochłaniał ten dźwięk. W kuchni grupa mieszkańców śmiała się i wycierała naczynia po

kolacji. Joe poczuł na sobie wzrok Ruby i zapragnął nagle zatopić się w skórzanej kanapie i schować.

- Joe, co by było dla ciebie trudniejsze? Przebaczyć ojcu czy zostać i nauczyć się przebaczać sobie?



Joe biegł, aż zaczęło go palić w płucach i pot kapał mu z brody. Pochylił się i łapczywie wdychał chłodne powietrze.

Ale ból fizyczny odpychał napastliwe echo głosu Ruby: „Przebacz sobie... zostań”. Wariatka myślała, że skoro zajmuje się jego bratem, to ma też prawo analizować jego życie. Bardziej się nie mogła pomylić. Nie miał czego sobie przebaczać. Nie uciekł od Gabe'a ani swoich zobowiązań. To on został i próbował na powrót zaprowadzić ład.

Joe wyprostował się, złączył dłonie za plecami i wolno przeszedł zwirową drogą. W lesie za rowem melioracyjnym słyszał, jak Rip radośnie ugania się za jakimś dzikim stworzonkiem. Wiatr syczał przez brzozy, niosąc aromatyczną żywicę. Joe spojrzął za siebie na zachodzące słońce. Krwawiło na pomarańczowo i czerwono, rozpluwając się za horyzontem. Westchnął, bo wiedział, że nie jest ani trochę spokojniejszy niż wcześniej, kiedy wrócił do domu, przebrał się w strój do biegania i popędził w dół Main Street.

Zagwizdał. Rip odpowiedział z głębi lasu. Joe rozpoczął powolną wędrówkę z powrotem do miasta.

Pot spływał mu po plecach, serce w piersi waliło, a nogi drżały z wyczerpania, ale wysiłek fizyczny nieco rozjaśnił mu w głowie i pomógł się skupić. Niezależnie od tego, gdzie na kuli ziemskiej

się znalazł, bieganie pomagało mu wznieść się ponad oczywistości, zobaczyć sprawy w szerszym kontekście i porozmawiać ze Stwórcą. Buty miał zupełnie starte od długich kilometrów konwersacji z Bogiem.

- Boże, ta wyprawa robi się nieco zbyt osobista. Chcę pomóc Monie spełnić jej marzenie, ale czemu musiałeś mieszać w to mojego ojca?

„Przebaczenie”. Słowo płonęło w jego sercu jak rozpalone węgle.

- Przebaczenie, Panie? - Joe pokręcił głową. - On na to nie zasłużył.

„Bóg zaś ukazuje nam swoją miłość [właśnie] przez to, że Chrystus umarł za nas, gdyśmy byli jeszcze grzesznikami”. Słowa z Listu do Rzymian dudniły mu w głowie.

Joe zmarszczył czoło i zaczął biec lekkim truchtem. Głos podążał za nim jak nauczyciel ze szkoły niedzielnej na kartkówce ze znajomości Biblii, powtarzając donośnie słowa z Listu do Kolosan 3, 13: „jak Pan wybaczył wam, tak i wy!”

Joe zwiększył tempo, skoncentrował się na trących o żwir stopach.

- „Czemu to widzisz drzazgę w oku swego brata, a belki we własnym oku nie dostrzegasz?” - Joe stanął w miejscu.

- To nie fair. Nie zrobiłem nic złego. To on odszedł. To on potrzebuje przebaczenia, nie ja!

Wiatr zaszumiał w drzewach, ale nikt nie odpowiedział. Joe zacisnął pięści i wmaszerował do miasta.

Chmury ozdobione były czerwonymi smugami, jakby namalowano je na szarej palecie. Jak na poniedziałkowy wieczór w miasteczku mnóstwo się działo, mimo że do oficjalnego otwarcia sezonu - Dnia Pamięci - pozostawały jeszcze trzy tygodnie. Ulicami przejeżdżały pickupy z namiotami i wędkami na pakach. Sznur lśniących przyczep kempingowych Airstream wyrzucał

spaliny na jedynych światłach w mieście, nasycając świeże powietrze znad jeziora oparami diesla.

Kiedy Joe wychodził, Mona pracowała jak robot. Zdrapywała stary lakier z baru, który dostała w kręgielni na północ od miasteczka. Schodząc ze strychu, Joe poczuł też woń świeżej farby z warsztatu Lizy. Panie walczyły z czasem, a kiedy mężczyzna policzył półciężarówkę z przynętą i przenośnymi lodówkami, wcale nie był pewien, czy wygrają. Gorąco pragnął, aby im się powiodło. Na tyle mocno, że gotów był stawić czoła własnej porażce.

W oddali światło w sypialni Mony migotało jak latarnia morska w ciemnym i posępnym Progu Nieba. Złowieszczy cień przysłonił podwórze i pusty warsztat Lizy. Joe zanotował sobie w pamięci, żeby kupić latarnie ogrodowe, kiedy następnym razem wybierze się do sklepu ogrodniczego.

Zagwizdał na Ripa, który zboczył do Pizzerii Pierre'a. Pies popędził w jego stronę ze zdobyczą w pysku. Joe skrzywił się z niesmakiem.

- Masz przecież karmę dla psów. - Labrador siadł, uniósł brwi i obdarzył Joego takim spojrzeniem, jakim mogłaby go obrzucić Mona, gdyby zaoferował jej kawę rozpuszczalną.

- No tak - zaśmiał się Joe i pogłaskał go po głowie. Ku jego zaskoczeniu pies upuścił pizzę i zawarczał. Zdziwiony Joe zabrał rękę.

- W granicach miasta kundel powinien mieć kaganiec, Michaels.

- Brian - powiedział Joe sztywno. Nic dziwnego, że Rip zawarczał. Joe był pełen uznania dla dobrego smaku swojego psa.

Brian był ubrany bardzo swobodnie jak na kogoś, kto uwielbiał się chwalić ubraniami: miał na sobie sprane lewisy i obszerną wiatrówkę, która wydawała się o kilka rozmiarów za duża.

- Wybierasz się na biwak? - Joe skierował wzrok na czarny plecak na ramieniu Briana. Mężczyzna zaśmiał się, ale w ciemnych oczach nie było wesołości.

- Gdzie byłeś?

Joe wzruszył ramionami.

- Tu i ówdzie.

Brian zmrużył nieco oczy, a milczenie między dwoma mężczyznami naznaczone było wzajemną niechęcią.

- Dokąd tak znikasz cały czas? Czego szukasz w moim mieście?

- zapytał Brian obcesowo. Joe zacisnął zęby.

- Tego samego, co ty, Whitney. Próbuję związać koniec z końcem.

- Nie. Ja tu mieszkam. Ty jesteś włóczęgą i jesteś tu tylko przejazdem. Równie dobrze możesz być na zwolnieniu warunkowym i rozglądać się za następną robotą. Albo - Brian uśmiechnął się złośliwie - może jesteś seryjnym mordercą, który czai się na dwie niewinne kobiety.

Joe wyparł pragnienie zatopienia pięści w zadufanej gębie Briana i przylepił do twarzy nieszczerzy uśmiech.

- W tym mieście jest tylko jedna osoba, którą bym zamordował. - Uśmiech Briana przygasł. - Osoba, która stoi na drodze do spełnienia marzeń Mony.

Brian nie próbował nawet ukryć niechętnego spojrzenia.

- Według Mony to ty sam, Joe. Jakaś historia z niezakreconym węzłem i zalaną piwnicą?

W Joem zawrzała wściekłość, która w nim narastała, odkąd widział, jak Brian wtrąca Monę do Devil's Kettle, rozniecona dodatkowo bezlitosnymi uwagami Ruby. Zacisnął dłonie w pięści i zaczął dygotać. Wycedził napiętym głosem:

- Obaj wiemy, kto to zrobił.

Brian udął zaskoczenie, ale Joe parł dalej.

- Nie wiem, czy to było przez pomyłkę, czy celowo. Ale mówię poważnie. Nie próbuj sabotować marzeń Mony.

- Niby czemu miałbym to zrobić? - Brian rozłożył ręce, a Joe niemal go po nich chłasnął.

Pytanie wisiało między nimi, aż Joe musiał przyjąć je do wiadomości. W istocie - dlaczego Brian miałby sabotować Próg? Wytrąciło to Joego z równowagi. Popatrzył na Briana nienawistnie. Miał ochotę zadusić ten arogancki uśmieszek na wycackanej, opalonej twarzy. Siła tego impulsu go zaniepokoiła.

- Chodź, Rip - wymamrotał Joe, nie odwracając oczu od Briana.

Brian zaśmiał się cicho, kiedy mężczyzna przechodził obok niego. Drażniło to Joego, ale uparcie się nie odwrócił. Na zmianę ściskając i rozluźniając pięści, poszedł w kierunku ciemnego domu.

Niebo się już wykrwawiło i na horyzoncie została już tylko stalowa szarość. Wiatr przeszywał bluzę Joego i napinał jego skórę. Kiedy mężczyzna zbliżał się po ścieżce do Progu, zaatakował go słaby, kwaśny odór. To pewnie pozostałości nieprzyjemnego spotkania z Brianem.

Postanowienie się umocniło, gdy obchodził dom i wspinał się po schodach. Jeśli zostanie, to nie po to, aby wybaczyć sobie, że opuścił Gabe'a, tylko po to, żeby nie musiał borykać się z poczuciem winy, że porzucił Monę.



Nie. O rany. Nie. Nie!

Wczesnie rano krzyk Mony zbudził Joego z głębokiego snu bez marzeń skutecznie jak zimny prysznic. Otrzeźwiał z sykiem. Nie, nie było jej w tym pokoju, ale tak to brzmiało, jak gdyby była - jej wołanie odbijało się echem od krokwi.

Joe obrócił się na drugi bok, spadł z sofy na gołą podłogę, niepewnie się podniósł, po czym potknął się w drodze do okna. Nie widział Mony, ale sięgając wzrokiem za dom na podjazd, wypatrzył powód jej przerażenia: na trawniku były białe i żółte plamy.

Joe przeczesał dłonią włosy. Co znowu?

Wbił się w parę pomiętych dżinsów, złapał po drodze bluzę i zbiegł po schodach. Na bosaka pognął na podjazd, gdzie na werandzie zastał zdenerwowaną Monę i równie bladą Lizę. Mona nawet go nie przywitała.

- Popatrz na trawnik! Ma różyczkę!

Nie wiedział, czy zaśmiać się w kapitulacji, czy płakać razem z nią. Jej ocena sytuacji była trafna. Trawnik wyglądał, jakby cierpiał na najgorszy przypadek różyczki po tej stronie Atlantyku. Wielkie plamy zlewały się z małymi, a cała powierzchnia cierpko śmierdziała, jakby zapieczono trawę w soku z cytryny.

- Co się stało? - zapytał Joe z opanowaną miną. Podeszedł do dużej plamy, uklęknął i podparł się rękoma, po czym powąchał ziemię jak Rip. Odór poraził jego nos.

- Nie wiem. Wczoraj wieczorem tego nie było.

Joe usiadł na kolanach.

- Śmierdzi jak środek chwastobójczy.

- Środek chwastobójczy?

Joemu ścisnęło się serce. Podniósł się i popatrzył na Monę ze współczuciem.

- Ktoś próbuje zniszczyć twoją trawę.

Mona powoli rozchyliła usta i zmieniła się na twarzy.

- Dlaczego ktoś zrobiłby coś takiego? - głos Lizy był wyższy z niedowierzania.

Zamiast odpowiadać, Joe przeszedł się po trawniku, kopiąc w szczególnie blade miejsca. Nad głowami rozległ się krzyk mewy. Fale rytmicznie uderzały o brzег. Błękitne niebo było niemal bezchmurne. Gdyby nie przykry zapach, który jak widmo śmierci unosił się nad Progiem, byłby to piękny dzień. Joe obrócił się na pięcie i podeszedł w stronę werandy. Mona opadła na najwyższy stopień i owinęła kolana ramionami.

- Nie wiem, dlaczego - odpowiedział w końcu Joe, usilnie starając się nie objąć Mony. Musi znaleźć inny sposób, by ją pocieszać. Mona ukryła twarz w dłoniach.

- Jest zniszczony?

- Zobaczymy.

Mona uniosła głowę. Popatrzył jej w zaczerwienione i umęczone oczy. „Nie poddawaj się, Mono”.

- Zaraz wrócę. - Joe zeskoczył ze stopni i pognął do domu. Wąż ogrodowy leżał zwinięty jak prawdziwy wąż, wciąż pokryty błotem po przygodzie dwa dni wcześniej. Joe szarpnął go i odkręcił piszczący kurek. Woda wypłynęła z zardzewiałej końcówki. Ustawił maksymalną moc i zaciągnął węża na podjazd.

Na rogu natknął się na Monę, która stała z rękoma na biodrach i szeroko otwartymi oczami.

- Zamierzasz zrobić tu grzędawisko?

- No - odparł Joe, uśmiechając się szeroko. Mona zmarszczyła brew.

- Tę metodę już wypróbowaliśmy, Joe - zawołała Liza z werandy. - Drugi raz ubezpieczalnia tego nie tyknie.

Joe spojrział na nią żartobliwie spode łba.

- Jeśli panie niedowiarki na chwilę zamilkną, to może uda mi się uratować wasz bezcenny trawnik. Dokładnie to zamierzam zrobić - utopić to wszystko. - Pomaszerował na brzeg trawnika i przyłożył kciuk do końcówki węża. Woda rozprysła się na wszystkie strony. Joe skierował strumień na trawę. - Może uda się to zmyć, zanim nasyci ziemię.

Odór otoczył go wilgotną chmurą, ale mężczyzna zauważył, że proszek się zbiera i pieni, by wreszcie spłynąć falą w stronę krawężnika.

- Może się udać! - Odwrócił się i mrugnął okiem do Mony. Wyraz nadziei na jej twarzy sprawił, że zachciało mu się tańczyć.

- Zrobię kawę. - Mona poszła do domu. Liza była o krok za nią i poruszyła brwiami w stronę Joego znacząco.



- Pracowity - zgadza się. - Liza przysunęła się do Mony, która stała w oknie salonu z popołudniowym kubkiem kawy. Pochyliła się bliżej i wyszeptała Monie do ucha: - Cierpliwy - zgadza się.

- O czym ty mówisz?

- Po prostu zwracam uwagę na coś, co i bez tego jest oczywiste. Joe leje po trawniku od jakichś czterech godzin. Gleba jest nasycona, Joe jest na bosaka, więc stopy musi mieć jak kostki lodu, ale stoi tam sobie i śpiewa *Amazing Grace*. Jeśli to nie pasuje do

twojego opisu idealnego faceta, to ja już sama nie wiem, o co ci chodzi. - Liza oparła się o framugę okna, zadowolona z siebie.

- Nie, Lizo - zaoponowała Mona. - Zapomniałeś o „oddaniu rodzinie”. Joe nie jest oddany niczemu poza swoim włóczęgowskim stylem życia. Mógłby się stąd zmyć w dwadzieścia minut. I tak robi. Wyjeżdża stąd, ilekroć może. Dokąd on w ogóle jeździ?

Liza wzruszyła ramionami.

Mona odwróciła się i spojrzała, jak Joe czyści jej zakurzone podwórze.

- Pracowity jest, to mu przyznaję.

- I przystojny. Ten lekki zarost tylko przydaje mu nonszalanciego uroku.

Mona przewróciła oczami. Ale nie mogła odmówić Lizie racji. Joe tak szybko rzucił się z pomocą, że nie zdążył się nawet ogolić. Od tamtej pory podlewał trawnik. Obserwowała, jak kieruje strumień na jej młodą topolę. Dokładny był, to na pewno. A Mona jeszcze nigdy nie była tak wdzięczna za jego szybki refleks. Oczywiście poza tym, jak zanurkował za nią do rzeki Kettle. Nie przemyślała jeszcze - ani tym bardziej nie zaakceptowała - głębokiej ulgi, jaką poczuła, kiedy ją ocalił i bezpiecznie utulił w swoich silnych ramionach. Skutecznie wyparła wszelkie wspomnienia tej chwili, jak również pocałunku, jakim obdarzył ją na schodach. Okropne przeżycia związane z zalaniem piwnicy, a obecnie z uszkodzonym trawnikiem, zwały ją z nóg. Monie wydawało się, że łatwiej tonąć w zmartwieniach, niż ulec uczuciom, które groziły, że pogrążą ją w odmętach.

Ale coraz trudniej było walczyć z tymi uczuciami. „Boże, jestem taka słaba - dlaczego nie zesłałeś emeryta, żeby mi remontował dom? Kogoś żonatego, z gromadką wnucząt i nieprzyjemnym usposobieniem?” Bóg jednak zesłał Joego i jego obecność w Progu podnosiła ją na duchu. Chociaż ona traktowała go oziębło, on

okazywał jej ciepło i dobroć. Nie zasługiwała na jego tolerancyjną przyjaźń. Żal zasnuł jej myśli. A co jeśli Liza ma rację? Co jeśli Joe jest mężczyzną doskonałym, a ona go odpycha? Ale przecież to on wyjeżdża, prawda? Ona tylko chroni serce przed tym, co nieuchronne. „Boże, proszę, daj mi siłę. Pomóż mi nie stracić głowy dla włóczgi bez korzeni i nie zapomnieć, na co tak ciężko pracowałam. Złożyłam Ci obietnicę - pomóż mi jej dotrzymać!”

Mona wbiła wzrok w kawę.

- On wyjeżdża, Lizo. Nie ma sensu się z nim wiązać. Był w tylu miejscach, ile mi się nawet nie śniło.

- Może zostałby, gdybyś go poprosiła - rzekła Liza łagodnie.

Mona zagryzła dolną wargę i pokręciła głową.

- Zbyt duże ryzyko. Muszę uruchomić i rozkręcić Próg, zanim zacznę się choćby zastanawiać nad jakimś mężczyzną. To nie jest właściwy czas. A on nie jest właściwym mężczyzną.

- Wciąż czekasz na Jonaha?

Mona się zjeżyła.

- Jonah nie istnieje. To postać z książki, z bajki. Tak samo jak mój wymarzony mężczyzna. - Uśmiechnęła się do Lizy cierpko.

- Konam z głodu! - Joe zaanonsował się, a Mona podskoczyła. Jej majster przyczłapał do pokoju wilgotny i wymięty. Manikiety dzinsów miał mokre, a krótki brązowy zarost lśnił wilgocią. Wcześniej podwinął rękawy bluzy na opalonych ramionach, a czapka, którą założył tyłem do przodu, zupełnie się nie spisała i nie osłoniła jego pociągającej twarzy od słońca. Wyglądał dosłownie tak przystojnie, że aż boli. Jej własne słowa odbiły się w jej uszach drwiącym echem: „Nie jest właściwym mężczyzną”.

Joe zatrzęsł się lekko.

- Kawa! Och, pokarm dla wygłodniałej duszy. - Błękitne oczy zamigotały, a w obliczu jego ciepłego uśmiechu własne słowa wyleciały Monie z głowy. W obecności Joego jej mózg upłynął się w miód.

Liza pochyliła się w stronę Mony.

- Lubi kawę - zgadza się. - Wyszeptała. Potem zwróciła się do Joego: - Kubek kawy dla naszego lokalnego bohatera - już się robi.

Joe odwrócił się do Mony z błyszczącymi oczami.

- Myślę, że trawa przeżyje. Słońce świeci, jest bezchmurnie, więc bagnisko przed domem szybciotko wyparuje. Może za parę dni damy trochę nawozu, ale to się zobaczy. Nie chcemy trawnika wypalić.

- Byłeś może kiedyś architektem krajobrazu? - Dojmująco świadoma, jak szybko bije jej serce, Mona starała się, żeby nie odbiło się to na barwie jej głosu.

Joe się roześmiał.

- Nie. Zajmowałem się paroma ogrodami, ale ich nie projektowałem. Stare dobre zlecenia na naprawy, parę fuch na ranczach i wypas reniferów.

- Reniferów?

Monie wydawało się, że Joe się zarumienił. W oczach zgasł mu blask i uśmiech znikł w okamgnieniu, jak gdyby ktoś zatrzasnął drzwi przed jego promiennym nastrojem.

- Mniejsza z tym. - Zimny ton jego głosu odczuła jak policzek. Moze źle odczytała jego ciepłą obecność.

- Sam o tym wspomniałeś. - Wpatrywała się w kawę, ale kątem oka spostrzegła, jak Joe się krzywi.

- Przepraszam. Mój błąd. - Odwrócił się raptownie i udał się do kuchni niemal z prędkością dźwięku.

Mona próbowała dojsć do siebie po jego zimnym wyjściu. No cóż, „otwartości” na pewno nie ma na liście jego zalet!



Joego bolał kark, a mięśnie rąk paliły. Nie miał pojęcia, że tynkowanie sufitu może być takie bolesne. A może źródłem cierpienia były zdezorientowane, wręcz gniewne spojrzenia, jakie ciągle

rzucała mu z drugiego pokoju Mona. Tarła płamę na barze z niezrównaną pasją; jej zapalczywość sama wypaliłaby czarną smugę. Joe zazgrzytał zębami i skoncentrował się na wygładzaniu sufitu. Akurat kiedy Mona znowu zaczęła się do niego przekonywać, on musiał się zjeżyć i podeptać ich kruchą przyjaźń. Żałował swoich porywczych słów.

- Gładki jak lukier na torcie weselnym.

Głos Lizy wytrącił go z zamyślenia. Stracił równowagę i podskakiwał chwilę na chwiejącej się drabince, po czym przewrócił się wraz z nią. Z hukiem wylądował na podłodze.

- Och! Przepraszam, Joe! Nie chciałam cię wystraszyć.

Joe pomachał ręką na znak, że się nie gniewa i podniósł się. Mona przerwała szorowanie i kątem oka zauważył jej zmartwioną minę. Uśmiechnął się do niej półgębkiem, a ona natychmiast pokryła troskę energicznym szorowaniem.

- Tak czy owak, niezły sufit. Nie znać nawet, że próbował mnie zabić. - Liza uśmiechnęła się szeroko.

- Kto próbuje cię zabić, moja piękna?

Joe skrzywił się, rozpoznawszy słodki głos i natrętną wodę kolońską Briana. Liza obróciła się z impetem. Radość rozjaśniła jej twarz.

- Brian! Nie widzieliśmy cię od soboty! Gdzie się podziewałeś?

- Pobieгла go powitać niemal w podskokach.

Joe się obrócił, zobaczył, że Mona zbliża się z przyjaznym uśmiechem, i coś go zapiekło.

Brian uściskał Lizę jedną ręką, a drugą objął Monę. Joe z zadowoleniem zauważył, że Mona nie przylgnęła do Briana jak jej koleżanka.

- Jak się mają moje dziewczęta? - zapytał Brian.

- Znakomicie - odparła Liza. - Rano miałyśmy małą przygodę, ale Joe nas uratował i myślę, że wszystko idzie zgodnie z planem.

- Małą przygodę? - powtórzył Joe niedowierzająco. Mona również nie wydawała się zachwycona doborem słownictwa przez współlokatorkę.

- Moim zdaniem „przygoda” to trochę za mało powiedziane. Raczej „napaść”.

Uśmiech Briana przygasł, a na twarzy odmalowała się troska.

- Co się stało?

Joe zrobił dwa kroki w stronę całej trójki, nie spuszczać oczu z Briana.

- Wczoraj wieczorem ktoś im posypał cały trawnik środkiem chwastobójczym.

Musiał przyznać: jeśli to Brian był winny, był wytrawnym aktorem. Twarz wyrażała głębokie zaskoczenie. Usta nieco się rozchyliły, a oczy pociemniały stosownie w obronie posiadłości Mony.

- Zgłosiliście to na policję?

Mona zamrugła oczami.

- Nie. Nawet o tym nie pomyślałam. Joe od razu zaczął to zmywać.

Brian wbił w Joego podejrzliwy wzrok.

- Czyli dowody zostały zniszczone, tak?

Joe rozdziawił usta i poczuł przyływ gniewu o niepokojącym natężeniu. Zaciśnął dłoń na szpachli tak mocno, że aż pobieleły mu kłykcie.

- Zrobiłem pierwsze, co przyszło mi do głowy. Uratowałem trawnik.

Oczy Briana były lodowate.

- Albo siebie uratowałeś.

Mona i Liza popatrzyły na Briana z przerażeniem.

- O... o czym ty mówisz? - wyjąkała Mona. Brian nie odwracał oczu od Joego.

- Po prostu wydaje mi się, że odkąd on się pojawił, zdarzyło się tu wiele tak zwanych wypadków.

Mona zbladła jak ściana. Popatrzyła na Joego, a on w jej pięknych oczach wyczytał zwątpienie. Pokręcił głową, otumaniony i zraniony. Łzy zabłyśły w oczach Lizy.

- To nieprawda, co, Joe? Nie próbujesz nas zniszczyć, prawda? To znaczy, piwnicę załałeś przez przypadek, prawda?

Joe się wzdrygnął. Spojrzał spode łba na Briana, który odpowiedział lodowatym uśmiechem.

Mona zwróciła się do Briana:

- Jestem pewna, że Joe nie miał z tym nic wspólnego. - Głos miała jednak cienki, a kiedy spojrzała Joemu w oczy, nie było w nich zaufania, które tak cierpliwie budował. Joe popatrzył na nią desperacko.

- Nie zrobiłem tego.

- To po co tu jesteś, Michaels? - Brian zmrużył oczy podejrzliwie. - Dokąd chadzasz po nocach? Gdzie spędzasz wolne dni?

Joe słyszał ciszę pełną oskarżeń. Dławił się ze strachu i gniewu. Tylko tego brakowało, żeby Brian Whitney zwał coś na temat jego brata. Mona zażądałaby spotkania z nim, po czym wszystko by się rozpadło szybciej niż tani sweter w pralce. Pokręcił głową bez odpowiedzi.

Mona wyglądała, jakby ktoś ją spoliczkował. Błada i przerażona. Widział, jak nieszczęśliwe wypadki piętrzą się przed jej oczami jak dowody. Gdyby mógł coś wydusić ze ściśniętej piersi, być może coś by wymyślił. Zdobył się na słabe:

- Słuchaj, Mona...

- Proszę wracaj do pracy.

Jej słowa ubodły go w serce.

- To nie tak, jak myślisz.

- A jak myślę, Joe? Próbujesz mnie zniszczyć? - Jej oczy wypełniły się łzami. Nie czekała na odpowiedź. - Mniejsza z tym. Proszę, skończ po prostu to, do czego cię najęłam.

- I lepiej, żeby nic innego się tu już nie stało - dodał Brian.

Joe nie zwracał na niego uwagi. Zgrzytając zębami, wspiął się z powrotem na drabinkę. W jednej chwili z lokalnego bohatera został najętym robotnikiem. Nie, wrócił do pozycji padalca.

- Pokaż mi, Mona, nad czym pracujesz - słodziutki ton Briana zachwiał nieco postanowieniem Joego, by nie wypróbować na kłamcy starego chwytu futbolowego. Joe zabrał się za sufit i przysłuchiwał się, jak Brian owija sobie panie wokół palca. - Świetnie się spisałaś z tym barem i tymi uroczymi stolikami do kawy!

„Co za facet używa słowa uroczy?” Joe przykucnął i nabrał porcję tynku.

- Myślisz, że zdążycie z otwarciem?

Kątem oka Joe zobaczył, jak Mona kiwa głową z iskierką nadziei w oczach.

- Tak myślę. Jeśli uda się uniknąć kolejnych „wypadków”.

Rozmowa urwała się nagle. Joe poczuł na sobie ich oczy. Zmusił się, by nucić pod nosem.

- Przyszedłem dać ci pozwolenie na budowę parkingu, Mono. Ale jak widzę, moje prawdziwe zadanie to zaprosić was, dziewczęta, na obiad. Znam nową knajpę ze stekami jakieś trzydzieści kilometrów wzdłuż brzegu jeziora. Nic wymyślnego, ale smacznie karmią.

Z barwy głosu Briana, gdy ten się cicho zaśmiał, Joe wywnioskował, że panie się zgodziły.

- Poczekam na werandzie, aż się przebierzecie.

Koło Joego rozbrzmiały kroki.

Następne pięć minut dłużyło się w nieskończoność. Joe walczył z chęcią zatynkowania wszystkich otworów w twarzy Briana Whitneya, zwłaszcza gęby, która napsuła mu najwięcej krwi. Wypuścił powietrze z ulgą, kiedy dziewczyny zgramoliły się ze schodów i honda odjechała z rykiem.

Joe usiadł na drabince i opuścił głowę na ręce. Teraz Mona myśli, że to on ją sabotuje. A kto wie, jakimi uwagami Brian

użyźnia grunt pod ich kiełkującymi podejrzeniami? Może Joe powinien wyjechać. Byłoby prościej - i bezpieczniej - niż próbować wyjaśnić swoją obecność w ich mieście i w ich życiu. Na pewno też byłoby łatwiej, niż odsłonić przed Moną prywatność, przeszłość, cierpienie.

Ale co, jeśli sabotażysta znowu zaatakuje? Mona zostanie ze strzępami marzeń. Joe zacisnął oczy. „Daj mi mądrość, Panie. Pomóż mi zrozumieć, co mam robić”.

„Prawda was wyzwoli”.

Joe otworzył oczy. Prawda. Która prawda i ile prawdy? Poza tym wcale nie znajdował się w potrzasku. Nic go nie wiązało. Nie miał domu, nie miał zobowiązań. Był z nich wszystkich najbardziej wolny.

Jeśli nie liczyć faktu, że dług wisi mu nad głową... Dług, którego nie wiedział, jak spłacić. Jednak w ciągu ostatnich kilku dni niemal całkowicie porzucił myśl o ucieczce. Tak, zapłaci za to, ale czy praca na rzecz marzenia Mony i radość z przyjaźni Gabe'a nie były tego warte? Gdyby zaczął planować ratunek, musiałby poświęcić cenne godziny spędzane z nimi, wzbudziłoby to żal, nawet poczucie winy. I tak pozostawi po sobie posmak obłudy. To bolało.

Joe westchnął i wstał. W jego najlepszym interesie faktycznie może leżeć szybka ewakuacja, ale złożył obietnicę, a chociaż nie miał zbyt wiele majątku, to miał swój honor... No dobra, przynajmniej chciał mieć honor. Tak, był dumny z tego, co osiągnął w życiu, ale gdzieś po drodze przybrało to zły obrót. W jakiś sposób jego ciężka praca i marzenia zmieniły się w przerażającego potwora, który zrywał się z uwięzi i rósł do koszmarnych rozmiarów. Przez swoją „karierę” Joe wylądował nawet w szpitalu. Marzył o tym, by wyrwać się z jej szponów i wejść na inną ścieżkę. Prostsza ścieżkę. Z szeroko otwartymi oczami i pełną świadomością poświęceń, jakich wymaga życie, które wybrał. Może

nie wybrałby innej branży, ale na pewno poprawiłby plany, żeby znalazło się w nich miejsce na dom, może na rodzinę.

Z drugiej strony, nie może przecież poprawić Gabe'a, prawda? Może jego włóczęgowski tryb życia był dla wszystkich najlepszy. A póki wypatruje kłopotów, nikomu nie stanie się krzywda. Snucie teraz marzeń o innym życiu było mniej więcej równie pożyteczne jak sito na deszczu.

Joe znalazł pokrywkę od wiaderka z tynkiem i wbił ją na miejsce. Wyniósł wiadro na zewnątrz i postawił je obok pozostałych materiałów budowlanych: farby, bejcy, lakieru i narzędzi, które poukładał przy ścianie garażu. Następnie wrócił do jadalni, zwinął plastikową folię i złożył drabinkę. Odstawił ją w hallu, po czym przyniósł z kuchni miotłę i zaczął zamiatać resztki tynku, które spadły z sufitu, kiedy go naprawiał.

Dużo łatwiej byłoby uzasadnić chęć wyniesienia się z miasta, gdyby na Monę nie czaił się sabotażysta. Czy napastnik czyha na Monę? Czy może te tak zwane wypadki mają związek domem? Czy Liza jest zamierzoną ofiarą? Joe rozważał przerażające możliwości, zmiatając tynk na łopatkę.

Wrzucił śmieci do kosza i zawędrował do części domu należącej do Lizy. Liza była zdecydowanie z innej bajki niż Mona. Pomalowała sobie ściany na błękitno, a zamiast lakierować podłogę, naszkicowała na niej skomplikowany morski pejzaż. Ale jej zmysł dekoratorski dorównywał talentowi Mony. Liza zrobiła dobry użytek z tego, co miała do dyspozycji. Zbudowała wysoki regał z pięciu długich, zabarwionych na niebiesko desek i czerwonych cegieł, a stare wyplatane krzesło pomalowała na pomarańczowo, w odcieniu dyni. Pokój odzwierciedlał charakter Lizy - beztroski, zwiewny i wesoły, choć nieco kapryśny.

Po stronie domu należącej do Mony panował poważniejszy nastrój, ale ciepła atmosfera mieszkania i sosnowego lasu pociągała Joe'go jak ogień ćmę. Gdyby tylko mógł ponownie przekonać do

siebie właścicielkę, skłonić ją, by mu zaufała. Ale po oscarowym występie Briana będzie miał szczęście, jeśli po ich powrocie dalej będzie miał dach nad głową. Joe zamiatał zamaszystymi pociągnięciami, a kiedy przypomniał sobie uśmiech Briana, z irytacją wjechał miotłą mocno pod półkę Lizy. Kawalek papieru sfrunął i osiadł w kurzu. Joe podniósł go i obejrzał. Był to fragment karty pokładowej sprzed tygodnia na lot do Chicago z Duluth. Marszcząc czoło, schował go do kieszeni.

Joe zamiótł resztę śmieci na łopatkę i wyrzucił je do kosza. Odstawił miotłę i wyszedł na werandę. Pomarańczoworóżowe słońce wisiało nisko pod lekkimi chmurami. Zaczepnęła tchu, by poczuć wilgotną, aromatyczną woń trawnika, i poczuł ulgę. Cierpki odór zniknął. Joe zanucił pod nosem, kiedy przed oczyma stanęła mu twarz Mony z wyrazem ulgi i jej piękny uśmiech. Miał nadzieję, że nie jest za późno, by wkraść się w jej łaski.

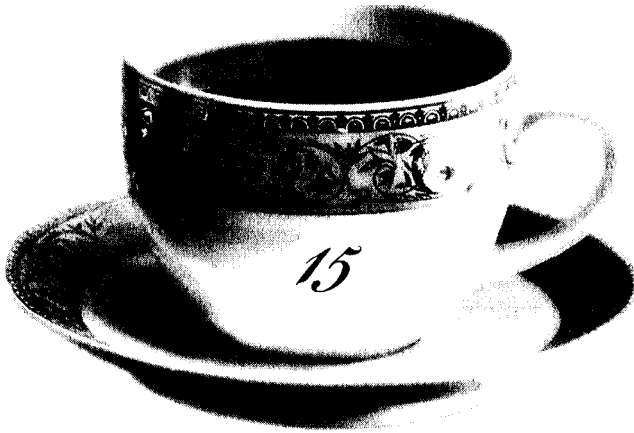
Joe zagwizdał. Rip przybiegł zza budynku. W pysku miał starą szmatę. U stóp schodów na werandę Joe sięgnął po nią, a Rip zawarczał dla zabawy i oddał zabawkę.

- Gdzieś to znalazł, kolego? - Joe zmarszczył nos, czując ostry zapach benzyny, jaki płynął od poplamionej szmaty.

Rip usiadł, marszcząc grube, brązowe brwi. Joe poklepał go po głowie.

- Koniec w grzebaniu w cudzych śmieciach. - Zmiał szmatę w dłoni. - Chodź, kolego. Upichcę nam makaronu z serem. Żaden stek temu nie dorówna.

Joe rzucił szmatę na stos odpadów koło garażu i wspiął się po schodach do swojej kawalerki. Powziął mocne postanowienie, że nie będzie nasłuchiwać szmeru silnika eleganckiej hondy Briana.



Mona widziała, jak ruszają mu się usta, i wiedziała, że coś mówi, ale niezależnie od nakładu wysiłku nie mogła pojąć słów Briana Whitneya. Jego głos po prostu nie mógł się przedrzeć przez krzyk przerażenia w jej sercu.

Czyżby była aż tak ślepa? Czy to możliwe, że Joe naprawdę sabotuje ją i jej marzenia? Dlaczego? Czy był skazańcem, jak sugerował Brian podczas jazdy do Shoreline Steak House? Wyraz „skazaniec” wprawił ją w drżenie i od tamtej pory była zupełnie osłupiała. Myślami wróciła do tego pierwszego dnia, kiedy spytała Joego, czy przebywa na zwolnieniu warunkowym. Zacerwienił się i zapewnił ją tym swoim czarującym tonem bohatera, że będzie z nim bezpieczna. Bezpieczna! Zrobiło jej się niedobrze.

Tak niewiele wiedziała o swoim majstrze. Owszem, umiał naprawić praktycznie wszystko oraz puszczać kaczki na wzburzonym jeziorze jak zawodowiec. Ale jego nieznanne pochodzenie oraz pokrętne odpowiedzi na pytanie, co robi, gdy ma wolne, nieraz już namieszały jej w głowie. Niestety, jeśli sądzić po dzisiejszej milczącej odpowiedzi na oskarżenia Briana, która jasno dawała do zrozumienia, żeby się nie wtrącać, Joe nie miał zamiaru wyjawić swoich sekretów. Stanowił wcieloną tajemnicę, a Mona pozwoliła mu się pocałować. Głupota tego impulsu skręcała jej

żołądek, kiedy wpatrywała się w talerz i przesuwiała swój zimny, niezjedzony stek przez sos.

Śmiech Lizy sprowadził Monę na ziemię i uzmysłowił jej, że przegapiła jakiś żart ich gospodarza. Uśmiechnęła się, ale z rozczarowanej miny Briana wywnioskowała, że nie dał się oszukać.

Przyglądał się jej chwilę z enigmatycznym wyrazem twarzy, który wkrótce zmienił się w litość.

- Słuchaj, Mona, nie martw się. Na pewno wszystko się ułoży.
- Chwycił ją za rękę. Jego dłoń była dziwnie spocona i spotęgowała jej dyskomfort.

- Dzięki, Brian - powiedziała, cofając rękę. Serwetką delikatnie otarła usta, po czym włożyła ją pod talerz. Nie było sensu dalej się siłować ze średnio wysmażonym stekiem, karbowanymi frytkami i sałatką ze szpinaku. Może to był najlepszy posiłek, jaki tego dnia zjadła, ale i tak lądował jak kamień w jej ściśniętym żołądku. Chęć, by pospieszyć do Progu i nie tylko upewnić się, że jeszcze stoi, lecz także rozmówić się z człowiekiem, który zapewniał, iż nie zostawi jej z tym wszystkim, rosła do niebotycznych rozmiarów.

A może zamiast pędzić do Progu, skorzystałaby na wizycie na komisariacie policji w Deep Haven. Zastanawiała się, co musiałaby zrobić, żeby miejscowa policja pogrzebała w przeszłości Joego... Jeśli ten człowiek w ogóle ma tak na imię. Łzy zakłuły ją w oczy.

Pochyliła się w stronę Lizy, która była pochłonięta dowcipnym podsumowaniem lokalnej polityki ustami Briana, i wyszeptwała:

- Możemy już jechać?

Liza spojrzała na nią ze ściągniętymi brwiami. Mona musiała wyglądać żałośnie, bo Liza nagle uśmiechnęła się łagodnie.

- Myślę, że chcemy już iść do domu, Brian - powiedziała słodko, dotykając jego ramienia.

Brian wyprostował się na krześle ze zmarszczonym czołem.

- Na pewno?

Mona pokiwała głową sztywno. Brian był wyraźnie rozczarowany. Mona poczuła wyrzut sumienia. Był dziś dla nich dobry, starał się odwrócić uwagę od koszarnej prawdy, że majster próbuje ją zniszczyć. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Dziękuję bardzo za ten cudowny wieczór. Naprawdę jesteśmy wdzięczne za twoją dobroć.

Brian poweselał.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Dla moich nowych sąsiadek wszystko. Mam tylko nadzieję, że zostanieie tu na długo.

Mona wstała i wzięła torebkę.

- Taki jest cel. Jeśli tylko Próg się wokół mnie nie rozleci, zamierzam zostać.

Chcąc nie chcąc, zauważyła, że po jej śmiałych słowach po twarzy Briana przemknął dziwny wyraz.



Półcięzarówka Joego stała na podjeździe, ale w okrągłym okienku nad garażem nie świeciło się światło. Mona nie wiedziała, czy ma czuć ulgę, czy się bać, ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w szarych barwach wczesnego wieczoru Próg wydaje się posępny i niemal groźny. Brian pomógł Monie wygramolić się z tylnego siedzenia, podczas gdy Liza rozpierała się z przodu. Nie wyglądała, jakby dało się ją stamtąd ruszyć.

- Dziękuję za miłą kolację, Brianie. - Mona spojrzała na Lizę podejrzliwie, a Brian wsparł się na drzwiach od samochodu.

- Do usług. Chcę ci pomóc zadomowić się w Deep Haven.

Łzy stanęły Monie w oczach. Pomyśleć, że ledwie dwa tygodnie wcześniej miała o tym człowieku złe zdanie.

- Dziękuję, Brianie - powtórzyła chrapliwie. Popatrzyła na Lizę i pomachała do niej, a ta uśmiechnęła się promiennie. Było

jasne, że Brian dokłada wszelkich starań, by Liza też się zadowiodła w Deep Haven.

Mona odwróciła się i przyjrzała ciemnemu domowi, czując ucisk w gardle. Brian zatrzasnął drzwi, potem honda odjechała z rykiem i prędkością godną NASCAR. Najwyraźniej Brian nie zamierzał marnować resztek zmierzchu, jaki mógł spędzić z Lizą.

Frontowe drzwi zaskrzypiały i Mona dostała gęziej skórki, wchodząc na ciemny korytarz. A jeśli Joe albo jakiś inny sabotażysta czai się w cieniu i tylko czeka, by dokończyć dzieła? Mona odepchnęła tę myśl i namacała włącznik światła. Nagłe światło przepłoszyło wszystkie cienie i Mona zaśmiała się nerwowo z własnych niemądrych lęków. Niemniej była bardzo spięta, przemierzając dom.

Włączyła światło w jadalni i zapatrzyła się w kremowy sufit, który Joe otynkował. Łzy napłynęły jej do oczu i tym razem potoczyły się po policzkach. Nie wiedziała, co ma sądzić o swoim wiernym majstrze. Sabotażysta czy wybawiciel? Ma go zwolnić czy błagać o przebaczenie? W pamięci wyraźnie widziała jego twarz, kiedy kazała mu wracać go pracy. Niedowierzenie i spora dawka bólu. Zawstydziła go, spychając go do roli, na którą nie zasłużył. Był złotą rączką, ale zrobił znacznie więcej niż tylko zatykanie gejzerów i czarnych dziur wokół domu. Uwierzył w jej marzenie, obiecał, że wytrwa u jej boku. Rzucił się w rwący nurt, by ją ratować. To wszystko nie brzmiało jakby był przeciętnym skazańcem, ale raczej jak darem niebios.

A jednak Brian miał rację. Gdy Joe był na miejscu, rzeczywiście pojawiały się problemy. Zacisnęła zęby, myśląc o tym paradoksie. Pomimo szerokiego uśmiechu i czarodziejskich oczu Joego będzie musiała śledzić każdy jego ruch. Albo go zwolnić.

Ale do otwarcia miała tylko trzy tygodnie. Potrzebowała pomocy. Potrzebowała Joego. Jeśli chciała, by jej marzenie się spełniło, będzie musiała zawierzyć, że jest on kimś więcej, niż jej

się obecnie wydaje. I będzie musiała zawierzyć Bogu, że ocali ją przed przygodami.

Czy Wszechmogący ochroni jej marzenia po tym, co zrobiła? W jej sercu pobrzmiwały złe podszepty. Ochrona? Nie zasługiwała na ochronę. Mona zamknęła oczy i objęła się w talii. „Boże, pomóż mi Ci zaufać i nie poddawać się. Bo chcesz tego, prawda?”

Starła łzy z policzków i uniosła podbródek. Zapłonął w niej płomień determinacji. Zostanie. Nie ma innego wyjścia. Całe życie zainwestowała w tę księgarnię. Porażka nie wchodzi w grę. Nie, niezależnie od tego, co Joe czy nieznanymi sabotażysta jej zrobią, ona nie opuści swojego Progu Nieba.

Mona poszła do swojego pokoju. Lampka nocna odpychała zmierzch i oświetlała stos książek o Jonahu oraz na samym dole - oprawną w skórę Biblię. Ile czasu minęło, odkąd woli chwile z Jonahem od czasu z Bogiem?

Oskarżycielskie słowa Lizy rozbrzmiały w pamięci Mony, gdy przebierała się w spodnie z polaru i czysty T-shirt. „Wciąż czekasz na Jonaha?” Ta myśl ją ubodła. Wiedziała, że Jonah nigdy nie stanie na jej progu. Ale czy to zbrodnia marzyć o mężczyźnie doskonałym?

Wróciła do szafki nocnej, przesunęła książki na bok i wyjęła swoją Biblię. Przebiegła palcami po okładce i poczuła, jak pieką ją oczy. Modliła się o Boże błogosławieństwo, ale czy naprawdę cieszyła się Nim? Od tak dawna koncentrowała się na swoich ambicjach, że szept Boga w sercu przypominał ledwie dawne echo.

Przerzucając kartki, Mona trafiła na werset z Psalmu 37: „Raduj się w Panu, a On spełni pragnienia twego serca”.

Co to znaczyło: radować się w Panu? Przez jej twarz przebiegł grymas. Akurat „radość” nie przychodziła jej do głowy, gdy myślała o Wszechmogącym. „Wdzięczność”... „Zachwyty”... Zdecydowanie „bojaźń”. Ale „radość”? Nic dziwnego, że nie mogła

pojąć, jak Bóg może chcieć spełnić jej najdziksze marzenia. Nie „radowała się” się w Nim prawie wcale.

Mona odłożyła Biblię na szafkę nocną i wzięła *Syberyjską uciekinierkę*, bo nie chciała się mierzyć z samooskarżeniem. Dziś w nocy potrzebowała zmagać Jonaha w rosyjskiej dzicy. Zmagania to z pewnością coś, co dobrze zna. Mona włożyła książkę pod pachę z zamiarem wgryzienia się w pierwszy rozdział, kiedy będzie sobie parzyć kubek kawy bezkofeinowej.

Zdecydowana pokonać swój strach, w drodze do kuchni Mona wyłączyła światło w hallu. Sprawnie przygotowała kawiarę, po czym oparła się o blat kuchenny, czytając w słabym, niebieskawym świetle gazowego palnika. Miała ekspres do kawy, ale dla ukojenia nerwów wołała ekscytujący łyżeczek świeżo przyrządzonej kawy.

Historia Jonaha pochłaniała czas i tylko upojny aromat kawy skutecznie wyrwał ją z maleńkiej wioski w północnej Syberii. Prawie czuła, jak arktyczny wiatr owiewa jej gołe stopy i owija się wokół nich.

Nalała sobie kawy, wzięła książkę i położyła niezjedzonego pączka na krawędzi kubka. Potem podreptała po schodach, nastawiona na spokojny wieczór. Rano ze świeżą energią zabierze się za Joego i inne problemy.

Intruza zdradził podmuch wiatru, kiedy Mona wchodziła do pokoju. Ledwie zdążyła nabrać tchu, kiedy stalowe ramię ścisnęło jej szyję. Poczowała znajomy zapach wody kolońskiej, a potem szorstka dłoń przycisnęła jej szmatkę do nosa i ust. Mona próbowała krzyknąć, ale szmatka tłumiała dźwięk. Jak przez mgłę poczuła pieczenie, kiedy kawa spłynęła jej po nodze. W uchu czuła gorący oddech. Paznokciami zdarła napastnikowi skórę z ramienia, zaskowyczał, po czym przeklął. Szmatka wbijała się jej w zęby, w nosie paliło. Strach zamroczył jej umysł. „Pomocy!”

Miotła się. Straciła dech. Wbiła piętę w jego łydkę. Ból trysnął wzdłuż jej nogi. Pokój zawirował, przybrał szarą barwę.

Trzymano ją w żelaznym uścisku, póki jej ciało nie zmieniło się w ołów, a umysł nie utonął w ciemności.



Joe siedział na skalnej półce ponad kamienistym urwiskiem. Wody jeziora uderzały w nierówną powierzchnię i wzbijały pianę prosto w klif. W oddali fale piętrzyły się białymi czubami i skrzyły się tajemniczym pięknem na tle pocałunku wschodzącego księżyca.

Joe sam nie wiedział, jak długo tu siedzi. Oglądał zachód słońca, głaskał gładką, krótką sierść Ripa i myślał o sabotażystach. Włosy miał zmierzwiłone od ciągłego przeczesywania ich rękoma z frustracji i dobrze wiedział, że wygląda jak siedem nieszczęść, bo zamiast się po południu ogolić, poszedł po obiedzie na plażę. I tak nie zamierzał wpaść na nikogo ważnego. Mona wyszła z panem Gładkim i Uwodzicielskim Brianem, a Joe siedział sam na klifie z Ripem, swoim jedynym przyjacielem.

Westchnął. Nie paliło mu się do spotkania z Moną. Jej zwątpienie bolało jak uderzenie pięścią w brzuch. Niemniej przez większość wieczoru roztrząsał „wypadki” Mony. O sabotażystach wiedział wszystko. Sam miał takiego jednego - członka własnej rodziny, Wayne'a Michaela, upiora z przeszłości, który nawiedzał jego przyszłość.

Krucze życie Joego w Deep Haven mogło się rozsypać w jednej chwili, gdyby ojciec zdecydował się na wielki powrót za

pośrednictwem Gabe'a. Wayneowi Michaelsonowi nie można było ufać. Całkowicie zawiódł rodzinę. Joe wiedział, że nawet jeśli nie może osłonić brata przed gierkami ojca, uchroni przed nimi siebie.

Ojciec napisał do Gabe'a. Ojciec-zdrajca pielęgnował stosunki z jedyną rodziną, jaka Joemu została. Mężczyznę bolało w piersi, kiedy wspominał list i starannie zapisane słowa, na tyle proste, by brat mógł zrozumieć. „Może pojedziemy na ryby...” Joe zacisnął zęby z grymasem.

Na ryby. Wspomnienie było tak wyraziste, że słyszał, jak woda szemrze o burzę, czuł smak soli na ziarnach słonecznika i dotknięcie korkowego uchwyty wędki w dłoniach. Miał wówczas jedenaście lat. Złote czasy. Mama była w ciąży - Joe liczył na młodszego braciszka - a plany na lato skoncentrowały się wokół odbudowania świeżo zakupionego starego forda ramię w ramię z ojcem. W piątek przed Dniem Pamięci, kiedy uczniowie wybiegali ze szkoły z krzykiem, ojciec podjechał przed budynek z rykiem silnika.

Joe pamiętał dreszcz ekscytacji na widok pickupa wyładowanego sprzętem kempingowym i przynętą. Pojechali na północ, znaleźli odległe jezioro i następnego dnia łowili ryby od świtu do zmierzchu. Nauczył się filetować szczupaka i gotować sandacza na lunch, a jednocześnie po raz ostatni cieszył się miłością ojca. Kiedy nastał następny Dzień Pamięci, Gabe był już na świecie, ojciec stronił od domu, a życie Joego zaczęło się rozdzierać na bolesne strzępy.

Joe głośno jęknął. Wspomnienie przedzierało się przez jego stanowcze postanowienie, by trzymać ojca od siebie z daleka. Gwoli prawdy tęsknił za spokojnym życiem sprzed narodzin Gabe'a. Przez długie lata po zniknięciu ojca powtarzał sobie, że tata wróci. Kurczowo trzymał się nadziei... i sprzętu do wędkowania. Później znowu pojechał na ryby. Znalazł to samo jezioro, jakby echo głosu ojca na wietrze miało go pocieszyć i pogrzebać demony.

I już nigdy więcej od tamtej pory nie pojechał na ryby.

Joe patrzył, jak blask księżycy przecina wzburzone wody, i przymocą wyrzucił wspomnienie z myśli. Nie było sensu rozwodzić się nad czymś, co się nigdy nie wydarzy. Ojciec sabotował jego życie, tak wtedy, jak i teraz. Sabotażyści. Joe miał swojego i Mona miała swojego.

Joe podejrzewał, że to Brian stoi za niekończącymi się naprawami Progu. Swoje przypuszczenia opierał nie tylko na tym, jak przewracało mu się w żołądku, ilekroć widział Briana. Chodziło o to, jak Brian patrzy na Monę - jakby była pierwszej klasy poleśnicą specjalnie dla niego przyrządzoną. Joe nie ufał łajdakowi za grosz.

A Mona z nim wyszła.

Joe go oblał zimny pot. Brian nie próbuje skrzywdzić Mony, prawda? Na przykład nie wepchnąłby jej do rzeki...

Zerwał się na nogi. Rip w okamgnieniu zaczął biec przy boku pana.

Został Próg ciemnym i cichym - takim samym, jakim go zostawił. Zwolnił przecznicę od domu. Pot spływał mu po brodzie i zbierał się między obojczykami. Chwycił się za kolana i próbował złapać oddech na środku Main Street, kiedy nagle uświadomił sobie z zażenowaniem i grozą, że znowu uległ panice. Ostatnio miał takie szczęście, że pewnie Mona i jej gorąca randka lada moment obok niego przejadą i zobaczą go w takim stanie, jakby był łajdakiem, co właśnie okradł bank, a to potwierdzi wszystkie ich podejrzenia.

Joe wyprostował się i zaczął iść w wymuszenie spokojnym, niewinnym tempie. Być może wina Briana to pochopny wniosek. W końcu facet wydawał się chętny do pomocy.

Joe poczuł gryzącą woń dwa domy od Progu. Od ostrego, oleistego odoru zakręciło mu się w nosie. Płonąca farba i plastik. Joe rozejrzał się w ciemności za sprawcą - palenie śmieci w granicach

miasta było surowo zakazane. Im bliżej był domu, tym mocniej ohydny zapach nasyczał powietrze. Rip potruchał do przodu, po czym zawrócił i zaskomlał. Joe zmarszczył brwi. Rip zaszczekał, po czym wyrwał się na ścieżkę do Progu, za dom i do garażu.

Joe patrzył na psa i zaraz dojrzał blask bijący z podwórza. Zaczął biec. Niemożliwe, żeby Mona paliła śmieci. Przeskoczył płot w rogu, niemalże skosił młodą topolę i popędził za dom.

Wielkość pożaru zaparła mu dech w piersi. Ogień pełził po schodach, rósł i miotał iskry wysoko w niebo, lśnił na pomarańczowo i czerwono, lizał garaż i wypluwał płomyki. Joe pobiegł po wąż ogrodowy. Był zwinięty tam, gdzie go ostatnio zostawił. Odkręcił wodę i pognał z powrotem w stronę pożaru, który teraz trawił już schody. Skierował strumień tam, gdzie zdawało się być źródło ognia - obok garażu pod schodami. Tam, gdzie rzucił farbę, poplamioną benzyną szmatę i ściętą trawę. Świadomość przygniotła mu piers.

Jego beztroska spowodowała pożar.

Wiatr zaczął przechwytywać iskry i zwiewał je na najbliższe paliwo... Stuletni dach Mony. Serce mu stanęło na widok płomieni, które wydobywały się spod okapu nad oknem Mony. Joe skierował tam strumień, mierząc wysoko i modląc się, by udało mu się nasączyć dach, zanim stanie w ogniu jak stóg siana. Dzięki Bogu, Mona wciąż była z Brianem i nie widziała, jak płoną jej marzenia.

- Mona! - krzyknęła Liza z podjazdu. Strach targnął Joem.

- Liza?

Liza pojawiła się z krzykiem:

- Gdzie Mona?

Z jej wyrazu twarzy wyczytał wszystko, co potrzebował wiedzieć.

- Dzwon po straż! - zawołał i pobiegł do domu.

Tylne drzwi były zaryglowane, ale uderzył w nie ramieniem dwa razy i wąż framuga się rozpadła.

- Mona! - Dym snuł się po parterze i Joemu zaczęły łzawić oczy. - Mona! - Mężczyzna wbiegł po schodach, potykając się, upadając, a potem pełznąć na czworakach. - Mona, gdzie jesteś?

Znalazł ją na podłodze sypialni, wziął na ręce i przycisnął do piersi. Serce mu dudniło i oczy zalewały łzy, ale zdołał trafić na schody. Gdy bezładnie schodził, spowijał go dym. Kiedy dotarł na półpiętro, usłyszał wycie syren.

Wypadł na zewnątrz frontowymi drzwiami, ściskając Monę mocno. Czyste, chłodne powietrze ją orzeźwiło i otworzyła oczy nagle, gdy Joe zeskakiwał z werandy.

- Nie patrz, kotku.

Liza czekała na podjeździe.

- Nic jej nie jest? - Łzy lśniły na jej policzkach.

- Tak myślę.

- O dzięki, Panie! - Liza zasłoniła usta drżącą dłonią.

Joe ułożył Monę na trawie. Nie mógł odwrócić wzroku od jej zielonych oczu, stopniowo przepelnianych konsternacją i przerażeniem. Poglądził delikatnie jej bladziutki policzek i wymusił na sobie spokój.

- Zaraz wrócę - odezwał się pełnym emocji głosem. Zanim zdążyła zaoponować, popędził na podwórze.

Pożoga atakowała dom Mony bez litości. Pochłonęła rynnę, pełzła po elewacji i ryczała jak jakiś starożytny smok.

Joe przebił się przez dym i wydobył węż wąż ogrodowy. Skierował go na dach, modląc się, by woda powstrzymała jakoś rozprzestrzenianie się ognia. Ale płomienie tylko zamigotały niezrażone. Zacisnął zęby i się zbliżył, ale one kpiły z niego i pięły się do góry, poza zasięg jego słabutkiego węża. Za Joem tylne schody do jego kawalerki się zawaliły, kiedy ciężar piętra skruszył zwęglone filary.

Serce mężczyzny zamarło, kiedy patrzył, jak płomień lize drzwi jego mieszkania. Wszystko, co posiadał - i jeszcze więcej - było tam zamknięte.

Odwrócił się znów do domu Mony, próbując zignorować fakt, że rok nieskończonej pracy - właściwie strzępy i niemożliwe do opracowania pomysły - spoczywał na dnie jego zmiętej torby. Zalany potem i ze łzami w oczach, lał wodą niestrudzenie, w nadziei, że powstrzyma pożar. Miał wrażenie, że skóra schodzi mu płatami w obliczu gorąca.

- Z drogi! - ktoś wrzasnął rozkaz w jego lewe ucho. Joe odwrócił się, a mężczyzna z masce i kasku szorstko go odepchnął.

Zataczając się do tyłu, Joe ledwie uniknął porażenia pełną mocą węża przeciwpożarowego. Siła strumienia pokryła dom warstwą wody. Syk pary wzmógł zamieszanie, jakie wybuchło, gdy ochotnicza straż pożarna roiała się po podwórzu Mony.

- Ktoś jeszcze jest w domu? - zawołał strażak.

Joe pokręcił głową.

Dowlókl się do szopy Lizy i oddychał głęboko. Powietrze drażniło jego poparzone płuca, gdy patrzył, jak strażacy walczą z płomieniem.

- O nie! Nie, nie! - głos Mony wzbił się ponad gwar. Joe zobaczył, jak biegnie w stronę pożaru, gubiąc koc, którym była okryta. Przerazenie wykrzywiło jej piękną twarz.

Podbiegł do niej i złapał ją mocno. Próbowala się uwolnić i okładała go pięściami.

- Co ty zrobiłeś? - szlochała. - Dlaczego, Joe?

Jej słowa zbiły go z nóg.

- Co? - Odsunął ją od siebie.

Oczy Mony były pełne łez. Pokręciła głową i wyrwała się z jego rąk.

- Dlaczego? Co ja ci kiedykolwiek zrobiłam?

Joe schwycił ją za ramiona i trzymał mocno, chociaż próbowała się odsunąć.

- Nie zrobiłem tego, Mono. Proszę, musisz mi uwierzyć. Nigdy bym cię nie skrzywdził! - Przed oczyma stanęła mu wizja stosu szmat i suchej trawy. Zrobiło mu się niedobrze. Czy jego beztrocka zabiła jej marzenia?

Wbiła w niego zielone oczy i patrzyła na niego badawczo. Serce się mu krajało na widok jej nieszczęsnej, umazanej sadzą twarzy. Zaczął ją do siebie przytulać, ale pokręciła głową i się wyrwała.

- Mona, proszę! - zawołał, ale ona poszła w stronę podjazdu. Kiedy zaczął iść za nią, powstrzymał go żelazny uścisk na ramieniu.

- To on, komendancie.

Joe odwrócił się i zalał go gniew. Wyrwał ramię z ręki Briana. Przy tej gnidzie stał policjant, który patrzył na Joego, jakby ten był lokalnym koniokradem.

- Sam Watson, komendant policji. - Mężczyzna podał mu rękę, ale Joe wiedział, że nie sili się na przyjaźń. Kątem oka Joe zauważył mroczny uśmiech Briana. - Lepiej niech pan pójdzie ze mną - zasugerował komendant.

Z kamienną twarzą poszedł za policjantem do radiowozu, który stał tuż przed domem, gdzie wszyscy sąsiedzi mogli obserwować rozgrywające się wydarzenia. Joe oparł się na masce i skrzyżował ramiona. Nie zamierzał spuszczać domu ani Mony z oczu.

Widok Mony łkającej w ramionach Lizy go zmiądzzył. Jeszcze bardziej przerażające było to, że dołączył do nich Brian, który zaraz też objął Monę. Przeszył go gniew rozpalony do białości.

- Nie zrobiłem tego - powiedział krótko obserwującemu go komendantowi policji. Mężczyzna, pewnie niewiele przed czterdziestką, miał gęstą blond czuprynę i za mało zmarszczek, które sugerowałyby doświadczenie. Joe doszedł do wniosku, że na

służbie w obronie turystycznej krainy policjant nie ma ciężkiego życia. Ale ściśnięte zęby komendanta dawały do zrozumienia, że traktuje swoją pracę bardzo poważnie - przynajmniej dziś w nocy, kiedy najnowsze przedsięwzięcie w mieście zagraża całej Main Street na miesiąc przed otwarciem sezonu.

- Nie miałem z tym nic wspólnego - powtórzył Joe.
- Zobaczmy - odparł komendant. - Może na początek pokaże mi pan jakiś dokument i powie, co robi w moim mieście.



Pożar huczał w uszach Mony, z warkotem pochłaniając jej dom. Z jej ust wydobył się jęk, który płynął prosto z duszy. Mogła tylko nakryć głowę rękami i płakać. Czuła na sobie ramiona Briana, słyszała jego kojący głos, ale to nie mogło ulżyć jej cierpieniu. Nie dość, że jej dom zamieniał się w popiół, to jeszcze była to jej własna wina, bo zatrudniła włóczęgę o zbrodniczych zamiarach. Mona przygryzła wargę i zadrzała.

Spocona dłoń Briana pogładziła ją po włosach.

- Wiem, że jesteś zdenerwowana. Ale wszystko się ułoży. Ubezpieczenie obejmuje pożary, a na pewno uda ci się sprzedać dom.

Mona wzdrygnęła się, słysząc pełne dobrych intencji słowa Briana.

- Musisz przyznać, że Próg Nieba zamienia się w koszmar. Po prostu cię to przerasta.

Przełykając bolesne emocje, które ścisnęły jej gardło, Mona odsunęła się od Briana. Musiała wziąć się w garść, skupić, panować nad wszystkim. Słowa mężczyzny miały moc, by ją zniszczyć.

Mona zacisnęła pięści i wpatrywała się w płonący wiktoriański dom. Biały strażacki reflektor podświetlał tragedię. Czarny dym i pomarańczowoczerwone płomienie sprawiały, że budynek wyglądał jak rodem z horroru.

Serce się jej ścisnęło w obliczu potwornej prawdy: pora skapitulować. Zazgrzytała zębami, skrzyżowała ramiona i tłumiąc gwałtowny dreszcz, patrzyła, jak płoną jej marzenia.



- Czyli nikt nie może potwierdzić, gdzie pan dziś był, zgadza się?

Joe przeczesał dłonią nadpalone, suche włosy i skrzywił się. Rip. Tylko jego pies znał prawdę. Niechętnie pokręcił głową. Komendant miał ponurą minę.

- Pomyśl, komendancie. Środek chwastobójczy, woda w piwnicy. Ja za to nie ponoszę odpowiedzialności. Grasuje tu sabotażysta.
- Joe rozłożył ręce i spojrzął na policjanta błagalnie i z nadzieją.

Komendant Sam podrapał się po brodzie.

- Sam nie wiem, Joe. Biorąc pod uwagę twoją sytuację, chcę ci uwierzyć, ale nie wygląda to za dobrze. Chyba że znajdziesz prawdopodobną przyczynę i sensownego sprawcę.

Joe wpatrywał się w komendanta. Pomimo niezręcznej sytuacji go polubił. Po chwili niedowierzania komendant przyjął wyjaśnienia Joego, zaśmiał się melancholijnie i przeszli na ty. W innych okolicznościach Joe mógłby umówić się z Samem na poranne wędkowanie albo grę w kosza. Miał nadzieję, że komendant umie dochować tajemnicy.

- Pomocy! Zdejmijcie ze mnie tego kundla! - krzyk przeszył szmerzący tłum, syk węży strażackich, okrzyki strażaków i dotarł do uszu Joego. Ten zmarszczył czoło i się rozejrzył.

- Pomocy!

Sam obrócił się, słysząc desperackie wołanie. Rzucił Joemu spojrzenie.

- Zostań tu - rozkazał, ale Joe deptał mu po piętach. Policjant biegł w stronę człowieka, który wypadł z podwórza sąsiadów. Nie wielki tłumek pałających się gapiów zamarł i rozstał się jak

Morze Czerwone. Joe stanął jak wryty, z przerażeniem patrząc, jak Rip wgryza się w łydkę mężczyzny. Labrador warczał, a na pysku miał krew.

Komendant podtrzymał mężczyznę, a Joe złapał Ripa za obroź.

- Puść, Rip! - W odpowiedzi pies znowu zawarczał. Joe chwycił mocniej. - Puszczaj!

Rip niechętnie wypuścił ofiarę. Odsunął się, usiadł i zaskomlał. Joe pogładził go między uszami.

- Zostań.

Mężczyzna runął, ściskając brzydką ranę. Spojrzał na Joego gniewnie.

- Pozwę cię i puszcę z torbami - warknął. Joe przyjrzał się mu i jego oczy przybrały twardy wyraz. Człowiek miał na sobie czarny kombinezon i zsuniętą maskę narciarską. Z jego odzianych w rękawiczki rąk unosił się odór benzyny. To wszystko budziło solidne podejrzenia.

- Kto to? - zapytał Joe, kiedy Sam kucnął przy mężczyźnie i obrzucił go surowym spojrzeniem.

- Leo Simmons. Pracuje w urzędzie miasta w wydziale terenów zielonych.

Joe wbił w niego niechętny wzrok i zmarszczył nos.

- Cuchniesz. - Popatrzył na Sama, który spojrzał mu w oczy i pokiwał głową. - Dobra robota, Rip - wyszeptał Joe.

Leo Simmons kłął całą drogę do radiowozu. Groził Ripowi, Joemu i paru osobom, których Joe nie znał. Joe szedł za nim, walcząc z sobą, by nie spuścić Ripa. Sam posadził Simmonsa na siedzeniu pasażera w radiowozie, wyjął apteczkę i kucnął przy nim. Frustracja Joego zmieniła się w szacunek, gdy obserwował, jak komendant podchodzi do podejrzanego z przebiegłością wielkomijskiego detektywa.

- Przykro mi, że cię pies pogryzł, Leo. Zaraz ci to opatrzemy.

Pomarszczona, wykrzywiona twarz Leo złagodniała. Popatrzył na Joego spode łba.

- Tego kundla trzeba zastrzelić.

Sam pokiwał głową.

- Porozmawiamy o tym później. Teraz chciałbym się dowiedzieć, co tu robisz.

Leo odparł z uśmiechem starannie wyreżyserowanego zaskoczenia.

- Wpadłem po parę drobiazgów dla żony, komendancie. To już człowiekowi nie wolno robić zakupów dla rodziny?

- Pewnie, że wolno. Ale czemu w masce narciarskiej? Jest początek maja.

Twarz Leo zastygła.

Komendant Sam wstał i popatrzył w ogień, jakby nie zauważył wyrazu twarzy Leo.

- Przykro mi to mówić, ale śmierdzisz, jakbyś się kąpał w benzynie. - Spojrzał na Simmonsa. - Nie wygląda to dobrze.

Simmons zapatrzył się w swoje paznokcie.

- Nic nie powiem. Znam swoje prawa. Chcę adwokata.

Joe patrzył na niego i zacisnął dłoń na obroży Ripa. Myślał sobie, jak bardzo by chciał razem z psem rzucić się na sabotażystę. Pożar za nim syczał. Ochotnicza Straż Pożarna Deep Haven dogaszała ostatnie buntownicze płomienie w domu i garażu. Ostra woń mokrych, zwęglonych szczątków napędzała frustrację Joego. Rzucił Samowi przenikliwe spojrzenie. Ten odpowiedział, unosząc brew i niemal niezauważalnie kręcąc głową.

Joe wzniosł ku niebu modlitwę, a komendant uklęknął przed Simonsem.

- Wiesz co, Leo. Ty mi powiesz, czemu jesteś w mieście, ubrany na czarno, cuchniesz oparami benzyny i kręcisz się koło pożaru, a ja może będę skłonny pomóc ci się z tego wykaraskać.

Słyszając słowa komendanta, Leo lekko poczerwieniał.

- Znam cię od dawna, Leo. Poza paroma mandatami zazwyczaj nie łamiesz prawa. Jestem skłonny ci uwierzyć, jeśli powiesz mi całą prawdę. - Komendant spoglądał na Simmonsą łagodnie. Joe miał wrażenie, że patrzy na snycerza, który stopniowo struga czyjąś twardą skorupę, by znaleźć ukryty w środku skarb.

Simmons ukrył twarz w dłoniach.

- Cindy i chłopaki na pewno by chcieli, żebyś dziś wrócił do domu.

Joe widział, jak ramiona mężczyzny zaczynają się trząść. Ledwie zrozumiał urywane słowa Leo:

- Nie miałem wyboru, Sam. To nie był mój pomysł.

- Powiedz mi, kto za tym stoi - ponaglił Sam. Simmons zaczął szlochać. Sam obdarzył Joego spojrzeniem mówiącym, co czuje na widok załamane go mężczyzny.

- Możesz iść, Joe.



Mona drżała na przemoczonej trawie, a błoto przesiąkało jej polarowe spodnie. Patrzyła, jak dymiąca zjawia żuje jej marzenia i pożera nadzieję. Pożar popełnił wzdłuż rynny i wtargnął do jej sypialni - gdzie kobieta leżała wcześniej nieprzytomna. Gdyby nie Joe, wciąż byłaby w środku, nie wiedząc, że widmo pożaru pochłania jej koronkowe zasłony. Przez krótką chwilę żałowała, że nie leży błogo nieprzytomna na podłodze sypialni. Zatrucie dymem. To nie może boleć. A na pewno boli mniej, niż zbudzić się i odkryć, że przyszłość dosłownie rozpadła się w proch.

Kto ją zaatakował? Czuła ból w miejscach, których zranienia podczas walki nie była nawet świadoma, ale najbardziej doskwierało jej skonsternowane serce. Czy Joe zakradł się za nią, podduśił, potem podpalił jej dom po to tylko, by chwilę później wywlec ją z płomieni? Wątpliwości nie dawały jej spokoju. Widziała cierpienie w oczach Joego, gdy oskarżyła go o spowodowanie pożaru - cierpienie, które zadała mu dwa razy w ciągu jednego dnia. Przede wszystkim jednak pamiętała czystą agonię na jego twarzy, kiedy wyciągał ją z domu.

- Nie patrz - wyszeptał tonem pełnym rozpacz. Z obrzydzeniem się zorientowała, że jak tylko złapała oddech, naskoczyła na niego.

Otarła oczy i rozejrzała się w ciemności za radiowozem, po czym zastygła z przerażenia. Widziała, jak komendant Watson przesłuchuje Joego - a teraz zakładał kajdanki podejrzanemu. Mona ukryła twarz w dłoniach i zadrżała. Brian miał rację! Przygryzła wargę, ale to nie powstrzymało udręki spowodowanej wiedzą, że mężczyzna, któremu ufała, którego mogłaby nawet pokochać, zdradził ją. Powinna być mądrzejsza i nie otwierać swojego serca. Przynajmniej w ostatnich dniach miała na tyle rozumu, żeby odepchnąć Joego... Dość pomyśleć, co by się teraz z nią działo, gdyby pozwoliła sobie zupełnie stracić głowę dla tego czarującego, obłudnego uśmiechu.

Mona ponownie skupiła się na strażakach i obserwowała ich przez opary. Ogień, nareszcie ugaszony, wypuszczał w nocne niebo kłęby parującej wody. Miejscowi ochotnicy, odziani w szare ognioodporne kurtki i czarne gumki, polewali dom i ciągnęli węże przez jej dzikie róże, deptali jej funkcie, topili werandę, a z jej szczęściem prawdopodobnie polakierowany bar i wyszlifowane stoliki. Dobrze się złożyło, że nowa sofa jeszcze nie dojechała. Będzie mogła anulować zamówienie i oszczędzić sobie zachodu ze zwrotem. Na Monie osiadła lekka, zwiewna mgiełka. Uniosła ku niej twarzy, a wilgoć mieszała się ze smutkiem.

Na niewybrukowanym kawałku podwórza zebrał się tłumek - garść gapiów i komentatorów w szlafrokach. Słyszała pomruki i litościwe gdakanie, ale uparcie się nie odwracała i nie okazywała kłęski na ich oczach. Przeżyła plotki związane z beczkowozem, dezynsekcją i wieloma dostawami ze sklepu z narzędziami. Otoczenie wiedziało równie dobrze jak ona: Księgarnia i Kawiarnia na Progu Nieba to porażka.

Szukała wzrokiem Lizy. Wydawało jej się dziwne, że przyjaciółka nie łąka przy niej w trawie. Kiedy zauważyła Lizę wtuloną bezpiecznie w ramiona Briana, przeszło ją ukłucie zazdrości. Li-za dokonała poprawnego wyboru. Dostrzegła rycerski charakter

Briana, podczas gdy Mona wybrała sabotażystę. Jej spojrzenie spoczęło na komendancie Watsonie, który właśnie wsadzał sprawcę do radiowozu. Cóż, przynajmniej Joe Michaels opuścił jej życie. Nie będzie mógł więcej zaszkodzić ani jej samej, ani jej sercu.

- Nic ci nie jest? - zmartwiony głos przedarł się przez jej rozpacz. Mona podniosła oczy i otworzyła usta na widok Joego, który przykucnął przy niej. Osmolone ręce opuścił na mokre kolana, a błękitne oczy studiowały ją z wyczuwalną troską. Zerknęła na radiowóz.

- Myślałam...

- Wiem, co myślałaś. - Na szczęście odwrócił głowę, ale Monie i tak pękło serce.

- N-nie rozumiem - wyjąkała. Joe popatrzył jej w oczy ze zmartwionym wyrazem twarzy.

- Ja też nie. Ale Sam i ja chyba znaleźliśmy twojego sabotażystę.

- Sam? Od kiedy to się kolegujesz z miejscowymi stróżami prawa?

Joe wzruszył ramionami, ale uśmiechnął się lekko z łobuzerskim błyskiem w oku. Mona poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa wędruje jej gorąco, a ciepły blask rozprzestrzeniła się na całe jej ciało. „To nie Joe był sabotażystą”. Gdy sobie to uświadomiła, poczuła ulgę tak wielką, że jej oczy wezbrały łzami.

- Kto to był?

- Gość z wydziału terenów zielonych.

- Nie znam tam nikogo - jej głos przeszedł w jęk. - Nie rozumiem.

- Ja też nie, ale dojdziemy do tego. - Uśmiechnął się do niej, a „my” implikowane w tym zdaniu ogrzało jej serce. Dotrzymywał obietnicy - mimo jej okropnego zachowania. Ta myśl rozdarła tysiąc ran.

- Przepraszam, Joe. Nie powinnam dać się przekonać, że mógłbyś mnie zranić. Powinnam ci ufać.

Joe odwrócił wzrok i przeczesał dłonią włosy. Zobaczyła, jak mięsień drga w jego policzku i zrobiło jej się dosłownie niedobrze. Zraniła go znacznie mocniej, niż przypuszczała. Nie odezwał się, ale stale kuczał przy niej na trawie. Milczeli, a Mona zaczerwieniła się ze wstydu. Czy już było za późno, by naprawić szkody, które wyrządziła ich przyjaźni?

- Tak bardzo cię przepraszam - powtórzyła słabo.

Joe w końcu popatrzył jej w oczy tak tkliwie, że znowu zachciało jej się płakać.

- Przebaczam ci.

Odwróciła głowę, zamrugła, by powstrzymać łzy, i pozwoliła, by jego dobroć i przyjaźń ją pocieszyły. Gdyby jeszcze mogła ocalić również swoje marzenie... być może znalazłaby muśnięcie nieba w Deep Haven.

- Twoje marzenie jeszcze nie jest zniszczone, Mona. Sądzę, że powstrzymaliśmy pożar na czas - powiedział Joe delikatnie, jakby czytał w jej udręczonych myślach. - Będę musiał spać w samochodzie, ale konstrukcja domu wydaje się nienaruszona. Zobaczmy rano. Proszę, nie poddawaj się.

Słodką chwilą przybrała gorzki posmak, gdy Mona zwiesiła głowę i w myślach odrzuciła jego słowa. Chwyił ją za brodę brudną ręką i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Będzie dobrze. - Współczucie w jego łagodnych oczach rozbudziło w niej pragnienie, by znaleźć się w jego silnych ramionach i nie wypuszczać go.

Mona zamknęła oczy. Nie było dobrze. Fakt, że Joe okazał się niewinny, stanowił jedyną dobrą nowinę tragicznego wieczoru. Musiała stawić czoła brutalnej rzeczywistości. Bóg nie chce, by miała Próg Nieba. Nie chciała wiedzieć, dlaczego. Chciała tylko przestać z Nim walczyć. Może da się odebrać naukę z porażki.

- Nie. Poddaję się. Nie ma Progu Nieba. - Usłyszała westchnienie Joego i otworzyła oczy. Wyraz jego twarzy zbił ją z tropu...

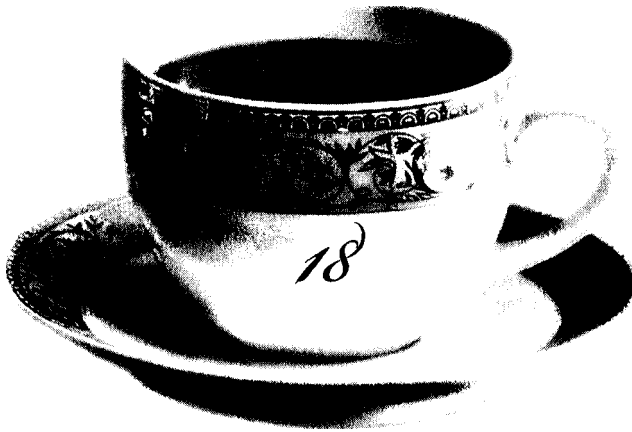
może był to smutek, może zgoda. Zmarszczył brew, jakby zamierzał się sprzeczać, ale Mona pokręciła głową. - Mam dość. Bóg próbuje mi coś powiedzieć - Księgarni i Kawiarni na Progu Nieba nie jest pisane powstać.

Popatrzyła z powrotem na dom. W świetle księżycy wydawał się ranny, a strażacki reflektor potęgował wrażenie choroby. Na podwórzu szkielet schodów i spalone mieszkanie Joego przypomniało jej, że jest teraz bezdomny, a pewnie też bez grosza przy duszy. Od smrodu stopionego plastiku i zwęglonego drewna przewróciło się jej w i tak obolałym żołądku. Wypatrzyła, jak kilku strażaków składa długi szary wąż na równe odcinki. Inni zawędrowali ku rozproszonym resztkom gapiów i snuli opowieści o męstwie i wspaniałych wyczynach. Tłum za nią zaczął się rozchodzić.

- Swoją drogą - wymamrotała Mona - dziękuję za ratunek.

Joe patrzył na dom, ale kątem oka zauważyła w jego oczach zawziętą iskrę, przeblysłk determinacji podobny do tego, jaki widziała tuż przed tym, gdy runęła w dół wodospadu.

Wtedy Joe się przysunął i zrobił to, na co liczyła. Objął ją i otulił w uścisku, z którym nie miała siły ani ochoty walczyć. Położyła głowę na jego klatce piersiowej i zapłakała.



Wyglądasz jak precel - zauważyła Mona, pochylając się nad paką półciężarówki, gdzie Joe leżał zwinięty w kłębek i ścisnął jej dodatkową poduszkę z pokoju motelowego. Rip leżał u jego stóp i wydawał się dużo bardziej wypoczęty niż właściciel. Mona musiała jednak przyznać, że pomimo wysmarowanej sadzą koszuli i podartych dżinsów jej majster wyglądał dziś zadziwiająco przystojnie.

Joe otworzył jedno oko i przeciągnął się.

- Lepsze to niż łóżko w motelu. - Uśmiechnął się.

- Przepraszam, że zajęłam ostatni pokój. - zaproponowała mu swoją podłogę, ale twierdził, że woli spać w półciężarówce. Podejrzała, że woli także stanowisko, z którego będzie mógł pilnować jej szczelnie zaryglowanych drzwi od pokoju. Zrobiło jej się cieplej na sercu, że chciał ją chronić.

Liza wyszła na próg swojego pokoju. Wyglądała nieświeżo i nędznie.

- Liza jest dziś wyjątkowo niezadbana - powiedział Joe, puszczając oko do Mony. Uderzyła go żartobliwie w obronie współlokatorki.

Joe podniósł się z paki i zeskoczył tuż koło Mony.

- Zabiorę was na śniadanie. Znam świetne miejsce, gdzie serwują świeże pączki, które na sto procent przegryzą się przez ścianki żołądka.

- Och, pycha - powiedziała Mona, wzruszona jego propozycją.

W Najlepszych Pączkach Świata był komplet - wszystkie siedem stolików było zajętych. Joe, Mona i Liza stali w drzwiach ze swoimi tłustymi torbami porannych smakołyków oraz kawą, śmietanką i małymi czerwonymi patyczkami do mieszania.

- Tutaj! - Edith Draper wstała, zwracając uwagę każdego klienta cukierni, i pomachała do całej załogi, żeby się przysiedli. Obok niej siedział Chuck Parson, pośrednik nieruchomości Mony. Posał im współczujące spojrzenie. Trio znalazło trzy wolne krzesła i pochyliło się nad maleńkim, pomarańczowym plastikowym stolikiem. Edith od razu chwyciła Monę za rękę.

- Tak mi przykro z powodu pożaru, kotku.

Mona zamrugała oczami, by powstrzymać łzy. Myślała, że już się wczoraj wyplakała w podniszczoną poduszkę w motelu.

- Dziękuję, Edith - powiedziała drżącym głosem.

- I bez obaw, nic nie powiem twojej mamie. Jestem pewna, że tylko patrzeć, jak staniesz na nogi.

Mona sięgnęła po torebkę z wypiekami. Nie chciała omawiać swoich planów w zasięgu słuchu całego miasteczka. Mimo chłodnego opanowania, szybko rozpadała się na kawałki.

Joe podał jej pączka owiniętego serwetką. Liza zdecydowała się na pączka w czekoladzie, a Joe wsadził do ust lepkiego eklera.

Chuck siedział koło Joego i szeptał mu coś do ucha, podczas gdy Joe potakiwał. Mona zmrużyła oczy, zastanawiając się, o czym rozmawiają. Joe uśmiechnął się do niej szeroko i porozumiewawczo.

- Teraz pewnie Brian będzie miał, co chciał - palnęła Edith ze wzgardą. Mona zmarszczyła czoło.

- O czym ty mówisz?

Edith zamieszała kawę.

- Mówiłam ci, że Brian chciał kupić twój dom. Sprzedasz go, prawda?

- N-nie wiem jeszcze - zająknęła się Mona. Rozpacz wezbrała jej w piersi.

- Walcz o swoje marzenia, kochanie. - Edith poklepała ją po ramieniu. - Nie chciałabym, żeby w miejscu tego ślicznego dziewiętnastowiecznego domu stanął Szybki Burger.

- O czym pani mówi, pani Draper? - Joe pochylił się do przodu z dziwnym wyrazem twarzy. Edith obrzuciła całą grupę spojrzeniem.

- O rany, zapomniałam wam powiedzieć?

Wszyscy pokiwali głowami.

- Brian złożył ofertę na dom, bo chciał go zburzyć i wybudować Szybkiego Burgera!

- Szybkiego Burgera? - wybełkotała Mona. Edith pokręciła głową.

- Tak, dasz wiarę? Tłusty fast food na środku naszej staromodnej Main Street. Ściągnął tu nawet dyrektorków z siedziby franczyzy w Chicago.

- Chicago? - powtórzył Joe. Edith pokiwała głową.

- Myślałam jednak, że dał sobie spokój dawno temu, kiedy Mona przebiła jego ofertę na dom.

Joe wykrzywił twarz w grymasie.

- Nie wydaje mi się. - Pogrzebał w tylnej kieszeni i wyjął złożony kawałek cienkiego papieru. - To jest odcinek karty pokładowej na lot z Duluth do Chicago. Z zeszłego tygodnia. Znalazłem go wczoraj w domu...

Serce stanęło Monie w gardle.

- Lizo, spędziłaś z Brianem całą wieczór? - zapytał Joe, mrużąc oczy. Liza wydawała się zaskoczona, po czym pobladła.

- Kiedy odwieźliśmy Monę, zabrał mnie do Smakołyczków. Weszłam do środka, by tam poczekać na niego, kiedy on parkował samochód... - jej głos brzmiał nienaturalnie. - Zobaczyłam go następnym razem dopiero po tym, jak uratowałeś Monę. Zupełnie o tym zapomniałam - pognałam do domu, jak tylko zobaczyłam pomarańczową lunę... - znowu przerwała. Mona zauważyła, jak otwiera oczy szerzej w szoku.

Otoczyła ich cisza, a Mona poczuła się nieco słabo.

- Stał za tym cały czas - głos jej drżał. - Brian Whitney próbował mnie przepędzić!

- Brian Whitney próbował cię zabić - stwierdził Joe lodowato.

Mona ujrzała, jak na jego twarzy wzbiera gniew, i zaschło jej w ustach. Skoczył na równe nogi.

- Joe, nie! Poczekaj! - powiedziała, ledwo łapiąc oddech.

- Wróć.

Mona zamarła z przerażenia, patrząc, jak wychodzi.

- Lepiej zadzwonię do Sama - powiedziała Edith ściśniętym głosem.



„Brian Whitney powinien sobie zastrzec numer telefonu, jeśli zamierza kogoś zamordować” - pomyślał Joe, dociskając pedał gazu w półciężarówce i gnając pod adres Briana. Zaciskał kartkę wyrwaną z książki telefonicznej i dziękował Panu, że mieszkańcy Deep Haven są wciąż na tyle wobec siebie ufni, że drukują swoje adresy. „Panie, proszę, pomóż mi zachować spokój, pojmać Briana, ale go nie zabić!”

Zwolnił, wjeżdżając na odpowiednią ulicę. Jechał pomału, patrząc na adresy na mijanych skrzynkach pocztowych. Zobaczył nazwisko Whitneya na czarnej blaszanej skrzynce i zauważył, że honda tego łajdaka stoi na żwirowym podjeździe.

- Cicho, Rip - rozkazał, gasząc silnik. Wydało mu się, że pies dosłownie spojrzął na niego spođe łba. - Wiem, ale chcę sam to załatwić.

Joe wysiadł z auta i przymknął drzwi. Musiał przyznać, że Brian miał ładniejsze lokum, niż się spodziewał po małomiasteczkowym urzędniku. Parterowe ranczo było zadbane. Obsadzona funkcjami kamienna ścieżka wiodła do długiej, zadaszonej werandy. Doniczka kwitnących czerwonych pelargonii strzegła drzwi frontowych. Nie były zaryglowane, więc Joe je otworzył. Wzdrygnął się, gdy lekko zaskrzypiały. Włosy stały mu dęba, a serce łomotało zdradziecko.

Ciężkie, zielone zasłony z poliestru blokowały światło, a stęchła woń pomarańczowego, kudłatego dywanu z lat sześćdziesiątych uświadomiła Joemu, że Brian nie zmienił zbyt wiele w wystroju swego domu.

Lodówka zaczęła pracować i szumieć, kiedy Joe przechodził przez kuchnię, stąpając w rytm kapiącego kranu. W ciemnym, pozbawionym okien korytarzu wypatrzył światło padające przez uchylone drzwi sypialni. Przysunąwszy się bliżej, usłyszał mamrotanie. Mężczyzna nie wszedł w strumień światła. Zamiast tego został w cieniu i patrzył zza framugi, jak koszule, spodnie, papiery i książki lądują miękko w otwartej walizce na łóżku.

Brian uciekał. Zniszczył marzenie Mony, a teraz wiał jak rynsztokowy szczur. Gniew Joego uwolnił adrenalinę.

Wparował do pokoju, waląc drzwiami o ścianę.

- Dokąd się wybierasz, Whitney? - nie mówił tak spokojnym tonem, jakby sobie życzył.

Brian obrócił się gwałtownie. Spocona, zaczerwieniona twarz kontrastująca mocno z nieskazitelnym dwuczęściowym garniturem, zdradziła panikę, po czym natychmiast przybrała wyraz niechęci. Joe zobaczył swoje odbicie w ciemnych oczach Briana

i wiedział już, że nie ma do czynienia z osobą trzeźwo myślącą. Instynktownie zacisnął dłonie w pięści.

Brian eksplodował wściekłością.

- Wynocha stąd! - Rzucił się na Joego i przyparł go do dębowej garderoby. Joe zamrugał, zobaczył pięść zmierzającą ku jego twarzy i zrobił unik. Pięść Briana trafiła w drzwi szafy. Zaklął.

Joe skoczył na Briana, zahaczył stopą jego nogę i pchnął. Obaj uderzyli o podłogę. Joe przerzucił ramię przez kark Briana i zacisnął, zgniatając jego jabłko Adama. Trząsał się z furii. Łykał powietrze w urywanych oddechach, aby zachować koncentrację.

- Dlaczego! Dlaczego to zrobiłeś?

Brian na niego splunął. Joe cofnął się gwałtownie, a pięść Briana trafiła go w skroń. Pokój zawirował. Brian strącił Joego kopniakiem w brzuch. Mężczyzna jęknął, ale panika porwała go z podłogi. Powalił urzędnika, kiedy intrygant uciekał z pokoju. Wpadli na korytarz z hukiem. Joe złapał Briana ramieniem za szyję, wbił kolano między jego łopatki i szarpnął ostro. Brian stęknął. Joe cedził przez ściśnięte zęby:

- Powiedz mi dlaczego! Dlaczego chciałeś skrzywdzić Monę albo Lizę?

- To nie miało z nimi nic wspólnego - wycharczał Brian.

- Zniszczyły mi życie. Latami czekałem w żalonym miasteczku, aż moja babka umrze. Poświęciłem wszystko, by mieć gotówkę. Ale Mona musiała sabotować moje plany! Ten dom jest mój. Ona nie ma prawa mi go odebrać.

- Odebrać! - Palący ból w okolicach brzucha sprawił, że Joe ściśniętą mocniej. - Całe życie przelała w ten dom, w swoje marzenie. To ty jesteś sabotażystą!

- Wystarczy, Joe. Puść go - spokojny ton komendanta Sama sprowadził Joego na ziemię. Mężczyzna zazgrzytał zębami. Urywany oddech Briana współgrał z jego własnym. Zegar wybijał gniew Joego do wtóru z jego galopującym sercem.

- Puść go - powtórzył Sam.

Joe wypuścił powietrze i niechętnie rozluźnił ucisk. Brian rzucił go jak zniszczony koc i wstał z podłogi. Joe stanął tuż obok niego. Urzędnik natychmiast zamienił się w człowieka chłodnego i opanowanego.

- Dzień dobry, komendancie. Cieszę się, że był pan w okolicy. Ten człowiek próbował mnie zabić. To łajdak, tak jak myślałem.

Komendant powiódł wzrokiem od Briana do Joego, jakby przyznawał Brianowi rację. Potem znowu spojrzął na Briana.

- Może pojedziemy na komisariat? Będziesz mógł złożyć zawiadomienie o przestępstwie i opowiedzieć mi, co i jak.

Brian zawahał się, rzucił Joemu niechętny, skonsternowany grymas i popatrzył na Sama, mrużąc oczy.

- Chyba myślisz, że jestem głupi.

Sam wzruszył ramionami.

- No to chyba jesteście kwita. Chodź, Brian. Mamy do ciebie parę pytań.

- My? - Brian zrobił krok do tyłu i natrafił na Joego, który stał za nim jak żelazny mur.

- My. Czyli Leo Simmons i ja. Chcemy wiedzieć, na co ci był ług z wydziału terenów zielonych - taki ług, jakiego używa się do wychodków. Zastanawia mnie to, zwłaszcza że całe życie masz toaletę w domu. - Oczy komendanta pociemniały, kiedy ciągnął. - Powiedział mi o pieniądzach, które ukradłeś, i o groźbach. Szczerze mówiąc, Brian, sam nie wiem, jakie zarzuty postawić ci najpierw: szantaż, zniszczenie mienia czy usiłowanie zabójstwa. - Skrzyżował ręce i skinął głową na stojących za nim funkcjonariuszy. Podeszli do Briana.

Mięsień drgnął mu w policzku. Twarz mu zastygła i przez moment Joe sądził, że znowu będzie musiał założyć Brianowi „krawat”. Oskarżony jęknął. Kiedy funkcjonariusze go złapali,

odwrócił się i skierował drżący palec prosto w zaskoczoną twarz Joego.

- Ten dom to teraz popiół, Michaels. Choćbyś był najlepszym majstrem na świecie, Mona w życiu nie zdąży z otwarciem za trzy tygodnie. - Oczy błyszczały mu złościwością.

Joe spojrział na niego nienawistnie, ale rozpaczliwy wewnętrzny głos potwierdził każde słowo.



Próg Nieba wyglądał, jakby pochłonęły go płomienie z samego piekła. Mona opasała się ramionami i na próżno próbowała pohamować gwałtowny dreszcz.

Gdy zobaczyła tył domu, prawie zaczęła szlochać. Na szczęście dzięki wytrwałości strażaków, którzy długo polewali dach wodą, stare dachówki nie podpałyły się jak fajerwerki, ale elewacja z tyłu była zwęglona od okapów prawie do parteru. Przerazającą scenę pogarszał jeszcze wypalony, czarny od sadzy garaż. Nawet gdyby kawalerka nadawała się do mieszkania, Joe musiałby wchodzić do domu po drabinie. Powietrze przesycił odór kreozotu⁸, a kiedy Mona wstąpiła na swój uprzednio dorodny trawnik, błoto zalało jej buty.

Od frontu ślady zębów pożogi nie były aż tak widoczne. Tylko przemoczony trawnik, kałuże wśród nierównych desek werandy oraz woń wczorajszego dymu wskazywały, że coś jest nie tak. Niemniej jednak potrzeba armii pracowników i mnóstwa pieniędzy, by teraz wyremontować dom.

Mona przygryzła wargi, żeby powstrzymać napływające łzy, a w jej wnętrzu tętnił smutek. To był koniec. Jej marzenie poszło

8 Kreozot - składnik smoły drzewnej, powstaje w wyniku m.in. spalania mokrego drewna [przyp. red. pol.].

z dymem. Jedynym sensownym krokiem była sprzedaż. Ale straci wszystko - kto by chciał kupić podpieczony worek bez dna? Brian wygrał. Ktokolwiek kupi dom, zrówna go z ziemią i zacznie od nowa. Może Deep Haven potrzebowało właśnie Szybkiego Burgera, a nie staroświeckiej księgarni z pretensjami. Gorycz spowiła jej serce. Była taka głupia.

Mona odwróciła się plecami do tragedii i powłóczyła nogami po ścieżce. Chuck pewnie był w biurze. Mogła zabrać się za papiery od razu.

Wpadła na Joego.

- Dokąd idziesz? - Złapał ją, gdy się potknęła.

Mona nie mogła na niego spojrzeć. Zamiast tego gapiła się na sadzonkę topoli, która najwyraźniej przetrwała inwazję żołnierzy w gumiakach i zakwitła maleńkimi, biało-zielonymi pąkami. Mona nabrała powietrza głęboko. Paliło ją w gardle. Nie mogła wyrazić swojej decyzji, która utknęła w bolesnym miejscu w jej sercu. Pokręciła głową i wysunęła się z ramion Joego.

Ten stanął jej na drodze.

- Chwileczkę, nie tak prędko, Silver. Widzę to w twoich oczach. Poddadaś się. - Złapał ją za ramię. - Nie, kiedy ja tu pilnuję.

Mona zacisnęła zęby, patrząc mu w oczy.

- Nie mam wyboru. Nie widzisz? To miejsce nigdy nie miało powstać. To był głupi sen. Przykro mi, że zmarnowałam na to tyle twojego czasu.

Joe skrzywił się i zerknął w górę. Widziała, jak rusza ustami, ale nie dochodziły z nich żadne dźwięki. Potem skierował na nią swoje współczujące, niebieskie oczy. Zadrzała od ich wyrazu.

- Nie pozwolę ci się poddać, Mono. Jestem tu nieprzypadkowo, a teraz po to, aby pomóc ci stanąć na nogach.

Mona przymknęła oczy. Nie mogła ulec jego dobroci, pokusie, by pokładać nadzieję w nim - albo w swoim marzeniu. Za wiele to kosztowało. Ponownie pokręciła głową, tym razem zawzięcie.

Natarczywość jego głosu zaskoczyła ją:

- Mona! Dlaczego? Dlaczego nie chcesz uwierzyć, że może się udać? Tyle już poświęciłaś, by to osiągnąć, a teraz poddasz się tak łatwo? Pozwolisz, żeby Brian wygrał?

- Nie chodzi o Briana! - wypaliła. - Chodzi o mnie! Wiem, że nie zasługuję na spełnienie tego marzenia, a im dłużej udaję, że jest inaczej, tym mocniej zaboli, jak się to w końcu rozsypie - jej głos przybrał nieszczęśliwy ton. - Moje serce tego nie znieśie.

Nie spodziewała się jego potężnego uścisku. Oplótł ją ramionami i przyciągnął do szerokiej, umięśnionej klatki piersiowej. Opierała się lekko, ale kiedy położył dłoń na jej głowie i wtulił ją w siebie, poddała się z dreszczem. Joe ścisnął Monę mocno i delikatnie zarazem. Przyłgnęła do niego, wdychając woń dżinsu i piżmowy zapach mydła zmieszanego z potem. Dlaczego to musiało być takie kojące?

- „Jeżeli Bóg z nami, któż przeciwko nam?” - wyszeptał Joe. Mona znieruchomiała. - On jest autorem marzeń. Nie jest oszustem. Nie daje nam marzeń tylko po to, by je potem wyrwać i się śmiać.

Poczuła falę rozpacz.

- Nie jestem pewna, czy Bóg jest dla mnie.

Joe wypuścił ją raptownie i odsunął od siebie. Spoglądał na nią badawczo.

- Jak możesz tak sądzić? Jesteś Jego dzieckiem! Kocha cię.

Mona odwróciła głowę. Joe chwycił ją pod brodę i zwrócił jej twarz ku swojej.

- „On, który nawet własnego Syna nie oszczędził, ale Go za nas wszystkich wydał, jakże miałby wraz z Nim i wszystkiego nam nie darować?” Jak możesz nie spodziewać się tego, co najlepsze, od Boga, który kocha cię jak córkę?

- Nie zasługuję na to, co najlepsze - Monie załamał się głos.

- Żadne z nas na to nie zasługuje. Ale choć wciąż jesteśmy grzesznikami, Bóg postanowił dać nam to, co najlepsze, i zrobi to, po tym jak staniemy się Jego dziećmi. Nie zasługujemy na łaskę, ale z powodu natury Boga możemy się jej spodziewać! Jeśli to marzenie pochodzi od Niego, możesz się spodziewać, że je spełni.

Joe patrzył jej w oczy. Czują jego przenikliwy wzrok po czubki palców u stóp. Patrzył intymnie i tkliwie, a Mona zapragnęła wyciągnąć do niego rękę i wszystko wyjawić, zdradzić mu swój okropny sekret, najgłębsze lęki. Ale jego spojrzenie było tak intensywne, a naga prawda tak trudna, że zamknęła oczy i stłumiła impuls. Łzy popłynęły jej po policzkach.

- Mono, nie oceniaj Boga na podstawie tego, co wiesz o ludziach. Bóg to nie jest po prostu wyjątkowo porządnym gościem w niebie. To Bóg. Działa na zupełnie innych zasadach. Nigdy nie zasłużymy na Jego miłość, ale On o tym wie i mimo tego postanowił nas kochać. Możemy to zaakceptować albo nie. Ale to nie zmienia tego, kim On jest. Jest Bogiem, który kocha nas bardziej, niż umiemy sobie wyobrazić, i pragnie spełnić marzenia, jakie daje swoim dzieciom.

- Poglądził kciukiem jej policzek. - Nic, nawet karaluchy, powódź w piwnicy czy pożar, nie zdoła wyrugować Bożej miłości z twojego życia. Zaufaj Mu w tej sprawie. Nie poddawaj się.

Mona zamknęła oczy. Boleśnie pragnęła przyjąć słowa Joego. Chciała wierzyć, że Bóg zaplanował dla niej to, co najlepsze. Krótka w to wierzyła - kiedy pierwszego dnia stała na schodach swojego wiktoriańskiego domu i widziała, jak jej marzenia się ziszczają. Czyż wówczas nie czuła Bożego spokoju, Jego miłości, niczym przedsmak tego, co może się wydarzyć? I Bóg dał jej Joego. To musiało coś znaczyć.

Mona otworzyła oczy i odsunęła się od swojego majstra. Popatrzyła mu w oczy. Wyraz jej twarzy musiał dać mu nadzieję, bo jego oczy zaczęły lśnić. Uśmiechnęła się niepewnie i otarła łzy.

- Dobrze.

- Moja Mona. - Położył dłoń na jej policzku. Nie wiedziała, czy ciepło, jakie ją ogarnęło, pochodzi z jego dotyku, czy też zrodziło się w jej sercu, gdy usłyszała, jak Joe mówi „moja Mona”.



- Rozejść się, wy dwoje!

Joe uśmiechnął się, słysząc żartobliwe słowa Lizy, ale nie spuszczał Mony z oczu. Wydawała się taka delikatna, gotowa, by rozczarowanie przegnało ją z Deep Haven i oddaliło od wszystkiego, co dla niej ważne. Pragnął, by wytrzymała, uwierzyła w Boską miłość i zaufała, że Wszechmogący spełni jej marzenia.

Liza podeszła i przyjrzała się im dwojgu. Mona wyslizgnęła się z ramion Joego. Liza uśmiechnęła się lekko, po czym wskazała na dom.

- Mona, nie jest tak źle. Chodź zobaczyć - powiedziała optymistycznie. - Ściany w środku są nieuszkodzone, a sypialnia nie przypomina jeziora, pomimo twojego marudzenia. - Liza puściła oko do Joego. - Myślę, że nasz zmyślny fachowiec to naprawi.

Joe uśmiechnął się szeroko. Bardzo się cieszył, że Liza patrzy na życie z optymizmem, nawet jeśli była nieco ekscentryczna. Uzupełniała przez to jego Monę - pesymistkę.

- Bierzesz mnie chyba za Boba Vilę - powiedział.

- No. - Liza objęła Monę. - Chodź, koleżanko. Zobaczmy, co trzeba zrobić, żeby uratować nasze marzenia.

Mona zrównała krok z Lizą. Joe musiał przyznać - ciemnowłosa piękność szybko doszła do siebie po zdradzie Briana. A może po prostu maskuje swoje uczucia z uwagi na przyjaciółkę. Tak czy owak, idąc za dom, dziękował Bogu za Lizę.

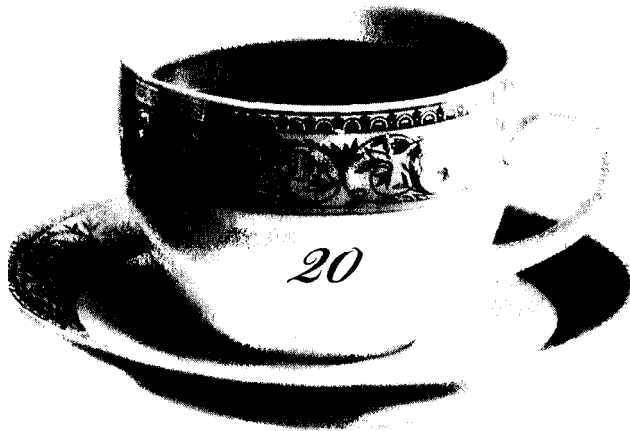
W świetle poranka zniszczenia były poważne, lecz nie katastrofalne. Co zaskakujące, konieczne naprawy wydawały się głównie kosmetyczne. Schody do kawalerki trzeba będzie odbudować, ale poza osmolonymi drzwiami na pierwszy rzut oka resztę dało się

naprawić. W domu Mony tylna elewacja się spaliła, ale jeśli Joe skoncentruje się na wykończeniach fasady, to tył i swoje mieszkanie będzie mógł naprawić po otwarciu Progu.

Joe przerwał ten tok myśli. Co też chodziło mu po głowie? Nie mógł zostać. Nawet jeśli Mona postanowi mu choć trochę zaufać i pozwoli mu pracować po otwarciu, on miał zobowiązania, których musiał dotrzymać. Dni swobodnego włączonego zbliżały się ku końcowi. Joe przeczesał dłonią włosy i wypuścił powietrze.

- To dla ciebie za wiele, Supermanie? - głos Lizy rozproszył jego rozważania. Joe wymusił nonszalancki uśmiešek:

- Nie. - Nie chciał roztrzaskać kruchej nadziei Mony. Zostanie, jak długo będzie mógł, modląc się, by to wystarczyło, aby zamieścić spalony dom Mony z powrotem w Próg Nieba.



Kiedy Mona wyłączyła piaskarkę, tenor Joe go wypełnił korytarz. „You are my sunshine, my only sunshine...”

- To do mnie? - Mona wyjrzała zza rogu. Musiała go przestraszyć, bo kiedy odwrócił wzrok od lampy w korytarzu, zachwiał się na drabince. - Jakoś nie możesz na tym ustać - zauważyła Mona, tłumiąc chichot.

- Tylko wtedy, kiedy śliczna pani przyłapie mnie na tym, jak o niej śpiewam.

Monie zaschło w gardle i zamknęła buzię. Teraz to Joe się roześmiał.

- Chyba nigdy cię nie widziałem w tym odcieniu czerwieni.

Spojrzała na niego spode łba.

- Co myślisz o tej lampie?

Mona skrzyżowała ramiona.

- Zejdz. Twoja głowa mi zasłania.

Joe zeskoczył z drabinki. Mona z wysiłkiem popatrzyła na jego dzieło zamiast na niego samego. Wyglądał rozkosznie w spranych dzinsach, granatowo-zielonej flaneli w kratkę i brązowych buciorach. Okropnie zmierzwił włosy zdradzały, że coś intensywnie rozważał. Uśmiechnęła się, myśląc, że zna jego nawyki.

- Wygląda dobrze - powiedziała Mona, niekoniecznie o lampie. Ale zabytkowy, trzyramienny żyrandol z kutego żelaza z liliowymi kloszami pasował tam idealnie. Stanowił doskonały kontrast między częścią Lizy i Mony.

- Dzięki, Joe - rzekła, patrząc mu w oczy. Wzruszył ramionami. Chciała coś dodać, powiedzieć mu, jak w ciągu minionego tygodnia jego harówka rozpała iskierkę nadziei w żywy płomień. Pracował od świtu do północy - malował werandę, instalował lampy, zdzierał spaloną elewację i pomagał w przeróżnych drobnych pracach. I robił to wszystko bez słowa protestu - i bez łóżka, w którym mógłby się w nocy wyspać.

Na myśl o tym, że spędził pięć nocy w swojej półciężarówce, ją samą bolały mięśnie. Kiedy jednak zaproponowała, że ulokuje go w miejscowym motelu, wydawał się urażony.

- Brian może i jest za kratkami, ale ja wciąż jestem na warcie.

Nie mogła się z tym kłócić. Zamiast tego wołała zarażać się jego entuzjazmem i ciepłym uśmiechem. Dwa dni przed wielkim otwarciem zaczynała wierzyć, że marzenie się spełni.

- Słuchaj, Mona, mam pomysł. - Joe wsadził nożyce do tylnej kieszeni. - Mogę cię dziś zaprosić na kolację? Znam takie miejsce, które bardzo chciałbym ci pokazać.

Mona wpatrywała się w niego tępo. Czy on ją zaprasza na randkę?

- Mona, wyglądasz, jakbym zaprosił cię właśnie do Paryża. Uspokój się.

Kobieta wznowiła oddychanie i zaśmiała się nerwowo.

- Przepraszam, Joe, zaskoczyłeś mnie. Pewnie, pójdę z tobą dziś na kolację. - Serce jej łomotało, gdy rozważała, co wynika z tych słów. Randka. Wewnętrzne syreny ostrzegawcze zawyły, ale z jakiegoś powodu miała ochotę zacząć tańczyć. Randka. Z Joem. Musiała przygryźć wargę, żeby nie zacząć się radośnie szczerzyć.

Joe wytarł ręce w spodnie. Potem ku zaskoczeniu Mony wyciągnął dłoń, jakby ubijali interes.

- Świetnie. A teraz ściśnijmy sobie dłonie, żebyś się nie wycofała.

Mona zmarszczyła brew.

- Niby czemu miałabym się wycofywać?

- Bo nie wiesz, dokąd cię zabieram. - Błękitne oczy błyszczały łobuzersko.

Mona niepewnie podała mu dłoń. Potem cały dzień wracała myślą do dreszczu ekscytacji, który nią wstrząsnął.



Mona niepotrzebnie tak długo prasowała niebieską spódnicę w kwiaty.

- Wysypisko śmieci? To ma być to twoje wspaniałe miejsce?

Skrzywiła się niechętnie, kiedy mijali szyld. Miejskie śmietnisko nie bez powodu znajdowało się z dala od malowniczego Deep Haven... Była to pewnie najmniej atrakcyjna lokalizacja w promieniu stu kilometrów. I to tutaj Joe postanowił ją wziąć na pierwszą randkę? Mona przewróciła oczami. To tyle, jeśli chodzi o kulturę. Joe był wcieleniem samca, o jakim czytał w swoich książkach Louisa L'Amoura.

Majster rzucił jej przebiegłe spojrzenie.

- Nie zrażaj się do mnie, Mono. Wstrzymaj się chwilę z osądem, dobrze?

Mona skrzyżowała ramiona na swym białym kaszmirowym swetrze. Będzie go pewnie musiała wymoczyć w płynie o zapachu bzu, żeby pozbyć się tego smrodu.

Joe wymijał koleiny w drodze i znalazł płaskie miejsce górujące nad kotliną zaśmieconą zepsutymi lodówkami, piekarnikami, sedesami, puszkami, gazetami, butelkami, opakowaniami, oponami i różnymi innymi śmieciami.

- Och, jakże malowniczo - zauważyła cierpko.

Joe uśmiechał się niezrażony.

- Poczekaj tylko, aż inni się zjedzą. Wtedy zaczniesz się zabawa.
- Inni? To przyjęcie?
- Poniekąd. - Joe wysiadł z ciężarówki. - Zostań tu.

Zgodziła się bez problemu. Ale szczęście Joego było zaraźliwe, a poza tym rozbudził jej ciekawość. Obserwowała, jak mężczyzna majstruje przy plandecie na pace, po czym przyjrzała się wysypisku. Miasto wykopało długą kotłnię, do której zrzucano śmieci. Mona przypuszczała, że pewnego dnia otwór się zapełni i kolejny skrawek przyrody zostanie przeryty, by sypać tam ludzkie odpady. Zastanawiała się, jaka część lasu kryje śmieci - nowe życie pokrywa szczątki przeszłości. Co dziwne, nie czuła znajdujących się poniżej odpadków. Otaczające śmietnisko sosny pochłaniały smród i nadawały powietrzu przyjemny zapach. Lekki wietrzyk szumiał wśród drzew, a zachodzące słońce mrugało przez górne gałęzie. Może piękny wieczór złagodzi ohydny scenery.

- Dobra, gotowe. - Joe wsiadł z powrotem do kabiny.
- Jedziemy stąd? - nie umiała zamaskować nadziei w głosie.

Może to był żart. Joe zaśmiał się w głos.

- Niezupełnie. - Wrzucił wsteczny, wycofał, obrócił samochód i wjechał tyłem w miejsce, gdzie wcześniej parkowali. Potem zgasił silnik, zostawiając kluczyki w stacyjce, i włączył radio. Przy wtórze trzeszczącej, starej piosenki miłosnej otworzył drzwi i wysiadł. - Pani stolik czeka.

Mona spojrzała na niego podejrzliwie. Wysunął rękę, a ona podała mu dłoń. Pociągnął ją do otwartych drzwi auta, pomógł wysiąść i zaprowadził na pakę półciężarówki.

Mona westchnęła z zachwytem na widok swojego „stolika”. Joe rozłożył na pace indiański koc, a ze swojej uratowanej z pożaru i odczyszczanej torby zrobił długą poduszkę, czymś ją wypychając. Na środku stał niebieski wiklinowy kosz piknikowy.

- Mój stolik?

- Najlepszy w całym lokalu.

Mona uśmiechnęła się.

- I z najlepszym widokiem.

- Oraz obsługą. - Oczy Joego migotały błazeńsko. Szybkim ruchem podniósł Monę i posadził ją na kocu. Mona zachichotała. Joe usiadł przy niej.

- Zobaczmy, co przygotował szef kuchni. - Otworzył koszyk, pogrzebał w nim chwilę, po czym obrzucił ją przebiegłym spojrzeniem. - Zamknij lepiej oczy.

Mona zmarszczyła czoło.

- Proszę. Szef kuchni nie potrafi pracować, kiedy ktoś się w niego wpatruje.

Mona stłumiła kolejny chichot i uległa. Usłyszała odgłos rozdieranego papieru, syk otwieranej butelki z napojem gazowanym, brzękanie sztućców.

- Zrobiłeś nalot na KFC?

- Nie otwieraj oczu!

Mona oparła się o torbę. Joe może i był biedny, ale na pewno pomysłowy. Ale czy rzeczywiście był biedny? Wydawało się, że radzi sobie zupełnie dobrze i nigdy nie prosił o więcej niż te marne grosze, które mu płaciła. Skąd wziął pieniądze, żeby osuszyć jej piwnicę?

- Dobra, otwieraj!

Kiedy Mona otworzyła oczy, serce jej wezbrało i z jakiejś przyczyny zachciało jej się płakać. Na nakrochmalonej białej serwetce Joe ułożył wędzoną palię, krakersy, sery goudę i edamski oraz ciemne winogrona. Podał jej też kryształowy kieliszek z napojem.

Monie odebrało mowę. Upiła łyżeczek napoju, zaczęła wściekle mrugać, po czym spróbowała odzyskać głos.

- Mona, nic ci nie jest? Myślałem, że ci się spodoba. - Joe wydawał się zawiedziony. Mona wzięła się w garść i spojrzała w jego niebieskie, łagodne oczy.

- To bardziej cudowne, niż mogłabym sobie wymarzyć, Joe.

Uśmiech powoli wrócił na jego twarz, a w oczach jasno wypisane były jego uczucia. Mona spłonila się w przyływie niespodziewanych emocji. Szybko zrobiła kolejny łyk.

- S-skąd ten cały szyk? - zająknęła się, unosząc kieliszek. Wyglądał tak słodko, kiedy się czerwienił.

- Zdziwiłabyś się, co sprzedają w Goodwill.

Uśmiechnęła się, wdzięczna, że on też wyczuł niezręczną chwilę.

- Chyba będę musiała zacząć tam robić zakupy.

- Śmieci jednego są skarbem drugiego - odparł Joe. Zaczął obierać widelcem złotą skórę palii. - Trzeba tylko umieć dostrzec to, co nieoczywiste. - Podniósł na nią oczy. Słowa zawisły w powietrzu. Serce Mony zabiło dużo mocniej.

- To kiedy przyjdą ci inni? - zapytała, zmieniając temat. Joe zawahał się, po czym skupił z powrotem na rybie.

- Mam nadzieję, że wkrótce. Po zachodzie słońca będzie trudno ich dostrzec. - Mona przybrała zdziwioną minę. - Ale jestem pewien, że ten cudowny rybny aromat podziała jak gong wzywający na kolację.

- Rybny aromat? - Zrobiło jej się słabo.

- No, niedźwiedzie go uwielbiają.

- Niedźwiedzie. - Mona wypuła duszkiem resztę napoju.

Joe uśmiechnął się szeroko i wręczył jej kawałek ryby pomiędzy dwoma krakersami.

- Baribale. Może też jakiś niedźwiedź brunatny, jeśli się nam poszczęści.

Mona otworzyła oczy szerzej.

- I grizzly?

Joe się roześmiał.

- Nie. W Minnesocie raczej nie ma niedźwiedzi grizzly. Ewentualnie wilki, ale grizzly trafiają się rzadko. - Oczy mu błyszcząły.
- Chyba że liczyć niedźwiedzia, co siedzi z tobą w samochodzie.

Mona stłumiła śmiech.

- Nie jesteś dziś tak bardzo podobny do niedźwiedzia jak zwykle. - Popatrzyła na jego granatowy, bawełniany sweter w serek i czarne dzinsy. - Podobają mi się twoje buty, pasują do muzyki.

Joe uniósł jeden ze swoich lśniących, czarnych kowbojskich butów.

- Autentyczna, surowa teksańska skóra. - Rozparł się na torbie i puścił do niej oko. - Nie każda panienka zapoznaje się z moim wiejskim obyciem - powiedział, przeciągając słowa z udawanym południowym akcentem.

Mona śmiała się, aż ją brzuch rozboleła. Joe wydawał się szczęśliwy i zrelaksowany. Siedział i starał się wylapać wszystkie spadające okruchy swojej kanapki z rybą. Gdy się mu przyglądała, naszło ją nagle wspomnienie: rozpoznawała ten stan. Tak wyglądał jej ojciec, gdy patrzył, jak mewy porywają ości, które rzucał im na brzeg. Do tej pory nie pamiętała zadowolonego uśmiechu ojca podczas tych cudownych, bezcennych chwil. A Joe odzyskał dla niej to wspomnienie. Mona pohamowała kolejny przyptyw łez.

- Idą! - Joe wskazał odległy kąć dalekiego lasu. Mona był głęboko wdzięczna za odwrócenie uwagi. Nie potrzebowała spędzić wieczoru, becząc wśród wspominków.

Omiotła wzrokiem cienistych las i wypatrzyła dwa czarne niedźwiedzie, które człapały w stronę wysypiska. Jeden był nieco większy od drugiego. Nawet z tej odległości były większe, niż przypuszczała. Dostała gęziej skórki.

- Czy to bezpieczne?

Joe się roześmiał.

- Tak. Nie przyjdą tu. Żartowałem z tymi rybami. Zostaną po swojej stronie i pogrzebią w śmieciach. Na tym wysypisku jest dla nich dość zdobyczy, żeby były zadowolone i najedzone, aż do czasu, gdy zapadną w sen zimowy.

Mona westchnęła z ulgą.

- Cóż, mamy się czym dzielić. - Popatrzyła na obfitą ilość jedzenia.

- Rip się ucieszy. Nie był specjalnie zadowolony, kiedy go dziś zamknąłem w mieszkaniu.

Zachodzące słońce mieli za plecami. Brzozy i sosny rzucały na samochód coraz dłuższe cienie. Mona najadła się ryby, egzotycznych serów i winogron, nasłuchiwała się minstrelów w stylu country i napatrzyła, jak dzikie zwierzęta myszkują wśród odpadów społeczeństwa.

W którymś momencie, po sprzątnięciu jedzenia, Joe przysunął się do niej i ją objął. Swoboda, jaką czuła, ją zdumiała. Jak gdyby byli razem od zawsze i znali się na wylot. A może po prostu tego właśnie chciała. Joe był kimś, kogo chciała poznać, wpuścić do świata swoich marzeń.

Ale ryzyko było wysokie. Czy mogła mu pokazać wewnętrzny krzyk, który pchał ją do doskonałości i do poświęceń? A co z Joem? Był jak staroangielski poemat *Beowulf*. Nieokrzesany, lecz czarujący. I kompletnie niezrozumiały. Nie wiedziała nawet, skąd pochodzi. Pojawił się po prostu w jej życiu jak anioł i pomógł budować marzenia. I tajemniczym sposobem pokonał pieczołowicie skonstruowane mury jej serca. Kim on był? Czy było mu pisane zakraść się jak złodziej, porwać jej serce i uciec? Czy zostawi po sobie pustkę i ból, jeśli odejdzie?

„Kiedy odejdzie”.

Przeszedł ją zimny dreszcz. Było już za późno. Ból był nieuchronny. Joe odejdzie, a kiedy to nastąpi, zabierze ze sobą jej

serce. Wtuliła się głębiej w jego ramię. Nagle było to równie jasne jak Gwiazda Polarna mrugająca w lawendowym zmierzchu.

Mona zakochiwała się w swoim majstrze.



W sobotę rano słońce ledwie zdążyło wznieść się nad korony drzew, kiedy Joe podjeżdżał już do Ogrodu. Chatka promieniowała spokojnym bezruchem i Joe sądził przez chwilę, że przyjechał za wcześnie. Wtedy drzwi werandy otworzyły się z trzaskiem i uśmiechnęła się do niego śliczna ruda dziewczyna.

- Cześć, Joe. Jemy śniadanie. Chcesz naleśników?

Jej sympatyczny uśmiech i serdeczne powitanie z rozanielonym Ripem ogrzały Joemu serce. Pies wyczałował całą twarz dziewczyny przy wtórze jej chichotu. Joe się skrzywił.

- Dobra, Rip. Uspokój się. Wiem, że ci się tu podoba, ale przesadzasz.

Rudzielec znowu zachichotał, po czym wstał i razem przeszli do kuchni. Mieszkańcy podnieśli wzrok znad naleśników i powitali gościa radosnym chórem. Joe pomachał do nich nieśmiało. Gabe skoczył na równe nogi i uściskał Joego tak mocno, że go to poruszyło. Mężczyznę oszołomiła ich gościnność, zwłaszcza po tym, jak okropnie się zachował podczas swojej ostatniej wizyty w Ogrodzie. Spłonął się na myśl o tym, jak trzasnął moskitierą i odjechał z rykiem w odpowiedzi na docieklive słowa Ruby.

Joe z całą pewnością nie zasłużył na krzesło, które przystawili do stołu ani na talerz parujących naleśników, który Ruby postawiła przed nim. Opiekunka musiała odgadnąć, że czuje się zażenowany, bo pochyliła się do jego ucha i powiedziała cicho:

- Witamy z powrotem, Joe. Tęskniliśmy.

Poczucie winy ustąpiło miejsca wdzięczności. Joe usiadł obok uśmiechniętego brata i przysłuchiwał się, jak rodzina z Ogrodu

droczy się ze sobą nawzajem i planuje prace na cały dzień. Joe władował kawałek naleśnika do ust, rozkoszując się prawdziwym syropem klonowym, i zrozumiał, że Gabe doświadcza w Ogrodzie czegoś niezwykłego. To była jego rodzina, bracia i siostry. Gabe miał coś, czego Joe nigdy mu nie zaoferował - całkowitą akceptację. Miłość bez zastrzeżeń. Naleśniki stanęły Joemu w gardle. Przelknął kawę i poprosił o następną.

- Gdzie byłeś, Joe? - zapytała Ruby, dolewając mu kawy. Wszyscy wbili w niego wzrok.

- Pracuję w mieście jako złota rączka.

Ruby uniosła brwi.

- Naprawdę? Jesteś pełen niespodzianek. To zadziwiające, jak zawsze znajdziesz coś dla siebie.

To, ile wiedziała o jego życiu, rozdrażniło go.

- Co masz na myśli?

Ruby spojrzała na niego wyrozumiale.

- Zawsze zaspokajasz jakąś potrzebę. Jesteś błogosławieństwem dla ludzi. W ten sposób Bóg cię wykorzystuje - odchrząknęła i uśmiechnęła się. - I to zupełnie bezbolesne, prawda?

Joe zapatrzył się w swoją kawę, rozważając jej słowa. Czy stanowi dla Mony błogosławieństwo? Wczorajsza randka chyba sprawiła jej przyjemność. Powoli odrzuciła ciężar stresu i rozluźniła się. Poczul ciepło w sercu na myśl o tym, jak na niego spojrzała, gdy ją objął. Zielone oczy były spłoszone, ale z postępem wieczoru jej lęk się rozplynał. Przeszedł go dreszcz, gdy wreszcie wsparła głowę na jego piersi. Nucila piosenkę Statler Brothers, żartowała z grzebiących w śmieciach niedźwiedzi i dała się oczarować kilkoma opowieściami. Nigdy nie czuł się tak pełen życia, gotów otworzyć przed kobietą serce. O nic go nie prosiła, zawzięcie domagała się, by mogła sama nieść swoje brzemię, i miała pretensje o to, że wtrącał się w jej życie. Niestety to tylko rozbudziło wszystkie jego opiekuńcze instynkty.

Desperacko chciał ją pocałować, tak bardzo, że niemal uległ temu uczuciu. Udało mu się je jednak zwalczyć - zarówno dla jej dobra, jak i dla własnego. Nie chciał wprowadzać jej na ścieżkę, którą nie będzie mógł z nią iść, kiedy więc ją przytulił, usłyszał wewnętrzne syreny alarmowe. Potrzebował czasu, żeby sobie wszystko poukładać, zanim ulegnie pragnieniu i dotknie tych czarujących ust. Ich pierwszy pocałunek zdarzył się pod wpływem chwili. Drugi będzie zaplanowany i da im więcej niż tylko chwilę przyjemności.

Pierwszy raz w życiu marzył o zapuszczeniu korzeni. Niesforne myśli wędrowały w kierunku życia z Moną. Zastanawiał się, jakby to było pracować z nią ramię w ramię w Progu, budzić się co rano i widzieć jej piękne szmaragdowe oczy. Myśl ta zupełnie go rozkleiła. Musiało istnieć wyjście z sytuacji, sposób, by wykroić dla nich przyszłość.

Na szczęście miał czas. Próg zmierzał ku lepszemu i jeszcze przez dwa tygodnie nikt na niego nie czekał. Może Bóg to jakoś poukłada... Może plany Wszechmogącego sięgały dalej niż tylko do udzielenia pomocy Monie w spełnieniu marzenia. Joe uśmiechnął się do Ruby i odpowiedział na jej uwagę:

- Nie mogę powiedzieć, żeby bolało.

Ruby popatrzyła na niego dziwnie, jakby roztrząsała sens jego słów.

- Joe jedzie na ryby. - Ruda wtrąciła się do rozmowy. Joe spojrział na nią z ciekawością.

- Skąd wiesz?

Gdy się uśmiechnęła, kąciki jej migdałowych oczu podjechały do góry.

- Masz wędki w aucie.

Uniósł ręce do góry w udawanej kapitulacji.

- Winien. Miałem nadzieję, że Gabe dostanie dziś wolne i będzie mógł jechać z bratem na ryby.

Ruby skrzyżowała ramiona.

- No cóż, on jest naszym brygadziwą w tym roku, a zaplanowaliśmy na dziś mnóstwo pracy. - Powiodła wzrokiem po grupie, jakby zasięgała ich opinii.

Joe posmutniał. Wpadł na ten pomysł parę dni wcześniej i od tamtej pory jego entuzjazm rósł. Byłby załamany, gdyby Gabe nie mógł jechać, zwłaszcza że wątpił, by w najbliższej przyszłości nadarzyła się inna okazja.

- Pozwól mu! - Joe rozpoznał głos Daniela i uśmiechnął się do niego z wdzięcznością. - Zastąpię go dziś - dodał Daniel.

Ruby poprzebierała palcami.

- Chcesz jechać, Gabe?

Gabe pokiwał głową, jakby miał ją na sprężynie. Ruby pomałała na nich z szerokim uśmiechem.

- Zmiatać stąd, wy dwaj.



Jezioro Bearskin przypominało szafir. Słońce muskało jego powierzchnię i rozpraszało klarowny niczym klejnot błękit. Joe patrzył na zielone tło lasu oraz turkusowe, usiane chmurami niebo i wiedział, że rezerwat Northern Minnesota Boundary Waters Canoe Area to Boże arcydzieło.

Joe złożył sprzęt na plaży.

- Zaraz wrócę - powiedział do Gabe'a, który wyglądał jak każdy gorliwy rybak: miał wędkarski kapelusz i standardową kamizelkę ratunkową. Joe próbował go przekonać, by nie brał peleryny, ale Gabe nalegał:

- Zawsze ją ze sobą biorę! - powiedział, jakby był zawodowcem.

Joe wynajął czółno z Bearskin Lodge i wrócił nad jezioro, niosąc je na barkach. Wsparł je z łatwością na udach, po czym spuścił na wodę.

- Wskakuj. - Przytrzymał czółno, żeby się nie chwiało. - I zachowaj równowagę. - Dodał, bo wyobraził sobie, jak Gabe wpada do wody, a Ruby się wścieka. Kiedy Gabe się przebierał, wzięła Joego na stronę i pouczyła go o zasadach: cały czas w kamizelce, unikać głośnych silników, nie dawać Gabe owi do ręki haczyków.

Gabe przeszedł ostrożnie na dziób i usiadł na ławce. Joe załadował sprzęt wędkarski i zepchnął łódkę na lśniąca jak lustro wodę.

Joe wiosłował, szukając idealnego zakątka zarośniętego brzegu. Po wodzie roznosił się śpiew nura. Kapanie wody z wiosła, którym napędzał czółno, oraz szmer wody o burty doskonale współgrały z szumem wiatru w lesie. Słońce wzbilo się nad korony i mrugało im prosto w twarz, zapowiadając ciepły, bezchmurny dzień. Gabe siedział wyczekująco, trzymając się krawędzi burty. Joe poczuł nieznany wcześniej przypływ zadowolenia.

Młodszy brat spojrzał na niego przez ramię.

- Myślisz, że to ładny dzień, Joe?

- Tak, Gabe - odparł Joe chrapliwym głosem. Powinien spędzać czas z Gabe'em w ten sposób od lat. Jedynym, czego brakowało w tym niemal perfekcyjnym dniu, była Mona. Siedziałyby między nimi, śmiała się, cieszyła bratem, którego dał mu Bóg. Joe przełknął ślinę i odepchnął tę myśl. Marzenia o czymś więcej tylko umniejszałyby radość z darów, które w istocie posiadał.

Joe skierował czółno do niewielkiej, trawiastej zatoczki. Włożył wiosło do środka i wziął wędkę. Sklep wielobranżowy w Deep Haven, zaopatrujący turystów, sprzedawał niemal wszystko, łącznie z indiańskimi kocami i sprzętem wędkarskim. Joe jeszcze raz sprawdził, czy żyłka się nie poplątała, po czym zawiązał ciężarek i wabik. Sięgnął do wiadra z płótkami i wyjął małą śliską rybkę. Zaczepił ją i podał cały zestaw Gabe'owi.

- Umiesz zarzucać wędkę?

Gabe pokiwał głową potakująco, ale kiedy przy pierwszej próbie prawie urwał Joemu ucho, ten doszedł do wniosku, że wolałby

pozostać w całości. Wziął więc wędkę od Gabe'a i wycelował przynętę w ładny skrawek czystej wody, parę metrów od najbliższych traw.

Gabe uśmiechnął się szeroko z nadzieją, a Joe podał mu wędkę i kołowrotek.

- Złów nam coś na kolację. - Joe puścił do Gabe'a oko.

Kiedy straszny brat przygotowywał własną wędkę, Gabe zaczął nucić pod nosem znaną melodię. Joe zarzucił wędkę na przeciwną stronę i przyłączył się do fałszywego mruczenia *Amazing Grace*. Owady unosiły się nad powierzchnią i ryba wyskoczyła z wody daleko od żyłki Joego.

- No dawaj, mój ty bassie, mam coś lepszego niż robak. - Joe zamruczał w stronę mętnej wody.

- Pomocy! - krzyk Gabe wytrącił go ze spokojnej zadumy. - Pomocy, pomocy! - Wędka Gabe'a wygięła się w pałąk i zanurzyła w wodzie. - Mam coś!

- Trzymaj mocno! - Joe zahaczył swoją wędkę pod siedzeniem i uklęknął, by pomóc Gabe'owi ustawić haczyk. - Daj mi wędkę.

Gabe podał drążek. Joe szarpnął mocno i poczuł szamotanie się ryby.

- To chyba niezły okaz. Zwijaj! - Oddał wędkę Gabe'owi, który zacisnął zęby i zaczął zwijać. Joe patrzył z dumą, jak brat się sili, stęka i przyciąga ogromną rybę. Zdobycz walczyła ostro, czasem przypląwała bliżej, to znów odskakiwała, aż końcówka wędki zanurzała się w wodzie.

- Trzymaj tak, żeby żyłka była napięta - instruował Joe. Gabe spełniał wszystkie polecenia. Zacisnął zęby i zmagął się z rybą. Joe zobaczył błysk srebrzystej skóry pod powierzchnią wody.

- To sandacz! - wykrzyknął radośnie. - Będzie ponad dwa kilo!
- Rzucił się po sieć. - Przyciągnij go jeszcze raz, to go wyłowię.

Joe zanurzył sieć głęboko w wodzie. Gabe ze śmiechem próbował kręcić kołowrotkiem. Ryba podплыnęła bliżej. Joe pochylił

się i zagarnął ją w sieć. Szkielet siatki ledwie wytrzymał, kiedy wyciągał zdobycz z wody. Ryba miotła się po dnie czołna, zabezpieczona siecią, a Joe uściskał młodszego brata.

- Brawo, Gabe! Jest piękny. Prawie szkoda go jeść.

Gabe się przeraził.

- Jeść? Dlaczego? Tata i ja zawsze wrzucamy je z powrotem.

Joemu opadła szczeka.

- Wrzucacie je z powrotem? Nie mówisz chyba poważnie. - Gabe wzdrygnął się, słysząc te słowa, i Joe od razu przybrał łagodniejszy ton. - To najsmaczniejsza ryba na całym świecie, Gabe. Uwierz mi, ja to wiem. Nie chcesz wrzucać sandacza z powrotem do jeziora.

W oczach brata widział jednak zgrozę. Gabe nie mógł zabić ryby.

- To tylko ryba - wymamrotał Joe. Gabe milczał. Usta mu drżały, gdy patrzył na swoją zdobycz. Joe bez słowa wyjął rybie haczyk, przytrzymując ją stopą. Dołożył starań, by podczas tego zabiegu nie rozerwać gęby sandacza. Potem z jękiem wrzucił go z powrotem do wody. Ryba odpłynęła szybciej niż U-boot z napędem jądrowym.

- Patrz, jak płynie! - wykrzyknął zachwycony Gabe. Joe przewrócił oczami. - Złapmy jeszcze jedną! - Oczy Gabe'a błyszczały.

Joe spojrzał na niego z irytacją.

- Po co? Żeby z powrotem wypuścić? Jaki to ma sens?

Twarz Gabe'a opadła.

- Żeby się dobrze bawić?

Odpowiedź była tak prosta, że Joe nie mógł zaprzeczyć jej mądrości. Mimo marzeń o smażonej na brzegu rybie w panierce, był tu po to, by spędzić czas z Gabe'em. Poznać brata lepiej... i może wpuścić go do serca.

- Racja. - Złapał wędkę Gabe'a.

Wedle własnej rachuby Joe złapał pięć bassów małogębowych, dwa pomoxisy i sandacza, który prowokował go swoim wielkim czarnym okiem cały czas, kiedy Joe go ostrożnie odhaczał. Wrzucił łajdaka do wody delikatnie.

- Idź pobaw się z bratem - zawarczał do uciekającej ryby. Gabe się roześmiał.

- Fajnie mieć brata - powiedział.

Jego słowa stanowiły najlepszą zdobycz mijającego dnia.



Niewyraźne cienie zmierzchu przecinały drogę do Ogrodu, kiedy Joe i Gabe wracali. Rip zgotował im gorące, acz krótkie powitanie i rzucił się na Joego, gdy ten wysiadł z samochodu.

- Gabe wydaje się zmęczony - zauważyła Ruby, kiedy jej podopieczny człapał do domu. Gabe wciąż miał na sobie swoją głupiutką pelerynę, chociaż słońce przygrzewało cały dzień.

Deszcz, który spadł w zeszłym tygodniu, ożywił sosny. Joe zatrzymał się na chwilę na werandzie, by powdychać piękny aromat. Nabrał powietrza głęboko, usłyszał, jak wiatr przeczesuje jodły i uświadomił sobie, że był to dobry, bardzo dobry dzień.

- Nie wydajesz się sponiewierany. - Ruby skrzyżowała ramiona na swojej granatowej bluzie. - Czyżbyś przypadkiem dobrze się bawił?

Joe zdjął czapkę baseballową i potarł obwisły brzeg.

- Wiedziałaś, że wrzucasz z powrotem do wody wszystko, co złapie, nawet sandacza?

Ruby wybuchnęła żywiołowym śmiechem i uderzyła ręką po nodze.

- Trzeba było cię uprzedzić! Gabe za żadne skarby niczego nie zabije. Nie może nawet sprawić kurczaka. Robi mu się niedobrze.

- Przysłoniła usta ręką. - Przykro mi. To musiała być nieprzyjemna niespodzianka, co nie?

Joe pokręcił głową i założył czapkę z powrotem.

- Od razu rano złapał kolosalną rybę. Prawie mi serce pękło, jak ją wrzucałem z powrotem. Nic mi nie pozwolił zatrzymać. - Uśmiechnął się do niej. - Ale wyprawa na ryby była bardzo udana.

Ruby przestała się śmiać. Jej szare oczy wpatrywały się w niego przenikliwie.

- Miło było zaakceptować brata takim, jaki jest, prawda?

Joe zastanowił się chwilę, po czym wzruszył ramionami. Odwrócił głowę. Wolał patrzeć na sosnowy pejzaż niż w jej dociekliwe oczy. Ruby stanęła obok niego.

- Tak jest w rodzinie, Joe. Każdy jest inny, ale wszyscy współdziałają z pozostałymi. Dają, biorą i uczą się przebaczać. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - Liczyłeś pewnie na smaczne ryby na kolację, co?

Joe stęknął potakująco.

- Czyli musiałeś mu przebaczyć, że pokrzyżował twoje plany i nie pozwolił zatrzymać ryb, prawda?

Joe popatrzył na nią podejrzliwie.

- Do czego pijesz?

Ruby odwróciła się w stronę lasu. Wiatr muskał jej siwiejące włosy, a w oczach kobiety Joe dostrzegł mądrość.

- Mimo że musiałeś zrezygnować z przyzwoitego posiłku, wyciągnąłeś do niego rękę i odkryłeś, że było warto. Nawet w rodzinie każdy jest inny. Wszyscy mamy różne potrzeby, różne problemy, z którymi się zmagamy. Bycie w rodzinie to również nauka, jak stawić czoła tym różnicom, jak przebaczać i akceptować, by potem można było pokochać.

- Mówisz o moim ojcu, prawda?

- Niekoniecznie. Chodziło mi raczej o to, żebyś zdał sobie sprawę, że tobie też było ciężko poradzić sobie z Gabe'em. On to

zaakceptował i ci przebaczył. Kiedy się komuś przebacza, zwalnia to w sercu miejsce na miłość do tej osoby. - Odwróciła się do niego i odezwała łagodnym głosem, chociaż jej wzrok był nieustępliwy jak stal: - Ale to się również odnosi do waszego ojca, prawda? Może się przekonasz, że po dniu spędzonym na „wędrowaniu” będziesz umiał mu przebaczyć jego błędy i nauczyć się żyć wspólnie w rodzinie.

Joe spojrział jej w oczy, tym razem nie uciekając. Ta kobieta po prostu nie rozumiała.

- Nie wiesz, jak to jest obejmować łkającą matkę albo tłumaczyć młodszemu bratu, dlaczego tatuś go nie kocha, dlaczego odszedł.
- Jego ton brzmiał ostrzegawczo.

- Nie, ale pocieszałam twojego brata i tłumaczyłam mu, dlaczego go nie odwiedzasz, dlaczego nie zawitasz do domu na dłużej niż dwanaście godzin na pogrzebie matki i dlaczego wolisz spędzać czas z nieznanymi niż z własną rodziną.

Joe wzdrygnął się i zadrżał z gniewu. Ale słowa Ruby, choć go ubodły, były celne. On sam zdradził Gabe'a, podobnie jak ojciec zdradził ich wszystkich.

A Gabe przebaczył im obu.

Świadomość ta zbiła Joego z nóg i męczyzna osunął się na najwyższy stopień schodów. Schował twarz w rękach.

Ruby usiadła przy nim.

- Radziłeś sobie. Uciekleś. Przetrwałeś. - Dotknęła jego ramienia. - Pora wrócić do domu, Joe.
- Nigdy nie będę miał domu, Ruby. Póki...
- Póki nie przestaniesz odgradzać się murem od ludzi.
- Chciałem powiedzieć, że póki mam umowy, których muszę dotrzymać, ludzi, których muszę zadowolić. Póki ludzie wiedzą, kim jestem.
- Nie, to nie jest twój największy problem. Znajdziesz sposób, by poradzić sobie z naruszeniem prywatności. Po prostu nie

chcesz szukać tego sposobu. To wygodna wymówka, która zakrywa prawdziwy powód twoich ciągłych ucieczek.

- Nie wydaje mi się, aby siedemnaście szwów i złamany bark to była wygodna wymówka. - Ruby milczała. - Poza tym kocham to, co robię. I kocham swoją wolność.

- Pewnie. Ale nie zrezygnowałbyś z tego dla właściwej kobiety?

- Joe drgnął. - Musisz przestać odcinać się od ludzi. Gabe chce cię kochać, chce należeć do rodziny - razem z tobą i waszym tatą.

- Nie zbliżę się do Wayne'a Michaela.

- W takim razie nigdy nie przestaniesz uciekać.

Popatrzył na nią z niechęcią.

- Nie uciekam.

- Joe! Od ponad dziesięciu lat nie mieszkałeś w jednym miejscu. To właśnie jest ucieczka. Ledwie zwalniasz, żeby zabrać brata na ryby.

- To nie fair. Jestem tu, bo go kocham.

- Oczywiście, że tak. Nie kwestionuję twojej miłości do niego. Ale nawet się nie zastanowisz, czy by nie zostać.

Zaczął oponować. Ależ owszem, zastanawiał się nad pozostaniem. W istocie właśnie ta fantazja pochłaniała jego umysł cały tydzień, częściej, niż gotów byłby przyznać.

- Nie widzisz? - ciągnęła Ruby. - Bałeś się zbliżyć do Gabe'a, bałeś się, że ktoś cię zrani. Ale dzisiejszy dzień dowiódł, że tak, miłość ma swoją cenę, ale jest też bezcenna. Aby naprawdę kochać Gabe'a, będziesz musiał nauczyć się przebaczać. I musisz zacząć od ojca.

Joe zaśmiał się szorstko.

- Pół życia z nim nie rozmawiałem - rzekł. - Myślisz, że przebaczenie zrewolucjonizuje moje życie? Wymaże wszystko, co zrobił? Zaczniemy nagle piec indyka na Święto Dziękczynienia i staniemy się rodziną jak z obrazka?

- Nie. Ale myślę, że jeśli mu przebaczysz, zyskasz szansę, by wpuścić kogoś do tego swojego zaryglowanego serca. Właściwie myślę, że przebaczenie to pierwszy krok na drodze do znalezienia tego, czego szukasz.

- Czyli czego?

Ruby milczała.

- Przebaczenie sprawi, że rozdarcie naszej rodziny na strzępy uszło ojcu płazem. Dlaczego mam przebaczyć komuś, kto uciekł, jak tylko zwałął kłopoty? - słowa utknęły mu w gardle.

- Otóż to, dlaczego? - Ruby pokręciła głową. - Dlaczego miałbyś przebaczyć komuś, kto popełnił błąd? Ty sam przecież na pewno nie masz żadnych błędów na koncie.

Joe nabrał tchu gwałtownie.

- Nie patyczkujesz się, co?

- Przepraszam. Nie chciałam cię zranić.

- Nie popełniłem tych błędów, co on. Nie zasłużył na przebaczenie.

- A kto na nie zasługuje? Nie ty o tym decydujesz. Bóg mu wybaczył. Ty nie możesz tego zrobić?

Oczy zapiekły Joego.

- Nie wiesz, o co prosisz.

- W tej chwili może ci być trudno w to uwierzyć, Joe, ale Bóg nie oczekuje, że zrobisz coś tak trudnego sam.

Joe zmarszczył czoło.

- Bóg wie, jak ciężko jest przebaczać, zwłaszcza komuś, kto cię skrzywdził. Ale oczekuje, że to uczynisz. I oczekuje, że będziesz cierpliwy i będziesz wierzył, iż działa w życiu innych. Psalm 37 to jeden z moich ulubionych, zwłaszcza gdy wiem, że Bóg chce, żebym zrobiła coś niemożliwego - na przykład przebaczyła. - Ruby skierowała oczy na słońce zachodzące nad odległymi sosnami.

- „Upokorz się przez Panem i Jemu zaufaj! Nie oburzaj się na tego, komu się szczęści w drodze, na człowieka, co obmyśla zasadzki”.

- Ale Bóg nie połamiał ojcu ramion ani go nie ukarał. Przebaczył mu - Joe wypluł słowa.

- Przypowieść o synu marnotrawnym najtrudniejsza jest dla osób będących w sytuacji najstarszego syna - odparła Ruby. Jej głos złagodniał: - Sprowadza się do tego, że nie chcesz przebaczyć ojcu, chociaż Bóg już to uczynił. Myślisz, że twoje cierpienie zwalnia cię jakoś z obowiązku posłuszeństwa. Ale musisz przebaczyć i zaufać Bogu, że zajmie się twoim ojcem. Wayne Michaels został ukarany... Stracił cię. A ty w tym czasie cieszyłeś się przychylnością Gabe'a i Pana. Pora przebaczyć i wziąć w posiadanie wszystko, co Bóg przewidział dla waszej rodziny.

Joe potarł czoło ręką.

- Nie wiem. Przyznam, że nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tęsknię za Gabe'em. Ale nie jestem pewien, czy Bóg chce, żebyśmy byli rodziną. Może już być za późno.

- A przyszło ci do głowy, że Bóg ściągnął cię tutaj właśnie dlatego, że chce ocalić waszą rodzinę? Wiem, że się obawiasz zostać tu i kochać Gabe'a. Im mocniej go kochasz, tym więcej ryzykujesz. Tym lepiej pamiętasz, co dokładnie zrobił wam ojciec. Nie widzisz, że pamięć o tym, jak głęboko cię zranił, nie pozwala ci nigdzie zagrać miejsca? Trzymasz ludzi na dystans, boisz się dać im się poznać. Być może, Joe, jeśli staniesz w miejscu, znajdziesz siłę, by przebaczyć. Może nawet przekonasz się, że powierzeniu komuś swoich sekretów jest łatwiejsze, niż przypuszczałeś. - Jej głos złagodniał. - Być może w twoim przypadku ufać Panu znaczy przebaczyć i wreszcie znaleźć sobie dom.

- Nie potrzebuję domu.

- Każdy potrzebuje domu. Nigdy go jednak nie znajdziesz, o ile nie przestaniesz się ukrywać. O ile nie pozwolisz ludziom kochać prawdziwego Joego. Nigdy nie zaznasz radości, jaka płynie z miłości, jeśli nie zaryzykujesz swoim sercem. A nigdy nie będziesz umiał zaryzykować, jeśli nie nauczysz się przebaczać.

Joe zdjął czapkę i przeczesał dłonią włosy. Miał ochotę odsunąć się od Ruby i jej bezceremonialności, ale wiedział, że kobieta właśnie tego się po nim spodziewa. Tak, bał się ryzykować, ale ryzyko było większe, niż tylko wpuścić kogoś do własnego życia, ujawnić swoją tożsamość. Największym ryzykiem był Gabe. Ale narażanie serca na szwank nie miało nic wspólnego z przebaczeniem, prawda?

Potaął oczy kciukiem i palcem wskazującym.

- Wiesz, Gabe'owi jest łatwiej przebaczyć. Prawie ojca nie pamiętał. Ja z nim mieszkałem przez piętnaście lat. A potem zniknął, a moje życie... po prostu... to zbyt bolesne. - Skrzywił się, słysząc desperacki ton własnego głosu. Miał poczucie, że właśnie wyciął sobie serce i rzucił je przed nią, zakrwawione i trzepoczące.

- Wiem, że to bolesne - powiedziała Ruby delikatnie. - Ale nie wydaje mi się, żeby Gabe'owi było łatwiej. Wiedział, co ojciec zrobił tobie i waszej matce. Mimo to przebaczył. Różnica polega na tym, że Gabe pozwala, by walczył za niego Bóg. Pozwala Bogu działać w życiu innych i pozwala im być ludźmi. Zaufanie do Boga go osłania, daje odwagę, by zaryzykował, otworzył serce i kochał. Wie, że gdy odda się Bożej pieczy, nic mu nie grozi. Nie załamie się, jeśli wasz ojciec albo nawet ty, sprawicie mu zawód. Bóg go podtrzymuje.

Jej słowa szarpały Joego za duszę. Myślał o tych niezliczonych razach, kiedy Bóg w istocie go podtrzymał, dał mu siłę, odwagę, rozwiązanie problemów. Jednak przebaczenie ojcu nigdy nie stanowiło problemu, z którym by się zmagał. Właściwie to nawet o tym nie pomyślał.

- Swoją drogą, wiem o tej kobiecie w mieście - powiedziała Ruby. - Słyszałam o pożarze. - Zawahała się. - Joe, opowiesz mi o Monie?

Joemu zaschło w ustach.

- Skąd o niej wiesz?

- Pisali o pożarze w „Superior Times”. Reszty się domyśliłam.

Nabrał tchu głęboko i urywanie.

- Mona jest... irytująca. Czy może raczej zdeterminowana. To na pewno najbardziej twórcza kobieta, jaką znam. Wbiła sobie do głowy, że przerobi stary dom na księgarnię... i jakoś prze do przodu. Nazywa go Progiem Nieba. Pracuje cały Boży dzień, a nawet dłużej. Przerabia, zamawia książki i materiały do kawiarni, planuje swoją przyszłość. Jest cudowna, zabawna i mądra, i ma te oczy, które zapierają mi dech w piersi...

- Oj, Joe, masz kłopoty. - Ruby miała przebiegły uśmiezek na twarzy. - Wie, kim jesteś?

Joe się zachnął.

- Nie.

Najwyraźniej rozumiała, co oznacza jego odpowiedź, bo pokręciła głową.

- Domyślam się więc, że o Gabie też nie wie?

Joemu ścisnęło się serce.

- Nie wiem, jak jej powiedzieć.

- Wstydz się. Ja bym postawiła na prawdę.

- Jak mogę? Lepiej niż ktokolwiek inny wiesz, jakie skutki może mieć prawda. Nawet gdybym jej powiedział, kim jestem, to Gabe przesądza o moim losie. Lepiej niech myśli, że jestem zwykłym majstrem bez korzeni.

- Powinieneś dać jej szansę. Możesz się zdziwić.

- A jeśli się nie zdziwię? - ton jego głosu przywołał echo zdrady z dzieciństwa.

Ruby westchnęła.

- Tylko ty możesz podjąć decyzję, czy ryzykować. Ale póki jej nie podejmiesz, nie zaznasz spokoju. Nie możesz wiecznie uciekać. Ona prędzej czy później się dowie, może nie o Gabie, ale twoja twarz będzie widniała w gazetach w tym miasteczku, jak tylko ktoś cię rozpozna.

- Może wtedy już mnie nie będzie - powiedział cicho. Zaciśnął zęby, czując nagłe pieczenie oczu. Było dojmująco oczywiste, że Ruby ma rację. W końcu prawda wyjdzie z hukiem na jaw. Wyobraził sobie szok na twarzy Mony i jej gniew. Samo to sprawiło mu ból. Równie dobrze mógłby otworzyć klatkę piersiową i dać rozerwać swoje serce na milion kawałeczków. Piekło go w gardle.

- Będzie dużo łatwiej, jeśli po prostu wyjadę. - Skrzywił się, kiedy te słowa wypłynęły i prawie się nimi zadławił. Nietrudno było przyznać, choćby przed samym sobą, że za swoje wybory płaci słono. - Nie mogę zostać. - Chciał prostszych, łatwiejszych odpowiedzi, ale ich nie było. - Chociaż ona mnie potrzebuje.

- Albo ty potrzebujesz jej - delikatnie poprawiła Ruby.

Joe drgnął.

Nagłe pojawienie się Ripa rozładowało nieco napięcie. Labrador przybiegł z lasu, grzmotnął na kolana Joego i w rezultacie go przewrócił. Rip był cały pokryty rzepami i cuchnął jak trzydniowa padlina.

- Faj, złaż ze mnie.

Ruby się zaśmiała.

- Chodź, staruszk. - Złapała Ripa za obrozę, kazała mu usiąść i zaczęła wydłubywać rzepy. - Trzeba cię tylko wyszczotkować i wykapać.

Joe podziwiał to, jak Ruby potrafi podejść do psów - i do ludzi. Jej bezpośrednie, celne komentarze sprawiały ból, ale jej sposób bycia łagodził cios.

- Wygląda mi na to, że masz dwa bardzo dobre powody, by zapuścić korzenie w Deep Haven, Joe. Gabe na pewno byłby zachwycony.

Joe podrapał Ripa za uchem, podczas gdy Ruby czyściła futro psa. Joe nie chciał przyznać, że ta myśl trafiała w jakiś czuły punkt.

- Wiesz, Bóg chce również ciebie wziąć w opiekę. Rozluźnij się pod Jego ochroną. Poproś, by pomógł ci przebaczyć i powiedzieć

Monie prawdę. Bóg zajmie się resztą. - Ruby wyplątała ostatni rzep i zrzuciła go z werandy. - Masz do wyboru: albo to, albo pożegnać się z Moną i do końca życia tego żałować.



Dwadzieścia cztery godziny później Joe zajechał do Deep Haven, niemal dusząc się od woni Ripa. W ciągu dnia smród się tylko pogorszył.

- Potrzebujesz kąpieli i czegoś mocniejszego niż mydło przeciwbakteryjne na tę twoją sierść. - Joe zaparkował pod sklepem, wdzięczny, że mieli już otwarte jak w sezonie. Dzwonek nad drzwiami zadzwonił, gdy wszedł do środka.

Szczupła brunetka w brązowej koszuli, odmładzająca się zbyt dużą ilością makijażu i warkoczykami, podniosła na niego wzrok znad kasy.

- Dziesięć minut, kolego.

Joe pokiwiał głową i podszedł do szamponów.

Cały dzień zmagał się ze słowami Ruby. Sądził, że nocleg w Ogrodzie pomoże mu uporządkować myśli, które zasiała. Stać czoła swojej przeszłości? Robił to każdego dnia. To on żył z poczuciem winy i wstydem, że porzucił swojego brata. Ale jak Ruby mogła sugerować, by zapuścił korzenie, zrezygnował z wolności? Zrezygnował z całego życia - o to jej chodziło. Od tylu już lat żył dla przygody i adrenaliny, że gdyby nagle miał stały adres, przypominałoby to odwyk.

Chociaż może nie byłoby to aż tak bolesne, gdyby towarzyszyła mu Mona.

I znowu myślał sercem zamiast głową. Szare komórki musiały mu się upłynnić w ciągu ostatniego miesiąca. Owszem, wiele czasu spędził w ubiegłym tygodniu, snując różne pomysły - nawet marzenia - o tym, by związać się z Progiem choćby połowicznie. Ale gdyby miał szczerze postawić sprawę, okazałoby się, że

Mona ani jednym słowem nie zasugerowała, by został. Nawet się na ten temat nie zająknęła, chociaż faktycznie chyba lubiła jego towarzystwo. Niestety, niebacznie pozwolił, by jej śmiech wywołał przeróżne rozkoszne sny, przed którymi wcześniej Joe się zaciekle bronił. A teraz spadały jak lawina.

Nie był chyba gotów porzucić wszystkiego, co zbudował w ciągu dziesięciu lat, prawda? Wolność ma cenę... Ale gdyby został, mogłoby to okazać się jego gwoździem do trumny. Wbrew zadufanym domniemaniom Ruby jego styl życia nie był żalosną wymówką, by ukryć się przed miłością. Ta kobieta nie miała błędego pojęcia, co to znaczy być nękanym, śledzonym, ciągle oglądać się przez ramię, wypatrując kłopotów. Nawet gdyby spełnił warunki Ruby i znalazł sposób, by wybaczyć ojcu - a szanse na to były marne - wciąż musiałby powiedzieć Monie prawdę, a to z całą pewnością zmiotłoby z powierzchni ziemi jego tak zwaną prywatność. Życie na świeczniku byłoby tysiąc razy gorsze niż pożegnanie się z hipotetycznym domkiem z ogrodem i małymi osóbkami w śpioszkach.

Co, teraz jeszcze zaczął myśleć o dzieciach? Wypuścił powietrze i spróbował się skupić na psim szamponie. Może uparta córeczka z zielonymi oczami i kręconymi blond włosami, którą mógłby cieszyć historyjkami i łaskotkami. Albo dziecko z okrągłą jak u amorka buzią i migdałowymi oczami. Jęknął na głos. Tak, właśnie takie dziecko pasowałoby do uporządkowanego życia Mony. Problem Gabe'a tylko utwierdził go w przekonaniu, że lepiej by było, żeby trzymał marzenia bezpiecznie na uwięzi.

Sądził, że trochę czasu z dala od Progu pomoże mu dojść do ładu z myślami. Pozwoli się skupić i przypomni o powinnościach. Niestety, w miarę upływu dnia tylko coraz bardziej tęsknił za Moną, mimo że zatracił się w pracy w Ogrodzie. Czuł się wypruty, brudny, dziwnie naenergetyzowany... i przerażony.

Był w Monie szaleńczo zakochany. Opis „szefowej”, jaki przedstawił Ruby, odbijał się w jego pamięci niegasnącym echem i w końcu w środku nocy, słuchając bicia zegara na kominku, Joe przyznał się przed samym sobą. Kochał śmiech Mony, jej determinację, jej marzenia. Odczuł ulgę, gdy wreszcie nazwał to gorące, wybuchowe uczucie, jakie rozprzestrzeniało się w jego piersi, ilekroć pomyślał o jej świetlistych zielonych oczach i o tym, jak wiatr muska jej włosy. Może właśnie tego uczucia szukał całe życie. Może Bóg odpowiedział na tę jedną modlitwę, którą Joe zawsze wstydził się wypowiedzieć... Modlitwę o powrót do domu.

Może Ruby miała rację. Potrzebował Mony.

O rany, faktycznie miał kłopoty. Musiał wymyśleć sposób, by zostać, w przeciwnym wypadku jego serce uciępi.

- Zamykamy, proszę pana. Chciał pan coś kupić? - Brunetka stała przed nim z rękoma na biodrach i mierzyła go wzrokiem, jakby był złodziejem albo miejscowym bezdomnym, który próbuje sobie znaleźć nocleg. Tak wyglądał.

- Tak, szamponu dla psów.

- Nie znajdzie go pan na kosmetykach. Proszę poszukać w sąsiedniej alejce, obok preparatu na pchły i kleszcze. - Przez jej protekcyjny ton poczuł się zupełnie malutki.

Przekradł się do alejki z produktami dla zwierząt i wziął pierwszy szampon, jaki wpadł mu w oko. Sprzedawczyni liczyła drobne przy kasie. Postawił butelkę na ladzie i sięgnął po portfel. Otworzył go i popatrzył na własne zdjęcie: był na łódce w otoczeniu roześmianych, brudnych marynarzy i trzymał kizucza. Na zdjęciu miał długie i potargane włosy oraz co najmniej trzycentymetrowy zarost.

- Hej, świetne zdjęcie! - Sprzedawczyni pochyliła się i przyjrzała fotografii. Wzięła nawet do ręki jego portfel, żeby lepiej widzieć. - Wiesz, już gdzieś widziałam to zdjęcie...

Joe stłumił jęk. Odsunął portfel.

- Ile płacę za szampon?

Sprzedawczyni uśmiechnęła się, jakby знаła jego tajemnicę.

- Nie jesteś chyba...

- Nie. Ile?

Oblizła wargi i przyjrzała mu się.

- Wiesz, gdybyś miał tę brodę, wyglądałbyś zupełnie jak...

- Niepotrzebny mi szampon. Ale dziękuję. - Joe odwrócił się na pięcie i wypadł na zewnątrz, zanim sprzedawczyni zdążyła dokończyć.

Ścisnęło go w gardle, gdy szedł do półciężarówki. Wokół jego piersi zacisnęła się pętla - ta sama, której oczekiwał od wielu tygodni. Otworzył drzwi, wszedł i wsparł czoło na kierownicy, dysząc ciężko. Tak, potrzebował Mony. Ale ona jego nie potrzebowała. Budowała swoje życie i miała pełne ręce roboty, a pakiet Joe Michaels deluxe, włącznie z niepełnosprawnym bratem i ukrytą tożsamością, nie pasował do jej rzeczywistości. Potrzebowała mężczyzny, który mógłby odwiesić plecak na haku i zaangażować się w jej marzenia.

On zamiast tego spędził cały miesiąc, budując fasadę niewinnych kłamstewek. Kłamstw, które miały ochronić jego i Gabe'a. Kłamstw, które lada moment mogły się rozsypać.

Nie, nie mógł zostać.

Zamknął oczy i walczył ze łzami.



Mona oparła się o framugę i ze zwiniętą ścierką w rękę patrzyła, jak Joe siedzi na schodach werandy i ogląda ognisty zachód słońca. Miał na głowie znoszoną czapkę baseballową założoną tyłem do przodu, na kolanach młotek i w roztargnieniu drapał Ripa za uchem. *Mona* posłała ku niebu maleńką modlitwę dziękczynną za swojego majstra. „Okazał się czymś znacznie więcej, niż oczekiwałam, Panie”.

„A On spełni pragnienia twego serca”. Słowa tętniące w głowie przyprawiły ją o dreszcz.

Po randce na śmietniku Joe zniknął na całą sobotę i większość niedzieli. Dokąd - nie miała pojęcia, ale za nim tęskniła. Zalała ją ulga, gdy wczoraj późno w nocy usłyszała, jak pickup zajeżdża na zwirowy podjazd. Zdawała sobie sprawę, że tęsknota za nim to wymowna emocja. Oznaczała, że *Mona* znalazła dla niego miejsce w swoim życiu. Zaczynała na nim polegać. Próbowwała zignorować przyływ strachu, jaki wywołała ta myśl.

Serce podskoczyło jej lekko, kiedy zapukał do drzwi dziś rano, kiedy wschodziło słońce, i poprosił o zajęcie. *Liza* malowała już coś w szopie, a *Mona* robiła listę, parząc pierwszy dzbanek kawy.

Jeden rzut oka na pociągający uśmiech Joego, a jej myśli o planach na nadchodzący dzień się rozpierchły i z trudem opanowała

emocje. Ale kiedy wślizgnął się na blat, przyjął parujący kubek kawy i powiedział: „Do usług, o pani” - zupełnie się rozkleiła. Nigdy wcześniej nie miała problemu z nieśmiałością, ale w tym momencie zapomniała języka w gębie. Błysk w zniewalających oczach Joego nie pomógł.

Musiała zrobić długi łyk, zanim udało jej się odezwać:

- Bruce Schultz przywozi dziś półki na książki.

- Świetnie! - wykrzyknął Joe, jakby nie mógł sobie wyobrazić lepszego zajęcia na poniedziałkowy ranek niż noszenie mebli. Mona się zaczerwieniła i ku jej głębokiej uldze właśnie wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Mona pobiegła za Joem na spotkanie z Bruce'em. Stary stolarz z pomarszczoną, opaloną twarzą, w wypłowiałej flaneli i wystrzępionej czapeczce Minnesota Twins uśmiechnął się serdecznie. Był dawnym przyjacielem rodziny z długą listą klientów. Mona roztropnie zamówiła u niego ręcznie robione dębowe regały wiele miesięcy temu.

- Mam zamówienie w ciężarówce. Gdzie je dać? - Bruce zahaczył kciuki o szlufki i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Joe wyciągnął rękę i się przedstawił. Bruce uściśnął jego dłoń, jakby znali się od lat. Mona musiała przyznać, że Joe doskonale potrafił się wpasować w miejscowych.

Pokierowała ich do salonu. Słońce ślizgało się po gładkich, polakierowanych podłogach. Resztę dnia Mona spędziła, nakładając na swój bar ostatnią warstwę lakieru i wieszając żółto-różowo-jasnoniebieskie zasłony nad świeżo pomalowanymi oknami frontowymi.

Teraz, kiedy zmierzch nadał pomieszczeniu różowo-złotą barwę, ogarnął ją upojny spokój. Przesunęła ściereczką po frontowych, dębowych drzwiach z witrażykiem, które Bruce zainstalował. Ten owalny obrazek na szkle zamówiła u jednego ze

znajomych Lizy z miasta. Przedstawiał sosnę, jezioro i urwiska - doskonale przedstawienie nieba na ziemi.

Rip jęknął z uciechy, gdy Joe drapał go za uchem. Za nimi słońce barwiło jezioro na kolor żurawiny.

Mona wyszła na zewnątrz i przysiadła przy nich na schodach, obejmując kolana.

- Czemu mówisz na niego Rip?

Joe schwycił pysk psa.

- Próbował mnie zjeść.

- Widzę, że uszedłeś z życiem.

Joe uśmiechnął się do niej łobuzersko.

- Ledwo. Wydarł dziurę w moich ulubionych dzinsach. Słuchaj, nie umiesz przypadkiem szyć?

Mona rzuciła mu udawane gniewne spojrzenie.

- Nawet o tym nie myśl.

Łatwo było się zrelaksować, słuchając słodkiego śmiechu Joego.

- Znasz się chyba na zwierzętach. - Wyciągnęła rękę i pogłaskała Ripa po głowie. Joe złapał ją za dłoń i pokazał jej delikatne miejsce za opadającym lewym uchem psa.

- Tu. Lubi, jak się go drapie właśnie tu.

Dotyk dłoni Joego wzburzył krew w jej żyłach. Ciepło trwało jeszcze długo po tym, jak Joe ją puścił i położył ręce między kolanami.

- Miałem parę psów - dodał. - Pierwszy wabił się Stretch. To był jamnik, którego znalazłem w Meksyku... Uratowałem go przed wylądowaniem na talerzu jednego gościa. - Mona pohamowała uśmiech. - Następny to był cocker spaniel, jasnowłosa i charakterny. - Joe uniósł brew, patrząc na nią. Mona pacnęła go swoją ściereczką. - Nie, była słodka jak miód i spędziliśmy razem wiele lat. Pewnego dnia umarła mi na kolanach, kiedy jechaliśmy przez Montanę.

- Jak się nazywała?
- Olive Oyl.
- Olive Oyl? - Mona zmarszczyła czoło.
- No wiesz, dziewczyna Popeye'a?

Przewróciła oczami.

- Czyli uważasz się za Popeye'a?
- Przybrał łobuzerską minę i napiął mięśnie.
- Nie, jestem Brutus!

Mona zachichotała, po czym roześmiała się serdecznie. To było przyjemne uczucie. Joe uśmiechnął się półgębkiem z aprobatą.

- Miło słyszeć, jak się śmiejesz, Mono.

Usłyszała własne imię jak melodię w jego głosie i do wtóru poczuła mrowienie aż do palców u stóp.

- Zdarza mi się śmiać, Joe.

Zacisnął usta i pokręcił głową.

- Za mało. Twój śmiech przypomina mi wiatr znad Jeziora Górnego. Jest taki odświeżający i czysty.

Komplement otulił ją jak miękki flanelowy koc.

- Czyli miałeś parę psów. A miałeś jakieś dziewczyny?

Śmiałe pytanie rozwijało się w ciepłe jego życzliwych słów, ale jak tylko się jej wyrwało, Mona zapragnęła skonać na miejscu. Czemu o to spytała? To takie jednoznaczne i desperackie. Miała ochotę rzucić się w przybój na jeziorze w towarzystwie odłamków drewna, aby fale zmyły ją daleko, daleko stąd.

Pytanie zaskoczyło prawdopodobnie i Joego, a Mona poczuła się lepiej, kiedy zobaczyła, że się lekko zaczerwienił. Przelknął ślinę głośno. Zauważyła, że cały ten czas zachodzące słońce przykuwało jego uwagę.

- Kilka. Niezbyt wiele. Żadnej, która by została.

- Albo takiej, dla której byś został... - dodała cicho. Wiedziała, że się wychyla, i własna bezczelność ją zadziwiła. Ale musiała wiedzieć. Czy to Joe zazwyczaj zostawiał? Czy też był zostawiany?

- Tak - powiedział prosto, a jej serce lekko opadło.
- Może nie znalazłeś nigdy własnego domu - zasugerowała łagodnie.
- Może - wyszeptał Joe. Podniósł gałązkę i rzucił ją przed siebie. Rip rzucił się za nią, jakby to było świeże mięso.

Temperatura wydawała się wyższa, niż Mona wcześniej sądziła, a wilgotne powietrze osiadło na jej skórze.

- Muszę wracać do pracy - wymamrotała.
- Mona, poczekaj - choć Joe odezwał się cicho, jego głos praktycznie ją unieruchomił. - Muszę coś wiedzieć. Dlaczego to robisz? Deep Haven to takie ustronne miejsce, a ty chcesz tu osiąść tak młodo. Z jakiego powodu?

Krzew bzu przy podjeździe zaczął właśnie wypuszczać lawendowe pąki. Wietrzyk zebrał woń i nappełnił nią powietrze. Mona potarła kolana i westchnęła:

- To było moje marzenie, odkąd byłam dzieckiem. Wydawało się sensowne, zwłaszcza po... - Mona przerwała wyjaśnienie. Nie było sensu poruszać tego tematu. To nie była jego sprawa, zwłaszcza jeśli nie zamierzał zostać. Poczula, jak jej wąta nadzieja usycha.

- Po?
- Niczym. Mniejsza z tym. - Mona skoczyła na nogi, planując szybki odwrót. Łzy kłuły jej oczy.
- Mona. - Joe złapał ją za nadgarstek. Mona zastygła z jedną nogą na wyższym stopniu. „Proszę, nie zmuszaj mnie, bym ci powiedziała”.

- Myślę, że to będzie wspaniałe miejsce.
- Mona przygryzła wargę. Nieupilnowana łza stoczyła się po policzku. Uśmiechnęła się słabo.

- Tak myślisz?
- Joe ją puścił.
- Umiem poznać kawałek nieba, kiedy go widzę.

Wydała z siebie coś na kształt kwilenia i nagle siedziała obok Joego oraz wylewała z siebie całą tragiczną historię.

- Urodziłam się uparta, a że byłam jedynaczką, ojciec podsycał niezależność. Przypuszczam, że pomogło mi to w przypadku Progu, ale możliwe, że nie siedziałabym tu nawet, gdyby nie moja skłonność do samowoli. - Ścisnęło się jej gardło, ale zmusiła się, by mówić dalej: - To się stało dziesięć lat temu, po naszych corocznych wakacjach tu, w Deep Haven. Mama postanowiła zostać tydzień dłużej, lubi wczesną jesień i światła rozsiane wśród topoli i dębów na wzgórzu. Jednak ja zaczynałam szkołę i tata zaproponował, że pomoże mi w przeprowadzce. - Zamknęła oczy, wspominając ich ostatnią rozmowę. - Wyjechaliśmy do domu za późno. Pewnie żadne z nas nie mogło się rozstać z ostatnim zachodem słońca na plaży. Patrzyliśmy, jak Bóg maluje niebo, a jezioro zmienia barwy od granatu do platyny. - Oczy zaszyły jej łzami, zaczęła mówić urywanym głosem, choć starała się nad sobą panować. - Ten ostatni zachód słońca był wspaniały.

Mona czuła na sobie wzrok Joego, ale uparcie nie patrzyła mu w oczy. Zbierając się w sobie, opasała się ramionami i ciągnęła, płacząc słowa:

- Uparłam się, że będę prowadzić, oczywiście, chociaż oboje byliśmy zmęczeni. Wypadek zdarzył się na południe od Duluth na trasie I-35, jakoś koło północy. - Skupiła się na rozmazanym brzegu. - Niewiele pamiętam. W jednej chwili droga była pusta jak czarna wstążka, w następnej reflektory oślepiały mnie jak lasery. - Powiedziała złamanym szeptem: - Zasnęłam za kierownicą.

Kiedy poczuła, jak Joe ją obejmuje, instynktownie zeszywniała.

- Na szczęście tata to przespał. Nic nie poczuł. Skręciłam gwałtownie i ciężarówka w nas uderzyła. - Przełknęła wate, która zebrała się jej w gardle. - Ja przeżyłam.

Z uporem nie poddawała się delikatnemu naciskowi ręki Joego, ale jednocześnie była za to wdzięczna.

- Mama i tata byli razem dwadzieścia pięć lat. Trzy miesiące po wypadku mama kupiła mieszkanie w Arizonie. - Mona wiedziała, że z jej tonu bije gorycz, ale nie umiała na to nic poradzić.

Joe siedział w milczeniu koło niej, obejmując ją w talii. Jego obecność łagodziła brutalność wspomnienia. Kiedy wiatr suszył łzy na jej policzkach, powoli zstąpił zmierzch i zabarwił sklepienie nieba na piękne odcienie purpury, fioleto i błękitu.

- Nie wiem, dlaczego Próg jest dla mnie taki ważny - odezwała się w końcu, zerkając na Joego. - Ale mam poczucie, że cały ten czas czegoś szukałam, a to na mnie tu czekało.

Joe spojrział na nią swoimi tęsknymi oczami, które wydawały się bardziej spostrzegawcze, niż by chciała.

- Może spokoju?

Mona przygryzła wargę. Może szukała spokoju. Na pewno niełatwo było go zdobyć. Ale może tu... zwłaszcza siedząc obok Joego... Wytarła policzki.

- Dobra, Joe. Żeby było sprawiedliwie - dlaczego ty tu jesteś?

Joe zabrał rękę, splótł palce i zaczął strzelać ze stawów w nierównym rytmie.

- Nie jestem pewien. Ale spokój chyba brzmi całkiem dobrze.

- Pójdiesz ze mną na spacer? - Mona wsadziła głowę do pokoju Lizy. Przyjaciółka siedziała po turecku na swoim pomarańczowym dywanie na środku kręgu z ceramicznych naczyń, ułożonych na plastikowej folii. - Co robisz?

- Podpisuję swoje wyroby. - Liza podniosła wzrok i się uśmiechnęła. - Wiesz, to kiedyś będą obiekty kolekcjonerskie.

- No pewnie.

- Dokąd się wybierasz? - Liza skupiła się z powrotem na kubku, który miała w dłoni.

- Na plażę. Mam trochę czerstwego chleba, pomyślałam, że porzucam ptakom.

- Uhm - powiedziała Liza, ale koncentrowała się wciąż na tym, co robiła.

Mona odwracała się właśnie do wyjścia, kiedy Liza raptownie spojrzała w górę.

- Pójdę się zobaczyć z Brianem. Siedzi w areszcie w Deep Haven i myślę, że przyda mu się towarzystwo.

Mona nabrała powietrza w zaskoczeniu.

- Dlaczego?

- Bo to nasz przyjaciel.

- To nasz wróg. Próbował nas zniszczyć.

Ciemne oczy Lizy załśniły.

- Wiem. Ale potrzebuje nieco przebaczenia, a my musimy mu je zaoferować.

Mona przyjrzała się przyjaciółce. Liza patrzyła czasem na świat przez różowe okulary. Wydawało się, że rzeczywistość nigdy nie dociera do niej wprost. Nawet obłuda i zdrada Briana ledwie prześlizgnęły się po jej emocjach. Dlaczego?

- Nie jestem pewna, czy potrafię. Starał się mnie zniszczyć, zrujnować moje marzenie. Próbował nawet mnie zabić!

Liza odłożyła naczynie. Na jej twarzy odmalował się smutek, a w oczach stanęły łzy.

- Mona, kotku, nazywasz to miejsce Progiem Nieba. I tym będzie - dla nas obu. Marzę właśnie o tym, odkąd zasugerowałaś to pięć lat temu. Ale żeby to naprawdę był „próg nieba”, to miejsce musi być przesycone zapachem nieba. Nie wystarczy sztyd nad drzwiami. Musimy przebaczyć, nawet jeśli Brian na to nie zasługuje.

Prawda słów Lizy trafiła w czuły punkt, ale wszystko w Monie sprzeciwiało się tej myśli. Jej twarz musiała wyrażać ból, bo Liza spojrzała na nią ze współczuciem.

— Wiem, że to dla ciebie trudne, Mono. Zainwestowałaś w to miejsce znacznie więcej niż ja. Ale zastanów się nad tym.

Mona pokiwała głową. Nie mogła znaleźć słów w swym zagubieniu.

- Nie możemy przecież oczekiwać, że Bóg nam wybaczy, jeśli sami innym nie wybaczymy - przypomniała Liza łagodnie.



Księżyc niczym niewielki punkcik wisiał na atramentowym niebie nad Jeziorem Górnym. Mona uniosła twarz w stronę rześkiego wiatru i słuchała, jak fale rozbijają się o brzeg. Powietrze pachniało wilgocią i rybami. W pewnym momencie wypatrzyła mewy unoszące się na wodzie.

Słowa Lizy paliły ją w piersi. Nie spodziewała się, że Bóg jej przebaczy. Wydawało jej się logiczne, że na przebaczenie, podobnie jak na błogosławieństwo, trzeba zapracować. Łaska Boska po prostu ją oszołamiła i, gwoli prawdy, Monie z trudem przychodziło przyjęcie jej. Czuła się, jakby ciągle próbowała schwycić rzeczywistość, zrozumieć to pojęcie, a jednocześnie bała się oswoić z cudownością, wielkością przebaczenia. I oczywiście Boże przebaczenie oznaczało, że zdecydowanie powinna przebaczyć sama sobie.

Niekiedy to było za wiele.

Co do jednego Liza miała rację - Mona nie mogła pozwolić, by gorycz i gniew zepsuły jej przyszłość. Być może dlatego Liza tak łatwo doszła do siebie po oszustwie Briana. Zmierzyła się już z przebaczeniem i wygrała. Mona nie mogła się nie zgodzić, że aby Bóg prawdziwie pobłogosławił Próg Nieba, też będzie musiała znaleźć sposób, by wybaczyć Brianowi.

Spacerowała po brzegu. Kamienie zgrzytały i turlały się pod jej stopami. Znalazła duży, nierówny głaz, wskoczyła na szczyt

i popatrzyła w niebo. „Panie, wiem, że chcesz, żebym przebaczyła Brianowi. Proszę pomóż mi”. Mona zacisnęła usta, żeby powstrzymać ich drzenie. Przebaczenie było bolesną i trudną sprawą. Nie podoła jej bez Boskiej pomocy. Ale On odpowiedział już na inne modlitwy - w sposób, którego nie umiałyby sobie wcześniej wyobrazić.

Mona przycisnęła palce do powiek i tym sposobem skutecznie powstrzymała łzy. Jej majster stanął jej przed oczyma tak wyraźnie, że mogłaby przesunąć dłonią po jego twarzy. Joe stanowił odpowiedź na modlitwę. Błogosławieństwo. A prawda płynąca z jej serca była taka, że Mona rozpaczliwie chciała, by został.

Myślała o jego słowach. „Chyba spokój”. Po co Joemu był spokój? Co miało nim z miejsca na miejsce? Z pewnością był tu i ówdzie: w Meksyku, Montanie, czy nie wspominał też o Rosji? W skrócie - ten człowiek był małym mową enigmą. To zdecydowanie nie stanowiło recepty na trwałe związki.

Musiała jednak przyznać, że nie czuła się tak swobodnie w męskim towarzystwie, odkąd lata temu siedziała na plaży z ojcem. A Joe oferował jej jeszcze więcej. Ojciec stał przed nią, prowadził ją i doradzał, podczas gdy Joe stanął za nią - wspierał ją i zachęcał. Myśląc o nim, miała ochotę objąć go za szyję i przyłgnąć do niego. Na zawsze. Odkryła to dzisiajszego popołudnia, gdy wysłuchał jej opowieści bez komentarzy i oskarżeń, a potem wypowiedział te tkliwe słowa. Wiedziała o tym już nawet w piątek, kiedy siedziała na wysypisku, wtulona w jego ramię i ciesząca się każdą chwilą.

Mona przygryzła wargę. Kochała Joego. I teraz będzie musiała poprosić Boga, by Joe został. To dopiero „pragnienia serca”... Przełknęła ślinę z trudem.

Wydawało się jednak, że Bóg sprzyja jej planom. Przez niemal tydzień nie było karaluchów, zalań, trucizny na trawie, pożarów

ani klęsk budowlanych. Pomyślała melancholijnie, że idzie na

rekord. Mona splotła palce na karku i pomasowała zeszywniałe mięśnie.

- Ja to zrobię.

Każdy mięsień w jej ciele zastygł. Łagodny głos Joego dotarł do niej niesiony bryzą.

- Robię świetne masaże pleców. Przynajmniej Rip zdaje się je lubić.

Oczy Mony otwały się szerzej, gdy Joe wspiał się na głaz i usiadł za nią. Położył dwie silne dłonie na jej ramionach, delikatnie odsunął włosy i zaczął masować mięśnie karku kciukami.

Mona wstrzymała oddech i zadrżała.

- Dzięki, Joe - ze zgrozą usłyszała własny cieniutki głosik.

- Nie ma problemu - odparł melodyjnym tenorem.

Cisza łączyła się z harmonią fal. Śpiew mewy odbił się echem w aksamitnej ciemności. Mona rozluźniła się, kiedy Joe rozmasywał jej spięty kark. Rip gonił ptaki, po czym się poddał i wskoczył na głaz. Padł na stopy Mony i westchnął.

- Rip cię lubi - powiedział Joe.

Och, jak bardzo chciała, by Joe został. Prawie mu to powiedziała, kiedy jej przerwał:

- Dom jest prawie gotowy. Jeszcze niecałe dwa tygodnie. Zaskakujące, jak ten czas leci, co?

Nagle ścisnęło się jej gardło.

- Fakt - wyskrzeczwała.

Nie poprosiła, by został, nie dodała nic więcej. Skończył masować jej kark, po czym przesunął się nieco i przyciągnął do siebie, by oparła się o jego klatkę piersiową. Sprawiało jej to niemal fizyczny ból - opierać się na nim, czuć jego silne ramiona wokół siebie, pozwolić mu chwycić się za ręce. W myślach w kółko nazywała się idiotką. Zwłaszcza, kiedy wyszeptał jej do ucha:

- Mam ogromną nadzieję i modłę się, żeby twoja księgarnia odniosła sukces.

Czuła jego oddech, dostała gęziej skórki, gdy jego zarost musnął jej policzek. Joe pachniał mydłem, dżinsami i flanelą. Pozwoliła sobie się tym nacieszyć. Wiedziała, że powinna się odsunąć, ale pragnienie, by pozwolić mu się objąć, zaufać mu mimo lęku i gwarantowanego złamanego serca oszołomiło ją tak bardzo, że wydawało się niemal nadprzyrodzone. Poczwała w oczach ukłucie łez.

- Ja też - zgodziła się złamanym głosem.

Milczał, jak gdyby on też czuł nieuniknioną w ich związku.

- Dziękuję, Mono - wymruczał w jej włosy. Mona odwróciła się jego ramionach i spojrzała mu w oczy.

- Za co, za pracę?

Białe zęby i krzywy uśmiech błysnęły w świetle księżycy.

- Za to też, ale miałem raczej na myśli dzisiejsze popołudnie - ściszył głos. - Za to, że opowiedziałas mi swoją historię. - Jego twarz przybrała tkliwy wyraz, a w oczach miał coś, od czego załomotało jej serce. Objął jej twarz dłonią i pogładził kciukiem kość policzkową. - Przykro mi z powodu twojego ojca. Wydawał się wspaniałym człowiekiem.

Łzy napłynęły jej do oczu i wtuliła twarz w jego dłoń.

- Mój ojciec nas zostawił, kiedy miałem piętnaście lat - powiedział Joe. Jego głos pobrzmiwał twardym tonem: - Czasem żałuję, że nie umarł. Może byłoby łatwiej wiedzieć, że odszedł i opuścił nas wbrew swojej woli.

Mona widziała, jak mięsień drga mu w policzku. Joe zapatrzył się w ciemną linię brzegową. W przeszłość.

- Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy odszedł. Rozdarło mnie to na pół. Część chciała pójść z nim. Druga część wiedziała, że muszę zostać z matką.

Mona cierpiała, widząc agonię na jego twarzy.

- Wrócił?

Nagle wyglądał jak ranne zwierzę w obliczu własnej śmiertelności. Wydawał się przestraszony - nie rozumiała tego. Przeszedł ją zimny dreszcz.

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział.

Rozchylił serce i pozwolił jej zajrzeć do środka. Jego wyznanie zaszczyliło ją i nappełniło nadzieją. Joe potrafił się otworzyć.

Mona objęła dłonią jego policzek. Nie mogła zignorować radości, jaka ją ogarnęła, kiedy ujął jej rękę i splótł jej palce ze swoimi.

- Tak mi przykro, Joe.

Popatrzył jej w oczy i zobaczyła w nich emocje, których nie zdążył ukryć. Monie zaschło w ustach i przyspieszył jej puls. Nastąpiła ta chwila. Poprosi go, a on może zostanie. Wnosił do Progu tyle życia... bez niego to miejsce będzie jałowe. Tak, mógłby zostać i...

Joe wsunął drugą rękę na jej kark i wplótł ją we włosy.

Mona starała się znaleźć odpowiednie słowa dla swojej prośby. Jego oczy śledziły jej twarz, pieściły jej powieki, czoło, nos, a wreszcie zatrzymały się na ustach. Pytanie utknęło jej w gardle, gdy rozpoznała jego zamiar.

Poddała się bez wahania.

Wyszeptał jej imię i musnął jej wargi. Całował ją nieśmiało, subtelnie i delikatnie. Mona przyłgnęła do niego. Jego cichy jęk sprawił, że całe jej ciało zaczęło tętnić. Tak, to na to czekała: to mrowienie, spokój. Joe objął jej szyję ramieniem, a ona rozpląnęła się w jego uścisku.

Kiedy pocałunek stawał się głębszy, coraz głębiej też rozumiała, że w istocie nie będzie musiała prosić, by został... On już na to liczył.



li są! - zachwycony krzyk Mony zatrzęsł okapami, a jej szaleńczy pęd przez jadalnię wprowadził w drganie kubki, które Joe układał pod barem.

Jak ona usłyszała samochód kuriera z kuchni - niepojęte. Joe nie słyszał nic poza Handlem, który dudnił w całym domu z nowego systemu grającego. Wszystko, nawet Conway Twitty, byłoby lepsze. Ale kiedy zaproponował zmianę muzyki, otrzymał jedno ze słynnych kwaśnych spojrzeń Mony, więc się wycofał z uniesionymi rękami.

Uśmiechnęła się jednak żartobliwie i od razu złagodziła cios ustępstwem:

- Znalazłam album zespołu Alabama w twoim ulubionym miejscu - Goodwill. Wypróbujemy, jak tylko się skończy *Muzyka na wodzie*.

Joe też się roześmiał, ale były to jedynie pozory. Za każdym razem, gdy widział iskierkę w jej oku, czuł ukłucie wstydu. Szpiegował ją cały ranek. Słuchał, jak nuci, i patrzył, jak jej twarz zdobi uśmiech zadowolenia. Cały czas poczucie winy grało na Joem jak na bębnie podczas parady.

Nie miał prawa jej całować. Nie był gotów podjąć zobowiązania, jakie powinno iść w parze z wczorajszym namiętnym pocałunkiem.

Zobowiązanie? Jeszcze jej nie powiedział, jak się naprawdę nazywa! Wysnuł taką sieć kłamstw, że nie wiedział, jak się zabrać za ich rozplątywanie. Całą noc przewracał się z boku na bok i wyzywał od idiotów. Pozwolił, by bliskość jej ciała wtulonego w jego ramiona zniszczyła postanowienie i oboje wkroczyli na ścieżkę, po której on nie mógł iść. Wewnętrzny głos wykrzykiwał słowa potępienia i próbował go od niej oderwać, ale słodycz pocałunku i ekscytujący aromat jej całkowitego zaufania zepchnęły go w niepamięć.

Gdyby tylko znalazł sposób, by spełnić bezsłowną obietnicę, którą jej złożył przez pocałunek, i spędzić z nią resztę życia. Gdyby tylko znalazł sposób, by wyznać wszystkie swoje kłamstwa.

Byłaby wściekła.

Czyż nie byłby to miły akcent ich ostatnich wspólnych dni? Jego obłuda na pewno by sprawiła, że Mona rzuci mu się w ramiona.

Gdyby nie ta groźba czasu.

Gdyby tylko powiedział Monie prawdę tego pierwszego dnia.

Mona przebiegła obok niego w podskokach z radością na twarzy. Taszczyła pierwsze pudło. Zielone oczy błyszczały.

- Już są!

Joe pokiwał głową z uśmiechem. Wyglądała jak dziecko w Boże Narodzenie. A on był Grinchem. Groza ścisnęła go zimną pięścią, choć wyszedł na werandę, by pomóc kurierowi.

Godzinę później Mona była na zewnątrz i kwitowała odbiór, kiedy zadzwonił telefon. Joe rzucił ostatnie ciężkie pudło, zapewne wypełnione sztabkami złota, na wysoki stos i wychylił się przez okno.

- Mona, telefon dzwoni!

- Odbierz za mnie!

Znalazł kabel i poszedł za nim do jednostki centralnej. Bezprzewodowej słuchawki tam nie było. Joe szukał wśród papierów

i pudeł, a telefon dzwonił nadal. W końcu Joe rzucił się do drugiego aparatu w kuchni.

- Słucham?

- Wiedziałaś, że cię znajdę.

Serce podeszło mu do gardła. Wzdrygnął się i chwilę myślał, czy by nie walnąć słuchawką i nie wyrwać kabla ze ściany. Głos po przeciwnej stronie roześmiał się przenikliwie. Joe pokonał narastającą panikę.

- Jak mnie znalazłaś?

- Och, daj spokój. Niby kto ci pomógł ukryć braciszka w lesie? Nowa dyrektorka wydaje się bardzo miła. Pomocna.

- Gabe się nie ukrywa - zawarczał Joe. Rozejrzał się, modląc się, by Mona nie weszła do pomieszczenia.

- No, ale za to ty owszem. Spóźniasz się. Spodziewaliśmy się, że się odezwiesz dwa tygodnie temu. Nie podoba mi się, że muszę cię tropić. Nie tak się umawialiśmy. Co się dzieje? - Głos przybrał mroczny ton: - Proszę powiedz mi lepiej, że masz coś dla mnie.

- Porozmawiamy o tym, kiedy się zobaczymy - wyszeptał Joe. To nie był odpowiedni moment, by stawić czoła porażce... i jej konsekwencjom. W ciągu ostatnich trzech tygodni całkiem zrećnie migał się od zobowiązań. Aż za zrećnie. Ale teraz pokazać się bez tego, co obiecał, jawiło się jako najmniejszy z jego problemów.

- Mam nadzieję, że nas nie zawiedziesz. Wiesz, że wiele na ciebie postawiliśmy.

Joe pomasaował sobie kark i wyjrzał przez okno kuchni na Lizę, która pracowała w swojej szopie.

- Daj mi jeszcze parę dni. Przyjadę.

- Masz tydzień, kolego. Tydzień. Nie rozczaruj mnie. I nie pokazuj tej swojej ślicznej buźki w wiadomościach, słyszysz?

- Jak syrenę.

Rozmówczyni się rozłączyła. Joe przycisnął słuchawkę do czoła, tłumiąc przyływ frustracji. Jak gdyby chcąc podsycić własną

rosnącą panikę, zerknął w dół na blat i zauważył ulotkę na *szczy-
cie* stosu poczty. „Spróbuj świeżych truskawek z Ogrodu” - głosiła.

Złapał reklamę i wsadził ją do szuflady, akurat kiedy Mona wmaszerowała do kuchni.

- Kto dzwonił?

Joe pokręcił głową, próbując wydusić słowa:

- Pomyłka.

Skłamał. Wydawało się to małym kłamstwem w obliczu wszystkich zdrad z ostatniego miesiąca. Jednak to kłamstwo go ubodło, bo ukazało mu okropną pełnię koszmaru, jaki stworzył.

Mona poszła do salonu, a on odłożył słuchawkę i wsparł się na blacie obiema dłońmi. Niczym w kulminacyjnym momencie kiepskiego westernu, zewsząd atakowali go złoczyńcy, a wieszanie z wybiciem południa wydawało się bardzo bliskie.

- Idę na spacer - zakrzyknął. Nie czekając na odpowiedź Mony, wymknął się tylnymi drzwiami.

Tylko tego brakowało, żeby Mona zobaczyła, jak płacze.



Słońce wyzłociło włosy Mony. Kobieta miała tak kapryśny wyraz twarzy, że niewiele brakowało, a Joe odwróciłby się na pięcie i wrócił na plażę, żeby jeszcze przez godzinę pochodzić i porzucać kamienie. Ledwie czuł się na siłach wejść do Progu z wymuszonym uśmiechem.

- Zamierzasz sprzedawać książki jak w magazynie, czy jednak użyjesz półek, które zamówiłaś? - zapytał żartobliwie.

Mona siedziała na podłodze po turecku, otoczona pudłami. Uniosła wzrok z przestraszoną miną, jak u dziecka, które przyłapano na kradzieży ciasteczek. Włosy zatknęła niedbale za uszy i wyglądała rozkosznie swojsko w znoszonych brązowych legginsach i zielono-brązowej flaneli.

Joe poczuł, jak coś w nim zamiera. Powinien wyjechać natychmiast - dziś. Za tydzień będzie bezradny. Już teraz tylko głos szefowej brzmący w uszach kazał mu przejrzeć na oczy i stawić czoła brutalnej prawdzie: miał zobowiązania, których nie mógł wypełnić w Deep Haven.

- Co czytasz? - zapytał, kucając przy niej.
- Mitford - uśmiechnęła się z zażenowaniem.

Pohamował impuls, by pogłaskać zagubiony kosmyk złotych włosów, a zamiast tego złożył ręce między kolanami.

- Pewnie ktoś, kto ma księgarnię, dużo czyta.

Mona zamknęła książkę, którą miała na kolanach, i pogładziła okładkę delikatnie.

- Kocham książki. Są jak część mojego życia, której jeszcze nie przeżyłam. Mogłabym żyć na bezludnej wyspie otoczona ulubionymi autorami - C.S. Lewisem, Dickensem, Austen.

- A dzisiejsi autorzy - John Grisham, Tom Clancy, Mary Higgins Clark?

Mona odłożyła książkę, podwinęła rękawy i wsadziła ręce po łokcie do pudła, jakby próbowała odławiać małże. Wyjęła stertę książek Johna Grishama w miękkich oprawkach.

- No, ich też lubię.

Joe się zaśmiał.

- Daj mi nóż. Pomogę ci.

Zamówiła wszystko - thrillery, biografie, historie działań wojennych, nawet romanse. Mona otwierała pudła i dyrygowała Joe, aż wspólnie zbudowali labirynt książek górujący nad pokojem. Liczyła stos thrillerów szpiegowskich Jacka Higginsa, kiedy Joe zakradł się za nią z egzemplarzem *Polityki* Clancy ego w rękę i pacnął ją książką.

- Berek - powiedział, znikając za stertą tomisk.

Odwrociła się, a on rozpoznał wyraz jej twarzy - taki jak wtedy, na plaży i nad Kettle. Rozpoczął wojnę. Mona zrobiła zwód,

po czym rzuciła się do przodu. Joe śmignął za rząd wydawnictw albumowych na temat Minnesoty, ale Mona porwała egzemplarz *Lake Wobegone Days* i pacnęła nim Joego. Niestety, potrafiła także ścianać książki. Zadrżały jak budynek na uskoku San Andreas.

- Ojej! - Mona rzuciła się na stos i objęła górną warstwę ramionami.

W tym samym momencie Joe objął ją.

- Ojej - powtórzył cicho. W jego uścisku wydawała się taka mała i delikatna. Pasowała idealnie. Otoczył go aromat miękkiej flaneli i świeżego bzu i nagle zalało go uczucie tak błogie, że mógł to być tylko spokój. Joe, oszołomiony, nabrał powietrza i odskoczył od Mony jak poparzony.

Kobieta odwróciła się ze zmarszczonym czołem. W jej oczach wyczytał, że zrobił jej przykrość.

Co z nim jest nie tak? Najpierw zwodzi ją czułymi pocałunkami, potem traktuje, jakby całą pokrywały ją rzepy. Co za łajdak. Wypuścił powietrze i powiedział:

- Pomogę ci to poukładać.

Mona odwróciła się do niego plecami.

Przenikliwa cisza wypełniła pokój.

- Proszę połóż albumy tam. - Niepewnie wskazała orzechowy stół.

Joe posłuchał jak służący.

Kiedy chwilę później Liza wsadziła pomazaną gliną twarz do pokoju i zaprosiła ich do swojego studia, żeby rzucili okiem, Joe w myślach podziękował najlepszej przyjaciółce Mony za wyraźnie potrzebną przerwę.



Mona wpatrywała się w plecy Joego, kiedy szedł za Lizą do warsztatu. Parę minut wcześniej była w jego ramionach. A tu nagle puścił ją, jakby miała trąd.

Joe pochwalił najnowsze dzieło Lizy - wazon o szerokim, opadającym brzeżku. Zagwizdał przeciągle.

- Masz prawdziwy talent, Lizo.

Mona zapragnęła nagle też coś umieć robić - nie tylko czytać i piec muffinki. Kiedy odwróciła się w stronę domu, zauważyła, że Joe nie idzie za nią. Oczy ją piekły, ale zdecydowała się nie uronić ani jednej łzy. Może cały ten czas źle odczytywała zachowanie Joego. Czy tak naprawdę interesuje go Liza? Czy może wykorzystywał Monę, jak miał w zwyczaju wykorzystywać wszystkie kobiety, które ratował przed powodzią i karaluchami? Może był jakimś playboyem, co kradł całusy każdej kobiecie, dla której pracował. Nieprzyjemne uczucie wezbrało jej w żołądku.

Głupia była, że otworzyła przed nim serce. Powinna być mądrzejsza i nie wpuszczać go do swojego życia, i to od pierwszej chwili - kiedy pojawił się miesiąc temu, wyglądając niewiarygodnie przystojnie i roznosząc błoto po całej podłodze w jadalni.

Powinna wiedzieć, że mężczyzna dla niej nie istnieje.

Przynajmniej nie naprawdę.



- Pizza na koszt firmy!

Mona się najeżyła, słysząc, jak Joe przeskakuje po dwa stopnie naraz. Wparował do kuchni.

- Pizza! - zawołał jeszcze raz.

Kobieta siedziała zwinęta w kłębek na dole schodów, zagłębio-na w najświeższym bestsellerze. Przykleiła oczy do kartki, mimo że wyrazy się rozmazywały.

Joe wszedł do pokoju. Kątem oka Mona zauważyła jego czyste buty.

- Słyszałaś? Stawiam pizzę.

Mona zerknęła na niego, zauważyła jego krzywy, chłopięcy uśmiech i coś w niej drgnęło.

- Weź Lizę.

Uśmiech Joego znikł.

- Miałem nadzieję, że będę mógł wziąć ciebie.

Mona wbiła wzrok w czwartą stronę okładki swojej książki i przygryzła wnętrze policzka.

- Co czytasz? - Joe przysiadł przy niej.

„Idź sobie, Joe”. Jego wesoły głos ją drażnił. Ale odwróciła książkę okładką do góry.

- To książka jednego z moich ulubionych autorów.

- Reese Clark. - Joe zaznaczył palcem miejsce, gdzie czytała, i wziął książkę z jej rąk. - Jeden z twoich ulubieńców - dlaczego?

Mona zmrzyła powieki, patrząc, jak przegląda jej książkę. Wydawał się szczerze zainteresowany, a nie jakby miała go zarazić chorobą zakaźną. Westchnęła.

- Nie wiem. Może dlatego, że jego głównemu bohaterowi zawsze udaje się wszystko poukładać dopiero na końcu. Wiesz, nie jest doskonały, lecz prawdziwy. I każda historia rozgrywa się w jakimś egzotycznym miejscu - Teksasie, Rosji, Meksyku, Canadian Rockies. Pisze, jak gdyby tam był, i ja mam wrażenie, że też tam byłam razem z nim.

- Brzmi jak dobry pisarz.

- Jest nim. Ale jego opowieści są smutne.

- Dlaczego? - Kartkował książkę, czytając szybko.

- Bo jego główny bohater, Jonah, nigdy nie znajduje tego, czego szuka. Na końcu zawsze jest nieco zagubiony.

Joe patrzył na nią i mięsień drgał mu w policzku. Nie uśmiechał się.

- Czego szuka?

- No cóż, nie wiem. Nie jestem Reesem Clarkiem, ale myślę, że Jonah szuka akceptacji, a może po prostu stabilności - prawdziwego domu. Żal mi go. Być może Clark też jest zagubiony i czegoś

poszukuje. Może spokoju. - Zaśmiała się smutno, wspominając słowa Joego. On i Jonah mieli wiele wspólnego.

Joe otworzył okładkę i czytał streszczenie na skrzydełku.

- Mogę pożyczyć, kiedy skończysz?

- Pewnie, nie ma sprawy. - Mona sięgnęła po książkę.

- Nie tak prędko. Daj spokój, Mona. Chodź ze mną na obiad. Nie musimy jeść pizzy... Możemy pójść w egzotykę i zjeść pstrąga w Portage Resort. - Jego oczy miały niemal błagalny wyraz, a jego szalony, nierówny uśmiech ostatecznie zburzył ostatni bastion jej oporu.



Portage Resort, znajdujący się przy starym szlaku turystycznym, obejmował restaurację zlokalizowaną w chacie z solidnych, czystych bali z sosny wejmutki. Lokal znany był z palii i sandacza. Mona wpatrywała się w rybackie trofea sterczące ze ściany jak znieruchomiałe akwarium i zastanawiała się, kogo zje na obiad.

Joe się wystroił. Wyglądał trochę jak kowboj w czarnych dżinsach, kowbojkach, białej koszuli i tweedowej sportowej marynarce. Zastanawiała się, jak to zrobił, że ubranie nie było pomięte.

- Zapomniałeś kowbojskiego kapelusza - zauważyła, kiedy spotkali się na dole schodów.

- A ty swojej parasolki przeciwsłonecznej - odparował.

Może i było trochę za wcześnie na jej lnianą sukienkę bez rękawów, ale wzięła też biały, bawełniany sweter i wydawało się jej, że jest dobrze. Potem Joe się uśmiechnął tak serdecznie, że wiedziała, iż jest zadowolony. Dotknął dłonią jej pleców, wywołując falę niepokojącego mrowienia wzdłuż kręgosłupa. Może jej pochopne przypuszczenia co do Lizy i jego zamiarów były niesłuszne.

Podczas obiadu Joe ją rozśmieszał, opowiadał o surfowaniu w Singapurze, zaganianiu bydła na ranczu agroturystycznym

w Teksasie oraz o tym, jak prawie pożarł go niedźwiedź grizzly w Parku Narodowym Glacier. Gdzieś między wysmażonymi na złoto porcjami sandacza a ciastem agrestowym usiadła sobie, że nie umie się na niego gniewać, gdy widzi jego uśmiech.

Zasiedzieli się nad kawą i wrócili do domu późno. Rogal księżycy świecił jasno, a gwiazdy mrugały cudnie na tle opalowego nieba. Siedzieli na schodach na werandę i nasłuchiwali, jak fale uderzają o brzeg. Od czasu do czasu stykali się kolanami, a ilekroć to się stało, Mona czuła lekki dreszcz. Walczyła z pragnieniem, by Joe ją pocałował, objął tak, jak poprzedniej nocy. Ale jej majster ręce trzymał twardo na własnych kolanach, a Mona nie potrafiła wyciągnąć do niego ręki, nie po tym, jak dziwnie się zachował po południu. Jednak samo siedzenie z Joem wydawało się kojące. To wystarczało.

- Powiedz mi, co ci się podoba w Jonahu? - Joe wpatrywał się w ciemność, a jego pytanie uderzyło ją jak podmuch zimnej bryzy. Co wiedział o jej zainteresowaniu Jonahem?

Mona szukała odpowiedzi.

- Nie wiem. Pewnie to, że jest honorowy. Pomaga ludziom, nie prosząc o nic w zamian. - Westchnęła i potarła ramiona. Dostała gęziej skórki od wiatru. - Ale jego największą zaletą jest szczerść. Jonah nie bawi się w gierki. Zawsze otwiera serce. I ma takie standardy moralne, że musi być chrześcijaninem. Chciałabym, żeby Clark o tym wspomniał.

- Co wiesz o Reese Clarku?

Mona odchyliła się do tyłu i wsparła na łokciach.

- Pewnie tyle, co wszyscy. To odludek, pokazuje się tylko na spotkaniach autorskich. Słyszałam, że w osobistych kontaktach jest nieco chłodny, ale ja chciałabym go spotkać. Właściwie to go spotkałam! - Roześmiała się na to wspomnienie. Joe zmarszczył czoło.

- Tak, zgadza się. Spotkałam go w Mall of America parę miesięcy temu. Był w trasie z książką. - Pokręciła głową w zadziwieniu. - Naprawił mi samochód.

Joe przełknął głośno.

- Nie wydaje się najgorszy.

- Cóż, wydawał się miły, ale trochę defensywny. Zaprosiłam go na kawę, a on ledwie ustał w miejscu na tyle długo, by odmówić. Widocznie lubi swoją prywatność. - Zamilkła na chwilę, myśląc o tym, jak gładko ją odtrącił w tym garażu. - Edith opowiedziała mi okropną historię, coś o tym, że fanka ukradła mu buty?

- Chodziło o coś więcej - wymamrotał Joe. - Chyba miał złamany bark i pamiętam, że czytałem, że trafił do szpitala.

- Cóż, cokolwiek to było, wydawał się mieć obsesję na punkcie swojej prywatności. Nie wiem, czy umiałabym zaufać komuś takiemu - zamyśliła się. - Zawsze bym się zastanawiała, jakie sekrety przede mną kryje. I ciężko by było sobie poradzić z tą całą sławą, nie sądzisz? Co by było, gdyby rzeczywiście nękali go owładnięci obsesją fani? - Zadrzała ostentacyjnie i rzuciła Joemu głupkowaty uśmiech.

Joe nie odpowiedział. Milczał i patrzył w jezioro. Mona wyczuła coś, jakąś zmianę w jego postawie - a może była to tylko bryza niosąca od brzegu coś wstrętnego. Joe też musiał to wyczuć, bo cały zeszywniał. Potem odezwał się chrapliwym głosem, jakby nagle się przeziębiał:

- Mona, myślę, że będę się zbierał.

Mona poczuła się, jakby ktoś ją uderzył. Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale brakło jej słów.

- Myślę, że pora, bym jechał dalej. Masz tu wszystko pod kontrolą, a Chuck powiedział, że pomoże, jeśli coś się wydarzy.

Mona zacisnęła zęby i siłą woli pohamowała łzy. Nie mogła opanować niedowierzania i z trudem wydusiła:

- Cóż, w takim razie dziękuję - ona też mówiła, jakby ni stąd, ni zowąd dostała zapalenia płuc.

Zobaczyła, jak kiwa głową dwa razy, jakby było to już za nim, i wypuszcza z ulgą powietrze. Uderzył dłońmi o uda i odepchnął się od schodów.

- Dziękuję za wspianiały wieczór i oczywiście za miejscówkę pierwsza klasa. Rip i ja byliśmy nią zachwyceni. - Nie patrzył na nią.

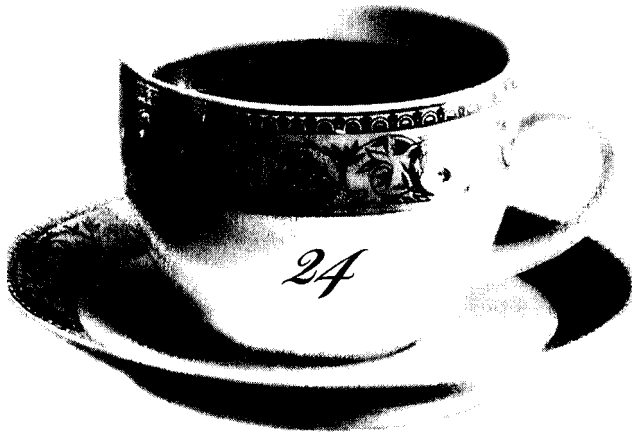
Mona oderwała od niego wzrok i zapatrzyła się na jezioro, próbując skupić oczy na czymkolwiek. Świat nagle wydawał się rozmazany i niebezpiecznie rozchwiany.

- Nie ma za co - odparła. Upadła pierwsza łza. Uniosła szybko drżącą rękę do policzka, starła łzę i skoczyła na nogi. - Dobranoc, Joe. - Potem odwróciła się i rzuciła do drzwi frontowych, słysząc, jak w jej sercu coś cicho się rozdziera.

Joe wyjechał o północy. Słuchała dudnienia jego kroków, gdy schodził po schodach, i zastanawiała się, czemu aż tak mu spieszą do ucieczki. Nie zapukał do niej nawet po pieniądze za ostatni tydzień pracy. Przynajmniej Rip zaszczekał na pożegnanie. Mona siedziała na swoim wyściełanym parapecie i patrzyła z ciemnej sypialni, a łzy ściekały jej po twarzy.

Joe wrzucił torbę na pakę, popatrzył na dom dłuższą chwilę, po czym wsiadł za Ripem do kabiny. Odjechał na północ w oleistych oparach silnika.

Mona płakała, póki sen nie przyniósł jej cennego ukojenia.



Joe ścisnął kierownicę tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. Pędząc na północ do Ogrodu przez mętną, zalesioną ciemność, słyszał jedynie rozdzierające echo słów Mony. „Jonah jest honorowy. Mówi prawdę”.

Joe bardzo żałował, że nie może tego powiedzieć o sobie.

Cały wieczór flirtował z prawdą. Wiedział, że musi Monie powiedzieć... albo odejść, a myśl o ucieczce wbiła mu nóż w serce. Rozwodził się, że mógłby zacząć od czegoś małego - powiedzieć Monie, jak się rzeczywiście nazywa, a potem układać prawdę jak wiersz: linijka po pieczołowicie skomponowanej linijce. Miał jeszcze tydzień, nim kłamstwa wyjdą na jaw, a do tamtej pory być może...

Nie mógł jednak wydusić z siebie słów. Utknęły mu w gardle jak żelazna kula. Siedząc na werandzie, był już w połowie drogi do wyjawienia prawdy, krążył wokół tematu, kiedy nagle Mona zaskoczyła go komentarzem na temat Reese'a Clarka. „Nie sądzę, bym umiała zaufać komuś tak zamkniętemu w sobie. Zawsze bym się zastanawiała, jakie sekrety przede mną ukrywa”.

Nie chciał nawet myśleć o jej reakcji na kwestię sławy Reese'a Clarka oraz na groźbę stalkingu.

Nie miał wyboru - musiał odejść. Jediną pociechą była mu myśl, że nie zdradził związku z Gabem. Osłonił przynajmniej brata przed nieuchronnym odtrąceniem przez Monę. Teraz nie będzie już musiała zmierzyć się z bolesną rzeczywistością puli genowej Michaelsów - i uciekać od niej. Zaciśnął zęby i próbował zignorować chorobliwą pustkę w piersi.

Wiatr syczał wśród drzew, gałęzie staniały się w cieniach drogi. Od czasu do czasu Rip podnosił smutne brązowe oczy i stękał, jakby i on wiedział, że jego kumpel powtarza starą historię. Na szczęście Joe nie wypowiedział swych uczuć na głos. „Kocham cię, Mono”. Przynajmniej wciąż miał godność.

Z radością jednak wymieniliby godność na odwagę. Gdyby tylko miał jakieś pojęcie o tym, co czuje Mona. Owszem, poddała się jego uściskom słodko, a jej oczy rozświeślały się całe, gdy wchodził do pokoju, ale mógł to zupełnie źle odczytywać i wziąć wdzięczność za ciepłe uczucia. To dopiero podkreśliłoby załóżnie jego bezbronność - on otwiera serce, a ona odpowiada zażenowanym, przerażonym milczeniem. Nie, dzisiejsza przesywająca konkluzja będzie dla nich obojga najlepsza.

To dlaczego czuł się taki nieszczęśliwy?

Joe uderzył w kierownicę. „Boże, dlaczego mnie tu sprowadziłeś? Żeby skrzywdzić Monę? Żeby mnie zniszczyć? Wiedziałeś, że to się wydarzy, a i tak pozwoliłeś mi wpaść prosto w ramiona Mony”. Palił go żal.

Osoba, która miałaby chociaż krztynę rozumu, odwróciłaby się na pięcie i wymaszerowała natychmiast, gdy tylko zobaczyłaby Monę i jej upojny uśmiech. Osoba naprawdę mądra przede wszystkim nigdy by Mony nie okłamała. Nawet gdyby miała mnóstwo znakomitych powodów.

Więc może te jego powody nie były aż takie świetne. Szczerze mówiąc, musiałyby przyznać, że były głównie samolubne. Joe przełknął żal. Niezależnie od powodów nie ma powrotu.

Rip westchnął i Joe pogłaskał psa po łbie, wplatając palce w krótką sierść. Zwolnił i zjechał na drogę do Ogrodu. Ma przynajmniej na tyle przyzwoitości, by pożegnać się z Gabem.

„Zostań, Joe”. Uczucie owiało go jak wiatr, jakby próbowało nim pokierować. Walczył, nie spuszczać oczu z tego, co musiał zrobić. Zaparkował przed werandą Ogrodu, zauważył, że światła są pogaszone, i serce w nim zamarło. Wysiadł z kabiny i zatrzasnął Ripowi drzwi przed nosem. Pies skamlał chwilę, po czym usiadł na siedzeniu.

Joe osunął się na schody na werandę i splótł palce na karku. W ciemności białe brzozy wyglądały jak duchy. Poczul chłód, gdy rozważał swoją przyszłość. „Co teraz, Panie?”

Odpowiedź przybrała postać skrzywienia drzwi werandy. Usłyszał łagodny, znany głos:

- Joe? Czy to ty?

Odrzucił się i zobaczył, jak Ruby schodzi po schodach, odziana w skórzane kapcie, puszysty szary dres i różowy szlafrok. Usiadła obok niego.

- Trochę późno na wizytę, nie sądzisz?

Joe wypuścił powietrze i pomasaował sobie kark.

- Wyjeżdżam. Przyszedłem się pożegnać.

Jej milczenie dało mu do zrozumienia, co myśli o jego decyzji.

- Ruby, wiesz, jak zarabiam na życie. Nie mogę zostać. Muszę się przemieszczać. Nie mam wyboru. - Ruby chrząknęła znacząco. - Mój czas tutaj dobiegł końca. - Skrzyżowała ramiona.

- Dobra. Idę się pożegnać z Gabem.

- Gabe śpi.

Joe wpatrzył się w atramentowe niebo. Zauważył, jak jasno świeci księżyc na tle czarnej otchłani wszechświata.

- Nie wyjadę bez pożegnania.

- Mamy sofę. Do rana jest twoja. - Ruby wstała. Czuł, jak przez chwilę go obserwuje. - Wtedy będziesz mógł to załatwić. - Usłyszał, jak moskitiera cicho się za nią zamyka.

Zacisnął zęby, sfrustrowany, że męczarnia się wydłuża. Wołałby, wciskając gaz do dechy, pognać przez noc do Minneapolis.

Joe patrzył na cienie poruszające się po suficie. Próbował przepłóścić wizję pięknej twarzy Mony, gdy kobieta ukrywała łzy, i wyzywał siebie od najgorszych, aż w końcu przed świtem, wyczerpany zapadł w niespokojny sen.



Zbudził go zapach smażonego bekonu. Kiedy wszedł do kuchni, mała grupka przygotowywała śniadanie.

- Joe tu jest! - oznajmiła serdeczna rudowłosa, a Daniel klepnął Joego w ramię. Joe odpowiedział uśmiechem, znalazł sobie krzesło i opadł na nie.

Do kuchni wmaszerowała Ruby. Była ubrana w ten sam szary dres i kapcie, ale nie miała już szlafroka - ani surowego wyrazu twarzy.

- Dzień dobry, Joe. Dobrze się spało?

Joe skinął głową, ale nie mógł spojrzeć jej w oczy. Zaraz po śniadaniu pojedzie na południe.

Głos Gabe'a wyprzedził jego osobę:

- Ruby, tu jest auto Joego.

Ruby wyciągnęła ręce w stronę Joego, jakby go prezentowała.

- Oto i sam Joe.

Brat go objął i przez moment żywiołowość tego uścisku złagodziła bolesny splot w piersi mężczyzny.

- Dzień dobry, Joe. Dlaczego przyjechałeś tak wcześniej? Znowu jedziemy na ryby?

O ileż łatwiej byłoby wymknąć się ubiegłej nocy, bez przykrych pożegnań. Wyrwać Gabe'owi serce jednym szarpnięciem. Pokręcił głową i popatrzył bratu w roześmiane oczy.

- Nie całkiem, kolego. - Wypuścił rozpaczliwie oddech. - Musimy pogadać, dobra?

Gabe zmarszczył czoło.

- Możecie skorzystać z mojego biura - powiedziała Ruby. Joe zauważył dezaprobatę na jej twarzy. Nie zwrócił na to uwagi, wstał i wyszedł z kuchni.

- Chodź, Gabe, pójdziemy do twojego pokoju. - Gabe poszedł za nim bez słowa.

Joe wyjrzał przez okno sypialni Gabe'a. Patrzył, jak świt oświetla truskawkowy ogród. Maleńkie, pokryte rosą roślinki iskrzyły się głęboką zielenią. Joe nie mógł wyjść z podziwu dla talentu brata i jego przyjaciół. Odwrócił się, a zagubiona mina Gabe'a wywołała ucisk w gardle.

Joe usiadł i ścisnął rękami kolana. Borykał się z tym przez większą część nocy i uznał, że najlepiej będzie wprost.

- Gabe, muszę stąd wyjechać. Mam robotę i mój czas tutaj się skończył. - Joe spostrzegł, że broda zaczyna Gabe'owi drzeć, więc dodał pospiesznie: - Ale potrzebuję twojej pomocy. Możesz się zająć Ripem? Potrzebny mu dom i kocha Ogród.

Gabe przygryzł wargę.

- Dlaczego nie możesz zostać? Nie musisz wyjeżdżać. Możesz zrobić, co tylko chcesz.

Joego zaczęło palić w gardle. Brat po prostu nie rozumiał, a Joe nie potrafił wyjaśnić, że czuje się jak w potrzasku, uwięziony w przeszłości i teraźniejszości. Ze jakoś łatwiej jest być samemu, a przede wszystkim, że nie może znieść myśli, iż kogoś zawiedzie.

Joe przeczesał dłonią włosy. Były brudne i niechlujne. Sam tak się czuł.

- Przykro mi, Gabe. - Na więcej się nie zdobył. Uzbroidł serce przeciw udęczonej twarzy Gabe'a. - Możesz wziąć Ripa?

- powtórzył.

Gabe pokiwał głową przez łzy. Joe wstał z trudem i wyszedł na werandę. Do jego nosa doszedł apetyczny zapach bekonu, świeżej kawy i jajeczniczy, ale wiedział, że cokolwiek włoży do ust, zostanie zatruć przez smutek w jego sercu. Frontowe drzwi trzasnęły za nim.

Biedny Rip wciąż leżał zwinięty w kłębek na przednim siedzeniu pickupa, ale obudził się, jak tylko Joe otworzył drzwi. Pies z impetem wypadł z samochodu.

- Przepraszam, kolego - wymamrotał Joe. Wyglądało na to, że ostatnio wszystkim robi krzywdę. Usłyszał skrzywienie i zauważył niewielką grupkę zebraną na werandzie, na czele której stała Ruby. Obejmowała Gabe'a i rzuciła Joemu miażdżące spojrzenie.

Joe zagwizdał na Ripa i złapał psa za obszarpaną obrozę. Wtulił twarz w sierść.

- Zajmij się Gabem - wyszeptał. Potem zaprowadził psa na werandę.

Gabe kucnął przy zwierzęciu i pogłaskał go delikatnie po grzbiecie. Podniósł na Joego zaczerwienione oczy. Joe nie dał zachwiać swoim postanowieniem.

- Trzymajcie się.

Gabe wstał nagle i objął Joego desperacko. Joe zeszywniał - nie umiał swobodnie odwzajemnić uścisku.

- Trzymaj się, kolego. Będę pisać - głos mu się załamał i wiedział, że musi się spieszyć.

- Ty też. Pisz do mnie.

Joe musiał się wyrwać z mocnego uścisku Gabe'a. Długimi krokami poszedł w stronę półciężarówki, czując za sobą obecność Ruby. Odwrócił się gwałtownie, gotów się bronić. Niech tylko spróbuje jednym słowem wspomnieć o tym, co zostawia za sobą, włącznie z Moną.

- To dla ciebie, Joe - powiedziała Ruby łagodnie, podając mu złożoną kartkę papieru. Wyczytał w jej oczach współczucie i zamiast defensywnych słów, w gardle wezbrał mu płacz.

Wziął kartkę, otworzył i skrzywił się.

- Nie, dziękuję - powiedział, ale ona nie przyjęła jej z powrotem. Wepchnął kartkę do kieszeni.

- Zawsze jesteś tu mile widziany, Joe. Ilekroć będziesz miał ochotę wrócić do domu.

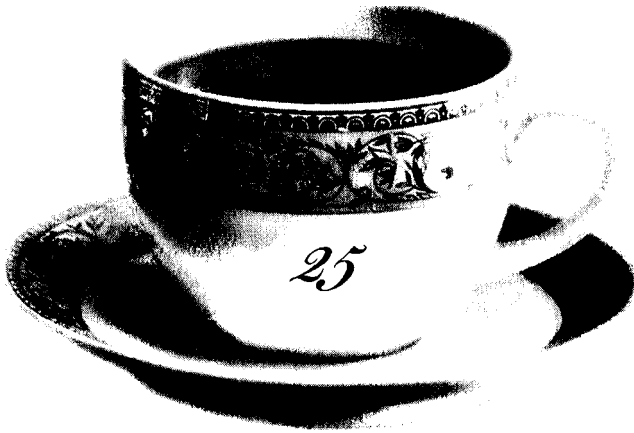
- To nie jest mój dom.

- Ty tak sądzisz.

Joe wzruszył ramionami, ale jej słowa go ubodły. Mimo całego swego zadufania i dokładnej znajomości jego życia - po prostu nie rozumiała.

Przykleił do twarzy wyćwiczony uśmiech, pomachał, a potem wsiadł do kabiny. Półciężarówka odpaliła, wypuszczając gęste opary benzyny i kurz. Joe wcisnął gaz do dechy i nie obejrzał się za siebie.

W drodze do Minneapolis za towarzystwo miał tylko ryk pustki w sercu.



Przyprawiał cię o mrowienie, prawda? - Liza oparła się o mosiężne wykończenie w nogach łóżka Mony. Jej hebanowe włosy opadły na fotografię, którą Mona trzymała.

- Co? - Mona starała się nadać głosowi barwę zaskoczenia.

- Joe. Kochasz go. - Mona otworzyła usta, ale Liza popatrzyła na nią surowo. - Nie kłóć się ze mną. Zauważyłam, jakie masz czerwone oczy i cały dzień chodzisz jak otumaniona, objasz się o meble. - Chwyciła Monę za rękę. - Wiesz, dlaczego odszedł?

Mona pokręciła głową.

- Przykro mi, że się nie ułożyło - powiedziała Liza łagodnie.

„Nie tak przykro, jak mnie”. Mona wzruszyła ramionami, ale ból ścisnął jej serce. Przynajmniej nie powiedziała mu, że go kocha. Dziękowała Panu, że jej mózg nie zmienił się całkiem w papkę. Co ona sobie myślała - otworzyć serce i pozwolić Joemu zajrzeć do środka? Opowiedziała mu o swoim ojcu. Zgroza.

Wbiła wzrok w zdjęcie i przygryzła drżącą wargę. Tak, przyprawiał ją o mrowienie. A teraz czuła się zdrętwiała do kości.

Liza wyciągnęła dłoń i dotknęła zdjęcia.

- To ty?

- No. Miałam jakieś sześć lat. Ten z wędką to mój tata.

Kiedy Liza przyglądała się zdjęciu, Mona się pochyliła i spojrzała na nie do góry nogami.

- Ugh! Popatrz na moje ciuchy!

- Daj spokój, to były lata siedemdziesiąte. Koszulki bez rękawów i dzwony były w modzie. Fajne masz włosy - to fryzura w stylu Meg Ryan, prawda?

- Właśnie przycumowaliśmy po całym dniu wędkowania na jakimś jeziorze na północy. Swoją drogą, to ja złowiłam wszystkie te ryby na wzdłużniku. Tata podał aparat jakiejś parce i poprosił, żeby zrobili zdjęcie. - Mona uśmiechnęła się słabo, wspominając dumną minę ojca. Usłyszała w pamięci jego głos: „Jesteś moją koleżanką od wędkę, Mone”. - Wydawało mi się, że jestem wyjątkowa.

Głos Lizy brzmiał łagodnie:

- Dla niego byłaś.

Mona poczuła znajome pieczenie w gardle. Złapała poduszkę i przycisnęła ją do piersi, gotowa ukryć w niej twarz, jeśli znowu pojawiają się łzy.

- Joe ci go przypominał, prawda? - Liza oddała zdjęcie i popatrzyła przyjaciółce w oczy.

Mona schowała fotografię do szuflady szafki nocnej. Nie odpowiedziała. Łóżko zaskrzypiało, kiedy Liza na nim usiadła.

- Twój ojciec nie wróci. Wiem, że chciałabyś go odzyskać. Ale musisz przestać się obwiniać. To był wypadek i wiem, że ojciec by ci przebaczył.

Od celnych słów Lizy Monie łzy stanęły w oczach.

- Tak, wiem.

Liza pochyliła głowę, chcąc spojrzeć Monie w oczy. Ta odwróciła głowę.

- Mona - rzekła Liza twardo - musisz sobie odpuścić. Musisz przestać się starać, żeby wszystko było doskonałe. Dopiero kiedy

zrozumiesz, że nie możesz wymazać swoich błędów, Bóg będzie mógł cię uleczyć. Musisz mu zaufać, że naprawi twoje życie.

Mona zamrugała, by powstrzymać łzy.

- Nie zasługuję na Jego pomoc. - Drgnęła, słysząc rozpacz we własnym głosie.

Milczenie Lizy zdradzało współczucie. W końcu wyciągnęła rękę i pogłaskała kosmyk jasnych włosów Mony.

- Próg Nieba. Wiesz, o czym myślę, kiedy to wypowiadam? Myślę o siedzeniu u stóp Jezusa. Czuję, jak mnie obejmuje i słyszę, jak mówi, że wszystko będzie dobrze, że nie muszę być doskonała, że mnie kocha taką, jaką jestem. Nawet kiedy popełniam olbrzymie błędy.

- Ty nie popełniasz olbrzymich błędów, Lizo - wyrwały się Monie gorzkie słowa. Liza opuściła rękę.

- Tak sądzisz?

Mona starła łzę i pokiwała głową.

- Mam dla ciebie nowinę, Mono Reynolds. Popełniłam w życiu ogromne błędy. Dziewczyno, rozmawiasz z kobietą, która rzuciła szkołę w dziesiątej klasie. - Mona zamrugała oczami ze zdziwienia. - Nie poszłam na studia i nie potrafię doczytać książki do końca. To łaska Boska, że trafiłam na ciebie. Gdyby nie ty, wciąż byłabym kelnerką w Big Sub. Pokazałaś mi, że jeśli mam marzenie, to powinnam się go trzymać, jak ty. - Oczy Lizy zabłyśły.

- Kretynko, zapomniałaś, jak się poznałyśmy? Jak ci zrzuciłam dwie kanapki na plecy? - Skrzywiła się tak obłudnie, że Mona z trudem powstrzymała śmiech. - Ale mi przebaczyłaś. Nauczyłaś mnie, jak być przyjaciółką i przyjmować przebaczenie.

Mona uniosła palec.

- Dostałam wtedy jedzenie za darmo.

- Cóż, to prawda, ale kosztowało cię to ulubioną bluzkę.

Mona wzruszyła ramionami, potem jej uśmiech zgasł.

- Opuść sobie, Mona. Bóg już ci przebaczył. Musisz sama sobie przebaczyć i dać Bogu cię kochać. Bądź Jego dzieckiem i przyjmij Jego łaskę. Sama sobie nie stworzysz nieba na ziemi. To Jego zadanie. Jeśli będziesz próbować sama to osiągnąć, nigdy się nie dowiesz, jaka to radość, kiedy Bóg spełnia twoje najskrytsze marzenia.

Oczy Lizy błysnęły, jakby światło odbiło się od opalu, a w jej słowach Mona usłyszała coś wiecznego i bezcennego.



Mona otworzyła swoje serce, i wpuściła Joego do swojego prywatnego świata, a teraz pusta przestrzeń w środku bolała, jakby wyrwał jej coś i zabrał to ze sobą. Serce jej zamierało za każdym razem, gdy spojrzała na naprawiony sufit albo kwitnącą sadzonkę topoli. Kiedy piła kawę na werandzie, wspominała, jak to było czuć jego silne ramiona, kiedy pomagał jej trzymać lewarek. Gdy zawędrowała do szopy Lizy, myślała o tym pierwszym dniu, kiedy zasugerował, że w Progu są ukryte skarby. Późno w nocy Mona pragnęła usłyszeć, jak Joe wraca ze swoich nocnych przebieżek z Ripem. A kiedy fale gładziły brzeg, myślała tylko o tym, by wtulić się szczęśliwie w jego ramiona.

Była taka głupia, że zakochała się we włóczędzie bez korzeni.

Jeśli chciała dojść do siebie, musiała usunąć go ze swojego życia. Wiedziała o tym, ale i tak wymagało całego jej hartu ducha, by z mopem i miotłą wejść po schodach do jego maleńkiego mieszkanka.

Miała właśnie odmrozić i bez tego czyściutką lodówkę, kiedy znalazła dziennik, który za nią utknął - jak gdyby Joe położył go na lodówce, a potem niechcący strącił. Był to niewielki, gruby notes z pozaginanymi rogami. Każda kartka była odkształcona przez nacisk ołówka, a może i myśli na niej wyrażone. Mona pogładziła okładkę dłonią. Joe pisał dziennik. Ten fakt jeszcze

bardziej komplikował jego zaskakującą osobowość. Nigdy by nie przypuszczała, że wymięty, nieokrzesany Joe, który miał miękkie serce dla zagubionych psiaków oraz lubił wyzwania, znajdował ukojenie, przelewając uczucia na papier. Ścisnęło ją w gardle.

Może w notesie były tajemnice Joego, wszystko to, czego jej nie mógł powiedzieć. Wszystko to, co gorąco pragnęła o nim wiedzieć. Możliwe, że znajdowała się tam odpowiedź, dlatego w środku nocy jak bandyta porzucił coś dobrego i potencjalnie trwałego. Zadygotała, wspominając krzywy uśmiech Joego, iskierki w jego szafirowych oczach, świeży zapach mydła i flaneli, który mu towarzyszył. Łzy stanęły jej w oczach. Może notatnik Joego zawierał nawet wyjście z sytuacji.

Mona obróciła dziennik w dłoniach i przygryzła wargę. Potem ześlizgnęła się na podłogę, oparła plecami o lodówkę i naruszyła prywatność pana Joego Michaela.

Godziny mijały niepostrzeżenie. Mona czytała, aż zachodzące słońce wymalowało długie cienie na gołej podłodze. Między kartami odkryła człowieka, który był na całym świecie, ale zawsze tęsknił za domem. Udało mu się zobaczyć Plac Czerwony, opactwo Winchester, Mur Berliński, ale wśród jegosłów zobaczyła pragnienie stabilizacji. Miał rodzinę - to ją zaskoczyło. Brata imieniem Gabriel.

„Przynajmniej jest szczęśliwy” - pisał Joe o bracie, ale z wyczuwalną melancholią. Mona zwróciła także uwagę na podróż duchową. Psalmi Joego były spisane współczesnym językiem obok wersji Dawidowej, połączone w jedno duchem. Było jasne, że Joe kochał Boga, ale niczym Dawid uciekał przez jakimś wrogiem. Wyczuwała czyjąś zdradziecką obecność przenikającą jego myśli: lęk przed byciem niegodnym, przed odtrąceniem. Łzy spływały strumieniem. Rozumiała aż za dobrze.

Wtem na ostatniej stronie odkryła własne imię, wpisane starym tygodniem po jego przybyciu.

Mona jest wszystkim, czego pragnę. Zachwyca mnie jej determinacja, by Próg wypalił, i dosłownie jej zazdroścę, że znalazła swoją niszę. Też chcę mieć taką niszę. I — śmiem to powiedzieć? - byłoby miło dzielić tę niszę z nią. Dzisiaj stała na werandzie, opierała się o barierkę z kawą w ręku. Wiatr muskał jej włosy, a ona wpatrywała się w fale. W jej oczach dojrzałem ślad spokoju. Myślę, że znajdziesz tu swój spokój. A ja...?

Mona odwróciła stronę, ale ostatnia kartka była niezapisana. Przesunęła palcem po pustej przestrzeni, zastanawiając się, dlaczego przestał pisać.



Joe siedział w chłodnej trawie i patrzył, jak wietrzyk marszczy szafirowe jezioro Calhoun. W ręku miał patyk i żałował, że nie może rzucić go Ripowi. Brakowało mu również Mony. Więcej - tęsknota była bolesna. Cierpienie doskwierało mu tak bardzo, że chwilami wydawało mu się, że ma otwartą ranę w piersi. W dodatku jej obraz i udręczony wyraz jej pięknej twarzy, kiedy Joe oznajmił, że odchodzi, prześladowały go jak zjawy.

Po jego raptownej ucieczce znalazł pokój w hotelu w Minneapolis. A kiedy padł na łóżko, gapiąc się na biały sufit, słuchając szumu klimatyzacji - zranione serce zaczęło pulsować.

W północnej Minnesocie zostawił coś, co było w nim najlepszego.

Joe podciągnął kolana i ukrył twarz w ramionach. Dlaczego kiedykolwiek wydawało mu się, że wolność jest cenniejsza niż zapach świeżo parzonej przez Monę kawy, brzmienie jej głosu albo wizja budzenia się przy niej do końca życia? Może gdyby zdobył się na odwagę, wrócił i błagał o przebaczenie, doszedłby do siebie po okropnej ranie w sercu. Zgodziłby się nawet do końca życia być majstrem, gdyby tylko udało mu się naprawić to, co zostało zniszczone przez jego tchórzostwo.

Jasne, bo Mona na pewno przyjmie go z otwartymi ramionami po tym, jak porzucił ją remontem wielkim jak Teksas. Prawdopodobnie właśnie teraz wychwała go pod niebiosa, kiedy próbuje odpalić swojego rżęcha i pojechać do sklepu z narzędziami.

Zaufała mu, a on odpłacił jej kłamstwami. Poczul się chory ze wstydu. Zasługiwała na coś lepszego. Zasługiwała na kogoś, kto nie boi się miłości bez względu na cenę. Nie na kogoś, kto nawiał, jak tylko zwęszył kłopoty. Owszem, miał wiele powodów, by stworzyć fasadę, a jeszcze więcej, by uciec, zanim wyleci ona w powietrze z siłą bomby kasetowej. Uporządkował sobie w głowie te powody w ciągu tych pięciu godzin, gdy pędził na południe trasą I-35. Kiedy wjeżdżał na autostradę 694 i obwodnicę wokół Minneapolis-Saint Paul, wiedział już, że stał się niezłym kłamcą, także wobec samego siebie.

Wyjechał, bo w sprawach serca był tchórzem.

Joe zapatrzył się w jezioro. Żaglówki z czerwonymi, białymi, żółtymi i błękitnymi chorągiewkami sunęły po nieskazitelnej powierzchni, a eskadra kaczek wymijała je i łajała za tupet. Zapachy świeżego popcornu, corn dogów i frytek wypełniały powietrze, łącząc się z upojnym zapachem kwitnących bzów.

Krzew bzu Mony był zapewne w pełnym fioletowym rozkwicie. Obraz stanął przed nim tak wyraziście, że Joe machnął ręką, by go odpędzić.

Minęła go grupka dziewcząt. Jedna zerknęła na niego z błyszczącymi oczami. Naciągnął czapkę mocniej na głowę i spuścił wzrok, obracając patyk w palcach. Chciał się ukryć, a jezioro Calhoun wydawało się do tego celu odpowiednie. Obok niego śmigali wrotkarze. Słuchawki w ich uszach dudniły głośnym rytmem. Parę metrów obok wylądowało frisbee. Nastolatek podniósł je i cisnął z powrotem do kolegi.

Złamane serce Joego bolało.

Joe wbił patyk w ziemię i wygrzebał z kieszeni kartkę. Ruby Nieustępliwa. Rozłożył liścik i ponownie go przeczytał. Ruby zapisała adres, nie było trudno się domyślić czyj, oraz wersety z Biblii. W ciągu ostatnich dwóch dni tyle razy wyszukał fragment Księgi Izajasza 41, 9- 10, że znał go już na pamięć: „Ty, którego pochwyliłem na krańcach ziemi, powołałem cię z jej stron najdalszych i rzekłem ci: »Sługą moim jesteś, wybrałem cię, a nie odrzuciłem.« Nie lękaj się, bo Ja jestem z tobą; nie trwóż się, bom Ja twoim Bogiem«. Umacniam cię jeszcze i wspomagam, podtrzymuję cię moją prawicą sprawiedliwą”.

Joe złożył kartkę i ją zmiął. Postukał nią o nogę. Ruby chciała, by przebaczył tacie. Pierwszy krok w drodze powrotnej do domu. Pierwszy raz w życiu miał wyobrażenie o tym, co to znaczy wrócić do domu. Rodzina. Ktoś, na kogo można liczyć, kogo można kochać, kto kocha prawdziwą osobę, a nie wymyślonego komedianta.

Co z niego za kłamca? Mona nie miała pojęcia, kim był. Musiał jednak przyznać, że on też nie. Prawdziwy Joe Michaels krył się za maską. Być może w zaciszu Progu Nieba prawdziwy Joe Michaels pokazał się po raz pierwszy od lat, otulony szatą obłudy, lecz wciąż obecny, spragniony wolności. Spragniony, by ktoś go ujrzał, stawił mu czoła, kochał go i dał się kochać.

Być może konfrontacja z ojcem, człowiekiem, który uciekł przed swoimi lękami, pomogłaby Joemu zmierzyć się z samym sobą, skonfrontować z własnym poczuciem winy, może nawet przebaczyć. A jeśli przeciwstawiłby się sobie... Możliwe, że prawdziwy Joe Michaels zdobyłby się na to, by stawić czoła Monie i rozwikłać sieć kłamstw, włącznie z przedstawieniem Monie Gabe a.

I może akurat Mona zaskoczyłaby go, jak miał nadzieję.

Wróciły do niego słowa Ruby, wypowiedziane pod osłoną zmierzchu po wspaniałej wycieczce na ryby z Gabem: „Być może, jeśli staniesz w miejscu, znajdziesz siłę, by przebaczyć i wpuścić

kogoś do swojego życia. Może nawet znajdziesz to, czego od zawsze szukasz”.

Tak, znalazł to, czego szukał. Znalazł, obrócił się i zwał, gdzie pieprz rośnie. I będzie uciekać, póki nie odkryje, jak zwalczyć demona, który go ściga. Póki nie stanie w miejscu... i nie przebaczy.

Nauczył się tego od Gabe'a. Przebaczenie dawało Gabe'owi moc. Nie powstrzymywało cierpienia, ale wyzwalało go z pragnienia odwetu i pozwalało wyciągnąć rękę do innych. Tworzyło w sercu miejsce na miłość. Aż do tej chwili Joe nie zdawał sobie sprawy, ile miejsca w jego sercu zajmował gniew.

Ruby powiedziała, że Bóg pomoże mu przebaczyć. Nie lękać się. Joe ponownie przeczytał notkę Ruby i wiedział, że trafiła w samo sedno - nie był zobojeźniały na ojca, lecz śmiertelnie się go bał. Gdyby otworzył serce przed starym, wylałoby się z niego dziesięć lat cierpienia. A on by został z wielką dziurą w piersi.

Ale przecież dziurę w piersi miał już teraz.

Lęk zbyt długo nim rządził. Lęk kosztował go dom.

Lęk kosztował go Monę.

Tylko w jeden sposób mógł stawić czoła lękowi. Musiał namierzyć Wayne'a Michaela i mu przebaczyć. Przebaczyć, że porzucił rodzinę. Przebaczyć, że rozerwał świat Joego na strzępy, przebaczyć mu, że nauczył syna, iż jedynym wyjściem z problemu jest docisnąć gaz do dechy i odjechać w kłębach kurzu.

A gdyby nauczył się przebaczać, być może Joe zyskałby wewnętrzne męstwo potrzebne, by otworzyć serce, zaryzykować i pozwolić Bogu kierować jego związkami. Zaryzykować miłość i wreszcie znaleźć dom. Wreszcie osiągnąć spokój.

Jeśliby Joe chciał jako wolny człowiek przyjąć wszystko, co Bóg dla niego zaplanował, jak sugerowała Ruby, musiałby zmierzyć się ze swoją przeszłością tak, jak Mona zabrała się za remont: z godnością i śmiałością Jozuego przed murami Jerycha.

Joe ukrył twarz w dłoniach. Nie był Moną, która miała od niego z dziesięć razy więcej odwagi. Dziesięć razy? W małym palcu miała więcej wytrwałości niż on w całym ciele.

- Chip, nie!

Joe ledwie uniósł głowę, kiedy duży samojed powalił go na ziemię. Przeżaszony nastolatek w niebieskiej wiatrówce podbiegł i złapał psa za obrozę.

- Przepraszam pana - powiedział, odciągając psa. Samojed trzymał w zębach zdobycz - patyk Joego.

Joe nie odpowiedział. Był dwadzieścia pięć lat wcześniej i wpatrywał się w zaślinione szczęki rasowego samojeda o imieniu Bli-zzard należącego do Jerry'ego Hopkinsa. Serce mu stanęło tak samo jak wtedy i zobaczył, jak podnosi gazetę - nie wiedział, czy po to, by ją dostarczyć, czy żeby rzucić nią w psa. Do dziś nie pamiętał, co zrobił z tym egzemplarzem „Star Tribune”. Pamiętał za to - dojmująco dokładnie - ryk wiatru w jego uszach, gdy obrócił się na pięcie i pognął przez podwórko, ścigając się z warczącą bestią, kto pierwszy dobiegnie na sąsiednie podwórze. Na karku czuł gorący oddech, zęby psa kłapały mu koło stóp. Przebiegał dziesięcioletnimi nogami oraz rękami i pędził po trawniku, aż uniósł się w powietrze. Na pełnym gazie przebiegł nad półtorem-metrowym murkiem, po czym wylądował twarzą na żwirowym podjeździe sąsiada.

Kilka następných minut zlało się w plamę bólu. W jakiś sposób zapamiętał widok zaślinionego, może nawet śmiejącego się z niego samojeda, który się w niego wpatrywał jak król ze swojego podwórka. Potem pani Allen wyszła z domu, by zapytać, dlaczego jej gazeciarz leży plackiem zakrwawiony na jej podjeździe i płacze. Joe pokuśtykał do domu, położył się do łóżka bez mycia się i szlochał, aż zasnął.

Wspomnienie paliło go w piersi. Lęk wprawił jego tętno w galop - wydawał się dziś równie realny jak dwadzieścia pięć lat temu.

Nawet dłonie pokrył mu pot. Poddał się przerażeniu i wziął nogi za pas.

Ewidentnie od tamtej pory niewiele się zmienił.

Joe wytarł dłonie w spodnie i nabrał powietrza uspokajająco. Wsparł ręce na kolanach i na zmianę zaciskał oraz rozluźniał pięści, wspominając dalej.

Ojciec znalazł go zwiniętego w kłębek na łóżku. Głaskał go po plecach, aż Joe się obudził i opowiedział całą historię przerywaną łkaniem. Ojciec wysłuchał z troską i determinacją. Potem utulił Joego do snu, pocałował w czoło i powiedział:

- Rano się za to zabierzemy.

Ciepło zalało pierś Joego na myśl o tym, jak następnego popołudnia ojciec czekał na niego w połowie trasy dostarczania gazet. Joe musiał być błądy jak ściana, bo ojciec zacisnął dłoń na jego ramieniu i powiedział:

- Nie bój się, synu.

Poszli razem do domu Hopkinsów, a kiedy Blizzard wyskoczył ze swojego kojca, spuszczonego z łańcucha i węszący strach, ojciec zasłonił Joego i rzucił się na psa z gromkim krzykiem. Oszołomione zwierzę stanęło jak wryte, a po drugim krzyku wycofało się do swojej ciemnej i bezpiecznej budy. Joe wyrzwał zza ojca i zobaczył, jak pies się kuli i mruga zbaraniały.

- Śmiało, Joe. Zanieś gazetę. Z tym zwierzakiem trzeba było po prostu zmierzyć się odważnie.

Kiedy Joe szedł na palcach do drzwi, w ustach miał istną Saharę. Wsadził gazetę do skrzynki. Wciąż dudniło mu w uszach własne tętno sprzed lat, ale pamiętał, jak za nim stał ojciec i go strzegł, a pies tylko obrzucił ich ostrożnym spojrzaniem.

Blizzard nigdy więcej go nie zaczepiał, a z upływem czasu oraz odpowiedniej ilości psich ciasteczek samojed i Joe zaprzyjaźnili się.

Joe pomasaował sztywny mięsień z tyłu karku. Skoro jego ziemski ojciec, który sprawił mu zawód, potrafił pomóc przezwyńczyć

strach, czyż doskonały Ojciec Niebieski nie zdoła zrobić znacznie więcej? Trafnie dobrany przez Ruby cytat rozbrzmiewał w jego myślach: „Umacam cię jeszcze i wspomagam, podtrzymuję cię moją prawicą sprawiedliwą”.

Joe przecesał włosy obiema rękami i wstał. Być może nadeszła pora, by pozwolić Bogu go podtrzymać. Zaciśnął zęby, rozważając, co z tego wynika. „Nie wiem, czy dam radę, Panie”.

„Albowiem nie dał nam Bóg ducha bojaźni, ale mocy i miłości, i trzeźwego myślenia”. Joe ściągnął brwi, wsadził ręce do kieszeni i poszedł w stronę półciężarówki. „[...] doskonała miłość usuwa lęk”. Kluczyki zabręczały, gdy grzebał w kieszeniach. „Bądź mężny i mocny [!]. Nie bój się i nie lękaj, ponieważ z tobą jest Pan, Bóg twój, wszędzie, gdziekolwiek pójdiesz”.

Joe spojrzał w niebo płonącymi oczami. Wersety odbijały się stałym echem do rytmu z jego bijącym mocno sercem. „Skoro tylko usłyszał lud dźwięk trąb, wzniosł gromki okrzyk wojenny i mury rozpadły się na miejscu”.

Joe machnął rękami do góry.

- No dobrze już, dobrze!



Na pięć dni przed otwarciem w Progu Nieba panował nastrój oczekiwania. Bez, a potem krzew jaśminu przy podjeździe zakwitły, sygnalizując nastanie sezonu turystycznego. Na grządce wzdłuż werandy Mona posadziła mnóstwo chryzantem, astrów oraz mieczyków. Śpiewała też do piwonii w nadziei, że zakwitną wcześniej. Wypełniła drewniane skrzynie kwitającymi we wszystkich kolorach tęczy niecierpkami i ułożyła na stołach bukiety z suszonych hortensji, eukaliptusów i liliowców.

W środku zeszlifowane i nawoskowane podłogi błyszcząły ślicznym bursztynem w słońcu popołudnia, a sofa w zielono-granatową kratę stała dumnie na środku saloniku, naprzeciw baru kawowego. Z Minneapolis przyjechały intymne, okrągłe stoliczki wraz z pudełkiem obrusów oraz granatowo-żółtych serwetek. Mona pomogła Lizie wystawić aktualny asortyment ceramicznych mis, talerzy, kubków i półmisek na dwóch i oszklonych komodach, które dostały od jednego z miejscowych. Z zardzewiałego metalowego stolika, który wydobyła z szopy, Liza zrobiła dzieło sztuki - za pomocą drucianej szczotki oraz farb w białym i granatowym kolorze.

Ilekoć Mona wchodziła do sklepu, wzywały ją półki na książki, ozdobione różnymi kolorowymi wystawkami oraz gadżetami

od wydawnictw. Musiała tłumić impuls, by chwycić jakąś powieść i przycupnąć na sofie. Właśnie taką pokusę chciała stworzyć.

Mona oparła się o barierkę na werandzie. Świeże wieczorne powietrze rozpraszało zmartwienia całego dnia. Usłyszała skrzyknięcie drzwi, a potem lekkie kroki Lizy. Odwróciła się, a współlokatorka podała jej filiżankę parującego cappuccino. Oczy Lizy tańczyły radośnie.

- Próg jest prawie gotowy.

Mona wzięła filiżankę i uśmiechnęła się do przyjaciółki z wdzięcznością. W ciągu ostatniego tygodnia Liza skutecznie unikała tematu nieobecnego majstra, ale wisiał on wciąż między nimi jak cień. Joe odcisnął w Progu Nieba swoje piętno. Efekty jego pracy były wszędzie: od dorodnego zielonego trawnika po lśniącą białą werandę, od nowej elewacji na tylnej ścianie domu i solidnych schodów do mieszkania nad garażem po żyrandol w hallu.

Przed wszystkim jednak Joe pozostawił ślad w sercu Mony. Wiedziała, że to on pchnął ją w stronę wiary w Boską miłość do niej oraz w to, że Bóg pomoże jej zbudować marzenia. Joe powiedział, że nie musi sobie zapracować na Bożą miłość - jest ona dana w zestawie z Jego przebaczeniem. Gdyby tylko umiała przyjąć tę prawdę głęboko do serca i istotnie w nią uwierzyć. Wydawała się za dobra, by być prawdziwą, tak samo jak Próg.

Być może jeśli Mona odniesie sukces, otwierając księgarnię, uda się jej także uwierzyć, że Bóg spełnia marzenia. Marzenia takie jak to, by jedyny mężczyzna, którego mogłaby kochać, wmaszerował z powrotem do jej życia.

- Kiedy zaczniesz piec? - Liza oparła się na barierce i podobnie jak Mona zapatrzyła w skrzące jezioro.

- Mam ponad dwieście muffinek na wszelki wypadek, ale na otwarcie chcę wypróbować nowy przepis na muffinki z owocami.

- Słyszałam, że gdzieś niedaleko sprzedają truskawki. Może będą mieli wczesny zbiór.

Mona sączyła kawę. Wyrazisty smak jawy koił jej zmęczenie. Na szczęście dosyć łatwo było doszlifować Próg bez pomocy Jogo. Codziennie o zmierzchu, kiedy mięśnie paliły ją z wyczerpania, dziękowała Bogu, że Joe nie porzucił jej tuż po pożarze. Okazał się dla niej błogosławieństwem, mimo że każda myśl o nim powodowała skurcz w jej sercu.

Patrzyła, jak kuter buja się na falach. Dlaczego Joe odszedł? Pytanie to dręczyło ją w niespodziewanych momentach - kiedy wieszala plakaty z reprodukcjami Moneta w jadalni albo kiedy malowała maleńką łazienkę na dole. Zastanawiała się nad tym, nawet kosząc trawę. Czy zrobiła coś nie tak?

- Gdzie jest ta farma truskawek? - zapytała Mona, wracając do sugestii Lizy.

- Jakiś tydzień temu widziałam gdzieś tu ulotkę. Poszukam. Wydaje mi się, że farma nazywała się Ogród.



Joe spodziewał się wymazanego smarem samochodowym garażu - odbicia wrażeń z dzieciństwa. Był mile zaskoczony, widząc, że warsztat jest czysty, dobrze oświetlony i, o dziwo, ani kropla smaru nie przedostała się z obszaru roboczego do recepcji. Jednak przenikliwa woń oleju i benzyny potwierdziła, że trafił we właściwe miejsce.

Starsza, siwiejąca kobieta ze zmarszczkami na okrągłej twarzy podniosła wzrok na niego, a jej cienkie, narysowane kredką brwi podjechały w górę.

- Czego pan chce? - warknęła.

- Uhm, szukam Wayne'a Michaela - wydukał.

- Jest z tyłu. Czego pan od niego chce?

Joemu nagle zaschło w gardle i zapomniał języka w gębie. Co on tu właściwie robił? „Bądź mężny i mocny”. Bardzo się cieszył, że kiedy tu jechał, zapisał ten werset w pamięci.

- Czy jeden z chłopaków uszkodził panu auto?

Joe pokręcił głową. W odpowiedzi otrzymał głęboki grymas.

- No gadaj pan!

- To mój ojciec - Joe wyskrzecztał.

Kobieta drgnęła i zrobiła się popielata na twarzy.

- To naprawę pan?

Joe pokiwał głową.

Skoczyła na równe nogi i pospiesznie obeszła biurko.

- Proszę tędy, proszę pana. - Poczłapała wąskim korytarzem, skręciła za róg, po czym z impetem otworzyła podwójne dębowe drzwi. - Proszę tu poczekać. Pójdę po niego. Czy podać panu coś do picia?

Joe uniósł brwi i pokręcił głową.

- Bardzo mi miło pana poznać - powiedziała, podając mu rękę. Joe uściśnął ją niechętnie, kryjąc odrazę jej spoconą dłonią.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Joe wytarł dłoń o spodnie od garnituru, naprostował krawat i rozejrzał się po biurze. Było wyłożone mahoniem, a dywan w świetle lampy wydawał się w kolorze miedzi. W pomieszczeniu stały trzy pachnące skórą fotele: dwa niskie i jeden dyrektorski, stojący za krytym szkłem biurkiem z wiśniowego drewna. Joe zagwizdał cicho. To nie było biuro zwykłego mechanika. Może trafił na niewłaściwego Wayne'a Michaela.

Wtedy na zdjęciu w ramce zauważył własną twarz: miał jedenaście lat i trzymał wianuszek ryb. Na stoliku stał zbiór zdjęć - Gabe ze swoimi truskawkami, czarno-biała fotografia matki z czasów studiów, zdjęcie Joego z liceum oraz profesjonalny portret. Skąd ojciec wziął dwa ostatnie z nich? Gniew wezbrał jak nagła powódź.

Skoro ojcu przez te wszystkie lata na nim zależało, to dlaczego nie raczył się z nim skontaktować? Łatwo go było znaleźć, jeśli komuś chciało się szukać.

Joe zaczynał się gotować ze złości, kiedy drzwi się otworzyły. Wszedł Wayne Michaels. Dla Joego to był szok.

- Czołem, Joe. - Mężczyzna przed nim był szczupły, silny, ubrany swobodnie w niebieskie spodnie od garnituru oraz zieloną polówkę z krótkim rękawem. Jego chuda, pomarszczona twarz zdradzała trudne lata, ale błękitne oczy były uradowane.

Coś w Joem pękło. W tej chwili cały gniew, strach i wszystkie oskarżenia zlały się w jedną emocję - żal. Tęsknił za ojcem. Rozgorzał w nim cały ból piętnastolatka. Nagle oddychanie przychodziło mu z trudem.

Przed oczyma przemknęły mu radosne, rozdzierające serce wspomnienia: umazany smarem, uśmiechnięty ojciec czy Joego naprawiać forda; serdeczny śmiech, gdy rzucali piłkę na podwórku; zapach Old Spice'a i mydła późno w nocy; uczucie ciepła, gdy tata tuli synka do snu.

- Cześć - odparł Joe słabym głosem.

Wayne zamknął za sobą drzwi. Potem odwrócił się i popatrzył Joemu w oczy.

- Cieszę się, że przyjechałeś - głos mu zadrżał, upodobnił do tonu Joego. - Modliłem się, żebyśmy się znowu spotkali.

Przez głowę Joego przeleciała nieskończona lista pytań. Zadał najistotniejsze z nich, przecinając węzeł obezwładniających obrazów, by znaleźć siłę w słusznym gniewie:

- Dlaczego, tato? Dlaczego odszedłeś?

Wayne przelknął ślinę i wsadził ręce do kieszeni.

- Popeliłem potworny błąd. - Oczy miał szkliste. - Bałem się. Wydawało mi się, że nie poradzę sobie z niepełnosprawnym dzieckiem. Ledwie zacząłem się cieszyć spędzaniem z tobą czasu, kiedy urodził się Gabe. Spanikowałem i uciekłem.

- I zniszczyłeś naszą rodzinę. - Gniew Joego, na nowo zogniskowany, wezbrał. Wayne zamknął oczy i skinął głową.

Joe zacisnął pięści i jeszcze raz zobaczył, jak stoi przy drzwiach, patrzy, jak ojciec odchodzi, słucha, jak matka szlocha w kuchni. Chęć ucieczki z tego biura niemal wprawiała go w ruch.

Ojciec musiał wyczuć zmaganie Joego, bo zmienił się na twarzy. Zbliżył się do niego i powiedział z przejęciem:

- Byłem tchórzem, Joe. Nie zmienię tego, co zrobiłem tobie i rodzinie. Nie zmienię okropnych rzeczy, które przeżyłeś z powodu mojego lęku. Ale mogę zmienić to, co się będzie działo od teraz. Nie odchodź. Jesteś lepszym i odważniejszym człowiekiem ode mnie. Błagam cię, byś mi dał drugą szansę. Proszę, wybac mi.

Wayne wyciągnął dłoń do Joego, ale ten odskoczył do tyłu. Joe balansował na granicy między miłością a nienawiścią i starał się wybrać tę stronę, która ma przyszłość. Jak mógł myśleć, że jest w stanie to zrobić, zmierzyć się z tym człowiekiem, z tą udręką? „Panie, pomóż!”

Modlitwa dodała mu odwagi. Przebaczenia trzeba było uczyć się codziennie - zarówno je ofiarować, jak i - jak Bóg da - otrzymać. I trzeba było zacząć dziś.

- Przebaczam ci! - słowa eksplodowały z ust Joego ze szlochem. Przycisnął kciuk i palec wskazujący do łzawiących oczu. Czuł się odarty ze skóry, bliski zwałenia się z nóg. - Przebaczam ci - powtórzył urywanym głosem.

Nagle otoczyły go ramiona ojca. Obejmowały go uparcie mimo niechęci Joego. Mężczyzna zastygł w bezruchu, ale przytłoczyły go emocje. Osłabł i z niemal dziecięcym okrzykiem wtulił twarz w szyję ojca. Płakał, nie wstydząc się swych łez nad męką, jaką obarczył go ojciec, nad latami, kiedy sam dopuszczał się zrad.

- Przebaczam ci - powtórzył jeszcze raz, tym razem bardziej do siebie.

Przetoczyła się przez niego fala słodkiego, oczyszczającego bólu. Na jego miejscu wezbrała kojąca duszę radość, która musiała być Boska.



Mona kierowała się mapą wydrukowaną na odwrocie broszurki. Na ulotce napisane było: „Najlepsze truskawki na północy”, a pierwsza strona przedstawiała apetyczny owoc. W środku omawiano odmiany uprawiane w Ogródzie, warunki dostawy, ceny i usługi. Ogród produkował nawet własny dżem. Monę korciło, by pomówić z właścicielami i złożyć solidne zamówienie.

Zwolniła, kiedy przejechała pod drewnianym szyldem dyndającym między dwoma słupkami. Wiatr igrał z nim i poruszał okolicznymi jodłami. W powietrzu unosił się zapach sosen, a Mona doszła do wniosku, że to miejsce zdecydowanie stanowiło kolejne wejście do nieba. Jadąc pełną drogą, wypatrzyła kilka schludnych budynków gospodarczych i przepiękną sosnową chatę z okazałą, szeroką werandą. „Bardzo tu swojsko jak na tak duże przedsięwzięcie” - zamyśliła się Mona, podjeżdżając przed wejście. Wsiadła z chevette i weszła po schodach na werandę, rozglądając się za właścicielami.

Moskitiera drzwiowa się otworzyła.

- Czy mogę w czymś pomóc? - Uśmiechnął się do niej młody człowiek o zmierzwionych brązowych włosach, ubrany w kombinizon roboczy.

Monie zrobiło się ciepło na sercu, gdy zauważyła błysk w jego migdałowych oczach.

- Szukam farmy truskawek „Ogród”?
- Znalazła ją pani.
- Czy może mi pan przedstawić menedżera?

Młody człowiek uderzył się w pierś i uśmiechnął.

- To ja.

Mona uśmiechnęła się, widząc jego entuzjazm, ale poczuła się skonsternowana. Przedsięwzięcie tych rozmiarów nie może mieć...

- Czy mogę w czymś pomóc? - Drzwi werandy zaskrzypiały i pojawiła się w nich siwowłosa kobieta w dżinsach i różowej bluzie w kwiaty.

- Tak, szukam menedżera Ogrodu.

- Och, ma pani szczęście, oto i on. - Kobieta wskazała rozpromienionego młodzieńca. Mona przełknęła zakłopotanie i brnęła do przodu.

- Dobra. Nazywam się Mona Reynolds, interesują mnie wasze truskawki.

Mężczyzna otworzył oczy szerzej.

- Mamy ich masę!

Kobieta poklepała go po ramieniu.

- Jestem Ruby Miller, kierownik Ogrodu, a to Gabriel Michaels, tegoroczny menedżer. Może pokażemy pani nasz sklep, a pani mi powie, czego potrzebuje. - Odwróciła się do mężczyzny. - Dobrze, Gabe?

Szok uderzył Monę z huraganową siłą.

- Gabriel Michaels?

Mężczyzna pokiwał głową ze zmarszczonymi brwiami.

- Jest pan może krewnym niejakiego Joego Michaela? Pracował w mieście jako majster.

- To pani jest Moną Joego? - zapytała Ruby z widocznym oszołomieniem. Mona poczuła, jak krew odpływa z jej ciała. Jakby na potwierdzenie twardej rzeczywistości, duży brązowy pies wskoczył na werandę i ją wyczałował.

- Rip! - wykrztusiła, wycierając twarz. Poczuła nagłą potrzebę, by usiąść - natychmiast.

Ruby musiała zwrócić uwagę na jej minę, bo położyła jej dłoń na ramieniu.

- Chodź ze mną, Mono. Wydaje mi się, że Joe miał parę sekretów, którymi się z tobą nie podzielił.

Mona czuła się odrętwiała. Ruby zaprowadziła ją przez wygodny salon i okazałą kuchnię do biura, gdzie delikatnie posadziła ją na skórzanej sofie.

- Masz ochotę na lemoniadę?

Mona pokiwała głową.

Ruby zniknęła, a Mona została sama ze zdziwionym młodym człowiekiem, który tarł ręką o rękę i przestępował z nogi na nogę. Jego twarz przybrała kolor truskawek i Monę przeszły litość.

Czyli to była tajemnica Joego. Dlaczego ukrył przed nią swój największy skarb - rodzinę? Wstydział się Gabe a? Czy obawiał się, jak ona zareaguje? W tym pokoju, sam na sam z bratem Joego, oszustwo raziło w oczy. Było jej tak samo żal Gabriela, jak samej siebie. Biedaczyna ewidentnie nie miał pojęcia, że Mona знаła Joego.

Wstała i podeszła do niego.

- Twój brat to wspaniały człowiek. Pomógł mi odbudować moją księgarnię i dzięki niemu otwieramy za kilka dni. - Spróbowała się uśmiechnąć. Gabriel zerknął na nią podejrzliwie i pokiwał głową. - Przykro mi, że się nie spotkaliśmy - powiedziała łagodnie.

- Miałbyś ochotę przyjść kiedyś do mojej księgarni?

Ponownie potaknął.

- Lubię książki. Joe mi je przysyła.

- Naprawdę? Jakie książki lubisz?

- Jego książki.

- Acha. - „Musi mu posyłać to, co jemu się już znudzi” - pomyślała Mona, zastanawiając się, czy Gabriel lubi Louisa L'Amoura.

- Tu masz lemoniadę, złotko. - Ruby wróciła i podała jej lodowaty napój. - Nie zamierzam wyjawić wszystkich tajemnic Joego, ale tę jedną ci zdradzę. Gabriel to młodszy brat Joego. Mieszka tu od około pięciu lat. Podczas tej wizyty Joe był tu dopiero drugi raz.

- To dlatego przyjechał do miasta - wymruczała Mona. - Domyślcie się, czemu wyjechał?

- Powiedział, że już pora - odpowiedział Gabriel.

Cisza zgęstniała jak klej. Pytania ścisnęły Monie serce. Czego Ruby jej nie mówiła?

- To ośrodek opiekuńczy? - wydusiła mimo bólu, zmieniając temat na mniej oczywisty niż tajemnice Joego. Ruby skinęła głową.

- I farma truskawek. Czy wciąż interesują cię nasze truskawki? Mamy w szklarni wczesną odmianę i trafiłaś akurat na zbiory.

Mona się uśmiechnęła. Ruby wzięła ją pod ramię.

- Chodźmy. Zobaczymy, czy w Ogrodzie jest to, czego szukasz.

Zerkając ukradkiem na brata Joego, Monie przemknęło przez myśl, że może to już znalazła.



- Zamówiłam świeżą dostawę na każdy tydzień do końca sezonu. - Mona położyła na ziemi skrzynkę truskawek i uśmiechnęła się do Lizy. Przyjaciółka była pod wrażeniem. - I znalazłam brata Joego. - Rozdziawiona buzia Lizy sprawiła Monie wielką satysfakcję. - No. Mieszka w Ogrodzie, który jest ośrodkiem opiekuńczym dla niepełnosprawnych umysłowo dorosłych, poza tym, to również farma truskawek.

- Myślisz, że dlatego wyjechał? Bał się, że się dowiesz?

Mona wzruszyła ramionami, ale nie mogła ukryć niesmaku.

- Tak jakby robiło mi to różnicę. Gabe jest po prostu czarujący. Właściwie to on nadzoruje całą uprawę truskawek w tym roku.

Joe jest głupcem, jeśli myśli, że od razu nie zakochałabym się w jego bracie.

Idąc do auta po ostatnią skrzynkę truskawek, powiedziała:

- Moim zdaniem Gabe ma dwa razy więcej rozumu niż nasz tajemniczy majster.

Liza zamruczała potakująco.



Mona walnęła słuchawką. Baza telefonu zadrżała.

- Udało się coś? - Liza weszła z kolejnym ładunkiem świeżo pomalowanej ceramiki. Jej strona domu skrzyła się kolorami. Mona ukryła twarz w dłoniach wspartych na orzechowym stole i jęknęła.

Trzy dni do otwarcia. Rura się zatkała, Mona znalazła pod zlewem zabłąkanego karalucha, a tuż po jej porannej kawie zadzwonił PR-owiec i zrzucił bombę. Główna atrakcja na otwarcie, autorka z Minneapolis, która zgodziła się przeczytać fragment swojej książki *Życie w Boundary Waters: podróż pełna odkryć*, dostała zapalenia krtani.

- Wiszę na telefonie od dwóch godzin - wymamrotała Mona ze swojej kryjówki. - Podczas ostatniej rozmowy dosłownie błagałam babkę od PR-u, żeby jakkolwiek autor się pokazał, nie musi nawet nic czytać. Nieważne, kto to będzie. Chyba też zaoferowałam tej pani od marketingu, że pošlę jej tuzin muffinek.

- Podniosła wzrok na przyjaciółkę i skrzywiła się.

- Chcesz kawy? - Liza wślizgnęła się za bar kawowy, gdzie ekspresy do espresso i cappuccino oraz dwa przemysłowych rozmiarów dzbanki czekały na otwarcie księgarni. Dębowe drewno lśniło w blasku popołudniowego słońca.

- Podwójną - jęknęła Mona.

Liza nałożyła dwie porcje moki i hojną dozę bitej śmietany.

- Czyli nie ma nikogo, co? - Postawiła kubek na żółtej, sztyklowej podkładce. Mona pokręciła głową.

- Nikt nie jest wolny i nie da rady dotrzeć tu na za dwa dni, jakkolwiek piękne jest North Shore. - Owinęła dłonie wokół kubka, potrzebując czegoś namacalnego. - Nie wiem, co robić.

Liza spojrzała w górę.

- Teraz, jak to mawiała moja mama, przydałoby się trochę łaski Pańskiej.



- Kto to był? - Reese Clark bębnił palcami po lnianym obrusie, mocno poirytowany. W tak piękny piątek, z bezchmurnym niebem, wolałby być gdziekolwiek, byle nie tu - w pięciogwiazdkowej kawiarni w stylu Art Deco. Na jeziorze Calhoun wiatr napędzał błyszczące białe żagłówki biorące udział w regatach, a po drodze Reese wypatrzył młokosa na lotni. Z chęcią spędziłby popołudnie, patrząc, jak dzieciak zмага się z drzewami, słupami i psami.

Zmrużył oczy, patrząc na Jacqueline, kiedy ta zamknęła telefon i wrzuciła go do czarnej skórzanej sakwy. Odpowiedziała ze zniecierpliwieniem:

- Desperatka.

- Tak? Może dałbym radę pomóc.

Jacqueline spojrzała na niego zalotnie i przejechała zadbanym palcem po jego ramieniu.

- Kochanie, gdybym wiedziała, że desperacja cię pociąga, noślibym włosienicę i sypała głowę popiołem.

Zaśmiał się uprzejmie, ale odsunął się od niej i rozparł w krzesło.

- W czym ma problem?

Jacqueline wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna. - Wydęła karmazynowe usta z zakłopotaniem. - Była zupełnie rozhisteryzowana. Mówiła coś, że przepadła

jej główna atrakcja wieczoru na jakieś specjalne wydarzenie. Chyba wielkie otwarcie księgarni... - Jacqueline machnęła ręką, jakby odpędzała zły sen. - Tak czy owak, błagała, żebym jej pomogła znaleźć autora. - Podniosła serwetkę i musnęła nią usta. - Powiedziałam jej, że nikomu się nie będzie chciało jechać tak daleko, żeby poczytać stadu turystów i emerytów.

- Gdzie to jest?

- Jakieś senne turystyczne miasteczko nad North Shore. Chyba Deep Haven. - Przerwała, po czym spojrzała na niego ostro.

- Reese, skąd to nagle zainteresowanie jakąś wsiową księgarnią? Ledwie udaje mi się zaciągnąć cię na spotkanie z czytelnikami w największym centrum handlowym Ameryki.

- Mówiłem, że się tam wybieram?

Jacqueline ostentacyjnie go ignorowała, grzebiąc w torebce. Wyjęła szminkę i puderniczkę, po czym nałożyła kolejną warstwę makijażu. Reese patrzył, jak kobieta ściągą usta, a stek z łososia, który zjadł na obiad, przewracał mu się w żołądku. Nie cieszyła go myśl, że spędzi w jej towarzystwie następne trzy miesiące.

Jacqueline spojrzała na niego, uśmiechnęła się szeroko i zamknęła puderniczkę.

- A teraz opowiedz mi o następnej książce.

Reese skrzywił się i rozejrzał się po kawiarni, szukając drogi ucieczki. Wydane pieniądze z zaliczki ujętej w jego podpisanym kontrakcie na książkę nagle stanęły mu przed oczami jak duch minionych świąt Bożego Narodzenia. Upił łyk swojej dietetycznej coli i odezwał się z wysiłkiem:

- Cóż... nie jest dokładnie... zaplanowana.

- Nie skończyłeś. - Jacqueline zacisnęła lśniące usta. - Jesteś blisko?

Co mógł powiedzieć? Nie udało mu się nawet napisać pierwszego zdania.

-Nie.

- Rozumiem. - Uniosła brew - miała takie cienkie brwi, które przypominały mu Mortycię Addams. - Cóż, pozostaje nam mieć nadzieję, że cię natchnie - i to szybko. W przeciwnym razie będziesz odpowiadał za zerwanie umowy. - Uśmiechnęła się promiennie, jak gdyby wcale nie rzuciła właśnie granatem w jego przyszłość i nie zagroziła, że tę broń odbezpieczy. - A w międzyczasie promujesz książkę.

Reese'owi udało się skinąć głową, chociaż zmroziło go do kości.

- Słuchaj, dzióbku - powiedziała Jacqueline z gładkością psychologa - za dwa dni twój pierwszy występ. Wiem, jak kochasz tę swoją prywatność. Postaraj się jej nie zaszkodzić i nie pokazuj się nigdzie niespodziewanie. Nie wychylaj się, pielęgnuj swoją aurę prosto z zapyziałej dziury, którą tak kochamy, i staw się w poniedziałek z dzikim wyglądem i odrobiną zarostu. Książki będą się rozchodzić jak ciepłe bułeczki. - Puściła do niego oko. - A może, jeśli będziesz greczny, wydobędę cię z tarapatów u szefostwa.

Reese zacisnął zęby i zmusił się do uśmiechu.

- Dzięki, Jacqueline. Na pewno coś wymyślę, kiedy trafi się odpowiednia inspiracja.

- Och, kotku, żałuję tylko, że to nie ja. - Jacqueline zamrugała oczami i przez chwilę w panice Reese zastanawiał się, czy ona mówi poważnie. Szybko rozejrzał się za kelnerem, przyciągnął jego wzrok i poprosił gestem o rachunek. Jacqueline już zaczynała kolejną rozmowę telefoniczną. Zabrała rachunek od kelnera.

- Ja stawiam, Reese.

Reese ściągnął brwi, ale ona tylko pogroziła mu długim palcem.

- Bądź greczny - wymruczała - i niech cię nie widzę w wiadomościach.

Reese wstał i skierował się ku wyjściu.

- Och, Reese - zawołała Jacqueline, gdy odchodził od stołu. Trzydzieści głów odwróciło się w ich stronę. To tyle, jeśli chodzi o dyskrecję. - Świetna fryzura!
Zatrzasnął za sobą drzwi kawiarni.



Mona. patrzyła, jak cienie brzoź kładą się na suficie, i rozważała poranne słowa Lizy. „Przydałoby się trochę laski Pańskiej”.

Laska. Odpowiedzialność i przebaczenie za jednym zamachem, dokładnie tak, jak sugerował Joe na wietrznej plaży tak dawno temu. Doskonały plan Boga, realizowany przez ofiarę i miłość Jego Syna. W jakim celu? Aby pokazać Bożą miłość do świata. Aby przyciągnąć do Niego ludzi, żeby mogli Go czcić, cieszyć się Nim, radować w Nim, aby mógł ich obsypywać swoją niewyobrażalną miłością. Miłością, która wskrzeszała umarłych, dawała dzieci bezpłodnym, jednała człowieka ze Stwórcą i która ożywiła nadzieję oraz spełniała marzenia.

Bóg był tak bardzo godzien tego, by *Mona* się w Nim radowała. Nagle przypomniała sobie werset, który Joe zacytował tej pamiętnej nocy, kiedy siedziała załamana na jego schodach i płakała nad zalanym Progiem. „Raduj się w Panu, a On spełni pragnienia twego serca”.

Pierwszym krokiem do radowania się w Panu było radowanie się Jego przebaczeniem. Przez dziesięć lat nie pozwoliła sobie na to ani razu. Dlaczego nie? Bo nie zasługiwała na radowanie się przebaczeniem, które przyszło łatwo. Nie mogła uwolnić się od myśli, że na przebaczenie trzeba zapracować, że musi ono być bolesne.

Ale przecież przebaczone jej, bo Chrystus zapłacił za jej grzechy. A ten dar zdecydowanie sprawił Zbawcy ból. Nie radować się Jego przebaczeniem oznaczało zdradę wobec dotkliwych poświęceń Jezusa dla jej zbawienia. Nic dziwnego, że czuła się taka osierocona. Nie radować się Bożym przebaczeniem to jak otworzyć bezcenny dar, odłożyć go i chcieć za niego zapłacić. To umniejszało podarunek i obrażało ofiarodawcę. Zamiast tego powinna była rzucić się Zbawcy w ramiona.

Łaska.

Mona ześlizgnęła się z łóżka z sercem w gardle i uklękła. Parokiet chłodził jej kolana i przeszedł ją dreszcz, choć nie z zimna. Czuła się niezręcznie, składając ręce i zbierając na odwagę, by na głos wypowiedzieć sekrety serca. Niemalże zamilkła całkowicie. Ale wykrztusiła słowa i zmusiła się, by zbliżyć się do Pana w modlitwie. Było to coś, do czego była żałośnie nieprzyzwyczajona.

- Dobry Boże, przepraszam, że nie przyjmę Twojego przebaczenia. Wiem, że Cię obraziłam, odrzucając pełnię Twojej łaski. Proszę, proszę przebaczyć.

„Ukochana, Ja ci już dawno przebaczyłem”.

Łzy stanęły jej w oczach, gdy poczuła, że Bóg jest blisko i jej słucha.

- Ale to wciąż boli, Panie. Dlaczego ta żałoba jest wciąż taka świeża?

„Ty sobie nie przebaczyłaś. Kurczowo trzymasz się bólu, zagłębiasz się w jego znajomym, ciemnym uścisku i nie chcesz się pogodzić z tym, że sama się stamtąd nie wydostaniesz. Ja muszę cię zabrać z tego miejsca cierpienia. Ale tylko pod warunkiem, że Mi pozwolisz. Pozwól Mi cię uleczyć. Pozwól Mi obdarzyć cię miłością. Daj Mi swój ból, łzy, żalobę, a Ja ofiaruję ci spokój”.

Mona pokiwała głową, zaciskając pięści na kołdrze.

„Raduj się Moim przebaczeniem. Raduj się Moją potęgą. Raduj się Moją mądrością. Raduj się, że Jestem, Byłem i zawsze Będę.

Raduj się Mną, tym, że mogę cię wyzwolić i spełnić twoje marzenia tak, że nawet sobie tego nie umiesz wyobrazić. Raduj się Moją ojcowską miłością - agape”.

„Radować się Jego miłością, Jego ojcostwem. Tak”. Łzy skapywały Monie z brody.

- Panie, pomóż mi radować się Twoim przebaczeniem i wierzyć w Twoją miłość. Potrzebuję Cię. Wiem, że bez Ciebie moje marzenie się nie spełni.

Gdy wypowiedziała te słowa, więzy, które pętały ją przez ostatnie dziesięć lat, pękły. Wbiła palce w pościel i zaczęła szlochać.

- Od tak dawna marzę o tej księgarni, że nie pamiętam, kiedy to się zaczęło. I wiem, że Ty mi pomogłeś. - Przełknęła. - Posłałeś Joego. - Jego imię brzmiało jak jęk, ale w jakiś sposób dodało jej odwagi. - Niezależnie od tego, gdzie jest i dlaczego odszedł, dziękuję Ci za niego. - Te słowa ukoiliły nieco jej rozbite serce. Wyszepiała: - Proszę, strzeż go i błogosław mu. - Nabrała powietrza, zbierając siły. - Panie, wiem, że tylko Ty możesz spełnić moje marzenia. - Mona zmusiła się do kolejnych, uległych słów:

- Składam to marzenie oraz wszystkie inne w Twoje ręce. Rób z nimi, cokolwiek uznasz za słuszne. - Tym słowom towarzyszył dreszcz bólu. - I proszę, Panie, pomóż mi sobie wybaczyć. Wyzwól mnie. - Zanurzyła twarz w pościeli i łkała.

W pokoju zapanowała nieziemaska cisza. Nagle Mona wyobraziła sobie, że siedzi na progu nieba - dokładnie tak, jak opisała to Liza. A obok niej siedział Chrystus. W oczach miał łzy i objął ją. Obok Niego stał jej ojciec. Uśmiechał się. Jego twarz promieniowała zachwytem. Po raz pierwszy Mona pojęła, że opłakiwała własną stratę, nie coś, co stracił jej ojciec. Ojciec był gotów i wrócił do domu pełnego glorii, której ona nie umiała sobie nawet wyobrazić. Żył w błogości ze swym Zbawcą. Wolny, rozradowany w Panu.

Nagle poczuła oczyszczającą pełnię, jak gdyby Bóg w nią tchnął. Siła tego doznania wyrwała z jej ust okrzyk. Technienie trwało w niej, wypełniając każdy zakątek ciała, każdą cząsteczkę nieziemskim spokojem. Trwałym. Całkowitym. Wiecznym. Potem w jej sercu rozległ się głos: „Nie bój się, bo Ja cię Kocham”. Mona uświadomiła sobie, jak bardzo jej brakowało dotknięcia Ojca Niebieskiego.

Uzdrowiona, drżała, łkała i chwaliła Pana, aż radosne wyczerpanie zagnało ją do ciepłego łóżka.



Komendant policji Sam Watson postukał ołówkiem w notes, rozważając prośbę Mony.

- Brian nie jest wesołym człowiekiem. Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

Mona uśmiechnęła się do niego, zerknęła na Lizę i pochyliła się, kładąc obie ręce na jego biurku.

- Wiem, że to nieco nietypowe, ale może dzięki temu Brian przyjmie adwokata i wyzwoli się z rozpacz.

Sam potarł brodę szeroką dłonią. Przez zmrużone powieki zmierzył wzrokiem Monę, potem Lizę, a potem znowu Monę.

- OK. Ale będę tuż za wami. Nie zapominaj, że ten gość próbował cię skrzywdzić, a nie tylko spalić ci dom.

Monę zalała fala słabości, kiedy odżyło brutalne wspomnienie braku tchu, warg przyciśniętych do zębów. Brian przyznał się do napaści na nią oraz do najęcia Leo Simmonsa, by ten podpalił jej dom. Słowa Sama otworzyły ranę w jej obolałym sercu. Przywiodły jej na myśl, jak Joe ją uratował i jak ocknęła się w jego ramionach. Pomyślała o tym, jak traktowała swojego majstra i jak on jej przebaczył. Myśl ta dodała jej otuchy. Wypuściła powietrze dla uspokojenia i uśmiechnęła się wymuszenie.

- Chodźmy.

Odwiedziny w areszcie odbywały się raz w tygodniu, w sobotę rano, ale w bezosobowym pomieszczeniu nikogo innego nie było. Przez zakratowane okno powiał wietrzyk. Mona usiadła na rozkładanym krześle, usłyszała, jak Liza przysuwa krzesło obok niej. Wyciągnęła do współniczki rękę. Ciepły uścisk dodał jej pewności siebie. Za nimi kręcił się Sam.

Otworzyły się drzwi i wszedł zakuty Brian. Mona nabrała powietrza gwałtownie. Nie mogła uwierzyć, że to ten sam człowiek. Błysk zniknął z oczu, ziemista i sucha skóra zwisała z wymizeryowanych policzków. Wyglądał, jakby nie jadł, nie mył się ani nie cesał przez całe trzy tygodnie pobytu w areszcie. Popatrzył na swoich gości z zaskoczeniem, po czym z nienawistnym wyrazem twarzy odwrócił się, by wrócić do swojej celi.

- Nie tak prędko, kolego - nakazał Sam. - Siedź i wysłuchaj, co te panie mają ci do powiedzenia.

Mona zauważyła, jak Brianowi drgnął mięsień w policzku, ale odsunął nogą krzesło i opadł na nie jak niesforny nastolatek. Oczy błyszczały mu defensywnie, poza tym były martwe.

Mona oblizwała zaschnięte usta. Czuła się jak z gumy, ale prze-modliła to wszystko i wiedziała, że tak należało postąpić. Musiała uwolnić Briana z więżącego go poczucia winy - dla niego i dla własnego dobra. W głębi serca nie mogłaby w pełni radować się przebaczeniem, gdyby żywiła gniew i gorycz.

- Jak się masz, Brian? - spytała Mona. Spozregła drzenie własnego głosu i starała się nad sobą zapanować. Wbił w nią niechętny wzrok.

- A jak myślisz?

Liza pochyliła się do przodu.

- Brian, to nie przez Monę się tu znalazłeś. Wysłuchaj jej.

Liza widocznie wciąż coś dla niego znaczyła, bo przybrał łagodniejszy wyraz twarzy.

- Podobno nie chcesz porozmawiać z prawnikiem - ciągnęła Mona niepewnie.

- Nie ma potrzeby. Moje życie się skończyło. - Skrzyżował ręce, a Mona zauważyła stare strupy na jego przedramieniu - podrapała go tam, kiedy próbował ją udusić. Na wspomnienie tego poczuła w ustach mdły posmak strachu. Przełknęła ślinę i zamknęła oczy. „Proszę, Panie, pomóż mi powiedzieć, co należy”.

- To nieprawda. Owszem, zrobiłeś coś okropnego, ale to nie znaczy, że nic cię już nie czeka. Wciąż możesz wieść godne, sensowne życie.

Brian uśmiechnął się szyderczo.

- Wszyscy robimy rzeczy, których się wstydzimy... - Mona uciłła. Brian był nieprzejednany. - Brian, wybaczam ci - palnęła. Poblądł. Mona pokiwała głową. - Wiem, że mnie skrzywdziłeś i sabotowałeś mój interes, ale chcę ci przebaczyć. Właściwie to chcę ci pomóc przez to przejść. Liza i ja rozmawialiśmy o tym. Nie mamy wpływu na stawiane tobie zarzuty karne, ale nie będziemy cię pozywać o wyrównanie szkód.

Mona poczuła przyływ nadziei, kiedy napięcie w twarzy Briana nieco zelżało. Powoli otworzył usta ze zdziwienia. Odwaga Mony wezbrała.

- Będziemy cię odwiedzać co tydzień, modlić się za ciebie i przynosić ci posiłki. Nie jesteś zapomniany - wydusiła przez łzy. - Przebaczone ci.

Brian się odwrócił, ale Mona widziała, że ciężko mu przyjąć jej słowa. Rozumiała to. Miłość w obliczu winy mogła być przytłaczająca. Przemknęły jej przez myśl słowa ulubionego hymnu: „Cudowna Boża Łaska ta zbawiła z grzechów mnie. Zgubiony, nędzny byłem ja, lecz teraz cieszę się”⁹.

⁹ Cudowna Boża łaska (Amazing Grace), sl. J. Newton, przel. A. Bojko, [przyp. tłum.].

- Dlaczego? - głos Briana przyciągnął z powrotem jej uwagę. Mona się uśmiechnęła. Łzy kapały jej z podbródka. Odpowiedź, jakiej udzielił jej Bóg, odnosiła się zarówno do niej, jak i do Briana.

- Bo chociaż wciąż jesteśmy grzesznikami, Chrystus umarł za nas. My możemy przebaczyć tak mało, podczas gdy On przebaczył nam tak wiele.

„Tak bardzo, bardzo wiele”.



dniu otwarcia Mona wstała wcześniej i powitała bladoróżowy świt, siedząc na ulubionym gładzie z widokiem na Jezioro Górne. Pergaminowe karty jej Biblii szeleściły w porannej bryzie. Niemal bezmyślnie wyszukała ulubiony werset taty - z Księgi Jeremiasza 29,11. Kiedy słowa wniknęły w jej serce, zrozumiała, dlaczego ojciec tak często je cytował: „Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamysłam co do was - wyrocznia Pana - zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie”.

Mona pochyliła głowę. „Panie, wierzę, że masz i zawsze miałeś wobec mnie dobre plany. Zaczynam pojmować, że te plany nie zawsze znaczą, że będzie łatwo. Pozwolisz na karaluchy, powodzie i pożary, bym zrozumiała, że nie mogę polegać na sobie. Muszę polegać na Tobie. Dziękuję za przebaczenie, za łaskę i za to, że dałeś mi to marzenie. Ale wiem już, że nawet jeśli przedsięwzięcie poniesie porażkę, ja jej nie poniosę. Kochasz mnie i chronisz w swoich dłoniach. Wiem, że mogę liczyć na to, że dasz mi dobrą przyszłość, niezależnie od tego, co się wydarzy”.

Spojrzała na coraz jaśniejsze niebo. „Proszę weź ten dzień i zrób z nim, co chcesz”. Westchnęła, czując w duszy nadzieję.

Postanowiła zachować ten werset w pamięci, otwierając podwoje Progu Nieba.



Będą po prostu musiały otworzyć bez wspaniałej gwiazdy, która by uświetniła ich pierwsze chwile. Księgarnia i Kawiarnia na Progu Nieba będzie musiała sobie poradzić samodzielnie.

Zaraz po powrocie z religijnego spaceru Mona wystawiła na werandę tablicę z wypisanymi kredą specjalami dnia. Zrobiła na dziś trzy rodzaje muffinek: z czekoladą, otrębami i truskawkami - dzięki dostawie z Ogrodu. Może później poeksperymentuje z dzikimi jagodami zebranymi na wzgórzach okalających Deep Haven. O ile wytrwa tak długo.

Słońce wspinało się nad Jezioro Górne i rozpałało powierzchnię wody falującym blaskiem, a aromat świeżo parzonej kawy wymykał się na ulicę. Fortepianowa muzyka Chopina roznosiła się po księgarni, przydając sklepowi elegancji i nutki oczekiwania.

Liza zeszła po schodach, wystrojona w z spódnicę z frędzlami i białą skórzaną kamizelkę.

- Pomyślałam sobie, że ożywię nieco koloryt lokalny - wyjaśniła, kiedy Mona uniosła brwi. Mona musiała przyznać, że były od siebie zupełnie różne. Ona sama miała na sobie zdecydowanie konserwatywny, brzoskwinowy sweter z kaszmiru oraz spódnicę w kolorze khaki.

Kiedy obracała tabliczkę z napisem „Otwarte”, z radością zauważyła na werandzie kogoś, kto przechadzał się tam i z powrotem, jakby nie mógł się doczekać, by zakosztować Nieba.

Był to Chuck, ich pośrednik nieruchomości.

- Jak leci?

Mona zgarbiła plecy.

- Mamy otwarte od minuty.

- No tak. Poproszę latte.

Mona popędziła do baru kawowego, podczas gdy Chuck przechadzał się wśród ceramiki Lizy. Kilka sztuk wziął nawet do ręki z uśmiechem. Kupił muffinkę z czekoladą oraz „Superior Timesa”, a następnie usiadł na werandzie.

Po godzinie Chuck wciąż był jedynym klientem. Mona stała na werandzie, pocierając ramiona z przejęciem.

- Nie martw się, kotku, przyjdą. Jeszcze wcześniej.

Ale o dziesiątej muffinki nadal się kurzyły, a Mona desperacko powtarzała werset ze swojej porannej modlitwy. Liza siedziała z nią na schodach, przygryzając wargę.

- Wiem, czego nam potrzeba - oznajmiła i skoczyła na równe nogi. Weszła na werandę i napisała coś na tablicy. Mona poszła za nią.

- Czemu to napisałaś?

- Żeby pomóc nam zachować dystans.

Mona uśmiechnęła się z sercem pełnym wdzięczności za przyjaciółkę, którą dał jej Pan. Na tablicy było napisane: „Raduj się w Panu, a On spełni pragnienia twego serca”.

- Amen - powiedziała Mona. Nieważne, co się wydarzy - spojrzysz w niebo i pozwolisz Bogu, autorowi jej marzeń, zachwycić ją swoją miłością.

- Dzień dobry, złotko - głos Edith Draper uciął jej refleksję. Starsza pani wleciała do kawiarni, ciągnąc za sobą cztery koleżanki, wystrojone w najlepszy niedzielny poliester. Entuzjazm Mony opadł. Teraz matka usłyszy o jej porażce. Wspaniale.

- Jest tu już? - Szare oczy Edith tańczyły z radości. Wymieniła znaczące spojrzenie z niższą kobietą, której mina wyrażała podobną uciechę. Mona zamrugła oczami, zdziwiona.

- Chuck?

Edith się roześmiała. Przysunęła się do Mony, jakby zwierzały się sobie z intymnych sekretów.

- Czemu nic nie mówiłaś? Musiałam się dowiedzieć od Mabel ze sklepiku. - Zanim Mona zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Edith puściła jej oko. - Napijemy się kawci i poczekamy.

Pięć kobiet zakupiło pięć kaw, trzy muffinki z truskawkami, jedną z otrębami i jedną z czekoladą oraz trzy egzemplarze nowej książki Reese'a Clarka zatytułowanej *Kanadyjska katastrofa*, która dopiero wczoraj trafiła na półki.

- Uwielbiam Jonaha - zachichotała Edith. Mona zagapiła się na nią, jakby Edith zwariowała.

Przed dom zajechała lśniaca, czerwona, klasyczna corvette. Mona patrzyła z okna, jak do Progu zmierza mężczyzna ubrany w czarne dżinsy i takiż kowbojski kapelusz. Pod pachą trzymał znak.

Monie zaparło dech w piersi, kiedy zobaczyła, że mężczyzna się zatrzymuje, stawia afisz na podjeździe, a potem patrzy na dom. Widziała to spojrzenie w środku nocy tydzień temu, kiedy żegnał się z Progiem. Joe Michaels. Zignorowała tętniące serce i wyszła na zewnątrz. Na schodach zobaczyła kolejną grupę kobiet - zapewne turystek, bo trzymały papierowe torebki z napisem „Witamy w Deep Haven”. Zmierzały do Progu pospiesznie.

- Co ty tu robisz, Joe? - Mona pomaszerowała w dół ścieżki, zdziwiona własnym gniewnym tonem.

Joe dotknął brzeżka kapelusza, jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

- Czołem, psze pani. Reese Clark. Przyjechałem na spotkanie z czytelnikami.

Mona zagapiła się na niego.

- Mona, zamknij buzię, bo ci mewa wleci.

Zacisnęła usta i przyjrzała się afiszowi. Odpowiedź była wypisana jasnym, zrozumiałym angielskim. „Reese Clark, autor serii o Jonahu, jedyna wizyta w Deep Haven na otwarciu Księgarni i Kawiarni na Progu Nieba”.

Mona nie mogła znaleźć słów, ale kiedy patrzyła groźnie na Joego czy Reese'a, czy jak tam go zwali, wrzała gniewem. Czy była pożywką dla następnej historii o Jonahu? Zbierał tu materiały, notując wszystkie pechowe wydarzenia, jej tajemnice? Czy obejmując ją pod gwiazdami, układał w głowie, jak złamać jej serce? Wyobraziła sobie tytuł jego następnej książki: *Kłęska w Deep Haven*. Miała nadzieję, że będzie to kryminał: kto zabił majstra.

- Oszukałeś mnie - zawarczała w końcu. Uśmiech Joego znikł.
- Nie oszukałem cię. Po prostu nie powiedziałem ci wszystkiego. Pewne sprawy są osobiste.
- Na przykład to, że jesteś bestsellerowym autorem, a udajesz złotą rączkę?
- Byłem złotą rączką, pamiętasz? Wszystko naprawiłem.
- Tego nie naprawisz, kolego. - Mona odwróciła się i pomaszerowała do domu.



Jak to było możliwe, że obyty, wyrafinowany dżentelmen, który witał klientów Mony, był jej osobistym majstrom Joem? Owszem, rozpoznała te przepiękne niebieskie oczy i wprost się rozplęwała, ilekroć na nią spojrział, ale tak naprawdę to Reese Clark, przystojny, tajemniczy, bestsellerowy autor, przechadzał się swobodnie po Progu Nieba. Mona z goryczą zabarykadowała swoje serce, powtarzając sobie, że to również oszust i manipulator.

Nie pomagało, że klienci zlatywali się do Reese a Clarka jak pszczoły do miodu. Do Progu zajrzeli wszyscy miejscowi, stale napływali też turyści, a Mona odkryła dlaczego, gdy przeczytała ogłoszenie na pół szpalty w „Superior Timesie”. Widziała wcześniej profesjonalny portret gościa w kowbojskim kapeluszu, który opiera się o słup, dziesiątki razy - na wszystkich obwolutach jego książek. Poczowała się jak kretynka.

Dobre wieści były takie, że wyprzedala wszystkie książki o Jonahu, nawet te, które Reese przywiózł w bagażniku corvette, a oprócz tego przyjęła dwie strony zamówień. Muffinki znikaly w zastraszającym tempie, a ekspres do kawy gaworzył cały dzień jak zadowolone niemowlę.

- Co za słodkie miejsce, Mono - zauważyła Edith, wychodząc z torbą wypchaną książkami. - Zdecydowanie godne swojej

nazwy. Myślę, że właśnie czegoś takiego potrzebuje Deep Haven.

Ciepłe słowa Edith tylko przysporzyły Monie rozterek.

Ceramika Lizy sprzedawała się jak ciepłe bułeczki, odkąd miejscowi odkryli, że jej wyroby mają na dnie małą mewę, jak gdyby Liza była rodowitą mieszkanką Deep Haven. Kiedy jej asortyment się skurczył, zaczęła spisywać listę zamówień tak długą, że całą zimę spędzi błogo zamknięta w swojej szopie.

Kiedy drzwi wreszcie się zamknęły, Mona i Liza padły na schody z wyczerpania. Nawet Reese wydawał się znużony całym tym podziwem.

- Nieźle, co nie? - zauważył, zatykając palce w szlufki.

- Nie rozmawiam z tobą - powiedziała Mona. Chciała poddać się wdzięczności, ale ukłucie jego zdrady osłabiło ten impuls. Zatrzasnęła wdzięczność ciasno w piersi. Wbiła wzrok w podłogę, na wypadek, gdyby zagubienie przejawiało się łzami. Za to Liza uśmiechnęła się do łobuza szeroko.

- Wezmę kąpiel i zamówię pizzę. - Wstała. - Dzięki, Joe... uhm... To znaczy Reese.

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Właściwie to Joe. Czy raczej Jonah.

Obie kobiety wbiły w niego osłupiały wzrok.

- Reese to mój pseudonim. Jonah Michaels - poklepał się po piersi - to ja.

- Nadałeś swojemu bohaterowi własne imię? - westchnęła Liza.

- Wydawało się wtedy pasować.

- Przyda mi się też trochę lodów czekoladowych - wymamrotała Liza i poszła na górę.

Mona miała uczucie, jakby serce podjechało jej do gardła. „Joe to Jonah”. Podobieństwo było tak oczywiste, że musiała wcześniej być ślepa, by go nie widzieć. A może miała taką obsesję na punkcie

realizacji marzeń, że nie zorientowała się, kiedy Bóg postawił jedno z nich prosto na jej progu.

Jonah istniał...

Joe poszurał czarnym kowbojskim butem po lśniącym parkiecie, nie patrząc jej w oczy, jak gdyby właśnie wręczył jej swoje serce i czekał, aż zacznie je okładać pięściami.

- Mam coś, co należy do ciebie - odezwała się cicho. Jej gniew zelżał nieco, gdy zobaczyła, jak nieswojo Joe się czuje. Mona pobiegła do swojego pokoju i porwała jego dziennik z szafki nocnej. Zalał ją wstyd. Nie miała prawa go czytać, a kiedy mu go podała, wyczytała w jego oczach pytanie. - Tak, przeczytałam go - przyznała. - Przepraszam.

Skrzywił się.

- Nic się nie stało.

Stali tam przez chwilę. On oddychał boleśnie, ona pocierała okryte kaszmirem ramiona.

- Wiem o Gabie, Joe.

Ta nowina walnęła go jak obuchem, bo spojrzał na nią tak desperacko, że resztki irytacji zgasły. Otworzył usta, ale nie dobył się z nich głos.

- To cudowny człowiek. Wszystkie truskawki kupiłam w Ogrodzie. - Uśmiechnęła się ze współczuciem.

Rozgoryczenie wywołało rumieniec na twarzy Joego.

- Przepraszam, Mono. Powinienem był ci go przedstawić.

- Myślałeś, że robiłoby mi różnicę to, że Gabe ma zespół Downa? Że kochałabym go mniej?

- Robiło różnicę mojemu ojcu - odparł bez ogródek. - Zostawił nas z powodu Gabe a.

Wezbrała w niej litość.

- Cóż, ja bym nie odeszła. Ja zaufałam Panu i znalazła sposób, by dostrzec Jego błogosławieństwo. - Spojrzała na niego twardo.

- Czy ty byś odszedł?

Milczał chwilę, patrząc w podłogę.

- Odszedłem. Uciekłem od Gabe'a i całego bólu, jaki mój ojciec po sobie zostawił. - Kiedy podniósł wzrok, jego agonia rozdarła jej serce. - Bałem się zbliżyć do Gabe'a, do mojego ojca... do ciebie.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Joe - powiedziała tkliwie. - Dlaczego odszedłeś?

Zesztywniał.

- To nie jest oczywiste?

Mona zmarszczyła brew.

- Powiedziałaś, że kochasz Jonaha za jego szczerość - Joe mówił urywaniem głosem. - A ja mieszkałem tu, oszukując cię, ilekroć walnąłem młotkiem. Kiedy to powiedziałaś, wiedziałem, że nigdy mi nie przebacysz. - Poczerwieniał i odwrócił głowę, kontynuując: - Przyjechałem tu nawet z myślą, że mógłbym napisać kolejną historię o Jonahu. Coś o tym, jak Jonah uratował marzenia młodej kobiety. Ale bardzo szybko się przekonałem, że nie chcę, aby to była tylko historia. Nie chciałem, żeby to było coś, co wymyśliłem, obserwując to z oddali. Chciałem, żeby Joe został twoim bohaterem, i chciałem... - Urwał, a Mona przygryzła wargę, żeby się nie rozplakać. - Ale wiem teraz, że się oszukiwałem.

Łzy wypełniły jej oczy. Dzielnie podeszła bliżej.

- Skoro Bóg może mi przebaczyć, że zabiłam własnego ojca, a ty możesz mi przebaczyć, że obwiniałam cię o katastrofy w Progu, myślę, że ja mogę ci przebaczyć, że udawałeś złotą rączkę.

- Jestem złotą rączką - odparował z pełnym wdzięczności, łobuzerskim błyskiem w oku. Mona rzuciła mu udawany grymas.

- Oraz bestsellerowym autorem, nadmienię, że w dodatku moim ulubionym - o czym wiedziałaś! - Położyła ręce na biodrach energicznie i zrobiło jej się niedobrze. - Pewnie tarzałeś się w środku ze śmiechu, kiedy ci mówiłam, jakie wrażenie zrobił na mnie Reese.

Joe pokręcił głową.

- Mono, większość kobiet, które spotykam, widzi Reese'a Clarka, pisarza i odludka, i myśli, że mnie zna. Znają pisarza, wizerunek, którego pragną, i za tym się uganiają. Ty natomiast zaakceptowałaś mnie, Joego, z całym bagażem dziwactw i niedoskonałości. Nie uganiałaś się za mną. Po prostu dałaś mi być tym, kim potrzebowałem być. Kim rozpaczliwie chciałem być.
- Opuścił głos do szeptu: - Nie śmiałem się z ciebie - patrzyłem na siebie twoimi oczami.

Jego tkliwy głos złagodził ból w jej sercu. Poza tym jak mogłaby wątpić w szczerłość tych rozbrajających błękitnych oczu?

- Czyli to ciebie spotkałam w zeszłym roku w Mall of America?
- No. - Wyglądał tak smętnie, że skojarzył się z Ripem, który chował się przed nią po tym, jak naniósł błota do domu. Nagle zachciało jej się śmiać.
- Przyjechałeś tu za mną? - zapytała, tłumiąc śmiech.
- Nie! To wyłącznie Boże dzieło. Ale szybko sobie przypomniałem, gdzie po raz pierwszy widziałem ten piękny uśmiech i umorusaną buzię.

Mona wbiła w niego wzrok z udawanym gniewem.

- Nie planowałem, że cię oszukam - powiedział z nagłą powagą.
- Po prostu nie chciałem niczego komplikować. Myślałem, że jeśli poznasz Gabe'a, dowiesz się, kim jestem i że ciągnie się za mną sznur wielbicielek, które mogą wtargnąć w twoje życie, to mnie odprawisz z kwitkiem. Nie chciałem, by komuś stała się krzywda. - Pomasaował sobie kark. - Gwoli prawdy po przyjeździe tu modliłem się, bym okazał się dla ciebie błogosławieństwem.
- Byłeś dla mnie błogosławieństwem, Joe - potwierdziła Mona łagodnie i poczuła rumieniec na szyi. Wbiła wzrok w podłogę i złożyła ręce. Tak bardzo chciała chwycić go za rękę, znowu poczuć jego delikatny, ciepły dotyk. Ale powstrzymała się. A co jeśli jest teraz wielką gwiazdą i naprawdę przyjechał tu na jeden

dzień? A co jeśli przyjechał z poczucia winy albo co gorsza z litości? Łzy paliły ją w oczach.

Jakby na potwierdzenie jej rozszalałych myśli, nagle się odwrócił.

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc, Mono.

O nie. Było dokładnie tak, jak przypuszczała. Litość. Jej Jonah właśnie wychodził, możliwe, że na zawsze.

- Joe - palnęła - dlaczego wróciłeś?

„Och, proszę, żebym się myliła. Proszę, by się okazało, że wrócił, bo on też co noc wpatrywał się w sufit i słuchał, jak jęczy jego złamane serce”.

Przełknął głośno, jak gdyby zbierał siły, by powiedzieć prawdę, i jej łęki odbiły się echem.

Joe w końcu spojrzał jej w oczy. Patrzył na nią wzrokiem rozpalonym niewypowiedzianymi emocjami, aż zaschło jej w gardle.

- Chciałem ci pomóc. Tak bardzo się starałaś i chciałem, żeby ci się udało. Usłyszałem o twoim problemie od mojej specjalistki od PR-u i zrozumiałem, że Bóg chce, bym wrócił. Uświadomiłem sobie, że dał mi dar - karierę pisarską. Mogłem się albo przed nią chować, albo wykorzystać ją, by ci pomóc.

- Och. - To było gorsze niż litość. Joe wrócił do roli majstra

- naprawiał czarne dziury w jej życiu, tyle że tym razem dokonał tego, prężąc pisarskie mięśnie. Nie miało to nic wspólnego z uczuciami ani z miłością, którą - jak się jej wydawało - wyczuwała w jego ciepłym uśmiechu, kiedy pomagał jej budować marzenia. - Dziękuję - powiedziała przez ściśnięte gardło.

Dotknął kapelusza, jak gdyby przeprowadził ją właśnie uprzecznie przez jezdnię, i odwrócił się do drzwi.

Serce Mony zakwiliło. „Proszę nie odchodź”. Być może jej duma zostanie rozniesiona w pył, ale nie mogła dać mu odejść. Był tu, wrócił do Progu Nieba, praktycznie osobista dostawa od Pana Boga, i nie było mowy, by Mona pozwoliła mu wymaszerować z jej życia. Nie, kiedy sądziła, że w jego płonących oczach

wczytała wspólną przyszłość. Jego słowa przeszły jej serce... Jonah przestąpił jej próg. Wydawało się to niemożliwe, cudowne - a nagle słowa Joego rozbrzmiały jej w uszach jak syrena alarmowa. „Bóg chce, bym wrócił”.

Bóg dał jej wszystko: przebaczenie, Próg i Jonaha prosto z kart książki. Nie pozwoli Joemu uciec. Nie, jeśli jej miłość zaprowadzi go do domu.

- Joe, naprawdę myślałeś to, co o mnie napisałeś?

Odwrócił się gwałtownie. Bolesny, obnażony, desperacki wyraz jego twarzy sprawił, że zachciało się jej płakać.

- Tak.

- Wobec tego pozwól, że skończę za ciebie tę historię - wyszeptła Mona. - Jonah przestaje uciekać. Znajduje kobietę swych snów w maleńkim miasteczku i dochodzi do wniosku, że musi zaryzykować i wpuścić kogoś do serca... Tak samo jak my wszyscy.

Przez jego twarz przemknął dziwny wyraz. Mona przełknęła ślinę, mając poczucie, że serce utknęło jej w gardle i skutecznie odcięło dopływ powietrza.

- Podoba mi się. - Joe się uśmiechnął.

- Kocham cię, Joe. Nie odchodź. - Zebrawszy się na odwagę, Mona zbliżyła się do niego tak bardzo, że niemal wtuliła się w jego ramionach.

Joe patrzył jej w oczy badawczo, przenikliwie, intymnie, testując prawdę jej słów. Wyciągnął dłoń i pogładził jej policzek. Monę przeszedł dreszcz, a wszystkie neurony stanęły w płomieniach.

- Ja też cię kocham - powiedział drżącym głosem. - Cały ten tydzień myślałem tylko o tobie - o tobie, Progu i Gabie... - Zamknął oczy, walcząc z przyływem emocji.

Mona czekała. Serce biło jej tak mocno, że prawie wpadła mu w ramiona, chcąc pocieszać i koić. Zamiast tego wtuliła głowę w jego dłoń.

- Mono, kiedy odszedłem od ciebie, pojechałem zobaczyć się z ojcem.

Zobaczyła subtelną zmianę na jego twarzy, jakby w gęstym lesie słońce wyszło zza chmury. Zajaśniały jego emocje, niegdyś ukryte. Mówił namiętnie:

- Powiedziałem, że mu przebaczam to, że nas opuścił, i wtedy... No dobra, poczułem, jakbym znowu mógł oddychać. Nagle miałem w sercu pełno wolnej przestrzeni... - powiódł oczami po jej twarzy - która tylko czekała, aż się wprowadzisz.

Objął jej twarz dłońmi. Mona zadrżała.

- Mona, kochałem cię niemal od pierwszego dnia. Twoje szalone, cudowne marzenia sprawiają, że chciałbym zapaść korzenie i zbudować życie tu, w Deep Haven. Nie dbam o to, czy spotka mnie ból albo coś się wydarzy i ode mnie odejdiesz. Zaryzykuję, jeśli pozwolisz mi cię kochać. Pozwól mi naprawiać zepsute rury, przeciekający dach, kosić trawnik. Nie muszę już nawet pisać. Ani słowa. Będę twoim majstrem. Na zawsze.

Przełknął ślinę, a Monie udzieliło się jego zdenerwowanie.

- Mono Reynolds, wyjdiesz za mnie?

Zrobiło jej się słabo.

- Wyjść za Jonaha? - zażartowała drżącym głosem. - Każda kobieta na świecie będzie mi zazdrościć. - Zakręciło jej się w głowie. Wyjść za Jonaha... mężczyznę z jej snów?

Spojrzał na nią tymi pięknymi oczami, których widok zupełnie ją rozklejał.

- Tak, wyjdź za Jonaha, wyjdź za mnie. Nie obiecuję, że będzie łatwo. Ludzie zawsze będą interesować się naszym życiem. Ale myślę, że z tobą przy boku dam sobie z tym radę. Będziesz ze mną dzielić życie i wpuścisz mnie do swojego?

Mona pokiwała głową, niezdolna mówić, oddychać, zrobić cokolwiek innego, niż zalać się łzami. Kiedy uśmiechnął się do niej tkliwie, zachciało się jej tańczyć. Wtedy Joe pochylił się

i pocałował ją, ostrożnie, powoli, jak gdyby jej dotyk ożywiał jego duszę. Mona wsparła ręce na jego piersi i rozplynęła się w uścisku, czując w pocałunku smak łez. Kiedy się odsunął, widziała, jak drży, a w jego oczach malował się ogrom jego miłości. Serce wypełniła jej radość.

- Co z Reesem Clarkiem? - zamruczała, spijając zapach jego wody kolońskiej i przyjemną woń flaneli, która zawsze go spowijała. - Akcja twoich książek rozgrywa się w różnych miejscach świata. Co się stanie z Jonahem? - Stykali się niemal ustami, a Mona pragnęła poczuć jego silne ramiona.

Wplótł palce w jej włosy i się uśmiechnął. Jego błękitne oczy przybrały łotrowski wyraz.

- Mówiłem poważnie - będę twoim majstrem.

Zaśmiała się cicho.

- Cóż, od czasu do czasu może skorzystam z twoich usług. Ale nie możesz przestać pisać. Co na to twoi czytelnicy?

Zrobił zmartwioną minę.

- Jesteś pewna, że jesteś gotowa na moich czytelników?

- Ja jestem pańskim czytelnikiem, proszę pana - powiedziała Mona z nową falą niedowierzania. „Jonah tu jest i mnie całuje”.

- Nie możesz przestać pisać, tak samo jak nie możesz przestać oddychać.

Wsparł czoło na jej czole.

- Mówiłem ci, jak bardzo cię kocham?

- Powiedz mi jeszcze raz.

- Skoro ci to nie przeszkadza, mam jeszcze jedną książkę do napisania. Zatytułuję ją *Marzenia w Deep Haven*.

Potem Joe pocałował ją tak słodko, tak delikatnie, tak idealnie, że dreszcz przeszył całe jej ciało. Pocałunek wyrażał oddanie i obietnicę na całą wieczność. Kiedy Joe się odsunął, na twarzy miał krzywy uśmiech, ale jego niesamowite oczy spoglądały z powagą.

- To będzie ostatnia książka w serii. Jonah znalazł wreszcie to, czego szukał.

Objął ją i przyciągnął do siebie, patrząc jej prosto w duszę. Mona ledwie wydusiła:

- Czyli co?

Odwrócił od niej na chwilę wzrok i popatrzył na księgarnię: na wszystkie swoje naprawy, na regały, na bar kawowy, drewniane pieńki, żyrandol w korytarzu. Kiedy znowu na nią spojrzął, w oczach zbierały mu się łzy.

- Spokój.

Mona przesunęła opuszkami palców po wargach Joego wykrzywionych w uśmiechu i wplotła dłonie w jego miękkie włosy. Potem pocałowała mężczyznę, na którym nauczyła się polegać, ufać mu, kochać go. Mężczyznę, którego zesłał jej Bóg, by jej przypomnieć, że owszem, w rękach Autora happy endów marzenia się spełniają.

- Witaj w domu, Jonahu Michaelisie.



Pomysł na *Długo i szczęśliwie* dojrzał od dzieciństwa, kiedy to pierwszy raz ujrzałam North Shore w Minnesocie. Wydaje się, jakby wszystko, co istotne w moim życiu, zrodziło się, gdy siedziałam nad brzegami Jeziora Górnego, nasłuchując wołania mew albo wrzucając kamyki w fale. Znalazłam Pana na biwaku wzdłuż szlaku Gunflint, a wiele lat później spotkałam mojego męża w Grand Marais i rozpoczęłam karierę pisarską przy towarzyszącym stoliku z widokiem na skaliste nabrzeże.

Mona, Joe oraz ich historia dotknęli mojego serca i przypomnieli mi, że Bóg jest autorem moich marzeń oraz wszystkich moich najlepszych chwil. Pisząc tę opowieść, pragnęłam przekazać, że Bóg naprawdę jest naszą ucieczką i schronieniem. Cokolwiek się dzieje, czy znoj, czy triumf, możemy z zaufaniem zatracić się w kochających ramionach Ojca.

Przyjaciel powiedział mi kiedyś, że Bóg nie po to daje nam marzenie, by je potem wyrwać i nas wyśmiać. Służymy Bogu kochającemu, który zna nasze serca lepiej niż my sami i pragnie zachwycić nas swoją miłością. Powtarzałam to sobie przez lata, kiedy wraz z rodziną służyliśmy Bogu w wymagających miejscach i znosiliśmy trudy posługi misjonarskiej. W tym wszystkim widziałam Jego troskę, ochronę i miłość. Pokazał mi wielokrotnie,

że jestem Jego ukochanym dzieckiem. Przede wszystkim przekonałam się, że im mocniej Mu się poddam i uwierzę w Jego łaskę, tym bardziej mnie zaskoczy swoją hojnością. Spróbujcie! Dajcie Mu swoje marzenia i serca. Cieszcie się miłością Najwyższego.

Dziękuję za lekturę *Długo i szczęśliwie*. Mam nadzieję, że czytanie sprawiło Wam tyle przyjemności, ile mnie pisanie. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy będę mogła się z Wami podzielić innymi romantycznymi przygodami rozgrywającymi się na brzegach Jeziora Górnego w Deep Haven.

Niech Was Bóg błogosławi,

Susan May Warren